



LEIGH BRISTOL



***KŁOPOTLIWY
SPADEK***

ROZDZIAŁ 1

Charleston, Karolina Południowa

Czerwiec, rok 1886

L laurel Sinclair Laughton przyglądała się reszcie pieniędzy spoczywającej na dnie kasetki. Jej twarz zastygła w wyrazie niedowierzania. Jeden dolar i dwa centy. Jeszcze miesiąc temu leżało tu prawie pięćdziesiąt dolarów. Za pięćdziesiąt dolarów mogłyby przeżyć rok, a przy dużej oszczędności - nawet dwa. Pięćdziesiąt dolarów stanowiło różnicę między skromną, ale godną egzystencją, a nędzą i ubóstwem. Pięćdziesiąt dolarów było wszystkim, co posiadały.

Laurel powoli podniosła wzrok i napotkała spojrzenie ciotki Sophie, nerwowo skubiącej końce swych anglezów.

- Nie musisz patrzeć na mnie w ten sposób, panienko - powiedziała. Oschłość tych słów osłabiło nieco drżenie jej głosu. Nawet Sophie obawiała się złego nastroju Laurel, a tym bardziej nie chciała stać się jego przyczyną. Chłubiła się jednak tym, że zawsze i zdecydowanie dąży do obranego celu.

- Pamiętaj o tym, skąd pochodziły te pieniądze i kto...

- Wydałaś pięćdziesiąt dolarów na portret! - Laurel dobitnie wymówiła każde z tych słów.

- Czterdzieści pięć - poprawiła ciotka Sophie. - To była prawdziwa okazja, wierz mi. Oczywiście - dodała ciszej, uciekając spojrzeniem w bok - były tam także płótna, które...

Laurel wodziła palcami wśród leżących na dnie kasetki monet. Zagryzła wargi, a jej oczy zwięzły się w małe szparki. Uczuciem, które starała się opanować, była nie tyle złość, co rozpacz. Złość zresztą nie zdałaby się tu na

nic, szczególnie jeśli chodziło o ciotkę Sophie, ale rozpacz była tym, z czym Laurel przywykła żyć na co dzień.

- Nie gniewaj się na mamę, Laurie - odezwała się ze swego krzesła Caroline. - Dobrze wiesz, że chciała jak najlepiej. - Na jej łagodnej twarzy malowała się troska, ale słowa brzmiały twardo i stanowczo.

Nieomal przez całe życie Caroline starała się łagodzić zmienne nastroje Laurel, ale dziś wysiłki dziewczyny, by zaprowadzić pokój w rodzinie, wywołały w jej kuzynce wyłącznie gniew i zniecierpliwienie. Caroline, mimo swego łagodnego głosu i nieporadnych prób bronięcia matki, nie była głupia. Wiedziała, co oznacza brak pieniędzy w kasetce i z jej pochmurnego, pełnego niepokoju spojrzenia Laurel wyczytała, że jest tym przerażona równie mocno, jak ona sama. Chciała zażądać od kuzynki, żeby poszła wreszcie po rozum do głowy i przestała wybaczać to, co jest niewybaczalne. Zdusiła w sobie jednak tę pokusę.

- Musisz zwrócić ten portret, to wszystko - powiedziała stanowczo do ciotki.

Małe oczy Sophie Sinclair rozszerzyły się z niepokoju.

- Nie mogę tego zrobić! Jest prawie skończony... Właśnie dziś rano pokazałam go radzie kościoła Świętego Michała - mimo oburzenia na jej ustach pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. - Nie wyobrażacie sobie nawet, jak bardzo byli zaskoczeni. Przeznaczili na ten obraz przepiękne miejsce w kruchcie. Zawisnie tam jako pamiątka po moim drogim mężu, na znak jego oddania dla wyznawanej wiary. - Zamrugła oczyma i zmarszczywszy czoło, powróciła do poprzedniego tematu: - To, co proponujesz, jest absolutnie nie do przyjęcia, moja droga - zakończyła, potrząsając głową tak silnie, że aż zadzwonił wiszący na jej szyi podwójny łańcuch. - Po prostu nie może być o tym mowy.

Na chwilę Laurel odebrało głos. Nie była w stanie nawet złapać tchu. Caroline rozumiała uczucia kuzynki i próbowała jakoś ratować sytuację.

- Laurie, moja droga...

- Nie nazywaj mnie „drogą” - warknęła Laurel. Wiedziała, że Caroline patrzy na nią z wyrzutem, wstrząśnięta jej słowami, ale była zbyt rozgoryczona, żeby się tym przejmować. Ani na moment nie spuszczając wzroku z Sophie, powoli podniosła się z miejsca.

- Wydałaś nasze ostatnie pięćdziesiąt dolarów - wysyczała - na portret wuja Jonasa po to, by powiesić go w kościelnym przedsionku?

Ciotka Sophie zamrugła oczyma i także poderwała się z krzesła.

- Uważałam to za swój obowiązek - odparła z godnością.

Nowa fala gniewu zalała serce Laurel, czyniąc ją niezdolną do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Dopiero po chwili gwałtownie przeszła przez pokój, odwracając się plecami do obu kobiet, wpatrujących się w nią z niepokojem.

Przez otwarte okno dobiegał turkot przejeżdżających ulicą powozów i świergot ptaków. Gdzieś w oddali praczka, rozwieszając na sznurze uprane prześcieradła, śpiewała rzewną murzyńską pieśń, której słowa zagłuszało chwilami jazgotliwe szczekanie psa. Jednakże wewnątrz ubogiego saloniku na rogu Lamboll Street panowała całkowita cisza, jakby nie tylko ludzie, ale i wszystkie sprzęty zastygły w niemym oczekiwaniu.

Nieznany artysta, któremu zlecono unieśmiertelnienie wuja Jonasa, przez co stał się powodem obecnych kłopotów trzech kobiet, zobaczywszy tę scenkę, zatytułowałby ją z pewnością „Portretem trzech ptaków”. Sophie przypominała małą, pulchną przepiórkę. Miała czterdzieści lat, ale wciąż myślała o sobie jako o szesnastoletniej panience, znanej w Charlestonie pięknosci, której każda zachcianka musiała zostać natychmiast spełniona. Przeżyła wojnę, wdowieństwo i ubóstwo, ale szła przez życie tak, jakby odmawiała przyjęcia tych wszystkich wydarzeń do wiadomości. Caroline natomiast podobna była do nieładnego, wylękłego, brązowego czyżyka, który z niepokojem wodził bez przerwy wzrokiem po matce i kuzynce. Laurel natomiast ze swą ściągniętą,

bladą twarzą i płonącymi gniewem oczyma przypominała w tym momencie głodnego jastrzębia.

Czarny, żałobny ubiór pasował do Laurel jeszcze mniej niż do pozostałych kobiet - być może dlatego, iż rozpacz i żal były z gruntu obce jej pełnej życia naturze. Niespokojnego ducha widziało się we wszystkim, co robiła, poczynając od sposobu, w jaki się poruszała, a kończąc na tym, jak mówiła. Zupełnie nie przypominała opanowanej, chłodnej damy, nie było w niej także nawet krzty nieśmiałości czy niepewności. Stateczna czerń żałobnego ubioru nadawała jej nader dziwny u osoby w tym wieku, surowy, władczy wygląd.

Czerń wyostrzała jej kształty, które w innym stroju wydawały się bardzo kobiece. Czyniło to Laurel jeszcze szczuplejszą i wyższą, niż była w istocie. Przy żałobnej czerni sukienki jej blada cera zdawała się całkiem biała, a mające zwykle ciepły, szary kolor oczy robiły wrażenie stalowoszarych i zamglonych. Największym atutem jej urody były gęste kasztanowe włosy, Laurel jednak nigdy nie miała czasu ani ochoty, by zajmować się eksponowaniem ich piękna i nosiła je ściągnięte w ciasny kok z tyłu głowy, zwykle ukryty pod czarnym czepkiem. Nie należała do kobiet pięknych i była tego całkowicie świadoma, ale zupełnie się tym nie kłopotowała. Miała inne, większe zmartwienia niż przejmowanie się brakiem urody.

Liczyła sobie dwadzieścia trzy lata i przez większość tego czasu chodziła w żałobie - najpierw po matce, która zmarła, kiedy dziewczyna miała sześć lat, potem po Johnnym Laughtonie, który przez trzy tygodnie był jej mężem i rozstał się z tym światem już dawno temu, a teraz po wuju Jonasie, który zginął przed rokiem podczas cyklonu. Laurel nie zastanawiała się nad spadającymi na nią nieszczęściami - życie i śmierć stanowiły dla niej zjawiska tak naturalne, że nigdy nie roztrząsała ich przyczyn i skutków. Jediną rzeczą, do której nie umiała przywyknąć, była spoczywająca na niej, z roku na rok coraz większa, odpowiedzialność.

Od końca wojny, czyli nieomal od tak dawna, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią, mieszkała razem z ciotką Sophie i wujem Jonaszem. Ich córka, kuzynka Caroline, była miłą, choć chorowitą dziewczyną. Jeśli chodzi o praktyczną stronę życia, należała do osób równie bezradnych jak jej matka. Wuj Jonas zaś, który od końca wojny nie przepracował uczciwie ani jednego dnia, taktem i urokiem osobistym starał się wynagrodzić powierzonym jego opiece kobietom swoją nieumiejętność zarabiania pieniędzy.

W tych warunkach Laurel musiała bardzo szybko dorosnąć. Kiedy do drzwi bez przerwy pukali domagający się spłaty długów wierzyciele, tylko ona jedna potrafiła sobie z nimi poradzić. Gdy wuj Jonas wracał do domu późno w nocy po suto zakrapianej kolacji, to jej powierzano położenie go spać, tak by swym zachowaniem nie zakłócał spokoju pozostałych, kruchych i wrażliwych kobiet. Nikt prócz Laurel nie umiał rozegrać się w domowych rachunkach i ilekroć ciotce Sophie zdarzało się popełnić jakieś głupstwo, to właśnie Laurel zawsze znajdowała sposób, by naprawić sytuację.

Laurel była jednak już ogromnie zmęczona ciągłym rozwiązywaniem licznych problemów i podejmowaniem decyzji. Czyż życie nie mogło być nieco łatwiejsze?

- Być może... - odezwała się z wahaniem Caroline - jeśli wszystkie trzy dobrze się nad tym zastanowimy...

- Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie - stwierdziła nadąsanym tonem ciotka Sophie. - Człowiek tak wspaniały, jak mój Jonas, zasługuje chyba na pamiątkowy portret...

- Och, uciszcie się obie! - nakazała ostro Laurel, przyciskając dłonie do skroni. - Muszę pomyśleć.

Ale wszystko, co przychodziło jej do głowy, to unieśmiertelniony na olejnym wizerunku za ich ostatnie pieniądze wuj Jonas, którego portret zawisnąć miał w kościele Świętego Michała... A przecież Jonas tak rzadko uczestniczył w niedzielnych mszach, jedyne zaś naprawdę szczęśliwe chwile

swego życia spędził w należącym do panny Elsie Crismon Palace. Kiedy o tym myślała, sama nie wiedziała: śmiać się czy płakać.

Minęła dobra chwila, nim Caroline zebrała się na odwagę, by przemówić ponownie.

- Może gdybyśmy poszły do banku... - zaproponowała nieśmiało. Ale Laurel nawet na nią nie spojrzała.

- Bank mógłby nam pomóc jedynie wtedy, gdybyśmy go obrabowały.

- Och, mój Boże! - zawołała najwyraźniej zgorszona ciotka Sophie, rozkładając wachlarz i wymachując nim gniewnie. - Jak możesz mówić takie rzeczy! - ze wzburzeniem pokręciła głową, prostując się na wąskim krześle. - Zupełnie nie wiem, skąd wy, młode dziewczęta, macie tak złe maniery. I to mimo całej mojej ciężkiej pracy...

Laurel nie słuchała jej. Oparła głowę o framugę okna i zatoneła w myślach. Jeśli w ogóle życie zdołało nauczyć ją czegoś, tym czymś było przekonanie, że nie ma problemu nie do rozwiązania. Wszystko więc, co musi zrobić, to znaleźć owo rozwiązanie.

Caroline wstała z miejsca i przeszła przez pokój, lekko utykając na lewą nogę, od dzieciństwa bowiem była ułomna.

- Proszę, nie gniewaj się na mamę - powtórzyła miękko, kładąc dłoń na ramieniu kuzynki. - Wiesz, że nic nie może na to poradzić.

Laurel spojrzała na nią gniewnie, ale na widok szczerego spojrzenia dziewczyny złość stopniała w niej w jednej chwili. Małą, wąską twarz Caroline otaczały gęste, jasnobrązowe włosy, a w jej ogromnych oczach malowało się błaganie. Patrząc na tę twarz, niewielu ludzi potrafiłoby czegokolwiek odmówić tej dziewczynie, a Laurel nie należała pod tym względem do wyjątków.

Westchnęła ciężko.

- Nie gniewam się - powiedziała, a na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka. W obecności Caroline Laurel zawsze zaczynała wstydzić się swego dalekiego od doskonałości charakteru i wybuchów gniewu. - Ale, mówiąc

szczerze, wolałabym, żebyś nie udawała przez cały czas takiej świętej. Jesteś niemal równie nieznośna, jak ona.

Caroline uśmiechnęła się i uśmiech ten rozpromienił całą twarz, czyniąc ją niemal piękną.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda - odparła, ściskając ramię kuzynki. - Czasami jestem na nią tak wściekła, że mogłabym ją udusić. Ale nie wolno nam dawać jej tego do zrozumienia, chyba się ze mną zgodzisz?

Po raz kolejny Laurel wpadła w rozdrażnienie na myśl o tym, że Caroline tak bardzo czuje się w obowiązku bronić Sophie, która w jej opinii dałaby sobie radę nawet z całą armią. Po chwili jednak to oddanie dla matki i dobra wola kuzynki wywołały w niej rozbawienie.

- Przypuszczam, że masz rację - zgodziła się z uśmiechem. Caroline poufałym gestem uściskała kuzynkę, na moment przytulając policzek do jej twarzy.

- Nie martw się, moja droga. Wiem, że jakoś damy sobie radę. Wszystkie razem na pewno zdołamy coś wymyślić.

Te słowa pocieszenia wcale jednak nie podniosły Laurel na duchu - wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej ją zasmuciły. Ponownie utkwiała w oknie ponure spojrzenie.

Bosonogi czarny chłopak turlał wąską, ocienioną drzewami aleją stare koło od wozu. Towarzyszył mu czarnobiały hałaśliwy spaniel. Na przeznaczonym dla powozów placu po drugiej strone ulicy zatrzymał się wóz mleczarza. Stary woźnica zaczął powoli gramolić się z kozła, cofnął się jednak gwałtownie, kiedy tuż obok przejechała pędem zaprzężona w czwórkę koni lśniaca bryczka. Laurel dostrzegła kolorowe kapelusze siedzących w niej kobiet, a do jej uszu dobiegł ich beztroski śmiech. Popatrzyła niechętnie na pasażerki powozu, a jej niechęć przeistoczyła się w pogardę, kiedy zauważyła, że te kobiety są podopiecznymi panny Elsie. Pomyślała, że świat się chyba kończy, skoro dziewczęta tej profesji mają czelność przemierzać miasto w kolorowych,

zdobnych piórami kapeluszach i nowych sukniach, podczas gdy przyzwoici ludzie, nawet stojąc przed widmem głodu, przeznaczają ostatni grosz na kościół.

Nagle zamarła bez ruchu. Do głowy przyszedł jej pewien pomysł. Z cichym okrzykiem odsunęła się od kuzynki.

- Laurie, co ci jest? - zapytała zaniepokojona Caroline. Nie traciła czasu, by cokolwiek jej wyjaśniać.

- Właśnie o czymś pomyślałam - odparła z błyskiem w oczach.

Sięgnęła po wiszący przy drzwiach kapelusz i wyszła z domu, w pośpiechu przeskakując po dwa stopnie schodów i ukazując przy tym wprost nieprzyzwoicie duży rąbek halki.

Gdyby ktoś go o to zapytał, Hugh Casom z hotelu „Charleston” mógł z czystym sumieniem oświadczyć, że dżentelmen zajmujący pokój 110 jest wzorowym gościem. Pełniący obowiązki recepcjonisty, Hugh był źródłem większości plotek krążących po Charlestonie. Czerpał nieomal taką samą przyjemność z obserwacji ludzi, co z mówienia o nich. Ale jedyne spostrzeżenie, jakie poczynił na temat mężczyzny wynajmującego pokój 110, było to, że jego zachowanie nie budziło najmniejszych zastrzeżeń.

Prawdę mówiąc, gość ów nie należał do osób zbyt towarzyskich, a przy tym zachowywał się tak powściągliwie, że trudno było powiedzieć cokolwiek o jego charakterze. Codziennie płacił z góry za następną dobę, nie dając żadnych podstaw, by się na niego skarżyć.

Większość czasu spędzał samotnie w swoim pokoju, wychodząc jedynie do fryzjera, który go golił, oraz na zakupy. Posiłki jadał w hotelowej restauracji, gdzie zawsze wybierał osobny stolik. Musiał mieć jednak sporo pieniędzy, ponieważ zamawiał najlepsze i najkosztowniejsze dania. Nigdy nie sprowadzał kobiet ani nie zamawiał do pokoju whisky, nie zdarzało się też, by zakładał nogi na stół. Jako hotelowy gość był więc wprost idealny i Hugh sam dobrze nie wiedział, cóż takiego niepokoiło go w tym człowieku.

Być może niepokój ów wynikał po prostu stąd, że w ciągu trzynastu lat pracy w hotelu „Charleston” nigdy nie zetknął się z kimś, kto tak bardzo nie pasowałby do tego miejsca. Charleston był miastem portowym i dużym ośrodkiem handlowym, w związku z czym zawsze odwiedzało go wielu cudzoziemców. Ale człowiek z pokoju 110 nie był obcokrajowcem. Był po prostu... kimś niezwykłym.

Miał ładną twarz; sądząc z ciemnej cery i szorstkich dłoni, chyba dużo przebywał na świeżym powietrzu. Jego maniery były nienagane, ale akcent, z jakim mówił, nie wskazywał, by miało się do czynienia z kimś szczególnie dystyngowanym. W jego ruchach było przy tym coś takiego, co świadczyło, iż drzemie w nim na poły stłumiony instynkt człowieka ulicy. No i te jego oczy... Uważne, wyczekujące i zimne, o twardym spojrzeniu. Rzadko widywało się podobne oczy u mieszkańców miast tak spokojnych jak Charleston, a już na pewno ich właściciele nie bywali gośćmi ekskluzywnych hoteli. Im więcej Hugh o tym rozmyślał, tym bardziej nieznajomy wydawał mu się podejrzany. Tak, podejrzany - to właśnie powiedziałby każdemu, kto by go zapytał o mieszkańca pokoju 110.

Recepcjonista stał na schodach przed wejściem do hotelu, bezmyślnie dłubiąc w zębach i ciesząc się porannym słońcem. Ukłonił się przechodzącej ulicą wdowie Laughton i poczuł się nieco urażony, gdy nie odpowiedziała na jego pozdrowienie. Już miał się do niej odezwać, ale wydawała się być tak zajęta swoimi myślami, że uznał, iż chłodne skinięcie głową w zupełności wystarczy. Szczególnie że znajdowała się już na rogu ulicy, a on przecież nie miał zamiaru jej gonić. Wzruszył ramionami i na powrót zagłębił się w rozmyślaniach na temat tajemniczego gościa z pokoju 110. Niespodziewanie słońce przesłonił mu jakiś cień. Podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą te same oczy, o których tak intensywnie myślał. Wyprostował się odruchowo, wyjmując z ust wykałaczkę i nerwowo poprawiając węzeł krawata. Szeroki, uniżony

uśmiech świadczył o tym, że czuje się niezręcznie. Sama obecność tego człowieka wywoływała w nim dziwny niepokój.

- Dzień dobry, panie Tait. Wychodzi pan przejść się trochę po mieście?

- Być może - Seth Tait omiół spojrzeniem ulicę, tak jak czynił to zawsze, ilekroć opuszczał hotel.

Początkowo Hugh'a ciekawiło, czego ów nieznajomy może wypatrywać, w końcu jednak zorientował się, że nie wypatruje on niczego. Po prostu, rozgląda się. Ów nawyk także go niepokoił.

- Cóż, w takim razie życzę panu miłego dnia - powiedział Hugh z może nieco przesadnym entuzjazmem.

Chciał jak najszybciej rozstać się z tym człowiekiem, choć nie potrafiłby powiedzieć, czemu tak się działo. Po prostu ilekroć spotykał Seta Taita, miał ochotę znaleźć się od niego jak najdalej. Tait jednak niczego nie robił w pośpiechu. Zawsze wychodził z hotelu dopiero po chwili, milczący, wyprostowany i zamyślony.

Zachowuje się jak Indianin - pomyślał niespodziewanie recepcjonista, chociaż prócz starego Joe Williamsa, który upiwszy się twierdził, że jest pół-Czirokezem, a na trzeźwo upierał się, że pochodzi z plemienia Kri, nigdy nie spotkał żadnego Indianina.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zaproponował szybko, choć włos jeżył mu się na głowie. Postanowił jednak opanować strach, który uważał za uczucie niegodne mężczyzny. - Życzy pan sobie konia albo powóz? A może dorożkę?

Seth Tait powoli obrócił się ku Hughowi, recepcjonista zaś poczuł, że ponownie ogarnia go strach.

- Niewykluczone, że może mi pan pomóc - powiedział gość beznamietnym głosem. - Szukam kobiety.

Hugh zamrugał oczyma i z trudem przełknął ślinę. Nie dlatego, że czuł się zaskoczony, ale z powodu ulgi. W końcu w prośbie nieznajomego nie było nic

dziwnego, choć może o tej porze dnia wydawała się nieco nieprzyzwoita. Człowiek, który potrafi bez skrępowania mówić o tak przyziemnych potrzebach, nie może być szczególnie groźny.

- Cóż, mamy tu parę miejsc... - zaczął Hugh odchrząknawszy. Czuł się teraz znacznie pewniej i spokojniej. - Polecałbym panu lokal panny Elsie. Znajduje się tuż za rogiem. Oczywiście, jest jeszcze dość wcześnie, ale...

Przez twarz nieznanego przebiegł cień rozbawienia.

- Dobrze wiedzieć, ale w tej chwili chodzi mi o pewną konkretną kobietę.

- Ach tak? - Hugh popatrzył na niego z ciekawością.

- Nazywa się Laurie Sinclair. Zna ją pan? Tym razem zdumienie Hugh nie miało granic.

- Ma pan na myśli wdowę Laughton? - zapytał. Tait nie odpowiedział na to pytanie.

Recepcjonistą miały sprzeczne uczucia. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, że powinien wyjawić temu człowiekowi wszystko, czego chciał się dowiedzieć, ale po chwili przypomniał sobie o zasadach, jakich nauczono go w dzieciństwie, a raczej jakie wyssał z mlekiem matki: dżentelmen z Południa powinien przede wszystkim chronić kobietę. To drugie uczucie zwyciężyło i nad górną wargą Hugh'a pojawiły się kropelki potu, kiedy zbierał się na odwagę, by wytrzymać martwe spojrzenie Taita.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, sir - zaczął, z trudem dobywając głosu z zaciśniętego gardła - jakąż to sprawę ma pan do tej damy?

Wyraz twarzy gościa nie zmienił się ani na jotę.

- Mamy wspólnych znajomych. Prosił mnie, bym przekazał jej pewną wiadomość.

Hugh bardzo chciał w to uwierzyć. To bowiem tłumaczyło, po co Tait przyjechał do miasta, a także jakiego rodzaju jest człowiekiem (skoro miał wspólnych znajomych z Sinclairami, był poza wszelkimi podejrzeniami).

Wyjaśniało również, dlaczego ów mężczyzna dopytuje się o młodą panią Laughton. Oczywiście, pozostawały pewne niejasności: czemu zwlekał z szukaniem jej aż tak długo, dlaczego znał jedynie jej panięskie nazwisko i nie wiedział, gdzie mieszka, a także po co zatrzymywał się w hotelu, skoro mieszkańcy Charlestonu słynęli z niebywalej gościnności. Nawet całkowicie obcy człowiek mógł liczyć tu na gościnę, a cóż dopiero mówić o osobie polecanej przez wspólnych znajomych. Hugh nie chciał jednak zagłębiać się w te sprawy. Bardzo pragnął wierzyć w wyjaśnienie Taita. Na nowo ogarnęło go uczucie ulgi, a na twarz wypłynął mu ciepły uśmiech.

- Powinien pan od tego zacząć, panie Tait. Osoba, o którą panu chodzi, mieszka przy Lamboll Street. To mały żółty domek gdzieś w połowie ulicy, na pewno go pan rozpozna. Jego mieszkanki bardzo ucieszą się z pańskiej wizyty. Zupełnie nikt ich ostatnimi czasy nie odwiedza. Prawdę mówiąc - dodał - pani Laughton przechodziła tędy niespełna minutę temu.

Rozglądał się chwilę po ulicy, póki nie zobaczył znajomej, ubranej na czarno postaci, która zatrzymała się właśnie przed zakładem krawieckim.

- To właśnie ona. Tam, przed zakładem panny Mason. Jeśli się pan pośpieszy, jeszcze ją pan dogoni.

Wzrok Taita powędrował we wskazanym kierunku.

- Dziękuję - powiedział krótko, schodząc po schodach.

Hugh oparł się o balustradę. Teraz, kiedy nieznajomy odszedł, czuł się o wiele swobodniej. Myślał o Laurel Sinclair, zastanawiając się nad tym, czemu Tait nie wspomniał ani słowem o pani Sophii i pannie Caroline. Wydało mu się to dziwne. Miał jednak nadzieję, że postąpił właściwie.

Laurel Sinclair, no, no - pomyślał, wchodząc z powrotem do hotelu. Gdyby teraz ktoś go o nią zapytał, miałby o czym opowiadać.

Mimo że na ulicy panował tłok, Seth nie miał żadnych kłopotów z rozpoznaniem tej kobiety wśród innych ludzi. Spowita od stóp do głów w czerń była jedyną wyglądającą na wdowę osobą przed zakładem panny Mason. Tait

przeszedł przez ulicę, zastanawiając się, w jaki sposób ma ją zaczepić. Okazało się, że niepotrzebnie, ponieważ zanim się do niej zbliżył, kobieta już odeszła. Nieśpiesznie ruszył w ślad za nią.

Szedł leniwie, ze znudzonym wyrazem twarzy, ale jego umysł pracował gorączkowo. Laurel Sinclair Laughton była wdową i z tego, co mówił recepcjonista, kobietą powszechnie szanowaną. W jego oczach zamigotały iskierki zainteresowania.

Niewiele mógł o niej powiedzieć, widział ją bowiem jedynie z daleka i w dodatku odwróconą tyłem, przyspieszył więc kroku, by znaleźć się nieco bliżej. Zastanawiał się właśnie, w jaki sposób ją wyprzedzić, żeby móc zerknąć na jej twarz, kiedy kobieta niespodziewanie uczyniła coś dziwnego: zatrzymała się, niespokojnie rozejrzała na boki, po czym raptownie skręciła w boczną uliczkę. Seth uznał, że warto pójść za nią jeszcze kawałek.

Jak na mieszkańca Charlestonu Laurel Laughton poruszała się bardzo szybko - w tym mieście życie toczyło się raczej powolnym, leniwym rytmem. Dotyczyło to zarówno bzyjących w powietrzu muszek czy lekkich podmuchów oceanicznej bryzy, jak i stukotu końskich kopyt na ulicach. Mieszkańcy miasta nawet mówili wolno i spokojnie, z dziwnym akcentem.

Być może winę za to ponosił tutejszy klimat. Seth nigdy nie zetknął z takim ciężkim wilgotnym powietrzem, jakie unosiło się nad ziemią i podobne do mgły wsiąkało w ubrania. Był to ten rodzaj upału, który z trudem wytrzymywał: osłabiający zmysły, pozbawiający energii i apetytu. Seth nie potrafił zrozumieć, jak ktoś w ogóle może mieszkać na stałe w takim miejscu.

Nikt tu nikogo do niczego nie przynaglał, nikt się donikąd nie śpieszył. W świecie, z którego pochodził Seth, taka powolność oznaczałaby ryzyko utraty życia.

Za każdym razem, kiedy opuszczał hotel, odruchowo sięgał po pas z rewolwerami i dopiero po chwili odkładał go z powrotem. Od czasu, gdy

skończył dwanaście lat, nie zdarzało mu się iść dokądkolwiek bez broni i teraz czuł się bez niej tak, jakby był nagi.

Lecz to miejsce różniło się od tych, do których przywykł. Nastąpiły też inne czasy, a i on był teraz zupełnie innym człowiekiem.

Peach Brady nie pamiętał pierwszych pięciu lat swego życia. Pułkownik Ike powiedział mu, że znaleziono go wędrującego przez pustynię nie opodal obozu osadników, którzy padli ofiarą masakry dokonanej przez Indian. Chłopiec miał wtedy niewiele ponad trzy lata. Przez następne dwa nie odezwał się do nikogo ani słowem. Pułkownik nazwał go Peachem, ponieważ pokrywający głowę chłopca puszek, przypominał mu rosnące w Georgii brzoskwinie. Nazwisko Brady nadał mu natomiast na cześć człowieka, którego podziwiał za zrobione w czasie wojny fotografie.

Pierwszym wspomnieniem Peacha był przejrzysty błękitny dzień i czerwona od maków łąka, na której pasł się dorodny wałach. Chłopiec popatrzył wówczas na pułkownika i roześmiał się. Tak zaczęło się jego życie.

Na początku był jedynie on i Pułkownik. Później dołączyli chłopcy Bartowa i Red English. Przez pięć dobrych lat wspólnie ujeżdżali konie i podróżowali po kraju. A potem Jim Bartow zginął od kuli w Cheyenne, a jego brat Kale został zlinczowany, kiedy próbował zemścić się na szeryfie, który zastrzelił Jima. Matt Bartow nigdy już nie doszedł do siebie po tym ciosie. Zimą nabawił się w górach Sierra gorączki i pewnej nocy zmarł. Red udał się w swoją stronę i, jak powiadano, zginął w strzelaninie, która wywiązała się po grze w pokera w Miles City. I tak Peach na powrót został tylko z Pułkownikiem. Czasy zmieniały się wówczas zresztą bardzo szybko - za szybko, jak na ich gust.

Pat Garret dołączył do Billy'ego Kida. Youngerowie i Jamesowie - wszyscy oni odeszli bądź właśnie odchodzili. Kraj zaczynała opasywać płatanina drutów telegraficznych i szyn kolejowych. W miejscach, gdzie jeszcze niedawno pasły się bawoły, teraz wyrastały budynki szkolne i kościoły. W

takich czasach ludzie także się zmieniali. Pułkownik był na tyle mądry, by to zauważyć, nawet jeśli Peach niczego nie dostrzegał.

Przez dziesięć lat chłopiec żył opowiadany przy obozowym ognisku historiami z dawnych dni, wspomnieniami przygód i snami, jakie mu się wówczas śniły. Szczególnie jeden z nich powracał do niego wyjątkowo często. Dotyczył on Pułkownika Ike'a i Augustusa Sinclaira oraz szaleńczych czasów wojny i gorączki złota.

- Gus był dla mnie jak brat - opowiadał Pułkownik. - Wojna wiąże ze sobą ludzi w jakiś szczególny sposób. Troszczyliśmy się o siebie nawzajem. Jego żona i malutka córeczka były mi równie drogie, jak jemu. August był zamożnym człowiekiem: właścicielem plantacji pod Charlestonem. Chinatree, tak nazywało się to miejsce. Jeśli chodzi o mnie, byłem tylko biednym parobkiem z Mount Pleasant, ale mimo to Gus i ja bardzo się ze sobą przyjaźniliśmy. Jankesi przedarli się aż pod Charleston i wtedy obaj zostaliśmy oddzieleni od naszego regimentu. Stało się to podczas wsiadania do pociągu. To był cud, synu, prawdziwy cud.

Seth wrócił myślami do teraźniejszości. Dziwny uśmiech wykrzywił mu twarz, kiedy patrzył na ubraną we wdowią czerń kobietę, wślizgującą się przez tylną furtkę budynku, którego przeznaczenie we wszystkich miastach było takie samo.

Seth nie miał kłopotów z rozpoznaniem tego domu, przede wszystkim dlatego, iż prezentował się on znacznie lepiej od pozostałych budynków stojących przy tej ulicy: był świeżo pomalowany, wzniesiony z solidnej cegły i miał wypolerowane mosiężne klamki u drzwi. Wysokie ogrodzenie gwarantowało lokatorom ochronę ich życia prywatnego, którego dodatkowo strzegły także zamknięte okiennice, dawno już pootwierane we wszystkich szanujących się domach. Najwidoczniej tutaj nikt nie spodziewał się porannych gości. Seta nurtowało pytanie, co kobieta taka jak Laurel Sinclair mogła robić w podobnym miejscu.

Stał przez chwilę rozglądając się uważnie. Jedną z rzeczy, jakich nauczył go Pułkownik, było to, że nie należy robić niczego zbyt pośpiesznie. W końcu dostrzegł to, czego szukał: czarnego mężczyznę siedzącego na skraju chodnika i ponurym wzrokiem przyglądającego się porannemu ruchowi na ulicy.

- Masz ochotę zarobić pięć dolarów? - zapytał Seth, podchodząc do niego.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy dobrze urodzeni ludzie w Charlestonie rozmawiali o Laurel Sinclair Laughton, zwykle towarzyszyło temu kręcenie głowami i przeciągłe, bolesne westchnienia. Wyrażano w ten sposób dezaprobatę wobec faktu, że nigdy nie było wiadomo, co robi ta kobieta. Jej rodzina należała do starej gwardii, od początku osadnictwa związanej z Południem, która przeżyła tu wojnę secesyjną, odbudowę z powojennych zniszczeń i inne nieszczęścia, ale zawsze nosiła głowę wysoko i nigdy nie postępowała niegodnie. Szczęście nieraz odwracało się od tych ludzi: tracili synów, ich córki bywały zmuszone do poślubiania ludzi niższych stanów, Jankesi wdzierali się do ich salonów, ale zasady, którymi kierowali się ludzie z najlepszego towarzystwa Charlestonu, pozostawały nie zmienione. Granica, jaka dzieliła ich od reszty świata, była wyraźna i sztywna jak zawsze. Laurel Sinclair zbliżała się czasem niebezpiecznie blisko do tej granicy, ale jak dotąd nigdy jej nie przekroczyła. Ze względu na nazwisko wiele jej wybaczano - była w końcu jedną z nich, stara gwardia zaś postępowała wobec swoich członków lojalnie.

Jej matka, z domu Beaulieu, pochodziła z Nowego Orleanu. Powiadano, iż jej rodzina była spokrewniona z samym cesarzem Napoleonem. Ojciec natomiast należał do bohaterów Konfederacji, a jego rodzina - włączając w to Jonasa Sinclaira, ciotkę Sophie i Caroline - wywodziła się w prostej linii od pierwszych osadników, którzy budowali Charleston.

Trzy lata wcześniej Laurel zrobiła dobrą partię, wychodząc za mąż za Johnny'ego Laughtona z Columbii. Miasto odetchnęło z ulgą, kiedy po ślubie, w wigilię Bożego Narodzenia, wyjechała wraz z mężem do innego hrabstwa. Wróciła jednak trzy tygodnie później, tuż po tym, gdy jej małżonek zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się w Nowy Rok. Szeptano, że to jego matka zażądała, by Laurel natychmiast po pogrzebie wróciła do rodzinnego domu. Delikatna i krucha jak wszyscy Laughtonowie, nie wytrzymywała ponoć nerwowo towarzystwa synowej. Większość dam Charlestonu całkowicie podzielała jej zdanie.

Lista wykroczeń Laurel była bardzo długa. Sama robiła codziennie zakupy na rynku, zamiast, jak przystało damie, posyłać po nie służącą. W dodatku głośno targowała się o ceny. Tańczyła polkę tak żywo, że aż oblewała się rumieńcem, a jej zachowanie wobec Petera Bartona było wprost zawstydzające. Nie to, żeby robiła coś niemoralnego, ale ciągle absorbowanie go swoją osobą i odciąganie od panien na wydaniu w czasach, gdy tak bardzo brakowało mężczyzn, stanowiło zbrodnię nie do wybaczenia.

Najbardziej niepokojącą rzeczą była oczywiście jej działalność w Domu Weterana, gdzie spędzała trzy popołudnia każdego tygodnia i gdzie, jak powiadano, nie tylko bez rumieńca wstydu wysłuchiwała soczystych męskich opowieści, ale także grywała w karty! Było to tak bulwersujące, że sprawę tę omawiano nawet w Ladies Memorial Society. Żywiółowa dyskusja przerodziłaby się zapewne w straszliwą awanturę, gdyby nie Caroline, która nieśmiałym, drżącym głosem zapewniła, iż jej kuzynka chciała jedynie wyrazić w ten sposób szacunek i podziw dla wspaniałych bohaterów Konfederacji i że należałoby raczej podziękować Laurel za wspaniałomyślność, a nie ją potępiać. Niemal wszystkie kobiety w mieście przeżyły wszak śmierć ojców, braci lub mężów, a weterani wojenni ożywiali przecież pamięć o nich.

Caroline nie widziała także nic złego w grze w karty. Uważała, że wstydzić powinny się raczej kobiety, którym brakowało odwagi, by odrzucić

konwenanse i zrobić coś dobrego dla bohaterskich żołnierzy. Spotkanie skończyło się łzami i licznymi samooskarżeniami. W efekcie Dom Weterana co tydzień odwiedzała teraz grupa statecznych dam z bukietami świeżych kwiatów i koszami owoców. Weterani żalowali tej zamiany i uważali całe zamieszanie za zupełnie niepotrzebne, znacznie bardziej woleli bowiem towarzystwo energicznej pani Laughton.

Nieświadoma ich uczuć, Laurel stała teraz, kręcąc się nerwowo w salonie panny Elsie. Wizyta w tym domu mogła okazać się dla niej bardzo opłacalna, pod warunkiem że nikt nie dowie się, iż tu przyszła. Miejscowe damy wybaczyły jej tańczenie polki, ale wątpiła, by nawet Caroline potrafiła obronić ją przed powszechnym potępieniem, gdyby wyszły na jaw jej poranne odwiedziny w miejscu o tak złej reputacji. To właśnie dlatego tak ostrożnie wślizgnęła się tu tylnym wejściem, dwukrotnie upewniwszy się wcześniej, że nikt z przechodniów tego nie zauważył. Czekając teraz na pannę Elsie, czuła jednocześnie zabobonny lęk, niepewność oraz trudną do poskromienia ciekawość, zupełnie naturalną w tych okolicznościach.

Sądziła, że w miejscu takim jak to, interesy prowadzi się nocą, zatem rano będzie tu pusto. Z ulgą stwierdziła, że miała rację. W gruncie rzeczy, ku swemu zaskoczeniu i rozczarowaniu odkryła, że wewnątrz tego domu nie różni się aż tak bardzo od innych domów w Charlestonie, wyjąwszy może to, że urządzono je z nieco większym przepychem.

Ani na suficie, ani na ścianach nie było na przykład luster, okien zaś wcale nie zasłaniały szkarłatne, aksamitne story, a z sufitu nie zwisały kryształowe kandelabry. Jediną przyciągającą wzrok rzeczą był portret trzech rozebranych do pasa kobiet, ale Laurel nie dopatrzyła się w tym obrazie niczego nieprzyzwoitego i nie bardzo wiedziała, po co w ogóle go tu powieszono.

Ściany zdobiła złota lamperia, a podłogę przykrywał piękny perski dywan. W pomieszczeniu tłoczyły się kanapy, fotele i małe stoliczki, ale długi czas Laurel nie potrafiła orzec, co tutaj świadczyło, iż jest to miejsce rozpusty,

dopóki jej wzrok nie powędrował ku wiodącym na górę, krętym schodom, na których poręczy wisiały rzucone niedbale jedwabne pończochy. Zarumieniła się na myśl o tym, w jakich okolicznościach schody zyskały tę oryginalną dekorację.

Laurel ledwie zresztą potrafiła sobie wyobrazić, jakie to niemoralne rzeczy działy się pod tym dachem ani też jakiego rodzaju kobiety zatrudniano tu, by spełniały męskie zachcianki. Nie uważała jednak tego, co tu się działo, za oburzające i była tylko w szczególny sposób zaintrygowana.

Czy wszystkie mieszkanki tego domu nosiły jedwabną bieliznę? - zastanawiała się. - I czy perfumowały się między piersiami, pod kolanami oraz w innych, podobnie intymnych miejscach? I co za mężczyźni tutaj przychodzili? Czy byli to czyiś mężowie i ludzie interesu, tacy jak wuj Jonas, czy też raczej ordynarni, brodaci marynarze o brudnych paznokciach i zepsutych zębach?

Jej wzrok znowu powędrował ku schodom. Jakież to tajemnice kryło w sobie górne piętro tego domu? Niezupełnie świadoma tego, co robi, zbliżyła się do balustrady i dotknęła palcem jedwabnych pończoch. Wiedziała, iż powinna natychmiast opuścić to miejsce, zanim ktoś ją zobaczy. Przecież na górze mogli znajdować się jacyś mężczyźni! Cóż uczyni, gdy natknie się na któregoś z nich? Albo na jedną z tych wymalowanych, półnagich kobiet? Zadrżała na myśl o tej ewentualności. A przecież nieraz ostrzegano ją, że jej ciekawość źle się skończy. Powinna bezzwłocznie wynieść się stąd, dziękując Bogu, że jak dotąd na nikogo się tutaj jeszcze nie natknęła. Po co w ogóle uległa pokusie, by tu przyjść?

Niespodziewanie usłyszała za plecami jakiś hałas i zdała sobie sprawę, że jest już za późno na ucieczkę.

Odwróciła się gwałtownie i stanęła oko w oko z niskim, krępym mężczyzną o łysej czaszce i płaskim nosie. Człowiek ów miał na sobie spłowiałą starą marynarkę i podtrzymywane czerwonymi szelkami, wygniecione, pasiaste spodnie. Niemal połowę jego twarzy przesłaniały siwe bokobrody.

- Co pani tutaj robi? - zapytał, drapiąc się jednocześnie pod pachą.

- Ja... drzwi były otwarte, więc... - wyjąkała Laurel.

Mężczyzna zmrużył oczy i obrzucił ją takim spojrzeniem, że przebiegły ją ciarki.

- Nie potrzebujemy ludzi do pracy - powiedział z pogardą w głosie. Laurel zachnęła się, urażona.

- Zapewniam pana, że nie przyszedłam tu, by szukać pracy - oświadczyła wyniosłym, lodowatym tonem. - Mam interes do panny Elsie.

Mężczyzna jeszcze raz popatrzył na nią nieufnie, po czym wzruszył ramionami.

- Jest tam - powiedział, wskazując kciukiem hol i znajdujące się po drugiej stronie na wpół otwarte drzwi, po czym wyszedł.

Kiedy zniknął jej z oczu, Laurel odetchnęła z ulgą. Serce waliło jej jak młotem.

Uciekaj - podpowiadał zdrowy rozsądek. - Uciekaj, póki jeszcze możesz.

I naprawdę miała na to ochotę. W tym, co robiła, nie było nic podniecającego ani ciekawego. Czuli się upokorzona, przerażona i okropnie zmieszana. Najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, to zapomnieć o wcześniejszych planach i co sił w nogach pobiec do domu.

Ale Laurel miała dwie bardzo silne cechy charakteru: upór i desperacką wprost niechęć do słuchania tego, co podpowiadał zdrowy rozsądek. Minęła hol i po chwili wahania zapukała do drzwi wskazanych przez mężczyznę.

W chwilę później idący w ślad za Laurel Seth wszedł do środka tymi samymi drzwiami z tyłu domu. W przeciwieństwie do niej znał podobne miejsca, dlatego też bez niczyjej pomocy odnalazł drogę do frontowych pokoi.

Jak we wszystkich tego typu przybytkach, unosił się tu lekki zapach perfum. Ciemny i chłodny hol był pusty i dopiero gdy Seth podszedł do drzwi frontowych, drogę zagroził mu niski, wyglądający na rozżłoszczonego mężczyzna w czerwonych szelkach.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - warknął, choć jego zły nastrój zdawał się wynikać bardziej z porannego niewyspania niż z jakiegokolwiek innej przyczyny.

- Czy to, u licha, jakiś hotel? Chyba będę musiał zamykać na noc tylne drzwi, żeby nie kręciła mi się tutaj taka hołota. Wynoś się pan stąd!

- Wyciągnął rękę i chwycił Seta za poły płaszcza.

Dłoń Seta łagodnym gestem powędrowała ku górze i dopóki nie spojrzało się w jego oczy, nikt nie domyśliłby się, że szykował się do ataku. Wykidajło panny Elsie napotkał jednak jego spojrzenie i zamarł w bezruchu. Widział w życiu dostatecznie wiele, by umieć właściwie oceniać ludzi - gdyby było inaczej, dawno już straciłby pracę. W oczach nieznajomego dostrzegł coś, co świadczyło, iż jest to człowiek, który wie, jak zabijać. Nie znaczyło to, że kiedykolwiek to zrobił, ale po prostu, że byłby do tego zdolny. Podobnego wyrazu oczu nie dało się w żaden sposób ukryć. Lon Porter pracował dla panny Elsie od dwudziestu lat i był z tego bardzo dumny. Widywał już nieraz podobny wzrok i dobrze pamiętał, że nigdy nie wynikało z tego nic dobrego. Natychmiast opuścił rękę.

- Nie otwieramy przed trzecią, proszę pana - powiedział ostrożnie.

- Proszę przyjść później.

Seth sięgnął do kieszeni i podał mężczyźnie srebrnego dolara.

Nienawidził szastania pieniędzmi w ten sposób, ale czasem przekupstwo dawało lepsze efekty od straszenia.

- Czy macie tu dziewczynę imieniem Laurel? - zapytał.

Lon popatrzył na srebrną monetę i powoli obrócił ją w dłoni, nie starając się nawet ukryć przed Sethem swojej nieufności. Ponieważ jednak był człowiekiem praktycznym, szybko podjął decyzję.

- Mamy Dolly i Lilly. Którą z nich mam obudzić dla pana?

Seth zrozumiał, że jego zabiegi spełzną na niczym i żałował, że w ogóle je wszczynał. Znajdował się w najelegantszym domu publicznym w Charlestonie i tracił czas na szukanie jakiejś kobiety w żałobie. Upłynęło już wiele czasu od

chwili, gdy po raz ostatni przebywał w miejscu pachnącym równie elegancko, jak to. Miał w kieszeni pieniądze i wiedział, że na górze śpią dwie dziewczyny o imionach Dolly i Lilly. Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, nakazałby temu niskiemu człowiekowi w czerwonych szelkach, by obudził je obie. Miał już zamiar to uczynić - nigdy dotąd nie miał całego domu publicznego wyłącznie dla siebie - powstrzymał się jednak. Nie czuł się w nastroju, by folgować swoim zachciankom. I na pewno w takim nastroju nie będzie, póki nie załatwi spraw z Laurel Sinclair.

- Nazywają ją Sinclair. Albo Laughton - powiedział ze zniecierpliwieniem. - To wdowa. Ktoś mi powiedział, że weszła tutaj.

Lon popatrzył na niego ze zdumieniem i zmarszczył brwi. Skinieniem głowy wskazał drzwi frontowego pokoju.

- Jest tam - burknął.

Seth podziękował mu i ruszył we wskazanym kierunku, zatrzymał się jednak jeszcze na chwilę.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i poczęstował mnie filiżanką czarnej kawy, kiedy będę czekał? - zapytał przez ramię.

Lon zawahał się. Na usta cisnęło mu się tysiące pytań, ale nie ośmielił się zadać żadnego z nich.

- Za chwilę ją panu podam - mruknął, odchodząc w głąb holu.

Elsie Kettle nie miała aż tylu lat, na ile wyglądała, ani też nie była kobietą tak młodą, jak udawała. Miała przyklejony pieprzyk na policzku, wytuszowane rzęsy i pomalowane karminową szminką usta. Słomianożółty kolor włosów zawdzięczała rozjaśniającemu płynowi, którego używała raz na dwa tygodnie, ale ukryte pod warstwą osypującego się na jej biust pudru zmarszczki były już jej własne i Elsie zapracowała na każdą z nich solidnie. Lubiła mówić, że nic w życiu nie jest już w stanie zadziwić jej lub zaskoczyć.

Zupełnie nie była jednak przygotowana na to, że tego pogodnego czerwcowego poranka, podniósłszy wzrok znad swoich ksiąg rachunkowych,

znajdzie się oko w oko z wdową Laughton. Zdumiało ją to do tego stopnia, że wypuściła z dłoni pióro, które zostawiło na papierze wielkiego kleksa. Zakłęła głośno.

- Boże wszechmogący, dziewczyno, cóż ty, u diabła, tutaj robisz? Zobacz, co się przez ciebie stało!

- Ja... - Laurel znowu zaczęła się jąkać - ...ten pan powiedział, że mogę... Pukałam, ale pani nie... - umilkła, czując się jak skończony głupiec. Była tak zmieszana, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Pod wieloma względami panna Elsie wyglądała dokładnie tak, jak Laurel wyobrażała sobie grzeszną kobietę. Jej głos był gruby i ochryply, a śmiech ordynarny i rubaszny. Twarz miała wymalowaną i upudrowaną w sposób wręcz groteskowy, a jej słomianożółte włosy, które przy samej skórze były zresztą zupełnie ciemne, upięła na czubku głowy w idiotyczny kok z loków. Nosiła taftową suknię w krzykliwe żółto-czarne pasy, z dekoltem zbyt głębokim, talią zbyt wąską, i ze zbyt krótkimi rękawami, jak dla kogoś w jej wieku. Kiedy Laurel zdołała się już opanować, z satysfakcją spostrzegła, że kobieta ma na nogach czarne jedwabne pończochy. Nie zdziwiło jej to.

Tym, co wprawiło ją w zdumienie, był natomiast fakt, że właścicielka najpopularniejszego burdelu w Charlestonie przesiaduje w tak obskurnym, pozbawionym okien biurze, bezskutecznie próbując zetrzeć atramentową plamę, którą jej pióro zostawiło na kartach księgi rachunkowej. To, co robiła, było tak banalne, że Laurel poczuła nagle zupełnie irracjonalne rozczarowanie.

Panna Elsie dała w końcu spokój księdze rachunkowej i ze zniecierpliwieniem popatrzyła na swego gościa.

- No i co tak stoisz z otwartą gębą, dziewczyno? Czego chcesz?

Laurel wyprostowała się i starając się, by jej głos zabrzmiał grzecznie i swobodnie, odparła:

- Przyszłam, by omówić z panią pewien interes. Karminowe usta panny Elsie rozciągnęły się w uśmiechu.

- Czy rzeczywiście? - zapytała, wspierając policzek na dłoni i z uwagą przyglądając się ubranej w czerń kobiecie.

- Owszem - skinęła głową Laurel. - Widzi pani...

- Jesteś siostrzenicą Jonasa Sinclaira, prawda? - przerwała jej panna Elsie. Laurel poczuła, że robi jej się słabo, szybko jednak opanowała się.

- Tak. W gruncie rzeczy to właśnie dlatego postanowiłam się z panią zobaczyć. Widzi pani...

Panna Elsie zachichotała.

- Naprawdę lubiłam tego starego rozpustnika. Żałuję, że umarł. Tęsknimy tu za nim.

Wbrew swojej woli Laurel poczerwieniała. Wyobraziła sobie nagle, co ciotka Sophie pomyślałaby o tej rozmowie, albo, co gorsza, jak zareagowałaby na nią Caroline, i cała odwaga opuściła ją. Skoro jednak zabrnęła tak daleko, nie miała innego wyjścia, jak tylko ciągnąć to dalej.

- Panno Elsie... - zaczęła raz jeszcze stanowczym głosem.

Mimo to gospodyni tego przybytku ponownie jej przerwała. Jej głos stał się poważny i urzędowy, ale nie nieuprzejmy. Ponownie zerknęła na leżące przed nią księgi rachunkowe.

- Powiem ci coś. Przez pamięć dla tego staruszka i wszystkiego, co nas łączyło. Oszczędzi to nam obu mnóstwo czasu. Nie jesteś pierwszą dziewczyną z dobrej rodziny, która puka do moich drzwi. W ciągu ostatnich lat było ich tu już wiele. Spadłabyś z krzesła, gdybym wymieniła ci ich nazwiska. Niektórych było mi naprawdę żal. To zawstydzające, jak szybko damy gotowe są stracić swą reputację, kiedy nie mają już do stracenia nic innego. Ale ja nie zatrudniłam żadnej z nich. I nigdy tego nie zrobię. Dama zawsze jest damą, podobnie jak dziwka dziwką. Organizując kiermasze na cele dobroczynne i przesiadując przy herbatce, nigdy nie będzie się wiedziało, czego oczekują od kobiety mężczyźni, którzy tutaj przychodzą. Czy zastanawiałaś się kiedyś, czemu wasi mężowie nas odwiedzają? A teraz najlepiej będzie, jak wrócisz do domu, zanim ktokolwiek

zobaczy cię tutaj. Jeśli będziesz się tu kręcić w tym przerażającym, czarnym stroju, wystraszysz mi wszystkich klientów.

Laurel słuchała tych słów z narastającym oburzeniem i wściekłością. Gniewnie zrobiła kilka kroków i pochyliwszy się, uderzyła pięścią w rozłożone przed panną Elsie papiery. Jej oczy pałały złością. Co innego, gdy ktoś wziął ją przypadkowo za szukającą pracy dziewczynę lekkich obyczajów, a potem przeprosił, dostrzegłszy pomyłkę, a co innego, gdy ta kobieta, wiedząc, z Mm ma do czynienia, ośmielała się wysunąć przypuszczenie, iż Laurel mogłaby szukać pracy w burdelu! Tego było już za wiele!

- A teraz to pani mnie wysłucha - oświadczyła ostro, przerywając potok słów panny Elsie. - Nie przyszłam prosić o pracę, ani też, by wysłuchiwać mętnego wyводу, kto ma, a kto nie ma szans na zatrudnienie w pani... „przedsiębiorstwie”. A już na pewno nie przybyłam tu po to, żeby mnie obrażano! Jestem tu, aby... - wzięła głęboki oddech, po czym dokończyła: - aby upomnieć się o zwrot długu.

Panna Elsie uniosła w górę cienkie, starannie wyskubane brwi.

- Naprawdę?

- Naprawdę - Laurel zdjęła rękę z leżących na biurku papierów i wyprostowała się, starając się przybrać jak najbardziej godną postawę. Założyła ręce przed sobą i usiłowała nadać swemu głosowi brzmienie, jakie Caroline uznawała za ton odpowiedni dla damy. - Z pewnością pamięta pani - powiedziała spokojnie - że jakieś pięć lat temu, kiedy rozzłoszczone kobiety z miasta wdarły się tu i zniszczyły pani lokal, mój wuj był na tyle wspaniałomyślny, iż pożyczył pani sto dolarów na remont. Proszę teraz panią o zwrot tych pieniędzy.

Na twarzy panny Elsie malowała się zarówno irytacja, jak i niedowierzanie oraz rozbawienie. Roześmiała się, uderzając dłońmi w kolana.

- Boże! Dziewczyno! Ty chyba bez zmrużenia oka powędrowałabyś nawet do piekła. Przyszłaś tutaj, aby jak gdyby nigdy nic żądać ode mnie

wypłacenia ci stu dolarów! Tak, bez wątpienia, płynie w tobie ta sama krew, co w starym Jonasie. On również zawsze potrafił rozśmieszyć mnie do łez!

Na twarz Laurel wypełził gorący rumieniec. Zacisnęła dłonie.

- Zapewniam, że nie ma w tym nic śmiesznego - powiedziała oschle.

- Nie chciałabym do niczego pani zmuszać, chyba że nie będę miała innego wyboru. Muszę odzyskać te pieniądze.

Panna Elsie zachichotała, postukując piórem w blat biurka i z rozbawieniem potrząsnęła głową.

- Spłaciłam ten dług już dawno temu, skarbie - odparła ze spokojem.

- A teraz wynoś się stąd, zanim stracę panowanie nad sobą! Mam jeszcze dużo pracy! - krzyknęła.

Laurel powinna spodziewać się takiej właśnie reakcji, ale mimo to nie była na nią przygotowana. Przez chwilę czuła się tak zaskoczona, że wprost nie mogła zebrać myśli.

- To niemożliwe - odrzekła ostro. - Wiedziałam o każdym cencie, jaki wydawał lub dostawał mój wuj w ciągu ostatnich dziesięciu lat i...

- Nigdy nie słyszałaś o spłacaniu długów w naturze? - przerwała jej pogardliwie panna Elsie.

Przez chwilę Laurel nie miała pojęcia, o co jej chodziło. Kiedy w końcu zrozumiała, zabrakło jej tchu. Stała jak skamieniała, niezdolna do najlżejszego ruchu. To była jej jedyna nadzieja. Najostatniejsza z ostatnich szans. A wszystkim, co zyskała, był tylko pogardliwy śmiech i wulgarne aluzje...

Zacisnęła dłonie, starając się, by panna Elsie nie usłyszała drżenia w jej głosie.

- Nie obchodzą mnie pani nie udokumentowane niczym rozliczenia z klientami. Wiem tylko, że mój wuj pożyczył pani sto dolarów w gotówce i jestem tu po to, by domagać się zwrotu tych pieniędzy. Także w gotówce. Niecierpliwość malująca się na twarzy panny Elsie nadal walczyła z rozbawieniem.

- A co zrobisz, jeśli nie zapłacę? Wezwiesz policję? - Pokręciła głową i ponownie zagłębiła się w swoich księgach. - Nie mam czasu zajmować się takimi głupstwami, skarbie. Idź już - poleciła.

Laurel ogarnęła dzika furia. A więc po tych wszystkich upokorzeniach, po pogardzie, z jaką potraktował ją ten wieprzowaty mężczyzna, gdy wskazywał pokój, po cierpliwym znoszeniu śmiechu i obraźliwych słów panny Elsie, miała się dać stąd wyrzucić jak niesforne dziecko?! Ta myśl była nie do zniesienia.

W ciągu swego życia Laurel nauczyła się godzić z wieloma niedostatkami i znosić rozczarowania, ale nigdy nie nauczyła się rezygnować z czegoś, co raz wbiła sobie do głowy. A teraz było już za późno, by się tego uczyć.

Wyprostowała się i podeszła do stojącej naprzeciwko biurka panny Elsie kanapy i usiadła na niej z gracją. Starannie rozprostowała na kolanach fałdy sukni, przywołując na twarz uśmiech.

- Nie wyjdę stąd tak szybko - oświadczyła. - Nie mam dziś nic ważnego do roboty. Być może spędzę tu całe popołudnie... a niewykluczone, że także noc.

Panna Elsie powoli uniosła głowę. Jej oczy zmieniły się w wąskie szparki.

- Żywię tylko nadzieję - dodała Laurel z niewinnym uśmiechem - że nie wystraszę zbyt wielu pani klientów, mam bowiem zamiar witać każdego z nich osobiście, przekazując naturalnie jednocześnie pozdrowienia dla ich drogich żon.

Panna Elsie gwałtownie wypuściła z ręki pióro. Na jej twarzy nie było już rozbawienia.

- Powinnaś być już na tyle dorosła, dziewczyno - oświadczyła zimno - by zapomnieć o tych wszystkich historiach na temat starych dziwek o złotych sercach, których się pewnie wiele w życiu nasłuchałaś. Moje serce w każdym razie jest z kamienia, nie ze złota. Jeśli w ciągu pięciu sekund nie uciekniesz stąd, furkocząc swymi pięknymi halkami, wezwę mojego człowieka, by wyrzucił cię siłą!

- Och, mój Boże - westchnęła Laurel, spokojnie wachlując się czarnymi koronkowymi rękawiczkami. - Lepiej niech pani tego nie robi. Nie sądzę, by Ladies Temperance League zareagowała przychylnie na wieść o tym, że jedna z jej członkiń została przemocą wyrzucona za drzwi, kiedy usiłowała zanieść słowo boże do gniazda rozpusty. Wiera przecież, że nie chce mieć pani kłopotów z tą organizacją.

Przez długą chwilę obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Wyraz twarzy panny Elsie pozostawał twardy i nieugięty, natomiast oczy Laurel patrzyły słodko i niewinnie. W końcu napięte rysy starszej kobiety złagodniały, a jej usta wykrzywił lekki uśmiech. Rozparła się wygodnie na krześle i w zamyśleniu, uważnie popatrzyła na swego gościa.

- Masz niezłą głowę do interesów, mała damo - oświadczyła po chwili. Laurel poczuła nowy przypływ nadziei.

- Prawdę mówiąc, spotkałam w życiu niewiele kobiet, które miałyby taki talent - dodała panna Elsie. - Naprawdę znasz się na tym.

- Co za szczęście więc, że nigdy nie interesowało mnie prowadzenie „przedsiębiorstwa” takiego jak to, którym pani kieruje - odparła zimno Laurel. - Stanowiłabym groźną konkurencję.

Panna Elsie zachichotała. Jej śmiech podniósł Laurel na duchu.

- Słyszałam, że grywasz w pokera.

To oświadczenie wprawiło Laurel w zdumienie, starała się jednak tego nie okazać.

- To prawda - przyznała.

- Cóż, ja też - stwierdziła panna Elsie, podnosząc się zza biurka. -

Niektórzy twierdzą nawet, że znakomicie sobie z tym radzę. I sądzę, że zdołamy się dogadać, ponieważ... - przechyliła się nad biurkiem i ponownie się uśmiechnęła - przejrzałam cię.

Laurel nawet nie mrugnęła okiem.

- Tak, tak, panienko - ciągnęła Elsie. - Potrafię poradzić sobie z Temperance League dzięki pewnemu urzędnikowi, który jest nie tylko moim przyjacielem, ale także naszym stałym klientem. Połowa pracowników policji również ma u mnie dług wdzięczności. Sądzę więc, że umiem przezwyciężyć wszystkie trudności, które mogą mi sprawiać członkinie twojej organizacji. Jak ci się zresztą wydaje, czemu już od tak dawna zostawiły mnie w spokoju? Poza tym - uniosła w górę palec - nie przypuszczam, by zaszkodził mi specjalnie fakt, iż przywitasz się z paroma moimi gośćmi. Tyle tylko, iż nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcesz, żeby opowiedzieli wszystkim w mieście, gdzie wspaniała pani Laurel Sinclair spędza wieczory. Z nas dwóch ty na pewno masz do stracenia więcej niż ja.

Jeszcze przez chwilę obie kobiety mierzyły się lodowatym spojrzeniem. W końcu, z malującą się na twarzy dumą czterech pokoleń Sinclairów i Beaulieu'ów, Laurel wstała i z wysoko podniesioną głową opuściła biuro panny Elsie.

ROZDZIAŁ 3

Oparty o framugę Seth, popijając kawę, z zainteresowaniem przysłuchiwał się dobiegającej zza drzwi rozmowie. Zdawał sobie sprawę, że wobec tego wszystkiego, czego dowiedział się o Laurel Laughton, będąc dżentelmenem, powinien udać się do jej domu i tam na nią poczekać. Prawdę mówiąc, była to jedyna przyzwoita rzecz, jaką wypadało mu uczynić. Ale Seth nie uważał się za dżentelmena ani za człowieka przyzwoitego. Więcej nawet, miał się za człowieka niegodziwego i wcale nie zamierzał tego zmieniać.

A poza tym zżerała go ciekawość. Niewiele rozumiał z całej tej sytuacji, a chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Przysłuchiwał się więc uważnie rozmowie

obu kobiet i kiedy Laurel Sinclair Laughton z podniesioną głową i pałającymi oczyma wyszła z biura panny Elsie, zastąpił jej drogę.

Laurel nie zdążyła się zatrzymać. Wpadła prosto na niego i połowa kawy z jego filiżanki wylała się na jej suknię. Krzyknęła przestraszona zachwiawszy się, on zaś pośpiesznie podtrzymał ją za ramię, by nie upadła.

Bezskutecznie próbując zetrzeć plamę na sukni, dziewczyna usiłowała równocześnie wyminąć nieznanego mężczyznę.

- Tak mi przykro... - wyszeptała. - Nie zauważyłam pana. Proszę mi wybaczyć...

- To była moja wina - odparł dwornie Seth, wyjmując z kieszeni chusteczkę.

Przysunął się do ściany, zagrządzając jej drogę.

Do tej pory Laurel uważała, że najgorsze ma już za sobą, dlatego też zderzenie z jednym z niemoralnych klientów panny Elsie, który oblał ją kawą, wydało jej się tylko drobną nieprzyjemnością. Jeszcze kilka chwil wcześniej myślała o spotkaniu z byłym właścicielem tego miejsca, a raczej o spotkaniu z kimkolwiek tutaj, wydawała jej się najgorszym koszmarem, ale teraz ledwie zwróciła na to uwagę. Upokorzona i wściekła, chciała jedynie jak najszybciej opuścić ten dom.

Przyjęła podaną jej chusteczkę, szybko prześlizgnąwszy się wzrokiem po ofiarodawcy, i otarła nią mokrą plamę na piersiach. Na szczęście, na ciemnym materiale ledwie było ją widać.

- Mam nadzieję, że się pani nie oparzyła - powiedział Seth. - Powiniennem być uważać, kiedy tędy szedłem...

Laurel przyszło do głowy, że nieznanemu raczej stał przy drzwiach, niż obok nich przechodził, nie była jednak w nastroju, by roztrząsać tę kwestię. Mężczyzna przyglądał się jej uważnie.

Pewnie zastanawia się, kim jestem i co tutaj robię - pomyślała.

Zdała sobie sprawę, że ów mężczyzna mógł wziąć ją za jedną z dziewcząt panny Elsie. Było to dla niej takim wstrząsem, że natychmiast odzyskała zimną krew.

- Wszystko w porządku - oświadczyła pośpiesznie, zwracając mu chusteczkę. - Nic się nie stało.

Chciała go minąć, on jednak nie pozwolił jej przejść. Zorientowała się, że jej kłopoty dopiero się zaczynają.

Powoli podniosła na niego wzrok. Mężczyzna był wysoki i przystojny, a jego opalona twarz była gładko wygolona. Laurel zawsze lubiła starannie ogolonych mężczyzn. Nieznajomy miał jasne, kręcone włosy i smukłą sportową sylwetkę. Nosił brązowy tweedowy garnitur. Dziewczyna zauważyła te wszystkie szczegóły niemal automatycznie, nie poświęcając im zbytnej uwagi. Jedyną rzeczą, jaka zaintrygowała ją w wyglądzie nieznajomego, była bijąca od niego siła i władczość, które to cechy kobieta mniej od niej śmiała mogłaby uznać wręcz za groźne i przerażające. Mimo że mężczyzna uśmiechał się uprzejmie, jego oczy pozostawały nieruchome i zimne. Wciąż nie pozwalał jej odejść.

- Proszę pozwolić mi przejść, sir - zażądała Laurel, wyniośle unosząc głowę.

- Proszę mi wybaczyć, pani Laughton - powiedział powoli, uśmiechając się szeroko - ale nie wierzę, by rzeczywiście chciała pani opuścić to miejsce tą drogą. Te drzwi prowadzą prosto na ulicę.

Laurel z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nieznajomy człowiek ma rację. Odwróciła się i szybko ruszyła ku tylnemu wejściu. Po chwili jednak zatrzymała się. Jej serce ponownie zaczęło bić niespokojnie. Czowała, że jest bliska omdlenia.

- Pan mnie zna? - wyszeptała przełkłym głosem.

Seth skinął lekko głową, wskazując na drzwi po drugiej stronie holu.

- Nie mogłem nic poradzić na to, że słyszałem pani rozmowę - odparł z lekkim zawstydzaniem. - Pozwolę sobie przy tym powiedzieć, że stoczyła pani wspaniałą walkę. Przez moment sądziłem nawet, że ją pani wygra.

Laurel nieomal straciła oddech. Jej policzki oblał gorący rumieniec. Nie dość, że doznała obrazy i upokorzenia ze strony kogoś takiego jak panna Elsie, to jeszcze ten zupełnie obcy człowiek był świadkiem jej klęski... I w dodatku śmiał z niej drwić! Wstyd i wściekłość ścisnęły jej gardło, tak że z trudem wydobywała słowa.

- To była prywatna rozmowa, sir, która zupełnie nie powinna pana obchodzić. Do widzenia. - Uniosła lekko fałdy sukni i skierowała się ku wyjściu.

- Cóż, być może ma pani rację - przyznał. - Mimo to sądzę, że mógłbym pani pomóc.

Laurel zatrzymała się gwałtownie. Wiedziała, że nie powinna tego robić, szczególnie gdy popatrzyła w oczy tego mężczyzny, ale mimo to spojrzała na niego nieco łaskawiej.

- Naprawdę? W jaki sposób?

- Co by pani powiedziała, gdybym dał pani szansę zarobienia tych pieniędzy?

Zanim zrozumiała, co nieznajomy miał na myśli, minęło aż pięć sekund, nigdy bowiem dotąd nie złożono jej takiej propozycji. W pierwszej chwili była tak zdumiona, że nie wiedziała, jak zareagować. Potem jednak jej oczy rozszerzyły się z wściekłości, nozdrza zadrżały, a ręka sama wyciągnęła się, by go uderzyć. Nieznajomy uprzedził ją jednak, zręcznie chwytając za nadgarstek.

- A więc to taka wdzięczność spotyka mnie za to, że chcę pomóc damie - powiedział z rozbawieniem, które wprowadziło Laurel w jeszcze większą wściekłość.

- Ty podły niegodziwcze! - wysyczała, próbując uwolnić rękę. - Jak śmiesz! Puść mnie natychmiast!

Mężczyzna obserwował Laurel z kamienną twarzą i nie zważając na jej słowa, nadal nie wypuszczał ze stalowego uścisku.

- Prawdę mówiąc, pani Laurel, zdarzyło mi się już w życiu dostać w twarz i przypuszczam, że zniósłbym to raz jeszcze, ale dla pani mogłoby to być nieco trudniejsze. Proszę się uspokoić i mnie wysłuchać.

- Niech pan mówi! - Laurel przestała się wyrywać, a w jej głosie nie było już oburzenia.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojej sytuacji: znajdowała się bezbronna w domu publicznym, trzymana tu przemocą przez szydzącego z niej obcego człowieka. Niespodziewanie ogarnęła ją panika. Przyjęła więc godną postawę i popatrzyła nieznanemu prosto w oczy.

- Wziął mnie pan za kogoś innego - oświadczyła dumnie, starając się, by w jej głosie brzmiał spokój, choć naprawdę wcale się tak nie czuła. - Nie jestem... - z trudem przełknęła ślinę. - Nie pracuję tutaj. I jeśli natychmiast mnie pan nie puści, zacznę krzyczeć tak głośno, że policja będzie musiała tu przyjechać niezależnie od tego, przez kogo jest przekupiona!

Mężczyzna uśmiechnął się, spoglądając na nią z rozbawieniem.

- Nie miałem zamiaru pani obrazić - odparł. - I, nie ujmując nic pani ogromnemu czarowi, sądzę, że to pani pomyliła się co do moich intencji. Istnieje więcej niż jeden sposób na zarobienie pieniędzy w miejscu takim jak to.

- O czym pan mówi? - Laurel popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Mężczyzna powoli puścił jej nadgarstek.

- Słyszałem, że grywa pani w pokera.

Laurel była tak zdumiona jego słowami, że nawet nie skorzystała z okazji, by uciec.

- I co z tego?

- Pomyślałem, że może panią zainteresować mała, przyjacielska partyjka.

To chyba nie może dziać się naprawdę - pomyślała Laurel.

Ten poranek zaczął się równie zwyczajnie, jak wszystkie inne w jej życiu. A potem nagle okazało się, że rodzina stanęła na granicy nędzy, w następstwie czego ona sama została zatrzymana w burdelu przez nieznanego człowieka, który sztychował z niej i obrażał, by w końcu wyznać, że jedyną rzeczą, której pragnie, to zagrać z nią w karty. Och, jakże chciałaby, żeby wszystko to okazało się tylko złym snem i by po przebudzeniu znalazła się z powrotem w salonie swego domu przy Lamboll Street.

Stała rozcierając nadgarstek, wciąż czując na skórze dotyk jego silnych palców. Żaden mężczyzna nie trzymał jej nigdy w ten sposób. Wiedziała, że nie wolno jej zostać tutaj ani chwili dłużej.

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, sir - odparła zimno. - Nie znam pana. - Ponownie odwróciła się, by odejść.

- Nazywam się Seth Tait - oświadczył mężczyzna, uchylając kapelusza i kłaniając się nonszalancko. - Teraz już mnie pani zna.

Uśmiech, którym ją obdarzył, był ciepły i szczerzy, choć malujące się w jego oczach wyzwanie, mogło doprowadzić do wściekłości nawet najspokojniejszą osobę pod słońcem. Nie to jednak zatrzymało Laurel. Powodem, dla którego raz jeszcze przystanęła, była panna Elsie. Usłyszawszy dobiegające z holu hałasy, właścicielka burdelu wyjrzała, żeby zobaczyć, co się dzieje, i stała teraz w drzwiach, z rozbawieniem obserwując całą scenę. Krew zawrzała w żyłach Laurel. Panna Elsie rzuciła Sethowi prowokujące spojrzenie, po czym popatrzyła na młodą wdowę w taki sposób, że Laurel miała ochotę wydrapać jej oczy: ostatnią rzeczą, jaką mogła znieść tego ranka, była litość okazywana jej przez dziwkę.

- Nie rozumiem, jak „przyjacielska partyjka” mogłaby poprawić moją sytuację, a nie mam pieniędzy na żadną poważną grę - powiedziała gniewnie, zwracając się do Taita.

- Będę szczęśliwy, mogąc wynagrodzić pani stracony przez nią czas - odparł mężczyzna.

Laurel popatrzyła na niego uważnie i cała jej udawana wyniosłość nagle wyparowała.

- Chce pan płacić... tylko za to, by zagrać ze mną w karty? Mężczyzna wytrzymał jej spojrzenie.

- Czyż nie to właśnie ludzie robią zwykle w takich miejscach? Płacą za towarzystwo kobiet, prawda?

Laurel gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Jej oburzenie nie było jednak aż tak wielkie, jak powinno, a pełne potępienia słowa, którymi należało zareagować na propozycję mężczyzny, nie chciały jej przejść przez gardło. Była zbyt zaskoczona i zaintrygowana myślą, że jakiś mężczyzna chciał jej zapłacić jedynie za to, by usiadła przy stole i zagrała z nim w karty.

- Pańskie zachowanie jest karygodne - oświadczyła w końcu, nie ruszając się jednak z miejsca, choć wiedziała, że opuszczenie tego domu stanowiło ostatnią szansę ocalenia swojej godności i reputacji.

- No cóż, pani Laughton - powiedział przytomnie nieznajomy - spotyka pani mężczyznę w domu publicznym i oczekuje od niego, by postępował jak kaznodzieja?

Za jego plecami rozległ się śmiech i Seth obrócił się ku panie Elsie, uwalniając Laurel od konieczności udzielenia odpowiedzi. Laurel cieszyła się z tego, ponieważ wszystko, co mogła powiedzieć, jedynie pogorszyłoby sytuację i pozbawiło jej ostatniej szansy powetowania sobie przykrości, jakich doznała tego ranka.

Później musiała uczciwie przyznać, że nie działała wcale pod wpływem nagłego impulsu, bez zastanowienia i w oszołomieniu, choć to na pewno stanowiłoby dla niej jakąś pociechę. Tak naprawdę przemyślała to równie starannie, jak swe wszystkie inne, pośpieszne decyzje, podejmowane pod wpływem emocji.

Być może, gdyby nie była tak wściekła i upokorzona, doszłaby do wniosku, że sprawy nie wyglądają aż tak źle. Niewykluczone, że postąpiłaby

także inaczej, gdyby nie podejrzewała, że nieznajomy mężczyzna stara się ją obrazić. I gdyby w grę nie wchodziły pieniądze. Mogła wygrać, wiedziała, że potrafi. Lata przyglądania się rozpuście, jakiej oddawał się wuj Jonas, nie poszły na marne: istniało wiele sposobów radzenia sobie z mężczyznami, o ile było się dostatecznie zdesperowanym. Umiała wygrywać i była pewna, że potrafi utrzymać nosa temu Taitowi, a przy tym da nauczkę pannie Elsie, która stała przed nią z pogardliwym uśmiechem.

- Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że zagramy w pani salonie małą partyjkę pokera, madam? - zapytał Seth.

- Za nic w świecie nie przepuściłabym okazji przyglądania się temu - zachichotała panna Elsie.

Weszła do salonu i z szuflady jednego ze stolików wyjęła nową talię kart. Wręczyła ją Sethowi, podchodząc doń na tyle blisko, by otrzeć się o niego ramieniem.

- Musi mi pan jednak dać słowo, że chodzi tylko o grę w karty. Jak już powiedziała panu ta dama, ona dla mnie nie pracuje i nie chciałabym, by tak przystojny, młody człowiek jak pan popadł przez nią w jakieś kłopoty.

- Daję pani na to moje słowo - odparł uroczyście Seth.

Jego twarz musiała jednak przybrać jakiś zabawny wyraz, ponieważ panna Elsie wybuchnęła śmiechem i musnęła palcami jego szyję.

Seth położył talię kart na środku stołu i pytająco podniósł wzrok na Laurel. Dziewczyna wahała się tylko przez chwilę, po czym przeszła przez pokój i zdejmując rękawiczki, usiadła naprzeciwko niego.

Tait przysunął sobie krzesło i także usiadł. Sięgnął do kieszeni i położył przed kobietą pięćdziesiąt dolarów w złocie.

- Oto pani pieniądze na tę grę - oświadczył.

Starając się ukryć zdumienie, Laurel przeniosła wzrok ze złotych monet na swojego przeciwnika. Sięgnęła po karty i uzgodniła zasady gry.

Mężczyzna starał się nie okazywać zdziwienia, patrząc, z jaką wprawą tasuje talię i rozdaje karty.

Seth należał do ludzi, którzy kierują się w życiu instynktem, a ten ostrzegał go teraz. To, co zaczynało się jak proste i nie wymagające zachodu zadanie, stało się nagle bardzo skomplikowane i z każdą minutą gmatwało się jeszcze bardziej. Wiedział, że ciekawość jest rzeczą bardzo niebezpieczną, o ile nie kieruje się nią właściwie i nie postępuje ostrożnie. Coś tu było nie w porządku i dopóki nie dowie się co, musi działać powoli i rozważnie.

Z chłodnym zainteresowaniem przyglądał się siedzącej naprzeciwko kobiecie. Miała zaciśnięte usta i napiętą, nerwową twarz. Była szczupłą, wręcz chuda, ale niedomogi jej figury przemyślnie skrywały fałdy sukni. Na szczęście wdowi strój nie był w stanie ukryć kształtu jej piersi i Seth przyglądał się im z satysfakcją człowieka, który od kilku już miesięcy nie miał żadnej kobiety ani nawet żadnej nie pragnął.

Nie chodziło tu o to, że Laurel Sinclair była brzydka - dawno już doszedł do wniosku, że na wschód od Missisipi nie spotykało się brzydkich kobiet. Można by ją było uznać nawet za zupełnie ładną, gdyby tylko ktoś nakłonił ją do zmiany fryzury i usunął pionową zmarszczkę, która co chwilę tworzyła się między brwiami... Kiedy szare oczy Laurel pałały złością, wydawała się nieomal piękna i Tait zaczął się zastanawiać, jak też wygląda jej twarz, kiedy rysy łagodnieją pod wpływem pocałunków... Nie, z całą pewnością nie była brzydka. Po prostu, była zupełnie inna niż kobieta, którą sobie wyobrażał.

Seth zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, przychodząc tu za nią. Nie miał jednak pojęcia, jak inaczej mógłby się dowiedzieć, ile wie ona o ojcu i Pułkowniku Ike'u, nie zdradzając przy tym rzeczy, których za wszelką cenę nie chciał ujawniać. Uświadomił sobie, że nie zna nawet ostatniego nazwiska, jakiego używał Pułkownik. Na Zachodzie rzeczy takie nie miały znaczenia, ale tutaj, w cywilizowanym świecie, stanowiły nie lada problem. Rozmowa z Laurel Sinclair Laughton byłaby znacznie prostsza, gdyby wiedział, od czego zacząć.

- Gdzie się pani nauczyła tak grać? - zapytał po chwili.

- Nauczył mnie tego mój wuj - odparła, nie podnosząc wzroku. - Któż by inny?

Seth ostrożnie położył na stole dwie karty.

- Sądziłem, że może mąż.

- Mój mąż nigdy nie grywał w pokera. - Laurel podała mu dwie karty i wymieniła także jedną ze swoich.

- A więc jest pani mężatką - stwierdził Seth.

- Jestem wdową, jak dobrze pan wie. Czy wchodzi pan do gry, sir? - zapytała.

Seth w milczeniu przesunął na środek stołu dwie pięciodolarówki.

Laurel miała beznamiętną, kamienną twarz, która z pewnością by się jej przysłużyła, gdyby dziewczyna zasiadła kiedyś do gry w jakimś saloonie. Była to jedna z wielu rzeczy, za które Seth zaczynał ją podziwiać.

- Jak pan widzi, nie mam drobnych. Ale przebijam tę stawkę i stawiam dwadzieścia pięć dolarów.

Seth uniósł brwi.

- Mam nadzieję, że traktuje pani tę grę poważnie?

- To jedyny sposób, w jaki potrafię grać.

- Wielu ludzi powiedziałoby, że to niebezpieczne przyzwyczajenie.

- Jest niebezpieczne tylko wtedy, panie Tait, kiedy się przegrywa - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Seth spuścił wzrok i zerknął na swoje karty. Laurel przyglądała mu się, próbując wyczytać coś z jego twarzy, która jednak pozostawała nieprzenikniona. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że w ukrywaniu swych uczuć ten mężczyzna może być równie dobry, jak ona sama. Czowała suchość w ustach i ściśnięty ze strachu żołądek.

Gdyby choć przez minutę zastanowiła się nad tym, co robi, z pewnością opuściłaby ją cała odwaga. Nie przypominało to w niczym pokera na zapalki ze

starymi weteranami, dla których jedyną korzyść z całej gry stanowiło towarzystwo młodej i energicznej kobiety. Nie było to również to samo, co partyjki rozgrywane z wujem Jonasem, opowiadającym jej przy okazji liczne, rozwlekłe historie ze swojej młodości. Tym razem grała w pokera na prawdziwe pieniądze - pieniądze, nie należące nawet do niej samej - w miejscu, w którym nie powinna się znajdować, i z mężczyzną, którego nie знаła. W dodatku człowiek ów wcale nie robił wrażenia dżentelmena, o czym świadczyło choćby to, że kilkakrotnie zdążył już ją obrazić. Tak, to była niebezpieczna rozgrywka, ona jednak starała się w tej chwili o tym nie myśleć. Nie miała zamiaru przegrać.

Mężczyzna zdawał się wcale nie zwracać uwagi na to, że panna Elsie usiadła mu za plecami i zaczęła pieścić dłonią jego kark. Laurel natomiast poczuła się zarówno zakłopotana, jak i poirytowana tym widokiem. Cóż to za człowiek, skoro pozwala jakiejś kobiecie okazywać tak otwarcie swoje uczucia, kiedy on siedzi naprzeciwko damy.

No cóż - pomyślała ponuro - chyba właśnie tacy ludzie stanowią klientelę domów publicznych. W końcu nie przyszedł przecież do tego gniazda rozpusty po to, by wypić filiżankę kawy.

- Ciekaw jestem, panno Laurel, czy zna pani człowieka zwanego Pułkownikiem? - zapytał po chwili, nie podnosząc wzroku znad kart.

- Znam wielu pułkowników - odparła niecierpliwie. - Pełno ich tu, w Charlestonie. Co zrobi pan teraz, panie Tait? - W jej głosie dało się słyszeć wyraźne napięcie.

Mężczyzna odliczył kilka monet.

- Cóż, to trudna decyzja - przyznał. - Z jednej strony nie lubię wygrywać kosztem kobiety, z drugiej postąpiłbym nieuczciwie, gdybym nie dał pani szansy zwrócenia mi długu. Powinienem więc chyba ułatwić pani grę. Stawiam również dwadzieścia pięć dolarów... - przesunął monety na środek stołu. - I dodaję jeszcze pięć.

Laurel poczuła w gardle gwałtowny skurcz. Jeśli wycofa się teraz, straci jedynie pieniądze, które on sam jej pożyczył, ale jeśli będzie grać dalej...

- Pułkownik, o którym mówię, używał czasem nazwiska Ike - powiedział ostrożnie Seth.

Nazwisko wydawało się Laurel znajome, była jednak zbyt pochłonięta grą, aby się nad tym zastanawiać.

- Nie, nie znam go - odparła krótko.

Zacisnęła palce na trzymany w dłoni kartach i popatrzyła na leżące na środku stołu pieniądze, dokonując w myślach pośpiesznych obliczeń. Za żadne skarby nie chciała teraz patrzeć Taitowi w oczy, dopóki nie podejmie jakiejś decyzji.

- Czemu nie mielibyśmy zaokrąglić tej sumy? - powiedziała beztrosko, dokładając do leżącej puli dwadzieścia pięć dolarów.

Popatrzyła na niego, siląc się na obojętność. On także szybko obliczał coś w głowie, pomimo że z jego ust ani na chwilę nie zniknął beztroski uśmiech.

- Cóż, nie mam nic przeciwko temu - rzekł w końcu, także dokładając do puli kilka monet. - Jeżeli pani przegra, dług będzie wynosił pięćdziesiąt dolarów.

- Ale zdobędę sto dolarów, jeśli wygram - Laurel z uśmiechem położyła karty na stole. - Ful. Właśnie to czyni tę grę tak interesującą, prawda, panie Tait?

Nie zmieniając wyrazu twarzy, mężczyzna uważnie przyglądał się jej kartom. Wzrok miał obojętny, a w kącikach ust wciąż igrał mu lekki uśmiech.

- Tego się właśnie spodziewałem - stwierdził.

Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. W oczach zamigotały mu iskiereki podziwu.

- Moje gratulacje. Myślę, że jest pani jednym z najsprytniejszych oszustów karcianych, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Laurel zabrakło tchu w piersiach. Jej twarz oblał gorący rumieniec. Przez chwilę ani jedno słowo nie chciało jej przejść przez gardło, a kiedy znowu była w stanie mówić, głos drżał tak bardzo, że ledwie można było ją zrozumieć.

- Jak pan śmie... oskarżać mnie o to... że oszukiwałam?

- Robiła to pani naprawdę świetnie - stwierdził z uznaniem mężczyzna.

Laurel odetchnęła głęboko,omal nie zachłysnąwszy się powietrzem.

Serce waliło jej jak młotem. Nie mogła powstrzymać drżenia rąk. Mimo to siłą woli opanowała się. Położyła obie dłonie na stole i popatrzyła mu w oczy.

- Pańskie oskarżenie zasługuje jedynie na pogardę i byłoby poniżej mojej godności bronić się przed nim - oświadczyła. - Od początku znał pan zasady tej gry. Zwracam panu pięćdziesiąt dolarów, które mi pan pożyczył i proszę o moją wygraną.

Mężczyzna zachichotał, patrząc na nią z coraz większym rozbawieniem.

- Muszę przyznać, że ma pani stalowe nerwy - powiedział.

Kiedy jednak gniewnym, niecierpliwym gestem Laurel sięgnęła po leżące na stole pieniądze, ostrzegawczo uniósł dłoń.

- Proszę zaczekać chwilę, jeśli nie sprawiłoby to pani kłopotu. Laurel zauważyła w oczach panny Elsie dziwny błysk. Jej żołądek ścisnął się nagle ze strachu. Seth odkrył swoje karty.

- Kareta asów - powiedział lekko. - Sądzę, że to trochę więcej niż ful. Laurel poczuła, jak jej policzki powleka śmiertelna bladość. Nerwowo splótła palce i zacisnęła usta.

- Ależ... to niemożliwe! - szepnęła.

- Powiedziałem, że jest pani jednym z najlepszych oszustów, jakich znałem - uśmiechnął się znowu Tait. - Ale mnie uczył prawdziwy mistrz.

„Czasy się zmieniają - zwykł mawiać Pułkownik - i człowiek musi się zmieniać razem z nimi". Za wszelką cenę chciał nauczyć Seta życia w cywilizowanym świecie i czynił to nawet wtedy, gdy obaj napadali na pociągi i nie rozstawali się z bronią. Pragnął, by jego podopieczny dał sobie radę w

każdych warunkach, w jakich tylko się znajdzie. Kłopot w tym, że Pułkownik znacznie lepiej uczył go innych rzeczy, a Setha nie interesowały wówczas żadne zmiany.

Lubił twarde życie. Pomimo że Pułkownik nauczył go czytać i pisać, a także wpoił mu dobre maniery, nie było w nim nic z cywilizowanego człowieka. Seth przywykł do tego, że dostawał to, czego chciał, i gotów był bronić swoich praw z taką samą determinacją, z jaką Pułkownik i Augustus Sinclair uciekali dawnymi czasy ze zrabowanym złotem.

„To, że nam się udało, było prawdziwym cudem” - powiedział kiedyś Pułkownik. Pomimo że miało to miejsce dwadzieścia lat wcześniej, ton, jakim wypowiedział te słowa, nadal rozbrzmiewał w uszach Seta. „Tak więc Gus i ja wdarliśmy się do wagonu. Obezwładniliśmy strażników i znaleźliśmy złoto. Jankeskie złoto. Zabraliśmy je, ani przez minutę nie myśląc, że robimy coś złego. Znajdowaliśmy się zaledwie dziesięć mil od Chinatree. Mieliśmy zamiar ukryć się tam u krewnych Gusa. Niestety, wysłedzili nas karabinierzy. Gus miał przy sobie złoto, starałem się więc zatrzymać pościg na tyle długo, by zdążyć uciec. I udało mi się, choć resztę wojny spędziłem w jankeskim obozie jenieckim. Gus natomiast zniknął. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że trzy tygodnie po ucieczce został zabity. Nie mógł mnie oczywiście odnaleźć, by powiedzieć, gdzie ukrył złoto. Po wojnie wróciłem do Chinatree, ale zostało ono całkowicie spalone. Rodzina Gusa przeniosła się na Południe, a Charleston nie był w tych czasach miejscem przyjaznym dla ludzi takich jak ja. Nie mogłem się tam zatrzymać na tyle długo, żeby odnaleźć złoto. Zresztą popadłem w pewne kłopoty, które zmusiły mnie do pozostania na Zachodzie. Nigdy jednak nie porzuciłem myśli, by tam wrócić. Jestem pewien, że to złoto wciąż na mnie czeka...”

Panna Elsie wybuchnęła śmiechem, przerywając wspomnienia Seta.

- Myślę, że nie masz dziś dobrego dnia, kochanie - zwróciła się do Laurel.
- Może to nauczy cię siedzenia w domu, gdzie jest twoje miejsce.

Laurel z wściekłością poderwała się od stołu i ruszyła ku wyjściu.

- Pani Sinclair.

Wbrew własnej woli Laurel obróciła się. Jej oczy pałały gniewem, a ręce zaciśnięte miała tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Seth zgarnął pieniądze ze stołu i popatrzył na nią.

- Jest mi pani winna pięćdziesiąt dolarów.

- Nie jestem panu nic winna! Pan cały czas oszukiwał!

- Nie ma mowy o oszustwie - upomniał ją rozsądnie Tait - kiedy obie strony postępują według tych samych zasad.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała Laurel wyniośle. - Wiedział pan o tym od samego początku.

Mężczyzna udawał przez chwilę głębokie zamyślenie.

- Cóż, to niedobrze. Sądzę, że musi pani wymyślić jakiś inny sposób zwrotu długu.

Tego było już za wiele. Gdyby starczyło jej odwagi, chyba naplułaby mu w twarz. Bez słowa odwróciła się w stronę drzwi. Panna Elsie ani na chwilę nie przestawała chichotać.

- Pan mi się podoba - powiedziała, a jej dłoń ponownie spoczęła na karku Seta. - Proszę wrócić tu za jakiś czas - szepnęła kusząco - a osobiście postaram się, by dobrze się pan zabawił.

- To bardzo miło z pani strony - odparł Seth, wstając i sięgając po wiszącą na oparciu krzesła kapelusz. - Tymczasem jednak... - położył na stole dwudolarową monetę. - Dziękuję, że pozwoliła nam pani skorzystać ze swojego salonu.

Ruszając ku drzwiom zauważył, że coś leży na podłodze obok krzesła Laurel. Schylił się i podniósł parę czarnych rękawiczek.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Czy rzeczywiście zwróciła pani pieniądze jej wujowi?

Panna Elsie uniosła brwi.

- Powinien pan wiedzieć, że dziwki zawsze spłacają długi - uśmiechnęła się krzywo. - Podobnie jak pokerzyści.

Seth odwzajemnił uśmiech, po czym lekko uderzając się w udo czarnymi rękawiczkami, ruszył w ślad za Laurel Sinclair.

- Proszę tu wrócić - powtórzyła zaproszenie panna Elsie.

- Może pani na mnie liczyć - rzucił przez ramię nie odwracając się.

W tym samym momencie usłyszeli kobiecy krzyk.

ROZDZIAŁ 4

Seth dotarł do tylnych drzwi akurat w chwili, aby zobaczyć znikającego za rogiem budynku mężczyznę. Jego dłoń powędrowała do biodra w poszukiwaniu broni. Zaklął głośno, przypomniawszy, że nie ma jej ze sobą. Dwoma susami zbiegł ze schodów i ujrzał Laurel Sinclair podnoszącą się na czworakach z ziemi. Urywane dźwięki, jakie wydobywały się jej z gardła, mogły być zarówno szlochem, jak i, co bardziej prawdopodobne, nieartykułowanymi okrzykami wściekłości.

Kiedy Tait chwycił ją za ramię, wyrwała mu się i broniąc się rozpaczliwie, mocno uderzyła go w kolano.

- Niech się pani uspokoi! - rozkazał, starając się unikać jej ciosów. - Nie mam zamiaru zrobić pani nic złego.

Ona jednak nie przestawała mu się wyrywać i kiedy panna Elsie ukazała się u szczytu schodów, ujrzała, że Seth dał spokój Laurel i popędził za uciekającym za róg budynku mężczyzną. Po kilku chwilach wrócił jednak sam. Domy w Charlestonie budowano tak, że żaden z nich nie przylegał frontem do ulicy. Człowiek ów mógł więc zniknąć gdzieś na jednym z czterech podwórek otaczających budynek lub nawet przeskoczyć przez ogrodzenie i wmieszać się w tłum przechodniów. W każdym razie nie zostało po nim nawet śladu.

Panna Elsie pomogła Laurel wstać, choć dziewczyna zachowywała się wobec niej równie gwałtownie, co wobec Setha. Na zmianę starała się otrzepać z kurzu swoją suknię i odepchnąć pomocną dłoń właścicielki domu publicznego, mamrocząc przy tym pod nosem soczyste przekleństwa. Była blada i drżała na całym ciele, a jej kapelusz i spódnica były zakurzone, ale mimo to z czoła nie znikła dumna pionowa zmarszczka. Wyjawszy drobne rozdarcie sukni na ramieniu oraz smugę błota na policzku, wyglądało na to, że nie odniosła żadnych obrażeń.

- Co się stało? - zapytał Seth.

Prawdę mówiąc, Laurel sama nie wiedziała. Pośpiesznie wybiegła z budynku, zbyt wściekła, by patrzeć prosto przed siebie, i nagle poczuła, że chwyta ją czyjaś dłoń. Przewróciła się, wciąż jeszcze za bardzo wstrząśnięta, by czuć lęk.

- Szłam w stronę bramy, kiedy ktoś napadł mnie od tyłu i przewrócił - odparła zdumiona tym, jak bardzo drżał jej głos.

Zmieszało ją to do tego stopnia, że zacisnęła zęby, postanawiając, iż nie powie już ani słowa więcej. Nie chciała upokarzać się przed tymi ludźmi ani okazywać słabości wobec znienawidzonej panny Elsie i aroganckiego Taita. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby rozplakała się w ich obecności...

- Przyjrzała mu się pani? - dopytywał się Seth.

- Nie. - Laurel skoncentrowała się na otrzepywaniu kurzu ze swojej sukni. Wszystko, czego pragnęła, to wrócić do domu i zapomnieć o tym okropnym poranku... Przede wszystkim jednak chciała, żeby przestały drżeć jej dłonie.

- Prawdopodobnie potknęła się o pijaka, który leżał tu od poprzedniego wieczora - mruknęła z niesmakiem panna Elsie. - Na Boga, dziewczyno, czego oczekiwałaś, wychodząc tylnymi drzwiami z burdelu? Sądzę, że śmiertelnie wystraszyłaś tego biednego sukinsyna. - Przeniosła wzrok na Setha i całkowicie zapominając o poprzedniej gościnności, dodała: - Czy mógłby pan, do licha, zabrać ją stąd, zanim narobi mi większych kłopotów? Na ile znam takie jak ona,

następną rzeczą, którą uczyni, będzie podpalenie mojego domu. - To rzekłszy, kobieta obróciła się gniewnie i z powrotem wspięła na schody.

Seth patrzył, jak zamyka drzwi, po czym przeniósł spojrzenie na Laurel. Dziewczyna poprawiła kapelusz i wygładziła suknię. Wyglądała teraz tak, jakby jedyną rzeczą, jaka się jej przytrafiła, był nieoczekiwany, silny podmuch wiatru. Tait wyjął z kieszeni jej czarne rękawiczki.

- Zapomniała pani o nich - powiedział uprzejmie.

- Dziękuję.

Głos miała spokojny i opanowany, ale jej dłonie nadal drżały bardzo mocno. Seta ogarnęło współczucie i podziw dla tej kobiety. Dał temu wyraz lekkim skinieniem głowy.

- Dziś rano przeżyła pani prawdziwe piekło, prawda?

Laurel nie przyszła do głowy żadna ostra odpowiedź. W milczeniu zakładała rękawiczki. Po chwili odetchnęła głęboko i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak - odrzekła krótko. To przyznanie się do własnej słabości przeraziło i zaniepokoiło mężczyznę, było bowiem jedyną rzeczą, której się po niej nie spodziewał i zupełnie nie wiedział, jak ma na to zareagować. Zanim jednak zdążył uczynić cokolwiek, Laurel wzięła się w garść.

- Cóż - odezwała się pogodnie - dziękuję, że chciał mi pan pomóc, panie Tait, choć niestety pojawił się pan nieco za późno. A teraz muszę już iść.

Seth odpowiedział jej uśmiechem. Ogarnęło go uczucie, jakiego nie doznawał już od bardzo długiego czasu: czysty zachwyt. Laurel Sinclair należała do kobiet, które potrafiły wzbudzić podziw mężczyzn.

- Nie ma pani zamiaru zemdleć, prawda? - upewnił się, podchodząc do niej.

- Z całą pewnością nie - odparła dumnie. - Nigdy nie mdleję.

- Nie będzie pani także płakać?

- Nigdy również nie płacę. To zawsze jedynie pogarsza sytuację.

- To dobrze, bo użyła pani mojej chusteczki, wycierając z sukni kawę, a ja nie mam drugiej.

Laurel zatrzymała się przy końcu podwórza, szybko rozejrzała po ulicy, po czym jeszcze raz odwróciła się ku Taitowi.

- Życzę panu miłego dnia - powiedziała.

- Odprowadzę panią do domu.

- To niemożliwe!

Mężczyzna ujął ją zdecydowanym gestem pod ramię, zmuszając, by szła u jego boku.

- Odprowadzę panią do domu - powtórzył.

W jego głosie brzmiał upór równie wielki, jak jej własny.

- Czy pan postradał zmysły? - Laurel próbowała mu się wyrwać, ale bez rezultatu. - Czy sądzi pan, że pozwolę, by całe miasto widziało mnie, idącą ulicą z panem pod rękę? Przecież ja pana nawet nie znam!

W jej głosie brzmiało tak szczere przerażenie, a wzrok, jakim rozejrzała się po ulicy, był tak niespokojny, że Seth nie mógł powstrzymać wesołości. Obok nich przejechał jakiś zaprzężony w muły wóz, po chwili zaś minęła ich grupa kryjących się pod parasolkami dam, które przeszły na drugą stronę ulicy, nie spojrzawszy nawet w ich kierunku.

- Proszę, panie Tait. - Kobieta popatrzyła na niego pociemniałymi z lęku oczyma. - Z pewnością rozumie pan, że nie wypada mi się pokazywać z... Jak mam to panu wytłumaczyć? W żadnym wypadku nie wolno panu mnie odprowadzać!

- Jediną rzeczą, której mi nie wolno - odrzekł beztrąsko Tait - to pozwolić, by wracała pani sama do domu po tym wszystkim, co się stało.

Laurel pragnęła przekonać go, iż jego rycerskość jest zupełnie nie na miejscu, że nie potrzebuje pomocy, ponieważ zupełnie nic się jej nie stało, a jego dżentelmeńskie zapędy mogą jej tylko zaszkodzić, czuła jednak, że mężczyzna nie zmieni decyzji. Prawdziwy dżentelmen z pewnością ustąpiłby

wobec takich argumentów, ale w oczach Taita malował się jedynie upór, nie zaś troska o nią. Dla obojga było jasne, że im dłużej będą zwlekać z opuszczeniem podwórza domu panny Elsie, tym bardziej prawdopodobne stanie się to, że zobaczy ją ktoś znajomy, a tego Laurel po prostu by nie zniosła. Nie dzisiaj.

- Och, zgoda! - powiedziała niecierpliwie, wrywając mu ramię. - Ale, na litość boską, weźmy przynajmniej dorożkę. Nie chcę, by ktokolwiek nas widział.

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Zdumiało to Laurel do tego stopnia, że zapominając o niepokoju, poczuła nowy przypływ gniewu.

- Z czego się pan śmieje? - spytała oburzona.

- Z pani - odrzekł, patrząc na nią roziskrzonym wzrokiem. - Spędziła pani dwadzieścia minut, grając ze mną w pokera w burdelu, a teraz martwi się o to, że ktoś mógłby zobaczyć panią w moim towarzystwie na ulicy, co zepsułoby jej reputację.

Laurel nie odpowiedziała na to ani słowem.

Seth znalazł zamknięty powóz o bardzo małych oknach i szybko, bez zbytecznych ceremonii pomógł jej wsiąść do środka. Laurel powiedziała woźnicy, dokąd ma jechać i z ulgą opadła na skórzane siedzenie. Westchnęła, przymykając oczy.

Niedługo jednak czuła się bezpieczna i odprężona. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją uczucie nieprzewyciężonej bezradności. Została pokonana. Właśnie tutaj, na ulicach Charlestonu, gdzie przez całe życie czuła się tak bezpiecznie, ktoś zaczął się na nią i zaatakował.

Nigdy dotąd nic takiego jej się nie przydarzyło: żaden mężczyzna nigdy nie podniósł na nią ręki i nie usiłował jej skrzywdzić. Na wspomnienie tego, co się stało, niemal ogarnęły ją mdłości. Mogła przecież zostać zabita albo... zgwałcona. Nie potrafiła tak po prostu o tym zapomnieć. Wstrząs był zbyt wielki.

- Rozmyśla pani o swoich grzechach? - usłyszała szydery głoś i gwałtownie otworzyła oczy.

Była tak pochłonięta powtórным przeżywaniem swego strachu, że zupełnie zapomniała o Taicie. Dźwięk jego głosu przywołał ją do rzeczywistości.

- Jeśli ośmiela się pan sugerować, że zasłużyłam sobie na to, co się stało...
- zaczęła gwałtownie.

- Ależ wcale tak nie myślałem. Wszyscy wiedzą przecież, że jest pani dobrze wychowaną, przyzwoitą damą...

- A pan jest bez wątpienia najgorzej wychowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam - przerwała mu, zaciskając pięści. - Gdyby istniała w panu choć połowa tej wrażliwości, jaką Bóg obdarzył niedźwiedzie, rozumiałby pan, przez co przeszłam, i okazał choć trochę uprzejmości, choć trochę...

- Współczucia? - mężczyzna wydawał się rozbawiony jej słowami. - Droga pani, widziałem, w jaki sposób potrafi pani dbać o własne interesy i muszę powiedzieć, że moje współczucie należy się raczej człowiekowi, który na panią napadł. Uciekał tak szybko, że omal nie połamiał nóg.

Laurel poczuła oblewający jej twarz rumieniec. Zmrużyła oczy, próbując wymyślić coś dostatecznie obraźliwego, aby mu odpowiedzieć, kiedy nagle uświadomiła sobie, że dzięki jego słowom przestała się czuć słaba i przerażona - ten człowiek przemienił jej strach w gniew. Popatrzyła na niego uważnie, zastanawiając się, czy uczynił to celowo.

Mężczyzna ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu. Miał tak długie nogi, że pomimo iż siedział naprzeciwko niej, jego kolano dotykało jej sukni. Laurel nigdy dotąd nie widziała u nikogo tak długich nóg. Zdjęty z głowy kapelusz podskakiwał na jego silnie umięśnionych udach. Pośpiesznie odwróciła wzrok, uznając przypatrywanie się jego nogom za nieprzyzwoite, nie była jednak w stanie powstrzymać gwałtownego bicia serca, jakie wywołało u niej przyglądanie się jego ciału.

Wyraz twarzy mężczyzny nadal pozostawał nieodgadniony, podobnie jak wtedy, kiedy grał w pokera, choć w kącikach jego ust czaił się lekki uśmiech. Jego oczy natomiast kryły w sobie jakąś tajemnicę, sprawiał przy tym wrażenie, jakby patrząc na nią, myślał o rzeczach, które nie powinny przychodzić do głowy żadnemu przyzwoitemu człowiekowi. Ale on z pewnością nie był przyzwoitym człowiekiem, uznała Laurel. W przeciwnym wypadku nie odwiedziłby przecież domu panny Elsie. Intuicja podpowiadała jej, że Tait przybył tam w innym celu niż ten, dla którego z reguły przychodzą do takich miejsc mężczyźni. Nie obchodziło jej to jednak. Czemuż miałaby dociekać motywów jego postępowania? W końcu to właśnie on był przyczyną wszystkich jej kłopotów. Następne słowa Taita potwierdziły tylko jej opinię.

- Nie mogę odgadnąć, czemu tak miła, dobrze urodzona dama jak pani, poszła żebrać o pieniądze u prostytutki - powiedział, przyglądając się Laurel uważnie.

- Nie poszłam tam żebrać - odrzekła ostro. - Chciałam odzyskać dług. Doskonale pan o tym wie - dodała szyderczo - bo podsłuchiwał pan pod drzwiami.

Tait wzruszył ramionami.

- Tak czy owak, musiało się wydarzyć coś niezwykłego, skoro posunęła się pani aż do czegoś takiego.

Laurel zacisnęła zęby i odwróciła twarz ku oknu. Powóz powoli sunął zatłoczonymi, wąskimi uliczkami, ponad którymi unosił się smród rynsztoków.

- Zmusiła mnie do tego najzwyklejsza bieda, panie Tait - odrzekła. - Ona zawsze jest najsilniejszym motywem ludzkiego działania.

- Hmm... - mruknął Seth. - Mimo wszystko istnieją chyba łatwiejsze sposoby, by sobie z nią poradzić.

- Czyżby? Może zdradzi mi pan jakiś - powiedziała zimno, nawet na niego nie patrząc.

Mężczyzna zdawał się zastanawiać nad tym przez chwilę.

- Cóż, mogła pani choćby poprosić pannę Elsie o pracę, zamiast żądać zwrotu pożyczonych przez wuja pieniędzy.

- Jest pan człowiekiem obrzydliwym i wulgarnym - wysyczała przez zaciśnięte zęby Laurel, patrząc na niego z pogardą. - Nie zostanę ani minuty dłużej w tym powozie, skoro mnie pan obraża. Proszę dać woźnicy znać, że ma się natychmiast zatrzymać.

- Nie, proszę pani, nie zrobię tego - odparł Seth z uśmiechem. - Nie może pani mnie oskarżać, że ją obrażam, skoro tylko wypowiadam na głos to, o czym sama pani myśli.

Zaskoczył ją tą odpowiedzią do tego stopnia, że gwałtownie zamknęła usta, przygryzając sobie język. Jakże mogła pozwolić sobie na zadawanie się z człowiekiem, który był gotów powiedzieć wszystko, co tylko ślina przyniosła mu na język, nie zważając na przyzwoitość i szacunek dla damy? A poza tym, co jeszcze bardziej denerwujące, miał rację w tym, co mówił. Przez chwilę, stojąc w salonie panny Elsie, zastanawiała się przecież, co by było, gdyby poprosiła ją o pracę. Wychodząc z domu tego ranka zdesperowana, zastanawiała się przecież przez króciusieńki moment, co będzie, gdy sprawy przybiorą najgorszy z możliwych obrót. A i później, przegrawszy w karty z Taitem, także rozważała spłacenie pokerowego długu samą sobą.

- Dziękuję za pańską troskę - powiedziała z taką godnością, na jaką tylko potrafiła się zdobyć - ale nie sądzę, bym potrzebowała pańskich rad.

Tait roześmiał się tak serdecznie, że Laurel zrozumiała, czemu purytanie uważali śmiech za coś grzesznego. Zadrzała i zacisnąwszy dłonie na kolanach, zapragnęła nagle, by powóz jechał znacznie szybciej. Kiedyż wreszcie skończy się ta potworna podróż?

- Wybacz pani - powiedział Seth, wciąż jeszcze chichocząc - ale myślałem o innym rodzaju pracy, niż pani sądzi. Proszę powiedzieć, jakie zajęcie byłoby dostatecznie szacowne dla wdowy w pani wieku?

Zanosiło się na to, że Laurel nie uda się uniknąć rozmowy z nim. Poza tym, ulegając złym skłonnościom, które często ściągały na nią kłopoty, miała ochotę z nim porozmawiać, choćby po to, by sprawdzić, czy potrafi powiedzieć coś, co go zaszokuje.

- Kobiety w mojej sytuacji mogą szyć, otworzyć piekarnię albo sklejać potłuczoną porcelaną, tak jak robi to moja kuzynka Caroline. Mogą też malować nędzne akwarelki, które ludzie kupują potem z litości i chowają na samym dnie szafy - odrzekła po chwili. - Niestety, ja nie zszylam w życiu prosto ani jednego szwu, a moje wypieki to same zakalce. Jestem przy tym znacznie lepsza w tłuczeniu porcelany niż w jej sklejanu. Co więcej, zupełnie nie nadawałabym się do pracy, którą mogłaby mi zaoferować panna Elsie. Byłam mężatką i to mi wystarczy. Dziękuję bardzo.

A więc coś jednak może cię zdumieć - pomyślała z satysfakcją. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi w jego oczach błysk zainteresowania, ale trwało to zbyt krótko, by mogła być tego pewna.

- Niewykluczone - powiedział spokojnie mężczyzna - że miałyby pani inny stosunek do tych spraw, gdyby przynosiły korzyści.

- Och, niech pan nie będzie naiwny, panie Tait. Każda zameżna kobieta robi to dla jakiegoś zysku.

Czuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem. Pośpiesznie utkwiała ponownie spojrzenie w oknie, zdołała jednak dostrzec w oczach mężczyzny rozbawienie. Sądziła, że potrafi go pokonać, tymczasem raz jeszcze pozwoliła mu schwytać się w pułapkę upokorzenia. Mój Boże, jakże mogła być tak głupia, żeby wsiąść razem z nim do tego powozu?!

Postanowiła oszczędzić sobie dalszego wstydu. Ten mężczyzna udowodnił już dobitnie, że nie ma rzeczy tak wulgarnej, żeby się do niej nie posunął. On jednak, kiedy przestał się już śmiać, powiedział tylko:

- Chylę przed panią czoło, pani Sinclair. Podziwiam kobiety, które potrafią mówić to, co myślą.

Z całą odwagą, na jaką tylko potrafiła się zdobyć, Laurel ponownie zwróciła twarz w jego stronę, gorąco pragnąc, by policzki przestały ją palić, a serce nie biło tak gwałtownie.

- Dziękuję - odparła. - Nie będzie więc miał mi pan za złe zdumienia, jakie wywołuje we mnie pańskie nadzwyczajne zainteresowanie moimi kłopotami finansowymi. Naprawdę uważam, że ta rozmowa powinna się skończyć.

- To, dlaczego mam powody kłopotać się pani sytuacją finansową, jest zupełnie jasne - odrzekł bez chwili wahania. - Jest mi pani winna sporo pieniędzy. Czyżby pani już o tym zapomniała?

Wnętrze powozu było bardzo ciasne i gdziekolwiek Laurel spojrzała, widziała Taita, który zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń. Powoli przesunęła wzrokiem po jego opalonych dłoniach, muskularnych, silnych udach i szerokich ramionach. Nagle zrozumiała, czemu czuła się w jego towarzystwie tak nieswojo. Pomimo jego arogancji i dziwnego wyrazu oczu oraz tego, że z całą pewnością nie zaliczał się do dżentelmenów, był najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Uznała połączenie wszystkich tych cech za wyjątkowo niebezpieczne. Nerwowo przełknęła ślinę.

- Przypuszczam, że chce pan w jakiś niemoralny sposób zmusić mnie do zwrotu długu, ponieważ przyznałam się panu, że nie mam pieniędzy - oświadczyła ostro.

- Ma pani na myśli sprzedaż swoich wdzięków? Cóż, przyznaję, że nie byłoby to złe. Szczerze mówiąc jednak, nie jestem pewien, czy pani wdzięki są warte aż pięćdziesiąt dolarów.

Laurel zamarła z otwartymi ustami, niezdolna do wydobywania głosu. Na szczęście mężczyzna nie oczekiwał od niej żadnej odpowiedzi. Powóz zakołysał się i zatrzymał. Seth otworzył drzwiczki. Ignorując wyciągniętą ku niej pomocną dłoń, Laurel wysiadła i minęła go bez słowa.

Tait zapłacił woźnicy i od niechcienia rozejrzał się dookoła. Wysoki, wąski, żółty dom nie różnił się zbyt od wielu innych w Charlestonie. Wiodła do niego żelazna furtka, a dwa obsypane kwieciami krzewy magnolii strzegły jego podwórza przed wścibstwem sąsiadów. Gdzieś na murze widoczne były szare lizaje po odpadłym tynku, ale mosiężne klamki u drzwi wypolerowano tak, że aż lśniły, a ogród wyglądał po prostu czarownie. Frontowe drzwi wychodziły wprost na ulicę, kryjąc się w cieniu przestronnej werandy, zbudowanej pod takim kątem, że siedząc na niej czuło się najłżejszy wiaterek wiejący od strony portu. Była to czysta próżność, ponieważ sąsiednie domy były zbyt wysokie i zbyt ciasno obok siebie zbudowane, by liczyć, że dotrze tu jakikolwiek powiew od morza.

Seth chwycił skrzydło furtki, którą Laurel próbowała zatrzaskać mu tuż przed nosem i uczynił to samo także z drzwiami werandy.

- Nie musi odprowadzać mnie pan aż do holu - powiedziała ponuro.

- To dla mnie żaden problem, proszę pani - odrzekł, wchodząc za nią do środka i nie dając czasu na protesty. Skoro zabrnął aż tak daleko, nic nie mogło go powstrzymać przed kolejnym krokiem.

Od czasu wspólnej podróży powozem, a może nawet wcześniej, od chwili, kiedy grali w pokera, przyczyna, dla której początkowo ruszył śladem Laurel Sinclair, zbladła i niemal zatarła się w jego pamięci. Było jasne, że Laurel żyła z rodziną na granicy ubóstwa, niemożliwe więc, by wiedziała cokolwiek o ukrytym złocie. Seth przypuszczał początkowo, że Gus zostawił pieniądze swoim bliskim i odkrycie, że tego nie zrobił, bardzo go ucieszyło.

Wszedł za Laurel do salonu i po raz pierwszy na własnej skórze odczuł, co oznacza tak często używany przez Pułkownika termin „prawdziwie dobre urodzenie”. Nie miało więc żadnego znaczenia, że dywany były spłowiałe, zasłony w oknach wypalone od słońca, na suficie widniały zagipsowane plamy odpadłego tynku, koronkowe serwetki zaś nieudolnie zakrywały blaty zniszczonych, poplamionych mebli, a purpurowo-błękitna w przeszłości narzuta

skrywała wytarte oparcie kanapy, której jedwabne obicie dowodziło niegdysiejszej zamożności tego domu.

Seth ocenił to wszystko jednym rzutem oka, ponieważ lata niebezpieczeństw uczyniły zeń wyjątkowo spostrzegawczego obserwatora. Prawdziwa atmosfera pokoju nie miała nic wspólnego z tym, co tu widział. W ciągu trzech sekund od wejścia do tego domu Tait dowiedział się więcej o Laurel Sinclair, niż gdyby rozmawiał z nią całymi godzinami.

To miejsce miało swój styl. Każdy ze znajdujących się tu przedmiotów został starannie i troskliwie wybrany, a człowiek urządzający to wnętrze musiał mieć gust, który cechuje jedynie ludzi od pokoleń otoczonych przepychem i żyjących w zbytku. Meble mogły stracić połysk, wiszące na ścianach portrety wyblaknąć, a lustra zmatowieć ze starości, ale mimo to widziało się w tym wszystkim dawną wspaniałość. Był to świat tradycji, który dla Setha stanowił coś zupełnie obcego, świat arystokracji o sięgających wieków rodowodach, którego to słowa Tait aż do tej pory nie rozumiał. Poczuł rozbawienie na myśl, że ktoś taki jak Laurel Sinclair należy do takiego miejsca, ale w gruncie rzeczy była w tym pewna logika.

Kobieta zdjęła kapelusz i rękawiczki. Seth zauważył, że jej włosy mają głęboki, ciemny, połyskliwy kolor.

- Bardzo dobrze - powiedziała niecierpliwie. - A więc odprowadził mnie pan bezpiecznie do domu. Byłabym wdzięczna, gdyby pan teraz stąd odszedł, zanim...

Było już jednak za późno. Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich melodyjny, kobiecy głos:

- Czy to ty, Laurel?

Zaraz po nim zaś zabrzmiał inny, nieco wyższy i zdyszany:

- Sama widzisz, Caro, że nie było się o co martwić. Mówiłam ci, że na pewno Laurel wkrótce wróci do domu.

Obie kobiety jednocześnie stanęły w drzwiach pokoju i zatrzymały się gwałtownie, z zaskoczeniem i zaciekawieniem patrząc na Setha. Po chwili przeniosły wzrok na Laurel. Zdumienie, jakie pojawiło się na ich twarzach, kiedy zobaczyły, jak wygląda, dorównywało zniecierpliwieniu jej samej.

Młodsza z kobiet pierwsza odzyskała zdolność ruchu.

- Moja droga, co się stało?! - wykrzyknęła i wyraźnie kulejąc, podbiegła do kuzynki. - Twoja twarz i suknia...

Starsza, otyła kobieta chwyciła się dłońmi za gardło, zawodząc jęklonie:

- Stało się coś przerażającego! Wiedziałam! Stało się coś okropnego i to wszystko moja wina...

- Nic się nie stało - uspokoiła je Laurel. - Wszystko w porządku... Ciociu, tylko nie waż się zemdleć!

- Och, Laurel, co się stało? Popatrz na siebie! Tak bardzo się martwiłam, kiedy wyszłaś z domu, a teraz...

Seth zrobił krok naprzód.

- Zapewniam panie, że nie ma się o co martwić. Pani Laughton potknęła się i upadła, ale na szczęście nie zraniła się przy tym.

Męski głos podziałał na wszystkie trzy kobiety jak sole trzeźwiące. Laurel popatrzyła na Taita przeciągle i przez krótką chwilę w jej oczach zamigotało coś jakby wdzięczność. Starsza z kobiet zdała sobie sprawę, że mają gościa i rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie, wzrok młodszej zaś był łagodnie zdumiony.

- To pan Seth Tait - przedstawiła go Laurel z wyraźną niechęcią. - Był tak miły, że odprowadził mnie do domu. Panie Tait, to moja ciotka, Sophie Sinclair, oraz kuzynka Caroline.

Seth uklonił się najpierw starszej, a potem młodszej z pań.

- Tait? - powtórzyła Sophie. - Czy znamy jakichś Taitów?

Caroline wysunęła się naprzód, a ciepły, życzliwy uśmiech rozświetlił jej nieładną twarz, czyniąc ją prawie piękną.

- Jakże to miło z pana strony, panie Tait, że zaopiekował się pan naszą drogą Laurel. Witamy w naszym domu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madam - uśmiechnął się w odpowiedzi Seth.

Sophie zmarszczyła brwi w skupieniu.

- Jestem pewna, że musimy znać jakichś Taitów.

- Nie - odrzekła ostro Laurel. - Nie znamy. Ten pan jest całkowicie obcym człowiekiem.

Zdumiona tonem kuzynki, Caroline rzuciła jej zakłopotane spojrzenie, po czym ponownie zwróciła się do Seta:

- Jest pan od niedawna w Charlestonie, panie Tait? Jak to miło. Proszę, zechce pan usiąść.

Seth przyjął zaproszenie i popatrzył na Laurel, przewrotnie zastanawiając się, jaka będzie jej reakcja. Zanim jednak napotkał jej wzrok, jego oczy zatrzymały się na czymś innym. To coś znajdowało się pośrodku małego, stojącego pod ścianą stolika i dlatego dotąd uszło jego uwagi. W kunsztownie rzeźbionej złotoczonej ramce stała fotografia, w otoczeniu miniaturowego wazonika z suszonymi kwiatkami, ręcznie malowanego wachlarza oraz dużej muszli i wyszywanego portretu pastucha z owieczkami. Zdjęcie przedstawiało jakiegoś mężczyznę oraz kobietę o łagodnych, delikatnych rysach twarzy, ubraną w falbaniastą suknię, z rodzaju tych, jakie noszono przed ćwierćwieczem.

- Panie Tait? - powtórzyła Caroline.

- Och, panie Tait, gdzież moje dobre wychowanie! - zawołała energicznie ciotka Sophie. - Proszę usiąść i opowiedzieć nam o sobie. Tak rzadko miewamy gości spoza miasta. Laurel, pobiegnij do kuchni i powiedz Lacey, żeby przyniosła trochę lemoniady.

- Dziękuję bardzo, ale nie mogę zostać - odparł Seth, odrywając wzrok od fotografii.

- Oczywiście, panie Tait - odrzekła Laurel z wyraźną ulgą. - I tak zajęłam panu mnóstwo czasu...

- Nie bądź głupia, moja droga. Musimy przecież odwdziaczyć się panu Taitowi za jego rycerskość...

Seth podszedł do małego stolika i wziął do ręki oprawione w ramkę zdjęcie. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Widzę, że podziwia pan fotografię pana Brady'ego - powiedziała miękko Caroline, stając u jego boku. - Jest wspaniała, prawda? Ciotka Iris zawsze była z niej bardzo dumna. Może tęskniła do tamtych bez troskich lat? To zdjęcie zrobiono tuż przed wojną.

Seth odstawił fotografię na miejsce.

- Jakaż przystojna para - powiedział z uśmiechem. - Kto to jest?

- Rodzice Laurel. To ich zdjęcie ślubne.

Seth poczuł na sobie wzrok Laurel, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Być może powinienem złożyć im moje wyrazy uszanowania.

- Moi rodzice nie żyją - przerwała mu gwałtownie Laurel.

- Przykro mi - powiedział Tait. - Czy dawno umarli?

Czułość, która pojawiła się na twarzy Laurel, kiedy patrzyła na fotografię, zaskoczyła Seta. W jej smutnych oczach zajaśniała nabożna cześć.

- Mój ojciec zginął jak bohater. Za sprawę, w ogniu walki - odrzekła ochryłym głosem. - Nigdy go nie znałam. Matka nie mogła otrząsnąć się z żalu po nim i umarła kilka lat później.

Caroline otoczyła kuzynkę ramieniem. Nawet Sophie umilkła, tak jakby wszystkie trzy kobiety oddawały hołd dawno już nie żyjącym krewnym.

- To straszna strata - powiedział smutno Seth po długiej chwili milczenia.

- Musi być jednak dla pani znacznym pocieszeniem to, że ojciec oddał życie za tak szlachetną sprawę - dodał, patrząc na Laurel.

Być może przesadził nieco, ponieważ młoda kobieta popatrzyła

na niego z podejrzliwym błyskiem w oczach. Jednak ciotka Sophie, ostentacyjnie ocierając oczy haftowaną chusteczką, zawołała:

- Och, sir, nie wie pan... nie może pan nawet sobie wyobrazić, jak to było. To potworne, co ci straszliwi Jankesi nam zrobili! Nasz biedny Gus został ranny na polu bitwy i męczył się jeszcze trzy dni, zanim dobry Bóg zabrał go w końcu do siebie. Ostatni list do Iris pisał już na łożu śmierci. Kiedy wreszcie przesyłka dotarła do nas, był to już głos zza grobu... - szlochając ukryła twarz w chusteczce, ale po chwili mówiła dalej:

- Oczywiście, taki sam los spotkał wielu naszych odważnych chłopców i ich rodziny.

List. Na to słowo w umyśle Setha pojawił się ostrzegawczy błysk. List pisany na łożu śmierci. Być może to w nim właśnie znajdowała się wiadomość, gdzie ukryto pieniądze. Ale nie. Gdyby Gus wspomniał cokolwiek o złocie, te kobiety nie mieszkałyby teraz w na wpół zrujnowanym domu, a Laurel nie musiałaby domagać się od właścicielki burdelu zwrotu długu zaciągniętego u jej wuja. Ale tak czy owak, Gus Sinclair żył dostatecznie długo, by wiedzieć, że umiera. Mógł więc pozostawić komuś wiadomość o skarbie.

Seth z szacunkiem pochylił głowę przed starszą kobietą, starannie ukrywając swoje myśli za maską uprzejmości.

- Musiałyście panie cierpieć straszliwie.

Sophie gorliwie pokiwała głową, tak jakby wszystkie te wydarzenia miały miejsce zaledwie kilka godzin wcześniej, a nie dziesięć lat temu.

- Posiadłość Pinckneya została doszczętnie zniszczona. Spalona do fundamentów. Liczyła już sobie ponad sto dwadzieścia lat, zanim przyszli Jankesi. Nie mieli oni za grosz szacunku dla historii ani przyzwoitości, niech mi pan wierzy! Spalili także kościół na Meeting Street oraz katolicką kaplicę...

- To nie Jankesi ją podpalili - przerwała jej Laurel. - Jacyś niewolnicy gotując strawę, zaproszyli ogień.

- Ależ to byli Jankesi! - upierała się Sophie. - Z całą pewnością Jankesi. - Zwróciła się na powrót do Setha, a na jej twarzy prócz oburzenia odmalowała się także duma. - Obleżenie Charlestonu było najdłuższym obleżeniem w czasie tej wojny. Nasze ukochane miasto broniło się bardziej bohatersko niż jakiegokolwiek inne. Wytrzymałszy aż do 1865 roku.

- Przecież nie było cię tutaj wtedy - stwierdziła Laurel ze zniecierpliwieniem. - Wyjechałaś zaraz po pożarze w roku 1861.

Seth ponownie nastawił uszu. A więc to prawda, że rodzina Augustusa była nieobecna, kiedy wrócił ze złotem na plantację. Przynajmniej ta część opowieści Pułkownika znajdowała swoje potwierdzenie. Pragnął zapytać o Chinatree, nie miał jednak po temu pretekstu. Poza tym Laurel nie dawała mu szansy, by skierować rozmowę na interesujące go tematy. Popatrzyła na niego z determinacją i ruszyła ku drzwiom.

- Doprawdy, panie Tait, nie powinien pan pozwalać, byśmy go zatrzymywały. Zrobił już pan dla nas tak wiele, że nie mamy prawa zabierać panu więcej czasu.

Zawarte w tych słowach polecenie z pewnością rozbawiłoby Setha, gdyby nie to, że ledwie je usłyszał. Był bowiem zbyt zajęty myśleniem o tym, że niewykluczone, iż istotnie nie ma tu nic, czemu warto byłoby poświęcać czas.

- Och, panie Tait, nigdy nie wybaczyłybyśmy sobie, gdybyśmy nie odwdzińczyły się panu jakoś za jego uprzejmość - powiedziała Caroline. - Proszę zjeść z nami kolację. Bardzo na to nalegamy.

Seth nawet nie popatrzył na Laurel. Uśmiechnął się do Caroline, jako że żaden mężczyzna nie mógłby powstrzymać uśmiechu na widok jej proszącego wzroku i skłonił się uprzejmie.

- Dziękuję pani. Będzie to dla mnie zaszczyt.

Skinął głową Sophie, która zdawała się być szalenie zadowolona z siebie i dopiero wtedy zerknął na Laurel. Nie interesowało go w tym momencie, co pani

Sinclair myśli lub czuje, ponieważ zbyt mocno pochłoneło go snucie własnych planów.

Pułkownik umarł o świcie. Peach Brady trzymał go w ramionach i przeklinał Boga za to, że uczynił umieranie czynnością tak długotrwałą i tak trudną. Ale przecież i życie najczęściej nie było łatwe, czemu więc ze śmiercią miałyby być inaczej?

Jak na ironię, po wszystkich tych latach niebezpiecznego życia przyczyną śmierci Pułkownika stało się ukąszenie węża. Peach robił, co mógł, by wyssać truciznę, ale następnego dnia rana zaczęła puchnąć i pojawiły się biegnące w stronę serca sine pręgi. O zachodzie słońca Pułkownik zaczął majaczyć, a Peach wiedział już, że to koniec.

Podczas wlokących się nocnych godzin wciąż dorzucał drew do ognia, próbując w ten sposób zapobiec śmiertelnym dreszczom przyjaciela. Przemywał twarz Pułkownika zmoczoną w lodowatym strumieniu chustą i zapatrzony w rozgwieżdżone niebo rozmyślał o kresie życia.

Tuż przed wschodem słońca Pułkownik poruszył się. W mrocznym, migotliwym blasku ogniska Peach dostrzegł, jak bardzo stary jest jego przyjaciel, jak poorana i pomarszczona jest jego twarz, jak siwa broda i wyblakłe oczy. Odkąd tylko sięgał pamięcią, Pułkownik wydawał mu się zawsze kimś równie ponadczasowym, jak wiatr, rzeki i dęby. Teraz patrząc, jak bardzo jest krachy, chory i słaby, poczuł strach. Starał się ukryć swoje uczucia, szczerzej otulając umierającego kocami, ale Pułkownik odtrącił jego dłoń.

- Przestań się nade mną roztkliwiać, chłopcze - powiedział gderliwie, zupełnie tak jak zawsze i przez pełen nadziei moment Peach wierzył, że przyjaciel zdołał wywinąć się śmierci. Ale już po chwili ból zatamował oddech w piersi Pułkownika i nadzieja zniknęła. Głos starego człowieka był słaby i drżący.

- Zostało mi niewiele czasu, a mam ci coś do powiedzenia.

Peach usiadł obok umierającego i na widok śmiertelnego wysiłku, jaki malował się na jego obliczu, gdy próbował mówić, poczuł w sercu ukłucie bólu.

- Nie mów nic - poprosił pośpiesznie. - Oszczędzaj siłę.

- Do diabła... To moje ciało - wycharczał Pułkownik. - Będę robił, co mi się podoba.

Peach umilkł zdjęty współczuciem. Przez chwilę wydawało się, że chory nie powie już nic więcej. Ten krótki wysiłek zupełnie go wyczerpał.

Wkrótce jednak Pułkownik ponownie otworzył oczy i popatrzył na towarzysza. Osłabienie sprawiło, że zapomniał o bólu.

- Cóż, chłopcze, zrobiliśmy razem co nieco - powiedział zmęczonym głosem. - Przypuszczam, że do końca świata będę się za to smażył w piekle.

Peach chciał coś odrzec, ale nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętej krtani.

- Największym zaś moim grzechem było to, co uczyniłem tobie. Niech Bóg ulituje się nad mą rogatą duszą - ciągnął Pułkownik. - Nikt prócz ciebie samego nie zdoła już tego naprawić, rozumiesz?

Peach nie rozumiał, ale skinął głową.

- Sprawilem, że stałeś się człowiekiem wyjętym spod prawa - dodał, marszcząc brwi. - Teraz jednak nie będziesz już musiał żyć w ten sposób. Zaczynasz życie na własny rachunek - wyszeptał ochryple. - Masz szansę stać się człowiekiem godnym szacunku. Skorzystaj z niej, dobrze?

- Dobrze. - Gardło Peacha było tak ściśnięte, że z trudem łapał oddech. - Dobrze - powtórzył.

- Takie życie jak moje to już przeszłość. Wiesz o tym, prawda?

Tym razem Peach wiedział, co Pułkownik ma na myśli. Nie pierwszy raz słyszał te słowa z ust przyjaciela. Dawne czasy odchodziły w przeszłość.

- Tak, wiem - odparł.

- Masz dobre, nie splamione niczym nazwisko. Żadne prawo nie ściga Seta Taita.

- Nie, nie ściga - przytaknął Peach, z trudem przełykając ślinę.

- I masz coś więcej. Chinatree... - znów zabrakło mu tchu. Przez chwilę ciężko zmagał się ze sobą, by mówić dalej: - Pamiętasz... co zamierzaliśmy zrobić?

Na dźwięk słowa „Chinatree” Peach zeszywniał, ale nic nie powiedział. Jak wielokrotnie w przeszłości, tak i teraz w oczach Pułkownika pojawił się błysk triumfu i determinacji.

- Ono tam jest - powiedział. - Musi być. I teraz... należy do ciebie, chłopcze. Wracaj na Wschód, wracaj do Charlestonu i znajdź... - jego głos stawał się coraz słabszy i Peach przysunął się bliżej, ostrożnie kładąc głowę Pułkownika na swoich kolanach. Ten ruch sprawił umierającemu ból.

- Zrobię to - odruchowo zapewnił go Peach. - Znajdę je.

Siwe brwi starego przyjaciela ściągnęły się, tworząc zmarszczkę na czole, a dłoń powędrowała ku ręce Peacha.

- Jedź do Charlestonu - powtórzył ochryple. - Znajdziesz je tam. Znajdziesz... wszystko... - Palce umierającego z zadziwiającą siłą zacisnęły się na ramieniu Peacha. - Jedź tam - powtórzył. - I zrób wszystko tak... jak planowaliśmy. Przysięgnij mi, że to uczynisz. Przysięgnij.

Peach nie miał ochoty słuchać tego wszystkiego, czuł jednak, że mogą to być ostatnie chwile życia Pułkownika.

- Tak - rzekł stanowczo. - Uczynię to. Przysięgam. - Miał ochotę rzucić się jak dzikie zwierzę na zbliżającą się do przyjaciela śmierć i rozszarpać ją na strzępy.

- Moje juki - wyszeptał starzec. - W środku...

Peach podniósł się z miejsca i podszedł do juków Pułkownika. Znajdowały się w nich: zapasowa zmiana bielizny, nieco pieniędzy, jakieś rzemienie oraz inne drobiazgi przydatne w podróży, ale na samym dnie leżało coś jeszcze. Peach wyciągnął to ostrożnie i wrócił do umierającego. Była to wyblakła, pognieciona fotografia dwóch mężczyzn w mundurach Konfederacji. Seth widywał to zdjęcie już wcześniej.

- Augustus Sinclair - wymamrotał Pułkownik, dotykając fotografii.

- Był największym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. On chciałby... chciałby, żebyśmy to zrobili.

Na twarzy starego mężczyzny zagościł spokój. Peach miał ochotę chwycić go i potrząsnąć mocno, aby odgonić zbliżającą się śmierć.

- Miał córkę urodzoną w czasie wojny - powiedział po chwili Pułkownik tak cicho, że Peach musiał się pochylić, by cokolwiek usłyszeć.

- Miała na imię Laurie. Odszukaj ją, chłopcze. Zawsze myślałem...

Jego towarzysz nigdy jednak nie dowiedział się, co myślał Pułkownik, ponieważ chory umilkł na chwilę, po czym popatrzył na niego surowo i ostrym tonem zapytał:

- Jak się nazywasz, chłopcze?

Peach poczuł, jak gardło ściska mu się z żalu. Pod powiekami pojawiły się piekące łzy. Wrócił nagle wspomnieniem do chwili, kiedy na polu pełnym maków ten potężnie zbudowany mężczyzna o lśniących oczach oświadczył gromkim głosem:

- Cóż, do licha, sądzę, że mimo wszystko jesteś człowiekiem. Jak się nazywasz, chłopcze?

- Seth. Seth Tait - odrzekł wówczas czystym, wyraźnym głosem. Teraz jednak jego gardło było sparaliżowane i minęło sporo czasu, zanim wyjąkał ochryple:

- Seth. Seth Tait.

- Racja, do diabła! - uśmiechnął się lekko Pułkownik. - Oto kim jesteś.

Nie zapomnij o tym.

Peach czuł, że jego przyjaciel odchodzi i nagle przyszedł mu na myśl tysiące rzeczy, jakie chciał mu powiedzieć, nie odezwał się jednak ani słowem. Jego dłonie zacisnęły się na ramieniu umierającego, jak gdyby pragnął w ten sposób z powrotem wtłoczyć weń życie. Miał ochotę krzyknąć i potrząsać Pułkownikiem, żądać, by nie robił głupstwa i nie opuszczał go. W końcu jednak

przełknął tylko z wysiłkiem ślinę i pozwolił staremu mężczyźnie wydać ostatnie tchnienie.

W różowopomarańczowym blasku wschodzącego słońca wykopał mu na skraju kanionu grób, dokładnie przykrywając ciało kamieniami, by nie dobrały się doń kojoty. Zbił prosty, drewniany krzyż i długo stał nad mogiłą, pragnąc coś powiedzieć lub choćby się rozplakać, nie był jednak w stanie zrobić niczego.

W ten chłodny, bezwietrzny poranek pochował nie jednego, lecz dwóch ludzi. Seth Tait osiodłał konia i wyruszył samotnie na Wschód.

A teraz był tutaj, w Charlestonie, w Karolinie Południowej, gdzie to wszystko się zaczęło. I miał przed sobą nie tylko pewne zadanie do wykonania - miał przed sobą całe życie.

ROZDZIAŁ 5

Czy na pewno nic ci się nie stało? - dopytywał się niespokojnie Peter.

W połowie opowieści Laurel o jej porannych przygodach przestał kołysać się na trzciniowym bujanym fotelu i teraz siedział nieruchomo, wpatrując się w nią z zaciśniętymi dłońmi.

Laurel pokręciła głową. Peter Barton był jedyną osobą, której mogła powiedzieć prawdę o tym, co się wydarzyło, nie spotykając się przy tym z potępieniem.

- Tylko moja duma została zraniona. To zresztą też nie mało, nie uważasz? Siedzieli na werandzie wachlując się, ponieważ popołudnie było nadzwyczaj gorące, i czekali, aż zajdzie słońce, a od morza powieje lekki wiatr. Peter był co czwartek gościem u nich na kolacji i Laurel cieszyła się, że właśnie dziś wypadał dzień jego wizyty. Ogromnie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

Peter odchylił się na oparcie fotela, nieco uspokojony.

- Cóż, zasłużyłaś sobie na to.

Oho, zaraz zrobi jej wykład! Spodziewała się takiego obrotu sprawy i uznała, że jest w stanie to znieść. Reprimendy, jakich udzielał jej Peter, nigdy nie były zbyt surowe i na ogół nie trwały zbyt długo.

Ta dzisiejsza była zresztą jeszcze krótsza niż zwykle.

- A ten człowiek... - dodał na zakończenie, lekko marszcząc brwi.

- Seth Tait.

- No właśnie - Peter w zamyśleniu pokiwał głową. - Jest w mieście od niedawna. Zatrzymał się w hotelu „Charleston”.

Laurel nie zdziwiła się, że Peter wie, o kogo chodzi. Pracował w końcu dla Gazette i jego zajęcie wymagało, by wiedział więcej od innych.

- Wyjątkowo odrażający typ - oświadczyła Laurel z rozdrażnieniem, gwałtownie wymachując wachlarzem. - Całkowicie niecywilizowany i zupełnie nie pasujący do dobrego towarzystwa. Oczywiście - czuła się w obowiązku dodać - przed ciotką Sophie i Caroline udaje kogoś zupełnie innego i na pewno w ich oczach uchodzi za przyzwoitego człowieka.

Laurel nie przypuszczała, by dotychczasowa dyskrecja Taita w sprawie ich spotkania u panny Elsie wpływała ze szlachetnych pobudek. Po prostu nie mógł powiedzieć prawdy, nie stawiając przy tym w złym świetle siebie, bo wówczas z pewnością nie zostałby zaproszony na kolację w ich domu.

Na myśl o tym człowieku znowu oblała się rumieńcem, postanowiła więc nie poświęcać już jego osobie więcej uwagi. Okazało się to jednak rzeczą niełatwą. Prawdę mówiąc, przez cały dzień nie bardzo potrafiła myśleć o czymkolwiek innym. Seth Tait z pewnością nie należał do mężczyzn, o których łatwo zapomnieć. Nie lubiła go, wyprowadzał ją z równowagi, ale jednocześnie w pewien sposób fascynował, co sprawiało, że bez przerwy wracała doń myślami.

- Czy wiesz o nim cokolwiek? - zapytał Peter.

- Tylko tyle, że jest ordynarnym zarozumialcem, nie mającym za grosz szacunku dla dam. Czy to nie wystarczy?

- Nie reporterowi, moja droga - uśmiechnął się Peter.

Laurel wachlowała się tak gorliwie, że zamiast się ochłodzić, jeszcze bardziej się zgrzała. Z westchnieniem złożyła wachlarz.

- Cóż, dziś wieczorem będziesz miał okazję dowiedzieć się wszystkiego, co cię interesuje. Tait przychodzi do nas na kolację.

Peter spojrzał na nią ze zdziwieniem i Laurel z rezygnacją skrzywiła usta.

- Nie patrz tak na mnie. To pomysł Caroline. Wiesz, że nigdy nie przepuści okazji zaopiekowania się jakimś bezdomnym rozbitkiem życiowym, a ciotka Sophie wcale nie jest od niej lepsza. Ten człowiek mówi jak Południowiec, nosi spodnie i wciąż jeszcze ma wszystkie zęby, jest zatem znakomitym materiałem na męża.

Peter wyglądał na zakłopotanego.

- Sama doprowadziłaś do tej sytuacji - wymamrotał. - Dobry Boże, Laurie, gdybym tylko wiedział, że tak bardzo potrzebujesz pieniędzy, natychmiast osobiście bym ci się oświadczył. Laurel ponownie rozłożyła wachlarz.

- Dziękuję, ale wiem, że ledwo sam sobie dajesz radę - odrzekła z obojętną miną. - Co dopiero, gdybyś miał żonę. Prócz tego nigdy nie chciałabym traktować mężczyzn jako lekarstwa na moje kłopoty. Mają oni przykry zwyczaj umierania krótko po ślubie, co czyni życie jeszcze gorszym, niż było wcześniej.

- O ile wiem, jestem całkowicie zdrow - odparł Peter, niezbyt przejęty odmową, która go spotkała. - Kiedy zaś stanę się bogaty, być może zechcesz zmienić zdanie.

- W Charlestonie nie można zbić fortuny, Peter.

- A więc nie pozostanę w Charlestonie - wzruszył ramionami. - Niewykluczone, że udam się na Zachód, by tam założyć własną gazetę...

- Caroline nigdy nie opuściłaby Charlestonu - oświadczyła Laurel.

- A któż powiedział, że musiałyby to zrobić? Ona... - urwał, czerwieniejąc gwałtownie. - Wprawiasz mnie w zakłopotanie, Laurie - mruknął. - Nie wtrącaj się w sprawy, które cię nie dotyczą.

- Sprawa Caroline mnie dotyczy - przypomniała mu, ale jej twarz złagodniała na widok szczerego smutku malującego się w oczach Petera. Prawdę mówiąc, nie sądziła, by Caroline i Peterowi dane było się kiedykolwiek pobrać. Jej kuzynka nigdy nie dała mu nadziei, że może stać się dla niej kimś więcej niż tylko przyjacielem rodziny, a bez takiej zachęty Peter w żadnym wypadku sam z siebie by się nie oświadczył. Sama Laurel z radością powitałaby ich zaręczyny. Miałaby na głowie o jedną osobę mniej. Raczej o dwie, wliczając Petera. Ale Peter, choć na ogół był młodym, poważnym, kierującym się zdrowym rozsądkiem człowiekiem, zupełnie tracił głowę, gdy chodziło o miłość. Wolał skrywać swoje uczucia pod maską wesołości i śnić na jawie o dniu, kiedy wreszcie zdobędzie swą ukochaną. Laurel było go bardzo żal.

- Przepraszam, że byłam niegrzeczna - powiedziała ciepło. - Wierz mi, że życzę ci jak najlepiej.

- Dobrze by było - usta mężczyzny skrzywiły się w wymuszonym uśmiechu. - Kiedy ludzie zaczną plotkować o tym, co wydarzyło się dziś rano, będę jedynym przyjacielem, który ci jeszcze pozostanie. Traktuj mnie więc dobrze.

- To prawda - zgodziła się poważnie Laurel. - Oczywiście, jeśli miasto zacznie plotkować na ten temat, będę dokładnie wiedziała, komu to zawdzięczam i wtedy będziesz musiał udać się na Zachód, młody człowieku, ponieważ tutaj nie będziesz miał już nic do roboty.

- A ponieważ ty także nie będziesz już przyjmowana w żadnym domu w Charlestonie, nic nie stanie na przeszkodzie, byś udała się na Zachód razem ze mną - uśmiechnął się. - To wcale nie byłby głupi pomysł.

- Gdybyś okazał się równie wymowny wobec Caroline, żadne z nas nie siedziałyby teraz tutaj. Byłbyś od dawna żonaty i miałbyś czworo albo pięcioro dzieci oraz własny dom z werandą.

Uśmiech zniknął z twarzy Petera

- Dostyc tych nonsensów, pani Laughton - powiedział surowo, kręcąc głową. - Mamy nieco poważniejsze sprawy do przedyskutowania. - Głęboka zmarszczka przecięła jego czoło. Dobry humor Petera zniknął. - Sądzę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy sobie z owym człowiekiem, którego zaprosiłyście dziś na kolację - dodał.

Seth Tait stał przed lustrem z brzytwą w dłoni, nie widzącym wzrokiem wpatrując się w swoją namydloną twarz. Był rozebrany do pasa. Miał bose stopy, a szelki spodni zwisały mu luźno u bioder. Myślał o rodzinie Sinclairów.

Laurel, o ile wierzyć jej słowom, nigdy nie słyszała o Pułkowniku, co wykluczało możliwość, by umierający Augustus przesłał rodzinie jakąś wiadomość o Ike'u. Sądziła, że jej ojciec był bohaterem wojennym. Wszyscy tak sądzili. Nikt w tym mieście nie podejrzewał nawet, że Pułkownik Ike i Augustus Sinclair dopuścili się być może najśmielszego rabunku w tym stuleciu. To prawda, że działo się to w czasie wojny, ale przecież przestępstwo pozostaje przestępstwem. I gdyby ktoś z tych dumnych Południowców dowiedział się kiedykolwiek, że złoto zrabowane z rządowego pociągu nigdy nie zostało przekazane Konfederacji, do której w myśl wojennego prawa należało, szeregi zmarłych bohaterów Południa zmniejszyłyby się o jedną osobę.

Pomimo późnego popołudnia przez okno wpadały gorące promienie słońca, odbijając się od wyfroterowanej podłogi i sprawiając, że w pokoju było gorąco jak w łaźni. Pot spływał Sethowi z karku, kiedy z irytacją, zmarszczywszy brwi, ponownie sięgnął po brzytwę. Zbliżył ją jednak do skóry zbyt gwałtownie i na jego policzku pojawiła się kropla krwi. Z wściekłością rzucił brzytwę na podłogę.

- Do diabła! - wrzasnął.

Uzmysłowił sobie, że od początku całej tej podróży odczuwał złość: na to, że Pułkownik zostawił go samego, że czasy się zmieniły i że on także musi zmienić się, by przeżyć.

Owo ukryte złoto, o którym mówił Pułkownik, było jego jedyną szansą. Pieniądze zapewnią mu szacunek u ludzi, nową tożsamość, nowe życie. Przez całą drogę rozmyślał o tym, że musi odnaleźć to przeklęte złoto. Nie miał innego wyboru. Obiecał to umierającemu Pułkownikowi. Nie mógł jednak zaprzeczyć, iż rzeczywiście te pieniądze stanowiły jego jedyną nadzieję. Pułkownik miał rację. Jakimś cudem setki tysięcy dolarów wciąż pozostawały ukryte, czekając, aż Seth Tait przybędzie, by je odnaleźć.

Mając zaledwie dwadzieścia pięć lat, Seth przeżył już tyle, że starczyłoby tego dla tuzina ludzi, a teraz, gdy dotarł do końca pewnej drogi, czekało go nowe życie. Miał nazwisko, na którym nie ciążyło żadne piętno, i głowę pełną wspomnień, o których nigdy nie będzie wolno mu mówić. Miał też w kieszeni trochę pieniędzy - ale nic więcej.

A teraz zyskał okazję, by osiąść fortunę, od której nie oddzielało go nic prócz trzech żyjących w ubóstwie kobiet.

Czy Pułkownikowi przyszło kiedykolwiek do głowy, że Laurel Sinclair oraz inni spadkobiercy Augustusa mają takie samo prawo do tego skarbu, jak on? A może nawet większe? To stanowiło pewien problem: jeśli powie Laurel o złocie, może ona po prostu oddać zarówno pieniądze, jak i jego samego w ręce policji. Była dostatecznie szalona, by to uczynić. Człowiek nie miał nigdy pewności, co mogą zrobić Południowcy w imię honoru. Poza tym nie mógł zdradzić nikomu informacji o złocie, nie ujawniając, skąd o nim wie, a tego w żadnym wypadku nie miał zamiaru czynić.

Sięgnął po ręcznik i mocno przycisnął go do twarzy. Pułkownik i Gus zrabowali złoto, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Reszta to jedynie przypuszczenia. Czy Gus ukrył złoto w Chinatree? Czy napisał o tym żonie?

Czy może zakopał złoto gdzie indziej? Niewykluczone, że ktoś już dawno temu odnalazł skarb.

Ale jeżeli nie? Jeśli złoto nadal spoczywa gdzieś nietknięte od dwudziestu lat i czeka, czeka na niego? Jeżeli zaś te pieniądze znajdują się w Chinatree, to Sinclairowie mają w dłoni klucz do ich odkrycia.

Te kobiety nietrudno chyba będzie wyprowadzić w pole, szczególnie tę starszą damę oraz kalekę Caroline. Laurel, niestety, była bardzo sprytna - zbyt sprytna jak na kobietę - a także stanowczo za bardzo porywcza.

Mogła mu zarówno pomóc, jak i zaszkodzić. Wszystko zależało od tego, jaki zdobędzie na nią wpływ.

Wciąż nie mógł zapomnieć owej chwili, kiedy Laurel Sinclair Laughton domagała się w burdelu zwrotu długu, próbując za wszelką cenę zapewnić godziwy byt pani Sophie i pannie Caroline. Ciągłe wyobrażał sobie dawniejszą, dziś już podupadłą zamożność tego domu, w którym od trzydziestu lat nic się nie zmieniło.

- Do diabła! - zaklął znowu. - Do ciężkiej cholery!

Zamknij oczy - powiedział do siebie. - Zapomnij o tych kobietach. To nie twoje zmartwienie. Marzenie o złocie trzymało Pułkownika przy życiu, a on przekazał to marzenie tobie. Te pieniądze nie należą do nich.

Pomimo że bez przerwy powtarzał sobie w duchu te słowa, nie opuszczały go wątpliwości. Powracały tym silniej, im bardziej próbował je od siebie odepchnąć.

Miał około dwunastu lat, kiedy jego koń wpadł w norę susła i złamał nogę. Zwierzę cierpiało straszliwie i nawet Seth wiedział, że jedynym wyjściem było skrócenie jego męki. Pułkownik w milczeniu włożył w dłoń chłopca pistolet i odszedł. Seth czuł straszliwą bezradność: ręce mu drżały, a po plecach spływały strużki zimnego potu. Przez cisnące się do oczu łzy nic nie widział. Żadna siła na świecie nie mogła zmusić go do naciśnięcia spustu.

W końcu rzucił pistolet na ziemię i uciekł, kiedy zaś usłyszał strzał, padł na trawę i długo płakał, zdjęty bólem i wstydem. Gdy się już w końcu podniósł, zobaczył, że Pułkownik siedzi obok niego zapatrzony w linię horyzontu.

Seth do dziś nie wiedział, czy w oczach przyjaciela malowało się wówczas współczucie czy pogarda, ale kiedy Pułkownik odezwał się, jego głos brzmiał spokojnie i beznamiętnie. Chłopak zapamiętał te słowa na całe życie:

- Potrafisz być miękki, synu - stwierdził Pułkownik. - To może cię równie dobrze zabić, jak i uczynić z ciebie wspaniałego człowieka.

To było wszystko. Nigdy później Pułkownik nie wspomniał już o tym wydarzeniu, ale od tej chwili coś zmieniło się w sercu Setha. Ta pierwsza lekcja brutalnego prawa, jakie rządziło naturą, nie była łatwa, głęboko jednak zapadła mu w pamięć. Litość, żal i współczucie nie miały racji bytu w świecie, gdzie ludzkie życie nie znaczyło zbyt wiele. Ocalać mogli tylko silni. Słabych czekała śmierć i Seth szybko dowiedział się, jak postępować, aby przeżyć.

Z zapamiętaniem przeradzającym się wprost w obsesję uczył się strzelać i wyciągać broń szybciej niż ci, z którymi się pojedynkował - szybciej nawet niż sam Pułkownik. Zrozumiał, że może brać to, czego potrzebuje, nie zastanawiając się, czy ma do tego prawo czy nie. Jedyne żal, jaki kiedykolwiek odczuwał, pojawiał się w chwilach, kiedy jego wewnętrzna „miętkość” brała górę nad zdrowym rozsądkiem.

Odjął ręcznik od twarzy i otarł strużkę krwi, która zdążyła już dopłynąć do podbródka. Odprężył się nieco. Nie miał obowiązku martwić się o Laurel Sinclair, była bowiem ostatnią kobietą, która potrzebowała jego współczucia.

Zresztą, jeśli odnajdzie złoto, może zostawić część tym kobietom. Pułkownikowi nawet by się to spodobało. Jeśli zaś chodzi o niego, to zawsze pragnął zamieszkać w San Francisco. Albo może uda się na Południe, do Nowego Orleanu, żeby zacząć wszystko od nowa? Kto wie, czy nie kupi saloonu. Był to w końcu interes, na którym nieźle się znał.

Pewną, spokojną ręką ujął brzytwę i dokończył golenia. Dobrze przynajmniej, że dane mu było poznać Laurel Sinclair Laughton. Gdyby przyszło mu spędzić w tej dziurze kilka następnych tygodni, możliwość jej widywania stanowiłaby niemałe pocieszenie.

Pomijając delikatne dzwonienie sztućców o porcelanę i cichy szelest sukien pań, podczas kolacji panowała przy stole absolutna cisza. Wosk z dwóch palących się świec skapywał wprost do kryształowej sosjerki, a topniejące z gorąca masło, utworzyło w maselnicy tłustą kałużę. Ubrana aż po szyję w czarną ciasną suknię z tafty, Laurel czuła, że i z nią dzieje się to samo, co ze świecami i masłem: topnieje cał po calu.

To ciotka Sophie wpadła na ten pomysł, by włożyć niedzielne ubrania. Chciała w ten sposób uczcić gościa. Ona również nalegała, by zdjąć ze stołu płócienny obrus, poplamiony i nieudolnie zacerowany w miejscach licznych rozdarć, i zarządziła podanie pieczonych kurcząt oraz szynki, podczas gdy ich zwykła czwartkowa kolacja składała się zawsze z ugotowanej na środowych resztkach zupy, a także, jeśli ceny na rynku nie były zbyt wysokie, kawałek ryby. Innym razem Laurel zrobiłaby za tę ekstrawagancję ciotce Sophie taką awanturę, że biedna kobieta natychmiast udałaby się z migreną do łóżka, ale dziś nie miała głowy do toczenia z nią kolejnego sporu.

Przedłużające się milczenie dało Laurel kilka cennych minut na zastanowienie się, jak powinna zachowywać się tego wieczoru. Od chwili, kiedy Seth Tait przekroczył próg ich domu, nie było końca ciągłemu papłaniu, w którym prym wiodła ciotka Sophie. Opanowawszy nieśmiałość, Caroline także brała udział w rozmowie, ale Laurel nie mogła jej za to winić. Jej kuzynka zawsze była dla wszystkich uprzejma. Peter zaś, na którego Laurel bardzo liczyła, zdawał się być tak bardzo skrepowany obecnością nieznanego, że nie był w stanie zrealizować swoich wcześniejszych planów. Wbrew jej obawom, Seth Tait jak dotąd zachowywał się nienagannie. Nie wspomniał też ani razu o ich porannym spotkaniu.

Laurel korzystała z okazji, by obserwować obu siedzących naprzeciwko niej mężczyzn, nie umiejąc powstrzymać się od porównywania ich ze sobą. Obaj byli mniej więcej tego samego wzrostu, obaj mieli podobny kolor włosów i obu należało uznać za przystojnych. Przez całe życie Laurel żywiła przekonanie, iż wszyscy mężczyźni są w gruncie rzeczy tacy sami i różnią się tylko wyglądem zewnętrznym, ale w tym wypadku z pewnością tak nie było. Jeśli chodziło o cechy fizyczne, żaden z nich nie miał przewagi nad drugim, a mimo to Peter, którego większość kobiet uważała za urodziwego, wyglądał przy Taicie jak kawałek drewna.

Im głębiej Laurel zastanawiała się nad tą sprawą, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że wynikało to z innych niż fizyczne różnic. Peter miał nieco łagodniejsze rysy twarzy, co podkreślał jeszcze jego jasnobrązowy wąsik, ustępował także nieznajomemu szerokością ramion, którą u tamtego doskonale uwypuklała świetnie skrojona marynarka. To samo jednak można by powiedzieć o każdym innym mężczyźnie w tym mieście, nie to więc stanowiło o przewadze Taita. Prawdę mówiąc, gdyby porównywać ich fizyczną urodę, Peter mógłby nawet zostać uznany za przystojniejszego.

A jednak Tait posiadał jakiś intrygujący, trudny do określenia urok, o ile to „coś” w ostrych rysach jego twarzy i głębokiej opaleniznie można było nazwać urokiem. Jego nieco niespokojne oczy zdawały się uśmiechać nawet wtedy, gdy pozostawał całkowicie poważny, i robiły wrażenie, że zawsze widział wszystko, co działo się wokół. Zachowywał się ze swobodą, która z pewnością nie była wyuczona ani udawana, a jego głos był ciepły i głęboki. Laurel uświadomiła też sobie nagle, że nigdy dotąd nie spotkała człowieka o tak doskonale męskim typie urody.

Peter także musiał to odczuć, ponieważ odnosił się do Seta na poły z zazdrością, a na poły ze starannie ukrywaną niechęcią, jak mały pies, który nagle odkrył, że jego terytorium zagraża brytan. Z góry wiedział, że przegra walkę, nie mógł jednak zapobiec temu w żaden sposób.

Odwróciwszy wzrok ku Taitowi, Laurel stwierdziła, że mężczyzna przygląda się jej z błyskiem wesołości w oczach, tak jakby wiedział, że porównywała go z Peterem i ani przez chwilę nie wątpił w wynik tego porównania. Jak gdyby na potwierdzenie tego, mrugnął do niej znacząco.

Laurel odwróciła wzrok, żeby się nie zaczerwienić.

- Musi pan nas uważać za przeraźliwie nudną rodzinę, panie Tait - powiedziała, wygładzając leżącą na jej kolanach serwetkę. - Wciąż mówimy o nas, nie dając panu szansy wyjawienia czegokolwiek o sobie. Proszę powiedzieć, co sprowadza pana do Charlestonu.

- Interesy - odrzekł. I zanim Laurel zdążyła zaczerpnąć tchu, by zadać następne pytanie, dodał: - Osobiste interesy.

- Musi więc pan mieć tutaj krewnych - Laurel wcale nie zamierzała zrezygnować z drażenia tego tematu.

- Nie, niezupełnie.

- Skąd pan pochodzi? - pytała dalej, nie dając się zbyć zdawkowymi odpowiedziami.

Jego oczy zalśniły, jakby wiedział, że tym pytaniem rzucono mu wyzwanie i bardzo się z tego ucieszył.

- Ostatnio - odrzekł - z Wyoming.

- Czy Henrietta Gibbs nie wyszła za mąż za jakiegoś Taita? - zastanawiała się Sophie, patrząc pytająco na Petera. - Jestem pewna, że znam tę rodzinę.

- Nie, madam - uśmiechnął się Peter. - Nie wydaje mi się. Z pewnością nie urodził się pan w Wyoming - dodał, zwracając się do Setha. - Nikt nie urodził się w Wyoming.

- Prawdę rzekłszy, co roku rodzi się tam parę osób, panie Barton - odparł Seth swobodnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. - To najczęściej Metysi i Indianie, ale jednak ludzie.

- Oczywiście - przyznał nieco zakłopotany Peter. - Ja jednak myślałem o białych.

- Cóż, sądzę, że i tych by się tam kilku znalazło.

Seth zaczął smarować masłem herbatnik i Laurel poirytowana jego pewnością siebie poczuła się w obowiązku pomóc Peterowi.

- Gdzie się pan urodził, panie Tait?

Na czole Sophie pojawiła się pionowa zmarszczka, dowodząca, że myśli nad czymś intensywnie.

- A może Taitowie pochodzą z Atlanty? Tak, to musi być to. Jutro rano napiszę list do Dorothei... Może lepiej do Charlene?

Seth popatrzył na Sophie, po czym odwrócił się ku wciąż czekającej na odpowiedź Laurel.

- Prawdę mówiąc - odrzekł bez cienia wstydu - niewiele wiem o swoim pochodzeniu. Moja rodzina została wymordowana podczas podróży na Zachód, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem.

Caroline westchnęła ze współczuciem, Peter zaś Zakrztusił się i musiał wypić łyk wody. Laurel doskonale mogła sobie wyobrazić, jak się czuł. Już wcześniej okazywał niezadowolenie, że zaprosił do swego domu kompletnie obcego człowieka, a teraz okazało się w dodatku, że nie tylko nie wiedzą nic o rodzime Setha Taita, ale i on sam nie ma pojęcia o swym pochodzeniu. Dla kogoś tak łatwo wpadającego w panikę jak Peter była to myśl przerażająca, Laurel zaś uznała, że jest to jedynie intrygujące.

- Co pan robi w Wyoming? - zadała kolejne pytanie.

- Wszystko po trosze.

Peter przyszedł już do siebie na ryle, żeby włączyć się do rozmowy.

- Jak sądzę, przyszłość tego stanu leży w ranczach i hodowli bydła, prawda? - zapytał.

- Owszem. Ja jednak zajmuję się końmi.

- Mamy w Kentucky przyjaciół, którzy także hodują konie - wtrąciła Sophie. - Być może zna ich pan, to Early'owie.

- Nie, proszę pani. Obawiam się, że nie - uśmiechnął się grzecznie Seth.

- Ależ musi pan ich znać. Wiem na pewno, że hodują najwspanialsze ogiery w całym kraju. On jest niskim, pulchnym, łysiejącym mężczyzną, który lekko utyka na prawą nogę...

- Niewiele mam do czynienia z hodowcami spoza Zachodu - wyjaśnił Seth. - Tam, skąd pochodzę, przeważnie chwyta się dzikie mustangi i ujeżdża je, czyniąc z nich konie pod wierzch.

To, co powiedział, było prawdą. Pomiął po prostu fakt, że większość mustangów, których ostatnio dosiadał, pochodziła z kradzieży.

Sophie popatrzyła na niego z takim zdumieniem, że poczuł się w obowiązku dodać:

- Używamy ich do pracy przy bydle.

- Och! - wykrzyknęła podniecona i zaintrygowana.

- Powiedział pan „my”... - zapytała podchwytliwie Laurel.

Na twarzy mężczyzny na moment zagościł smutek. Zamyślonym gestem ujął w dłoń widelec.

- Do niedawna pracowałem ze współnikiem, ale on nie żyje.

- Moje drogie - wtrąciła łagodnie Caroline. - Obawiam się, że zamęczymy pana Taita na śmierć. Musi pan nam wybaczyć, sir - dodała z uśmiechem. - Zapewne wydałyśmy się panu wyjątkowo źle wychowane, ale nigdy dotąd nie spotkałyśmy nikogo z Zachodu. Na Wschodzie wszyscy uważają życie tam za fascynujące.

- To twarde życie, proszę pani. - Twarz Setha złagodniała, kiedy odwrócił ku niej wzrok. - Rzeczywiście, kiedy się o tym opowiada, może się wydawać ciekawe, ale nie ma w życiu na Zachodzie nic, co zasługiwałoby na szczególną uwagę.

- Cóż, Peter z pewnością jest rozczarowany tym, co pan powiedział - Laurel rzuciła przyjacielowi szybkie spojrzenie, pragnęła bowiem, by z jego czoła zniknęła zmarszczka zakłopotania, a także miała nadzieję, że z powrotem

włączy się w rozmowę. - Jest tutejszym autorytetem, jeśli chodzi o Zachód i jego mieszkańców.

- Ach tak? - mruknął Seth, nie okazując zainteresowania.

- Laurel oczywiście przesadza - Peter popatrzył na nią z naganą, a jego śmiech zabrzmiał fałszywie. - Przyznam, że interesuję się nieco Zachodem, ale większość mojej wiedzy pochodzi z tego, co wyczytałem w tanich powieściach.

- Widząc obojętny wzrok Seta, popadł w jeszcze większe zakłopotanie. - Ot, takie historie o ludziach wyjętych spod prawa - wzruszył ramionami. - Wie pan: bracia Jamesowie, Billy Kid, Peach Brady i Pułkownik Ike...

Tknięta nagłym przeczuciem, Laurel zerknęła na Seta Taita. Pułkownik Ike. Czy nie to nazwisko wymienił dziś rano? Co, u licha...

Dostrzegła, że widelec Seta zastygł na moment w powietrzu w połowie drogi do talerza, ale on sam pominął uwagę Petera milczeniem.

Laurel popatrzyła na przyjaciela.

- Zatem spotkanie kogoś, kto mógł osobiście zetknąć się z tymi ludźmi, musi być dla ciebie nie lada przeżyciem, Peterze. Zamiast czytać o nich, powinienesz napisać swoją własną powieść na podstawie tego, co opowie nam pan Tait.

Także te prowokacyjne słowa nie zmieniły ani na jotę wyrazu twarzy Seta, choć w jego oczach pojawiły się zimne błyski.

- Jestem pewien, że pan Tait nie miał okazji zetknąć się z tymi osobami - uśmiechnął się Peter. - Choćby dlatego, że człowiek przekraczający Missisipi nie ma pojęcia, iż wkracza na teren, gdzie niegdyś działali wszyscy wyjęci spod prawa przestępcy. - A jednak w oczach Seta pojawiło się zainteresowanie, którego mimo wysiłku nie potrafił ukryć.

- Tak czy owak, pewien jestem, że słyszał pan na ten temat więcej niż my tutaj, w Charlestonie, krótka zaś opowieść o tym, jak żyło się niegdyś na Zachodzie, z pewnością zainteresowałaby moich czytelników.

- Nie wiem, cóż mógłbym panu powiedzieć, panie Barton - odrzekł obojętnie Seth. - Chyba tylko to, żeby nie wierzył pan we wszystko, co wypisują w książkach. Na Zachodzie pozostało już chyba bardzo niewielu ludzi wyjętych spod prawa. Zastąpili ich nauczyciele i dziennikarze.

Sophie zachichotała nerwowo i nawet Caroline uśmiechnęła się, słysząc tę odpowiedź. Peter zdawał się nie wiedzieć, jak ma zareagować na te słowa i zanim podjął jakąś decyzję, wyręczyła go w tym Laurel.

- Jest pan stanowczo zbyt skromny, panie Tait! Musi pan znać liczne historyjki i z pewnością tylko przez nieśmiałość nie chce ich nam zdradzić. Co pan wie na temat tego Peacha i pułkownika... - spojrzała pytająco na Petera.

- Ike'a - podpowiedział dziennikarz z taką miną, jakby jedyną rzeczą, której pragnął, była zmiana tematu.

Seth Tait wybawił go z kłopotu.

- O ile wiem, proszę pani, obaj nie żyją. Pani Sinclair, to było bez wątpienia najlepsze pieczone kurczę, jakie kiedykolwiek jadłem - dodał, zwracając się do Sophie. - Znam ludzi, którzy przejechaliby pół świata dla takiego jedzenia. Dziękuję pani serdecznie.

Twarz Sophie rozpromieniła się.

- Cóż z pana za pochlebca, panie Tait.

- Czeka na pana jeszcze ciasto orzechowe - powiedziała Caroline.

- Albo, jeśli pan woli, świeże jagody.

- Dziękuję pani, ale sądzę, że nie przełknę już ani kęsa. Caroline odłożyła trzymaną w dłoni serwetkę.

- Cóż, w takim razie poprosimy Lacey o przyniesienie do salonu mrożonej kawy.

Laurel wstała, wachlując się chusteczką.

- Przypuszczam, że zaraz roztopię się z tego gorąca, jeśli nie zaczerpnę świeżego powietrza. Panie Tait... - zwróciła się do Seta ze swym najbardziej

czarującym uśmiechem. - Czy zechce mi pan towarzyszyć w czasie małej przechadzki po ogrodzie?

- Będę zaszczycony, pani Laurel - odrzekł mężczyzna, okrążając stół i uśmiechając się lekko.

Laurel dostrzegła, że Peter rzuca jej przerażone spojrzenie, a ciotka Sophie czerwienieje, wymknęła się jednak z pokoju, zanim ktokolwiek z nich zdołał zaprotestować. W chwili gdy mijała przeszklone drzwi wiodące na werandę, pożałowała swojej impulsywności. Przebywanie z Taitem w jasno oświetlonej jadalni w obecności ciotki Sophie, Petera i uprzedzająco grzecznej Caroline było czymś zupełnie innym niż spacerowanie z nim po ciemnym ogrodzie. Cały niepokój i podejrzenia, jakie wcześniej starała się od siebie odepchnąć, wróciły teraz ze zdwojoną siłą.

Jedynym światłem rozjaśniającym ogród był blask padający z okna jadalni. Niespodziewanie Laurel poczuła się samotna i zagubiona. Ta bijąca od Taita męskość, która tak bardzo podobała się ciotce Sophie, drażniła Petera i onieśmielała Caroline, nie pozostawała bez wpływu także i na nią. Wystarczyło, że ten człowiek znajdował się blisko, by serce biło jej szybciej. Nie była też pewna, czy tym, co czuje, jest strach, czy też fascynacja.

Mężczyzna podał jej ramię, zlekceważyła jednak ten gest i lekko unosząc suknię, zeszła po schodach.

- Czemu wydaje mi się, że nie zaprosiła mnie pani tutaj po to, byśmy odbyli romantyczną przechadzkę w świetle księżyca?

- Być może dlatego - odparła sucho - że pomimo całej pańskiej zarozumiałości nie jest pan zupełnie pozbawiony zdrowego rozsądku.

- Czasami, owszem - przyznał z lekkim uśmiechem. - Ale jeśli chodzi o kobiety, zdarza się, że tracę głowę.

Laurel odetchnęła głęboko, składając przed sobą ręce, zdecydowana, że to ona pokieruje rozmową. Prócz urody i nienaganych manier człowiek ten miał

także umiejętność przemawiania do kobiet w nadzwyczaj ujmujący sposób. Na szczęście, Laurel nie tak łatwo było oczarować.

- Po pierwsze, chcę panu powiedzieć - oświadczyła, od razu przechodząc do rzeczy - że nie wierzę w ani jedno słowo z pańskiej wzruszającej opowieści o osieroceniu w dzieciństwie.

- Naprawdę? A to czemu?

- Jest zbyt łzawa, żeby mogła być prawdziwa. Przypomina jedną z tych okropnych historii, czytanych przez Petera, i zdaje się być doskonałą wymówką dla kogoś, kto za wszelką cenę chce uniknąć opowiadania o swym pochodzeniu.

Mężczyzna roześmiał się szczerym, łagodnym śmiechem. Laurel rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie. Jego twarz jaśniała w słabym blasku cienkiego jak rogalik księżyca, nadając mu wygląd rozbawionego chłopca, w oczach zaś czaiła się niepokojąca przebiegłość.

- Nie wiem, co pana tak bawi - powiedziała nieufnie. Seth przeniósł na nią roześmiane spojrzenie.

- Tak właśnie myślałem - powiedział, poważniejąc nieco, choć nadal nie tracił dobrego humoru. - Zapewniam panią, że naprawdę byłem sierotą i nie wiem nic o moich krewnych. Śmieję się z tego, że wyznanie, które uznała pani za kłamstwo, było chyba jedyną prawdziwą rzeczą, jaką powiedziałem.

Laurel zmarszczyła brwi. Ta bezwstydną szczerość oburzała ją, ale równocześnie wprawiała w dziwne drżenie.

- A więc przyznaje pan, że jest kłamcą.

- Między innymi - odrzekł, podążając za nią długim, sprężystym krokiem.

Laurel była ogromnie ciekawa, kim naprawdę jest ów nieznajomy, wiedziała jednak, że pytanie o to byłoby błędem.

- Większość ludzi nie kłamie wszak bez powodu.

- Robią to głównie dlatego, że kłamstwo jest łatwiejsze od mówienia prawdy. Ja też staram się ułatwiać sobie życie, ilekroć tylko mogę.

- Rozumiem - rzuciła mu przelotne, niechętnie spojrzenie. - Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Tait. Po co na przykład wspominał pan o Pułkowniku Ike'u? Jakiż to związek mogłabym mieć z tym legendarnym przestępcą?

Przechodzili właśnie w cieniu mimozy i Laurel, pomimo iż wyteżała wzrok, nie mogła dostrzec jego twarzy. Głos Setha zabrzmiał jednak całkowicie spokojnie.

- Trudno mi to sobie wyobrazić.

- Musiała jednak istnieć jakaś przyczyna, dla której pan o to pytał - nie ustępowała Laurel, poirytowana tym, że nic w jego postawie ani tonie głosu nie zdradzało, o czym myślał.

- Sądzę, że była - przyznał. - Ale wyleciała mi z pamięci. - Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz ni to wściekłości, ni to niedowierzania. - Czy naprawdę o tych ludziach pisze się książki?

- Oczywiście - potwierdziła z rosnącym zniecierpliwieniem. - Lubi pan czytać, panie Tait?

- Owszem i czynię to, gdy tylko mam okazję. Najczęściej jednak odczytuję napisy na nagrobkach i naklejki na konserwach.

Laurel pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Ten człowiek był istotnie zadziwiający.

- Zmienia pan temat, sir.

- Czyżby?

- Mówiliśmy - przypomniała mu - o Pułkowniku Ike'u.

- Ach tak. Muszę kiedyś przeczytać jedną z tych książek. To, co mówił o nich pan Barton, brzmiało interesująco.

Laurel zatrzymała się gwałtownie. Miała ochotę niecierpliwie tupnąć nogą, wiedziała jednak, że takie zachowanie przyprawiłoby go jedynie o nowy atak wesołości.

- Bardzo dobrze, panie Tait. Jak pan chce - odrzekła więc tylko, patrząc mu prosto w oczy. - Zapewniam pana jednak, że wrócę jeszcze do tego tematu. Mam bardzo dobrą pamięć, niech mi pan wierzy.

Ku jej zaskoczeniu twarz mężczyzny przybrała na moment wyraz smutku i konsternacji.

- Dobrze - zgodził się miękko. - Mam nadzieję, że tak będzie.

Noc była ciepła, a powietrze przesyciła woń jaśminu i maciejki. W cieniu ogrodu, do którego z oddali dobiegały tylko stłumione odgłosy miasta, łatwo było zapomnieć, że za wysokim ogrodzeniem i żelazną furtką istnieje odmienny świat - spokojny, zwyczajny i bezpieczny. Laurel bowiem nie czuła się ani spokojna, ani bezpieczna, przebywając sam na sam z Sethem Taitem w tym odludnym miejscu. Tak jakby przeczuwała, że wydarzy się coś złego.

Wbrew jej przewidywaniom Seth jednak spokojnie ruszył przed siebie, a jego głos brzmiał zupełnie beztrąsko.

- Proszę mi opowiedzieć o pani przyjacielu, reporterze.

- Co chciałby pan wiedzieć? - zapytała Laurel, zupełnie zaskoczona tą prośbą.

- Czy to pani narzeczony?

Laurel roześmiała się, był to jednak bardziej skutek nerwowego napięcia niż wesołości. Serce zabiło jej gwałtownie.

- Peter? Na Boga, nie, to tylko stary przyjaciel! - zamachała rękoma, jak gdyby opędzała się od natrętnej muchy. - Czemu pan pyta?

- Nie wydaje mi się, żeby za mną przepadał - szczerze odpowiedział Tait, a w jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

Laurel poczuła się niezręcznie.

- Peter uważa pana za natręta - wyjaśniła beznamiętnie. - Twierdzi, że nie jest pan odpowiednim towarzystwem dla przyzwoitych kobiet. On wie - dodała triumfująco - gdzie pana poznałam i to daje mu pewne wyobrażenie o pańskiej moralności.

- A także o moralności pani - odciął się Seth. - Musi również wiedzieć - ciągnął dalej - że zachowałem dla siebie pani mały sekret, a zatem, nawet jeśli nie jestem dżentelmenem, zasługuję na trochę zaufania i szacunku.

- To nie jest takie pewne - mruknęła Laurel, spoglądając na niego z niechęcią. - Choć przypuszczam, że istotnie powinnam panu za to podziękować. To bardzo... przyzwoicie z pana strony.

Tait skrzywił się i lekko skinął głową, ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Wobec tego ma pani u mnie już dwa długi. Laurel przyśpieszyła kroku.

- Peter ma rację - oświadczyła krótko. - Nie jest pan odpowiednim towarzyszem dla przyzwoitych kobiet.

- A pani, Laurel? - zapytał. - Co pani o mnie sądzi?

Laurel zatrzymała się i odwróciła gwałtownie. Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że stoi z nim twarzą w twarz, tak blisko, że jej suknia ociera się o jego nogi. Mimo to mężczyzna nie cofnął się. Ona także tego nie uczyniła.

- Sądzę, panie Tait, że jest pan niebezpiecznym człowiekiem - powiedziała spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

- Wydaje mi się - odparł miękko z leniwym uśmiechem na ustach - że ma pani rację.

Laurel wiedziała, co on chce uczynić, zanim jeszcze choćby się poruszył. Wyczytała to w jego uśmiechu i w oczach, które z napięciem wpatrywały się w jej twarz. Nie mogła złapać tchu, a serce waliło jej jak młotem. Nie zrobiła jednak nic, aby go powstrzymać, kiedy wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie.

Jego usta przyłgnęły do jej warg z zadziwiającą, gwałtowną siłą. Pocałunki, jakie składali dotąd na jej wargach inni mężczyźni, były zawsze łagodne, nawet nieśmiałe, pełne wahania i szacunku. O tym pocałunku jednak z pewnością nie można było tego powiedzieć. Seth całował ją tak, jakby miał do

tego prawo, prawdopodobnie zupełnie nieświadomy jej oszołomienia i zalewającej serce rozkoszy.

Przycisnął ją do siebie tak mocno, że czuła przez suknię jego twarde, muskularne ciało. Nie była w stanie mu się wyrwać, zresztą nawet tego nie próbowała. Ogarnęła ją dziwna gorączka, a przed oczyma zatańczyły kolorowe światła. Drżała na całym ciele. Czuła się całkowicie bezradna wobec nowego, cudownego uczucia, jakie ją przepełniało.

Jego usta wciąż błędziły po jej wargach, jakby żądając, by oddała pocałunek. Być może zresztą uczyniła to, tyle że nieświadomie, działała bowiem całkowicie instynktownie, nie analizując ani nie zastanawiając się nad tym, co robi.

W końcu mężczyzna przerwał ów namiętny pocałunek i odsunął się od niej, musiał jednak podtrzymać Laurel lekko, była bowiem tak rozgorączkowana i oszołomiona, że omal nie upadła. Otworzyła oczy i przez długą chwilę nie widziała nic prócz poświaty księżyca i ciemnych z pożądania oczu Setha.

Jej serce biło tak gwałtownie, że czuła w piersi ból. Nie mogła złapać tchu. Stała chwiejnie, próbując opanować drzenie kolan. Wciąż miała w pamięci dotyk jego rąk na swoim ciele.

Na wargach Taita dostrzegła lekki, szyderczy uśmiech. Odsunęła się, odtrącając jego dłonie.

Usta miała spuchnięte i obolałe. Jej oddech powoli się uspokajał, a serce znowu zaczęło bić normalnie. Starła się nie patrzeć na mężczyznę, nie chcąc, by na nowo ogarnęła ją fala pożądania.

- Czy możemy uznać mój dług za spłacony, panie Tait? - zapytała, dumnie prostując ramiona.

Seth patrzył na nią przez chwilę bez słowa, po czym roześmiał się cicho.

- Jeden pocałunek? - Pokręcił głową. - Nie wydaje mi się, żeby to wystarczyło, pani Sinclair. - Laurel gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej oczy zwięzły się gniewnie. Mężczyzna ostrzegawczo uniósł do góry palec. - Nie

powinna pani nigdy siadać do pokera - powiedział - nie wiedząc, o jaką stawkę ma toczyć się gra. Czy możemy teraz dołączyć do reszty towarzystwa? - zapytał, podając jej ramię i kłaniając się uprzejmie.

Laurel uniosła lekko suknię i ruszyła przodem. Za plecami słyszała jego cichy śmiech, nie obejrzała się jednak ani razu.

ROZDZIAŁ 6

Seth nieraz bywał już w miejscach podobnych do domu panny Elsie. W Denver i Dodge City widywał nawet burdele znacznie okazalsze od tego, w tym przybytku było jednak coś, co sprawiało, że wszystkie znane mu saloony, domy publiczne i tancbudy zdawały się w porównaniu z nim liche i brzydkie. W świetle lamp nie widziało się kurzu pokrywającego aksamitne zasłony, w półmroku ginęły także widoczne w dzień plamy na dywanie. Nie czuło się nawet zatechłego odoru papierosowego dymu i perfum, jaki wisiał tu w powietrzu rano. Interes szedł pełną parą: nalewano drinki i rozdawano karty, kobiety prezentowały swoje wdzięki. Wszystko to było jednak zdumiewająco wyrafinowane i dyskretne.

Śmiano się tutaj, ale nie zanoszono grubiańskim rechotem. Muzyki fortepianu nie zagłuszały pijackie śpiewy. Kobiety zachowywały się wprawdzie prowokująco, ale nawet w ich ozdobionych koronkami halkach i jedwabnych pończochach było coś skromnego. Być może to właśnie, zdaniem panny Elsie, przyciągało mężczyzn do tego miejsca: nawet w burdelu mogli być dżentelmenami. Niezależnie jednak od tego, co stanowiło o atmosferze tego przybytku, Seth czuł się tutaj bardzo dobrze.

Wiele czasu upłynęło już od chwili, kiedy Tait odwiedzał takie miejsca bez ciągłego oglądania się przez ramię, czy ktoś nie zachodzi go od tyłu z odbezpieczoną bronią, i teraz trudno mu było pozbyć się wieloletniego

przyzwyczajenia. Pomimo iż w domu panny Elsie czuł się o niebo swobodniej niż przy stole Sinclairów i pomimo że został tu zaproszony przez gospodynię osobiście, zeszywniał na całym ciele, słysząc za plecami ciche kroki i czując na ramieniu czyjaś dłoń.

- Cóż, nie sądziłam, że dotrzyma pan słowa - powiedziała panna Elsie, przesuując dłonią po jego piersi i siadając na poręczy fotela.

- A jednak wrócił pan - uśmiechnęła się.

Seth chwycił jej dłoń, kiedy zaczęła rozpinać mu guziki koszuli i także się uśmiechnął.

- Było mi po drodze, wpadłem więc z przyjacielską wizytą. Postawić pani drinka?

- Skoro tylko na to ma pan ochotę - wzruszyła ramionami, siadając naprzeciwko niego przy stole i dając znać barmanowi, aby przyjął zamówienie. - No więc, czegoż takiego oczekujesz ode mnie, że uważasz, iż wystarczy, byś postawił mi za to drinka?

- Czemu sądzisz, że czegokolwiek oczekuję? Może chcę ci się tylko odwdziaczyć za okazaną mi dziś rano gościnność?

Barman przyniósł butelkę whisky i Elsie osobiście napełniła ich szklaneczki.

- Nie jestem głupia, drogi panie. Nigdy, przez całe życie, nie zrobiłeś nic bezinteresownie. Ty i ja jesteśmy do siebie bardzo podobni i właśnie dlatego siedzę tu z tobą, zamiast kazać ci, byś opuścił mój dom i zwolnił miejsce dla prawdziwych klientów.

Powstrzymując się od uśmiechu, Seth uniósł szklaneczkę. Od pierwszej chwili wiedział, że ma w pannie Elsie sojusznika, ale dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak bardzo lubi tę kobietę. Podobała mu się z tego samego powodu, dla którego podziwiał Laurel. Z rozbawieniem wyobraził sobie minę pani Sinclair, gdyby ktoś zwrócił jej uwagę, jak wiele wspólnego ma z tą

dziwką. Postanowił, że pewnego dnia powie jej o tym choćby po to, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy.

- Potrzebuję informacji i rady - powiedział. - Sądzę, że jesteś jedyną kobietą w tym mieście, która może mi pomóc.

- Cóż, niewiele dzieje się tutaj rzeczy, o których bym nie wiedziała.

- Panna Elsie skinęła głową, patrząc nań uważnie. - Ale to, czy zechcę o nich mówić, to inna sprawa.

- Lubię kobiety, które potrafią dochować tajemnicy.

- Tak, wyglądasz na kogoś takiego - stwierdziła spokojnie Elsie. - To dlatego gotów byłeś zapłacić pięć dolarów tylko po to, by ukryć wdowę Laughton przed ludzkim wzrokiem. Widocznie twoja tajemnica była tego warta.

Seth nie odpowiedział na to ani słowa. Musiał przyznać, że ta kobieta przejrzała go na wylot. Postanowił na przyszłość być ostrożniejszy. Patrzył, jak piła, z beznamiętnym wyrazem twarzy czekając na jej kolejny ruch. Panna Elsie uśmiechnęła się.

- Masz stalowe nerwy - stwierdziła z podziwem. - A tak, na wypadek, gdyby cię to interesowało, moja cena za milczenie jest zupełnie rozsądna. Wszystko, czego od ciebie chcę, to prawda. Pani Laughton i wszystkim w mieście możesz mówić co ci się podoba, ale mnie powiesz prawdę. Zgoda?

Seth przyglądał się jej z neodgadnionym wyrazem twarzy.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Przynajmniej na tak długo, dopóki będziesz mi zadawać pytania ostrożnie.

Elsie roześmiała się tak głośno, że kilka osób odwróciło się w ich stronę. Uderzyła dłonią w blat stołu.

- To właśnie w tobie lubię! - oświadczyła. Po chwili jednak uśmiech zniknął z jej twarzy. Zatoczyła ręką krąg w powietrzu. - Zarabiam pieniądze - powiedziała. - Prawdopodobnie więcej niż ktokolwiek inny w tym mieście. Niczego mi nie brakuje. Mam w kieszeni burmistrza, bankierów i szefów policji. Niewiele jest na tym świecie rzeczy, których bym nie posmakowała, a jednak

płonę z ciekawości, co masz zamiar uczynić z tą wymuskaną panią Laughton. Przypuszczam, że ona zrobiłaby wszystko, żeby zdobyć twoje pieniądze. Chcę więc w zamian za informacje, jakich ci udzielię - uniosła w górę szklaneczkę i mrugnęła ku niemu - dowiedzieć się, jakie masz wobec niej plany. Czy dostatecznie jasno stawiam sprawę?

Po chwili Seth także uniosł swoją szklanekę i oboje spełnili toast za ich umowę.

- Dlaczego zapłaciłeś temu chłopcu za to, żeby zaatakował panią Laughton? - zapytała panna Elsie.

- Chciałem ją poznać. Nie wiedziałem, co się stanie, kiedy wejdem do środka. Pragnąłem więc mieć pewność, że będzie miała wobec mnie dług wdzięczności.

Kobieta skinęła głową, a w jej oczach pojawił się błysk podziwu.

- Przypuszczałam, że chodziło ci właśnie o coś takiego. Czemu chciałeś ją poznać?

W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, ale panna Elsie należała do bystrych kobiet.

- Mam wrażenie, że jest to właśnie jedno z tych pytań, których nie powinnam zadawać - stwierdziła.

- Powiedzmy, że ma coś, na czym mi zależy - odrzekł Seth.

- Dałabym wiele, żeby dowiedzieć się, co to jest - mruknęła Elsie.

Rozsiadła się wygodniej i pociągnęła kolejny łyk whisky. - Cóż więc mogłabym dla ciebie uczynić?

- Po pierwsze, powiedz mi, w jaki sposób mężczyzna może wyrzucić w tym mieście dobre wrażenie na damie - poprosił Tait.

Panna Elsie ponownie wybuchnęła tak gromkim śmiechem, że wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Seth zeszytniał. Zawsze czuł się nieswojo, ilekroć ludzie skupiali na nim swoją uwagę.

- Mój Boże, synu, z pewnością przyszedłeś we właściwe miejsce! - zawołała kobieta, krztusząc się ze śmiechu. Odchyliła się do tyłu i wsparłszy łokcie o poręczę fotela, z zamyśloną miną obracała w dłoniach swoją szklaneczkę. - Cóż, po pierwsze, nigdy nie zwracaj się wprost do damy. Chociaż kogoś tak postrzelonego jak pani Laughton to zapewne nie dotyczy. Poznaj najpierw jej rodzinę. Poślij rodzicom jakieś eleganckie czekoladki lub kwiaty, a dopiero później poproś o pozwolenie na złożenie wizyty. - Uśmiechnęła się. - Ale prawdę mówiąc, nie wierzę, że chciałbyś składać pani Laughton wyrazy szacunku, ani też nie sądzę, by mężczyzna tak przystojny jak ty musiał torować do niej drogę za pomocą czekoladek lub kwiatów. Skoro więc wykosztowałeś się już na tę whisky, powiedz, czego naprawdę chcesz.

Seth zacisnął dłoń na szklance.

- Pragnę zagrać w tym mieście o wysoką stawkę - odrzekł, patrząc jej prosto w oczy. - Z solidnymi partnerami.

Nie wiedział, czy ta odpowiedź zdziwiła pannę Elsie, czy tylko potwierdziła jej podejrzenia.

- Wiesz, co to znaczy grać o wysokie stawki, prawda?

- To zależy, co przez to rozumiesz - powiedziała.

Siedziała przez chwilę zamyślona, wpatrując się w niego ponad stołem.

- W tym mieście do gry o największą stawkę potrzeba czegoś więcej niż tylko pieniędzy. Potrzeba znajomości. Tutaj najlepszą grą nie jest poker. Są nią wyścigi. Wyścigi konne.

- Wyścigi konne? - Seth próbował ukryć brzmiące w jego głosie zadowolenie, ale nie był w stanie powstrzymać radosnego uśmiechu, jaki rozświetlił mu twarz. Sięgnął po butelkę i ponownie napełnił swoją szklaneczkę.

- Opowiedz mi o nich.

Po chwili wahania Elsie także wzięła swoją szklanę i przez następne pół godziny Seth nie odezwał się ani słowem, słuchając uważnie i zapamiętując to, co mówiła, oraz snując plany.

Hugh Casom był zmęczony. Pracował przez całą noc, ponieważ jego zmiennik, który prawdopodobnie upił się albo pobił z żoną, albo też jedno i drugie naraz, nie pojawił się w pracy. Hugh marzył o filiżance kawy i myślał o tym, by wstąpić do znajdującej się vis-a-vis hotelu kawiarni, kiedy do holu energicznie wkroczyła Laurel Laughton.

Pani Laughton zwykle chodziła szybko, ale teraz zachowywała się tak, jakby ją ktoś gonił. Spod kapelusza, którego nie zadała sobie trudu nawet przypiąć, wymykały się kosmyki byle jak uczesanych włosów, policzki pały rumieńcem, a z szarych oczu nieomal sypały się iskry. Zmęczenie ustąpiło miejsca niepokoju i Hugh pośpiesznie poprawił kołnierzyk, przywołując na twarz oficjalny uśmiech. Zanim jednak zdołał wypowiedzieć uprzejme dzień dobry, Laurel Laughton stanęła przed kontuarem i gniewnie wymachując dłonią, oświadczyła:

- Chcę się widzieć z Sethem Taitem.

Recepcjonista zamrugął oczyma.

- Seth Tait - powtórzyła niecierpliwie. - Czy zatrzymał się w tym hotelu?

Hugh nie wiedział, co wprawiło go w większe zdumienie: niegrzeczny ton pani Laurel czy też to, że bez żenady przyszła złożyć wizytę w hotelu mężczyźnie. Nie przypominał sobie, by w ciągu tych wszystkich lat, które przepracował w hotelu „Charleston”, zdarzyło się coś podobnego i zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować. Po nie przespanej nocy mąciło mu się w głowie.

Jednego był jednak pewien: żadne okoliczności nie upoważniały go do zapominania o dobrym wychowaniu.

- Dzień dobry, pani Laurel - powiedział z uśmiechem. - Miło mi panią widzieć. Śliczny mamy dziś poranek, prawda?

- Bardzo się śpieszę i nie jestem w nastroju, żeby tracić czas - odparła oschle kobieta. - Ale dziękuję za uprzejme powitanie. Co z panem Taitem?

Uśmiech Hugh'a stał się jeszcze szerszy.

- Tak, owszem, jest gościem naszego hotelu. Bardzo miły dżentelmen, jeśli wolno mi to powiedzieć. - Postąpił krok do tyłu, przygotowując się do wyrażenia swojej opinii o Taicie i jego przyzwyczajeniach oraz zastanawiając się, jak delikatnie wypytać panią Laurel o związki tego człowieka z rodziną Sinclairów, a także o to, jakie wieści przywiózł od ich wspólnych przyjaciół, ale Laurel nie dała mu na to szansy.

- Jaki jest numer jego pokoju? - zapytała.

Te ostatnie słowa ponownie wprawiły recepcjonistę w takie zdumienie, że nie mógł wprost wydobyć z siebie głosu.

- Na litość boską, panie Casom, doskonale wiem, że nie jest pan głuchy, dlatego proszę przestać gapić się na mnie z wytrzeszczonymi oczyma i odpowiedzieć na pytanie. Z pewnością zna pan numer jego pokoju, prawda?

- Cóż... cóż, tak. Sto dziesięć. Ale pani Laughton...

- Dziękuję - rzuciła Laurel, kierując się ku schodom.

- Pani Laurel, proszę zaczekać! Nie może pani tam iść - Hugh Casom wyszedł zza kontuaru. - Proszę pozwolić mi sprowadzić go na dół...

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- Pani Laurel, to jest szacowny hotel! Nie może pani...

Ale „nie móc” najwidoczniej nie było pojęciem mieszczącym się w słowniku Laurel Laughton i Hugh wiedział, że nie mógłby jej zatrzymać, nie wywołując przy tym potężnej awantury, która byłaby czymś jeszcze gorszym od tego, co zamierzała uczynić ta kobieta. Stał więc, załamując tylko dłonie i żywiąc głęboką nadzieję, że pani Sophie nigdy nie dowie się o wyczynach siostrzenicy, a także że wiadomość o wybryku Laurel nigdy nie dotrze do uszu jego żony. Gorąco modlił się o to, by się okazało, iż Tait opuścił już swój pokój. Wiedział jednak, że nie powinien się łudzić.

Obcasy Laurel stukały o marmurowe płyty posadzki. Kobieta świadoma była przerażenia i rozpacz, malujących się w utkwionym w jej plecach wzroku Hugh'a Casoma, ale to tylko pogłębiało jej wściekłość na Setha Taita. Po

południu całe miasto będzie już wiedziało, że Laurel Laughton odwiedziła mężczyznę w hotelowym pokoju, a to stanowiło zbrodnię wcale nie mniejszą od wizyty w burdelu.

To nieprawda, że Laurel lubiła zachowywać się w sposób szokujący przyzwoitych ludzi. Łamała konwenanse jedynie wtedy, kiedy ich istnienie przeszkadzało jej w osiągnięciu jakiegoś celu. Nie było też tak, że nie wiedziała, jak się zachować, z racji tego, że jako wojenna sierota nie miała nikogo, kto wpoiłby jej dobre maniere. Miała pełną świadomość, że żadna szanująca się dama nie przyszłaby do hotelu, pytając o numer pokoju mężczyzny. Ale kiedy w grę wchodziły pieniądze, zasady, jakimi kierowały się damy, przestawały mieć znaczenie. Laurel zaś znacznie bardziej obawiała się nędzy niż utraty dobrego imienia.

„Charleston” był największym hotelem w mieście, a niektórzy twierdzili nawet, że na całym Południu. Miał cztery piętra i zajmował całą przestrzeń między dwoma przecznicami głównej ulicy. Ocalał podczas wojny, przetrwał pożar oraz powódź i stał oto jak pomnik wielkich, minionych dni. Od frontowej strony zdobiły go podcienia, a otwarte podwórze otaczały liczne balkony. Laurel była tu kiedyś przy okazji jakiegoś ślubu, uczestniczyła także w dobroczynnym balu, który odbywał się w długiej na sto stóp jadalni. Oczywiście, nigdy nie wchodziła na górę.

Uznała, że wizyta w burdelu i dyskusja z jego właścicielką musiała mocno ją zahartować i dodać pewności siebie, ponieważ teraz, pomimo ściśniętego gardła i suchych ust, odważnie weszła na piętro.

Ostatecznie - uznała - kiedy ktoś ma tak niewiele do stracenia, nie powinien popadać w zakłopotanie z byle powodu.

Tak się jej przynajmniej wydawało, dopóki nie zapukała do drzwi opatrzonych numerem sto dziesięć.

Początkowo nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Gniewnie zagryzła wargi, unosząc pięść, aby zapukać energiczniej. Okazało się to jednak zbyt skuteczne, gdyż w tej samej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich Seth Tait... Nagi.

W każdym razie takie miała w pierwszej chwili wrażenie. Nigdy dotąd nie widziała mężczyzny bez koszuli...

No nie - przypomniała sobie - jednego widziałam.

Jednakże pierś Jonatana, wąska, biała i niemal pozbawiona włosów, w porównaniu z torsem tego mężczyzny wydawała jej się wręcz dziewczęca.

Tait miał muskularne, silne ciało o szerokich ramionach i wąskiej talii. Całą klatkę piersiową porastały gęste, złotobrązowe włosy, ginące na brzuchu, pod paskiem spodni. Małe brodawki piersi przypominały lśniące, brązowe kamyki i ich widok wywołał na policzkach Laurel silny rumieniec. Z szyi mężczyzny zwieszał się ręcznik, a na twarzy widoczne były smugi mydła do golenia. Co gorsza, on sam nie wydawał się tym ani trochę zakłopotany. Nie był też, prawdę mówiąc, zdziwiony jej wizytą.

Jedynie lekkie uniesienie brwi świadczyło o tym, że zdaje sobie sprawę, iż jest coś niezwykłego w tym, że Laurel pojawiła się przed drzwiami jego hotelowego pokoju. Minę miał jednak taką, jakby spotkali się przy herbacie w salonie przyzwoitego domu.

- Och, pani Laurel. Jak miło, że zechciała pani złożyć mi wizytę. Proszę wejść.

Cofnął się w głąb pokoju, zapraszając ją do środka. Laurel odebrała ten gest jak wyzwanie, ale za wszelką cenę nie chciała załatwiać swoich interesów w holu, weszła więc do pomieszczenia. Nie miała najmniejszej ochoty przebywać z tym mężczyzną w jednym pokoju, niezależnie od tego, czy był ubrany, czy nie, ale zmusiły ją do tego okoliczności.

- Cóż to za mężczyzna, który otwiera drzwi, nie ubrawszy się najpierw? - zapytała z pogardą, starając się nie patrzeć na niego, kiedy zamykał za nią drzwi.

- Pewnie ktoś, kto sądził, że właśnie przyniesiono mu nieco więcej gorącej wody - odparł spokojnie i tym razem, pomimo wysiłków, Laurel nie potrafiła powstrzymać się od spojrzenia na niego.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, było to, że Tait trzyma rękę za plecami, jakby próbował coś tam ukryć. Kiedy odwrócił się, by sięgnąć po koszulę, przekonała się, że ścisnął w dłoni pistolet.

Seth pośpiesznie ukrył broń pod leżącą na jednym z foteli poduszką, po czym włożył koszulę, starannie zapinając ją na wszystkie guziki. Laurel nie mogła otrząsnąć się z oszołomienia po tym, co zobaczyła. Cóż to za mężczyzna, który otwiera drzwi, skrywając za plecami broń? Cóż to za człowiek, który odwiedza burdel, zachęca szacowną damę do gry w pokera o wysoką stawkę, a potem, bez cienia wstydu, przyjmuje zaproszenie na kolację do jej domu?

- Co sprowadza panią tutaj tak wcześnie rano? - zapytał Seth, zapinając ostatni guzik i chowając koszulę w spodnie, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że nie powinien się tak zachowywać w obecności kobiety.

Laurel poczuła się zażenowana tym gestem jeszcze bardziej niż widokiem jego nagiej klatki piersiowej.

Na twarzy mężczyzny pojawił się znany jej już uśmiech, który sugerował, że wie on aż nazbyt dobrze, o czym Laurel myśli. Co gorsza, to była prawda. Rozzłościło ją to do tego stopnia, że odzyskała panowanie nad sobą i wróciła myślami do sprawy, z którą tu przyszła.

- Sądzę, że zna pan doskonale odpowiedź na to pytanie - powiedziała sucho.

Sięgnęła do torebki i wyjąwszy stamtąd plik starannie złożonych banknotów, rzuciła je w jego stronę. Pieniądze zawirowały w powietrzu i opadły na podłogę o kilka cali od jej nóg.

Seth popatrzył na nie z zainteresowaniem.

- Cóż, pani Laurel, wydaje mi się, że tym razem pech panią opuścił. Gratuluję.

- Jedynym pechem, jaki mi się ostatnio przydarzył, było spotkanie z panem - prychnęła. - A następnym razem, kiedy będzie pan szukał kogoś, komu można okazać litość lub kiepskie poczucie humoru, objawiające się podrzuceniem do torebki pięćdziesięciu dolarów, proszę wybrać sobie jakąś inną ofiarę! Ja i bez tego mam dość kłopotów.

Szeleszcząc spódnicą, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Seth ze zboląłą miną podniósł z ziemi pieniądze, ale jego oczy były rozbawione.

- A więc to tak odwdzięcza mi się pani za to, że próbowałem naprawić przykrość, jaką jej sprawiłem, wygrywając w karty? Odwołuję się do pani chrześcijańskiego miłosierdzia, prosząc o przebaczenie, a pani pluje mi w twarz.

- Nigdy nie poniżyłabym się do tego, by na pana splunąć! A jeśli chodzi o wybaczenie... - Laurel odwróciła ku niemu płonący wzrok, rezygnując z pełnego wyniosłej godności opuszczenia jego pokoju, co wcześniej zamierzała uczynić. - Jak pan śmie upokarzać mnie w ten sposób? Płacić mi, jak jakiejś pospolitej... - w ostatniej chwili powstrzymała się przed wypowiedzeniem słowa, które miała już na końcu języka. - I nawet nie starczyło panu odwagi, by zrobić to otwarcie, tylko podrzucił mi pan te pieniądze jak tchórz. Co pan sobie wyobrażał? Sądził pan, że nie domyślę się, skąd pochodzi te pięćdziesiąt dolarów? A może uważał pan, że będzie mi wszystko jedno? Cóż, panie Tait, być może nie mam zbyt wielu zasad, ale przyjęcie pieniędzy od tak pozbawionego skrupułów, kłamliwego łotra jak pan stanowi granicę, do której przekroczenia nie byłaby mnie w stanie zmusić żadna siła! Żegnam pana!

Raz jeszcze ruszyła ku drzwiom i raz jeszcze się zatrzymała. Tym razem uczyniła to z powodu cichego śmiechu, jaki dobiegł do jej uszu. Odwróciła się, patrząc na Taita z prawdziwym oburzeniem.

Seth starannie złożył banknoty i schował je do kieszeni spodni.

- Uważam, że warto było - oświadczył, nie przestając się uśmiechać - dowiedzieć się, jakiejż to granicy pani nie przekroczy.

Dama z pewnością nigdy nie okazałaby swej wściekłości przez gwałtowne trzaśnięcie drzwiami, tak jak zamierzała uczynić to Laurel, ale przecież dama nigdy nie weszłaby do pokoju Taita ani nawet nie pojawiłaby się w hotelu. Przez chwilę ciekawość walczyła w niej ze złością. Na nowo sięgnęła po klamkę, ciekawość jednak zwyciężyła.

- O czym pan myślał? - zapytała. - Czemu pan to zrobił?

- Co? - udał zdziwienie. - Czyżby nie był to po prostu akt rycerskości?

Tym razem Laurel zdołała się jakoś opanować i nie dać się ponieść emocjom, by nie powiedzieć czegoś przykrego. Wyraz jej twarzy świadczył jednak dobitnie, co sądzi o takim wytłumaczeniu. Mężczyzna przyglądał się jej w zamyśleniu.

- Cóż, być może zrobiło mi się żal wdowy, na której barkach spoczywa odpowiedzialność za całą rodzinę. A może tylko chciałem doprowadzić panią do wściekłości? Niewykluczone, że pragnąłem wyrównać rachunki między nami... albo jedynie zyskać pretekst, żeby jeszcze raz panią zobaczyć.

Każdy z tych motywów mógł być prawdziwy, ale też i wszystkie mogły okazać się fałszywe. Laurel była przede wszystkim jednak kobietą, zatem uwagę jej przykuły ostatnie słowa Taita.

- Pragnął pan zobaczyć mnie ponownie? Czego pan ode mnie chce?

- To powinno być dla pani jasne - uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Proszę uważać, co pan mówi! - krzyknęła oburzona, a jego śmiech ponownie wywołał na jej policzkach palący rumieniec.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi. To przecież jasne, że jest pani moją jedyną znajomą w tym mieście, a mieszkańcy Charlestonu niezbyt przepadają za obcymi. Miałem nadzieję, że może zechce mnie pani przedstawić swoim przyjaciołom.

Laurel sama już nie wiedziała, co było bardziej upokarzające: być obiektem wulgarnych uwag, czy też nim nie być. Ów mężczyzna był najbardziej irytującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała i w pierwszym odruchu chciała zapytać, czemu miałaby to zrobić, po czym wyjść, nie odezawszy się

ani słowem. Ciekawość jednak raz jeszcze wzięła górę nad złością. Zrobiła krok w jego stronę i zapytała spokojnie:

- Kim pan jest? Co pan tu robi? Czego pan ode mnie chce?

Z twarzy mężczyzny zniknął wyraz rozbawienia, ustępując miejsca zadumie.

- Czemu otwiera pan drzwi, ukrywając za plecami pistolet? Czego się pan obawia? Twierdzi pan, że przyjechał tu w interesach, ale przed chwilą oświadczył pan, że nie zna tu nikogo prócz mnie. I o co chodzi z tym Pułkownikiem Ike'em, o którego pan pytał?

Na długą chwilę zapadła tak absolutna cisza, że Laurel słyszała bicie własnego serca. Wyraz twarzy Setha świadczył o tym, że błądzi myślami gdzieś daleko, jakby podejmował wyjątkowo ważną decyzję. Poranne słońce wpadało przez okno, kładąc się jasnymi plamami na podłodze u jego stóp. Laurel uświadomiła sobie nagle, jak bardzo czuło się, że pokój ten należy do mężczyzny. Świadczył o tym przede wszystkim wypełniający pomieszczenie zapach mydła do golenia i męskiego potu: woni, z którymi stykała się przez całe życie, ale nigdy nie zwracała na nie uwagi. Teraz jednak nie była w stanie myśleć o niczym innym.

- Zaskoczę panią, pani Laurel - powiedział Seth. - Powiem pani prawdę. A przynajmniej jej część. Przybyłem tutaj, by coś odnaleźć i tylko pani może mi pomóc. To, czego od pani oczekuję, jest... cóż, zupełnie proste. Pragnę, by zaprosiła mnie pani na wyścigi konne, które urządza w sobotę Jockey Club.

Laurel patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. Pomimo iż zdawała sobie sprawę, jak bardzo takie zachowanie jest niewłaściwe, nie była w stanie uczynić nic innego.

- Czego... czego pan chce? - wykrztusiła w końcu, odzyskując głos.

- Pragnę postawić swoje pieniądze na konia - odparł z lekkim zniecierpliwieniem, jakby denerwowało go to, że musi ujawniać przed nią swoje plany. - Jockey Club nie dopuszcza do gry ludzi z zewnątrz, ale pani

odziedziczyła członkostwo w tym klubie i może zabrać mnie tam jako swego gościa.

- Przyjechał pan do Charlestonu tylko po to, żeby postawić pieniądze na jakiegoś konia? - Laurel pokręciła głową. - I sądzi pan, że ma prawo żądać ode mnie zaproszenia... by pozwolono panu... nie, to ja miałabym panu pozwolić... Czemu sądzi pan, że zechcę pomóc?

- Ja pani pomogłem, prawda? - uśmiechnął się. - Nie powiedziałem nikomu o pani wizycie u panny Elsie...

- Ty wstrętny łotrze! Jeśli sądzisz, że zastraszysz mnie...

- Nawet o tym nie pomyślałem - Seth uniósł dłoń w obronnym geście. - Czuję się dotknięty tym oskarżeniem. Niezależnie jednak od wszystkiego musi pani przyznać, że wczoraj zachowałem się wobec pani po rycersku i nawet próbowałem zwrócić pieniądze. Nadal zresztą jestem gotów to uczynić.

- Sądzi pan, że kupi sobie wstęp do Jockey Club za pięćdziesiąt dolarów? - roześmiała się ochryple Laurel. - To wymaga czegoś więcej niż tylko pieniędzy, proszę mi wierzyć.

- Właśnie dlatego - odparł spokojnie - potrzebuję pani pomocy.

- Jest pan śmieszny - oświadczyła. - Nie mogę tak po prostu przyprowadzić obcego człowieka do jednego z najstarszych i najbardziej ekskluzywnych klubów w Charlestonie. Człowieka, z którym nawet nie jestem zaręczona i którego zupełnie nie znam! - Ale kiedy wypowiadała te słowa, w głębi serca miała ochotę uczynić to, przeciw czemu tak gwałtownie protestowała. - Wywołałoby to skandal towarzyski.

- Właśnie dlatego pani mi pomoże - stwierdził Seth. Na jego wargach ponownie zaigrał ironiczny uśmiezek. - To może być największa przygoda w pani życiu i gdyby przepuściła pani taką okazję, mogłaby sobie tego pani nigdy nie darować.

Laurel sama nie wiedziała, co było bardziej irytujące: jego tupet, czy to, że bez wątplenia miał rację. Zaciśnęła usta, powstrzymując się od udzielenia mu

kaśliwej odpowiedzi, którą już miała na końcu języka. Chciała Taitowi jednak zadać jeszcze jedno pytanie.

- Co to za sprawa, w której miałabym panu pomóc? - spytała, kiedy była już pewna, że panuje nad swoim głosem.

- O, to cała historia - odrzekł beztrąsko. - Opowiem ją pani przy kolacji po sobotnim wyścigu.

Usta Laurel zadrżały z irytacji. Zaciśnęła zęby.

- Jest pan ohydny kłamcą i oszustem - wysyczała - i nie przyjąłabym pańskiego zaproszenia na kolację, nawet gdyby był pan ostatnim mężczyzną na ziemi.

Okręciła się na pięcie i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Wkrótce złożę pani wizytę, pani Laurel - powiedział uprzejmie Seth.

Jej ramiona zeszywniały, jak gdyby otrzymała nagły cios, a palce nerwowo zaciśnęły się na klamce.

- A więc lepiej niech pan od razu weźmie ze sobą swój pistolet - powiedziała nie odwracając się. - Może też pan z góry położyć krzyżyk na zaproszeniu do Jockey Club!

Z satysfakcją zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim to jednak uczyniła, ponownie dobiegł ją denerwujący, dźwięczny śmiech Seta.

Przez całą drogę do domu Laurel zastanawiała się, czemu nie cieszy się z tego, co uczyniła. Zamiast tego była jednak wyłącznie poirytowana i w jakiś sposób... podniecona. Sama nie wiedziała, czy jest to skutek złości czy też zadowolenia. Żaden mężczyzna dotąd nie wprowadził jej w takie zakłopotanie, dlatego więc Taitowi przychodziło to z taką łatwością?

Gdyby tylko było to możliwe, machnęłaby ręką na dumę i zatrzymała znalezione pieniądze. Od początku podejrzewała - i Seth te podejrzewanie potwierdził - że owe pięćdziesiąt dolarów miało stanowić jedynie opłatę za jakąś przysługę, a ostatnią rzeczą, jakiej życzyła sobie Laurel, było mieć jakikolwiek dług u mężczyzny takiego jak Tait.

Najbardziej oburzające i denerwujące było to, że ów mężczyzna w żadnym wypadku nie miał ochoty przyjąć do wiadomości odmownej odpowiedzi. Wciąż żywił przekonanie, że dziewczyna będzie gotowa spełnić każdą jego prośbę. Laurel chętnie zapomniałaby o nim, jak o wszystkich innych spotykanych przypadkowo prostytutkach. Powstrzymało ją jednak przed tym dręczące pytanie: dlaczego? Dlaczego się nią interesował, czego od niej chciał, na co liczył, drażniąc się z nią i wyprowadzając z równowagi? Czy chodziło mu tylko o zaproszenie do Jockey Club? Ależ to absurd! W Charlestonie były przynajmniej dwa tuziny ludzi, których znacznie łatwiej zdołałby namówić na wprowadzenie go tam niż ją. Jednocześnie zaś nie ukrywał, że nie ceni zbyt wysoko jej kobiecych wdzięków... Kiedy jednak przypomniawszy sobie ich pocałunek ostatniej nocy, nie była już tego taka pewna. Wspominając tę intymną chwilę, musiała przyznać, że to właśnie dlatego nie potrafiła przestać myśleć o tym człowieku.

Kiedy w końcu dotarła do domu, była spocona i zdyszana, przebyła bowiem całą drogę wyjątkowo szybkim krokiem. Wiedziała, że jeśli wejdzie w tym stanie do salonu, czeka ją kolejny wykład ciotki Sophie na temat tego, jak młode damy powinny zachowywać się w miejscach publicznych, dlatego też przystanąła, by nieco ochłonąć. W tym samym momencie spostrzegła lśniący czarny powóz stojący na podjeździe i serce zamarło jej z niepokoju. Nie rozpoznawała powozu, ale mógł to być doktor Weatherby. Laurel zawsze spodziewała się najgorszego. Zapominając o czerwonych policzkach i potarganych włosach, pośpiesznie wbiegła na schody.

Scena, jaka rozgrywała się w salonie, była prawie tak okropna, jak tego oczekiwała. Zaciągnięte story nie przepuszczały porannego słońca, a przesączające się przez nie światło miało szary, przygnębiający odcień. Sophie ubrana w krzykliwą, różową, poranną sukienkę i staromodny koronkowy czepek siedziała w niskim fotelu, szlochając w chusteczkę, Caroline zaś klęczała przerażona obok niej, poklepując matkę po ręce.

Laurel zdjęła kapelusz i rzuciła go na krzesło, nawet nie zauważając, że spadł na podłogę, po czym szybkim krokiem podeszła do kobiet. - Co się stało? - zapytała bez żadnych wstępów.

Z cienia w kącie pokoju wynurzył się pośpiesznie Cyrus Lars, wiceprezes ich banku, na którego twarzy ulga, że widzi Laurel, mieszała się z zakłopotaniem, jakie wywoływały szloch Sophie.

- Właśnie powiedziałem pani ciotce - oświadczył - jak bardzo jest mi przykro. Gdybym mógł w jakikolwiek sposób pomóc, przysięgam, że bym to uczynił, ale to wszystko zupełnie nie zależy ode mnie. Muszę się trzymać przepisów bankowych, nie mam więc wyboru.

Laurel wiedziała, że te słowa nie wróżą nic dobrego i serce zaczęło bić jej tak szybko, że aż poczuła ból w piersiach. Nie mogła złapać tchu. Ale „nic dobrego” może oznaczać, że mimo wszystko udało się uniknąć najgorszego.

- O co chodzi? - zapytała pośpiesznie.

Bankier z wysiłkiem przełknął ślinę, aż wielka grdyka zadrgała mu pod skórą. Rzucił niespokojne spojrzenie na Sophie. Caroline pełnym bólu, bezradnym wzrokiem popatrzyła w oczy Laurel.

- Chodzi o hipotekę tego domu, pani Laurel - rzekł Cyrus. - Pani wuj przed śmiercią zaciągnął u nas pożyczkę w wysokości pięciuset dolarów i właśnie tydzień temu upłynął termin spłaty. Mogę dać wam jeszcze trzydzieści dni prolongaty, ale obawiam się, że to wszystko. Później będziemy musieli zająć tę posesję.

Pod Laurel gwałtownie ugięły się nogi. Oszołomiona opadła na stojące przy drzwiach krzesło. Nie była w stanie oderwać wzroku od bankiera.

- Pięćset dolarów? - powtórzyła zbielełymi, drżącymi wargami.

- Tak, proszę pani - potwierdził poważnie mężczyzna. - Oto dokumenty. Proszę zobaczyć.

Laurel wzięła papiery, ale nie była w stanie przeczytać tego, co w nich napisano.

- Ale... jak to możliwe? - spytała ochryplym głosem. - Nic nie wiedziałyśmy... nikt nam nie powiedział...

- Pani ciotka otrzymała kopie tych dokumentów już dawno temu - powiedział Cyrus nieco urażonym tonem, jakby oskarżano go, że popełnił jakąś nieuczciwość.

Laurel skamieniała, przenosząc oskarżycielskie spojrzenie na Sophie, która poczęła teraz łkać jeszcze głośniej.

- Ale... - Laurel bezradnie pokręciła głową, próbując zebrać myśli. - Musi istnieć jakiś sposób... Może jakaś kolejna pożyczka... Trzeba...

Mężczyzna popatrzył na nią ze smutkiem.

- Pani Laurel, gdybym tylko mógł paniom jakoś pomóc, na pewno bym to uczynił. Nic więcej już jednak zrobić nie mogę. Trzydzieści dni to najdłuższy termin, jaki wolno mi zaproponować.

Sięgnął po swój kapelusz.

- Przykro mi - powiedział cicho, zerkając na Sophie. Potem skłonił się z namaszczeniem i skierował ku drzwiom. Caroline podniosła się z podłogi, z wysiłkiem powstrzymując łzy.

- Och, Laurel! - szepnęła przełęczniona.

Przez długą chwilę obie kobiety patrzyły na siebie bezradnie, Laurel była jednak myślami gdzie indziej. Oczyma wyobraźni widziała siebie, rozsypującą banknoty u stóp Taita.

- To moja wina - załkała Sophie. - To wszystko moja wina.

Laurel spojrzała na nią w roztargnieniu, nie zadając sobie nawet trudu, by jej przytaknąć. Pięćset dolarów! Gdzież, u licha, znajdzie tyle pieniędzy?!

- Mogłybyśmy przyjąć lokatorów - zaproponowała z wahaniem Caroline.

- Panny Mayfair robią to od lat i nikt nie ma im tego za złe.

- Lokatorów! - Oburzenie osuszyło ostatnie łzy w oczach Sophie i sprawiło, że zerwała się na równe nogi. - Obcy ludzie kładący nogi na należącym niegdyś do mojej matki biurku z wiśniowego drewna! Wypalający

dziury w moich koronkowych francuskich obrusach! Caroline, jak możesz w ogóle proponować coś takiego!

- Ależ, mamó, ja tylko...

Laurel nie słuchała ich. To, co mówiły, nie miało teraz znaczenia. Nie zarobią na lokatorach pięciuset dolarów w ciągu miesiąca, nawet gdyby założyły interes podobny do tego, jakim kierowała panna Elsie, gdzie klienci płacili za każdą godzinę pobytu. Ta myśl nieomal wywołała w niej atak histerycznego śmiechu, zdołała go jednak jakoś stłumić. Pięćset dolarów. Czy to możliwe, by jeszcze wczoraj... a nawet dziś rano suma pięćdziesięciu dolarów wydawała jej się całym światem?

Gdzieś z oddali dobiegło ją pukanie do drzwi i ciężkie kroki Lacey, która poczłapała je otworzyć.

Co teraz? - pomyślała zrozpaczona.

Lacey weszła do pokoju, niosąc małą, płaską paczuszkę i Sophie natychmiast przerwała gorączkową dyskusję, którą toczyła z Caroline.

W okamgnieniu, zapominając o zmartwieniach, z dziecięcą radością rzuciła się, by rozpakować przyniesiony pakunek.

- A cóż to znowu?! - wykrzyknęła podniecona. - Ciekawa jestem, kto to przysłał? Od dawna nie dostaję od nikogo prezentów, a przecież nawet nie mam dziś urodzin. Och! - Jej oczy stały się okrągłe ze zdumienia, kiedy uniosła do góry wieczko eleganckiego złotego pudełka. - Czekoladki! Dziewczęta, spójrzcie na to! Prawdziwe czekoladki!

- Skąd się one wzięły? - zapytała ze zdumieniem Caroline.

- Tu jest liścik - Sophie zamachała w powietrzu skrawkiem papieru. - Och, moja droga, przeczytaj to. Ja nie jestem w stanie. Wyobraźcie sobie, czekoladki! Któż mógł nam je przysłać?

Caroline wzięła z rąk matki mały kartonik.

- „Droga Pani - przeczytała. - *Proszę przyjąć ten drobny wyraz wdzięczności za szczerą gościnność, jaką ostatniego wieczoru okazała Pani*

nieznajomemu człowiekowi. Byłbym zaszczycony, mogąc zrewanżować się za jej uprzejmość. Chciałbym jutro zabrać Panią i Jej przemiłą rodzinę na przejażdżkę, o ile tylko pozwoli na to pogoda.

Pani wdzięczny sługa - Seth Tait".

Caroline podniosła oczy i zmarszczyła brwi, patrząc na zmianę na Laurel i chichoczącą z podniecenia matkę.

- Mówiłam wam, że to dżentelmen! - zawołała triumfująco Sophie. - To oczywiste, skoro jest spokrewniony z Taitami z Atlanty. Wyobrażacie sobie: przysłał czekoladki i zaproszenie!

- No cóż, wydaje się, że masz wielbiciela, mamó - powiedziała Caroline, uśmiechając się nieznacznie.

Sophie radośnie popatrzyła na Laurel. Kłopoty, które jeszcze przed chwilą wprawiały ją w przygnębienie, zupełnie wyleciały jej z pamięci.

- To nie ja, moja droga. Nie bądź głupia! To nasza droga Laurel... Usłyszawszy, kto jest ofiarodawcą prezentu, Laurel ogarnęła wściekłość i niedowierzanie. Tait, który sądził, że kupi ją za pięćdziesiąt dolarów i pomimo ich porannego spotkania miał czelność przysłać ciotce czekoladki oraz zaproszenie na przejażdżkę i którego największy problem stanowiło to, jak stracić pieniądze na wyścigach konnych, był z pewnością ostatnią osobą na świecie, o której chciała w tym momencie myśleć.

Podniosła się jednak z krzesła i wzięwszy z ręki Caroline list Seta, przez długą chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Wydaje się zupełnie miłym człowiekiem - powiedziała z wahaniem jej kuzynka. - Być może, że jego prezent jest jedyną dobrą rzeczą, jaka nas dzisiaj spotkała...

Seth Tait ze swoim najpiękniejszym pokojem hotelowym w mieście, dużymi sumami pieniędzy i zamiłowaniem do gier hazardowych... Czyżby to

zaledwie wczoraj Laurel rozpaczliwie próbowała znaleźć wśród swych przyjaciół kogoś, kto miałby pieniądze? Ale jeszcze wczoraj nie знаła Taita...

Powoli, z zamyślonym wyrazem twarzy, podniosła wzrok znad listu.

- Tak - mruknęła.

Caroline, która widywała już wcześniej u kuzynki podobną minę, poczuła się nieco zaniepokojona i już otwierała usta, by zadać jej jakieś pytanie, Sophie jednak nie dopuściła córki do głosu.

- Przynieś mi moją papeterię, Caroline. Pośpiesz się! Muszę natychmiast mu odpisać. Oczywiście, wybierzemy się z nim na przejażdżkę. Nie pamiętam już, od jak dawna nie byłam na żadnym spacerze!

Caroline zawahała się, patrząc niepewnie na Laurel, ta jednak uśmiechnęła się tylko. Jej oczy pozostały jednak zimne i poważne.

- Tak - przytaknęła spokojnie. - Wybierzemy się na przejażdżkę.

ROZDZIAŁ 7

L laurel nie wiedziała, czemu ich podróż skończyła się akurat w Chinatree, ani też, kto poddał pomysł, by zwyczajny spacer przemienił się w wyprawę z piknikiem. Podejrzewała, że odpowiedzialność za to ponosi ciotka Sophie i usiłowała wmawiać sobie, że wszystko, co pozwala jej spędzać więcej czasu z Taitem, leży w jej własnym interesie. Mimo to wyprawa do Chinatree nie spodobała się Laurel.

Seth wynajął na cały dzień otwarty powóz i zajął wraz z Laurel miejsce na koźle, podczas gdy Caroline i Sophie usiadły za nimi z tyłu. Podskakując i trzęsąc się na nierównej drodze, dotarli w końcu do jednej z najbardziej eleganckich plantacji w Charles. Jak do wielu domów na plantacjach i do tego wiodła wysadzana dębami aleja. Gdy tylko Seth skierował powóz w mroczny tunel utworzony z ich koron, Sophie poczęła za ich plecami szczebiotać o tym,

jak niegdyś wyglądało to miejsce, kiedy podjazd wysypywano różowymi muszelkami, rabaty i klomby wysadzano azaliami, a czarni chłopcy w bryczesach biegli przed powozem, spędzając sprzed jego kół spacerujące po podjeździe pawie.

Laurel oczywiście nie pamiętała żadnej z tych rzeczy. Chinatree zostało spalone przez oddział jankeskich dezertersów zimą 1863 roku, krótko po tym, jak zaczęło się obleżenie i na trzy miesiące przed jej urodzeniem. Wszystko, co pozostało z jej dziedzictwa, to wspomnienia matki i opowieści ciotki Sophie oraz obrazy podsuwane przez własną wyobraźnię. To miejsce było dla niej w jakiś sposób święte i właśnie dlatego nie czuła się dobrze, sprowadzając tu kogoś obcego.

- Oczywiście, panie Tait, nie poznałby pan teraz tego miejsca - zakończyła Sophie z westchnieniem. - Tak wiele straciliśmy. - Rozłożyła wachlarz i poczęła się nim chłodzić. - Tak wiele.

- Nie sądzę, by pana Taita to interesowało - stwierdziła Laurel. - Nie wiem, czemu w ogóle tutaj przyjechaliśmy. Nie pozostało tu przecież nic prócz cmentarza. To nie jest odpowiednie miejsce na piknik.

- Och, ale to taka przyjemna przejażdżka - wzięła matkę w obronę Caroline. - Czyż nie było miło wyjechać z miasta? Wydaje mi się, że jest tu znacznie chłodniej niż pomiędzy murami, prawda?

- Ani trochę - odrzekła Laurel, odsuwając ramiona od lepkiego z upału siedzenia.

Seth uśmiechnął się nieznacznie.

- Mam nadzieję, że nie zmęczyłem pani za bardzo - powiedział cicho, tak że dwie pozostałe kobiety nie mogły usłyszeć go przez turkot kół.

Pionowa zmarszczka niepokoju przecięła czoło Laurel. Czyżby aż tak wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy próbowała czarować mężczyzn, że zupełnie zapomniała, jak to robić? A może nigdy tego nie umiała? Wiedziała, że ostry język nie jest najlepszym sposobem wywarcia dobrego wrażenia na

człowieku, od którego oczekuje się wyświadczenia przysługi, była jednak pewna, że Seth Tait nie dałby się nabrać na nieszczerze pochlebstwa i komplementy. Poza tym wcale nie musiała wywierać na nim dobrego wrażenia. Tait przybył tu, mając jakieś własne plany i wystarczyło spokojnie obserwować jego poczynania, dowiedzieć się, o co mu chodzi, i zobaczyć, czy można z tego wyciągnąć jakieś korzyści dla siebie.

- Być może pod tymi drzewami jest trochę chłodniej - przyznała po chwili niechętnie.

Seth roześmiał się, a to nigdy nie kojarzyło się Laurel z niczym dobrym. Czując na karku spojrzenia siedzących z tyłu kobiet i jej twarz oblała się rumieńcem.

Gdyby rok temu ktoś powiedział Sethowi, że będzie jechał wynajętym powozem przez wiejską okolicę Karoliny Południowej, wioząc trzy damy ubrane w żałobne suknie, uznałby tego kogoś za szaleńca. Nawet teraz nie do końca jeszcze wierzył, że rzeczywiście odbywa tę przejażdżkę.

Zbyt wiele słyszał o Chinatree, by nie chcieć zobaczyć tego miejsca, a ponadto uważał, że będzie to doskonały cel siedmiomilowej wyprawy za miasto. Pułkownik sądził, że złoto zakopano właśnie tutaj, skoro więc i tak zamierzał odwiedzić tę posiadłość, cóż stało na przeszkodzie, by uczynił to już teraz?

Wiedział, że dom został spalony podczas wojny. Zdaniem Pułkownika, właśnie to wydarzenie sprawiło, że Gus postanowił ukraść złoto, zamiast przekazać je armii konfederackiej. Miał nadzieję, że dzięki niemu on i jego rodzina będą mieli za co żyć po wojnie. Seth nie wziął jednak pod uwagę, jak wielka była to posiadłość i jakie zmiany mogły zajść tutaj podczas dwudziestu lat.

Widywał wprawdzie na Zachodzie rancza wielkości całych stanów, ale zawsze sądził, że farmy we wschodniej części kraju są znacznie mniejsze. Tymczasem już od piętnastu minut jechali przez zielony, słodko pachnący tunel

drzew i nadal nie widzieli przed sobą jego końca. Wszystko dookoła było takie żywe, tak soczyście zielone. Seth nie przestawał myśleć o ziemiach na Zachodzie, gdzie pustynne tereny zdawały się nie zmieniać od wieków, a otwarte przestrzenie pozwalały dostrzegać zbliżające się niebezpieczeństwo jeszcze wtedy, gdy znajdowało się o milę dalej. Tutaj nie widział nic - nawet końca alei.

- Co to jest? - zapytał Seth, wskazując końcem bata zwieszające się z koron drzew grzywy, przypominające uplecione z siana girlandy.

- Widzę to wszędzie, gdziekolwiek spojrzę. Czy to jakiś ptak buduje w ten sposób gniazda?

- To hiszpański mech - wyjaśniła Laurel, rzucając mu rozbawione spojrzenie. - Pełno go tutaj. Niektórzy ludzie sądzą, że wygląda bardzo romantycznie.

- Doprawdy? - Tait nie odwzajemnił jej spojrzenia, wciąż z uwagą przyglądając się mchom. - To muszą być nadzwyczaj dziwni ludzie.

Laurel starała się powstrzymać uśmiech, bezskutecznie jednak.

- Sprawia pan wrażenie, jakby czuł się tutaj jak wyjęta z wody ryba - powiedziała szczerze. - Cokolwiek przywiodło pana na Wschód, musiała to być wyjątkowo ważna rzecz.

Mężczyzna obdarzył ją beztroskim, radosnym uśmiechem. Kiedy się uśmiechał, stawał się jeszcze przystojniejszy.

- Być może przyjechałem tu tylko po to, żeby podziwiać widoki. Laurel musiała odwrócić wzrok, by zachować powagę.

- No i jak się one panu podobają? Uśmiech Seta stał się jeszcze szerszy.

- Niezbyt to pani wychodzi.

- Co? - zapytała ostro.

- Bycie uprzejmą. Nie to, żeby mi na tym zależało. Wolę, kiedy mówi pani to, co myśli.

Laurel zapatrzyła się przed siebie. Ten mężczyzna był wprost niemożliwy.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi.

- Jeśli chodzi o to, co myślę o tutejszym krajobrazie - nie odpowiadając na jej pytanie, Seth powrócił do poprzedniego tematu - uważam, że jest tu zbyt zielono, zbyt żyźnie i wszystko rośnie zbyt blisko siebie. To wprost zdumiewające, że człowiek nie dusi się za każdym razem, gdy próbuje zaczerpnąć powietrza.

Laurel obróciła głowę tak, że niemal mogła obejrzeć się przez ramię, ale mimo to musiała unieść dłoń, by ukryć uśmiech.

- Och, Laurel, zobacz, to róże twojej matki! - wykrzyknęła w podnieceniu ciotka Sophie. - Obawiałam się, że zniszczył je mróz. Och, panie Tait, jakże żałuję, że nie może pan zobaczyć tego ogrodu takiego, jaki był w dawnych czasach. Matka Laurel miała najpiękniejszy ogród w dwóch hrabstwach. Wracając powinniśmy wziąć ze sobą trochę ciętych róż...

Sophie paplała dalej, ale Seth już jej nie słyszał. Zielony tunel skończył się wreszcie i wyjechali na otwartą przestrzeń. Było to miejsce, które od dawna chciał zobaczyć. Nie ujrzał jednak nic prócz ruin.

Resztki szerokich, krętych schodów wiodły na niewidoczny ganek. Pośrodku pustego placu sterczał wysoki, prosty komin. Kilka jardów od niego wznosił się drugi, na wpół zrujnowany. Sękate drzewo ocieniało pogorzelsko, które kiedyś musiało być kuchnią, a kilka poszarzałych ścian oraz zapadnięty dach pozwalały domyślać się, gdzie stały budynki gospodarcze. Trawa sięgała tu do kolan, a krzewy owocowe niemal zupełnie tonęły w morzu chwastów. Kamienne murki okalające niegdyś klomby kwiatów obrosło całkowicie dzikie wino. Patrząc na to wszystko, Seth poczuł, jak ogarnia go smutek.

Nie było tu nic prócz wspomnień o dawno minionych czasach i choć logicznie rzecz ujmując, nie oczekiwał niczego innego, czuł się w irracjonalny sposób rozczarowany. Jeśli zaś chodzi o miejsce, w którym mogły zostać zakopane pieniądze, to nawet gdyby je jakoś oznaczono, ślady po tym zniknęły już dawno temu. Nie wiedział nawet, od czego mógłby zacząć poszukiwania.

Uwiązał konie w cieniu słodko pachnącego drzewa i przez chwilę stał nieruchomo. Widoczne wokół spustoszenie urastało w jego umyśle do rangi symbolu. W świetle tego, co zobaczył, jego poprzednie plany zakrawały wręcz na szaleństwo. Chciał zobaczyć to miejsce, a kiedy już to uczynił, mógł równie dobrze zawrócić powóz i odjechać tam, skąd przybył. Mógłby przecież spędzić całe życie, przekopując tutejszą ziemię i nic nie znaleźć.

Po chwili jednak poczuł przyływ nadziei, owej niezłomnej determinacji, której nic nie było w stanie pokonać: ani zmieniające się czasy, ani nawet sama śmierć. Złoto było tutaj. Pułkownik miał co do tego pewność. I jeśli nawet Seth nie wiedział, od czego zacząć poszukiwania, istniał ktoś, kto mógł mu pomóc - być może jedna z tych kobiet lub jakiś stary bywalec Jockey Club. Wiedział, że Augustus Sinclair zostawił list, w którym mogły być zawarte jakieś dodatkowe wskazówki. Zadaniem Seta było je odnaleźć.

Poza tym nie istniało żadne inne miejsce, do którego mógłby się udać.

Z uśmiechem odwrócił się, by pomóc wysiąść kobietom.

Laurel zastanawiała się, o czym rozmyślał Tait, stojąc wśród ruin, w których legły nadzieje Południa. Zawsze ciekawiło ją, o czym myślą inni. Była zbyt młoda, żeby pamiętać to miejsce inne, niż było teraz, ale słyszała na jego temat liczne opowieści, które pobudzały jej wyobraźnię. To właśnie dlatego tak je czciła. Stanowiło ono dowód na to, że kiedyś życie jej rodziny wyglądało inaczej. Ilekroć tu przyjeżdżała, niezależnie od tego, jak źle się jej wiodło, patrząc na tę posiadłość, potrafiła uwierzyć, że kiedyś jej los znowu się odmieni.

Obserwowała, jak Seth uprzejmie skłania głowę przed ciotką Sophie i z zaskoczeniem dostrzegła, z jakim taktem pomaga Caroline przejść po nierównej ziemi. Zadawał liczne pytania i wydawał się szczerze zainteresowany opowiadanymi mu historiami, czego Laurel zupełnie nie mogła pojąć. Może dlatego, że sam nie miał rodziny ani żadnych wspomnień o niej? O ile oczywiście to, co powiedział im o sobie, było prawdą.

Wybrali miejsce pod wielką magnolią, która niegdyś ocieniała wschodnią galerię domu. Seth usunął spod niej połamane gałęzie i zeszcłę pędy kwiatów, Laurel zaś zabrała się do rozpakowywania koszyka z jedzeniem. Sophie i Caroline udały się na leżący w pobliżu cmentarzyk, by odwiedzić groby przodków.

- Czy wszyscy krewni pań są tu pochowani? - zapytał Tait, patrząc w ślad za nimi.

- Moja matka leży w Saint Mary - odparła Laurel. - Nigdy natomiast nie znaleziono ciała ojca.

- Sądziłem, że umarł w szpitalu, tak jak napisał w liście do domu.

- W polowym szpitalu - uściśliła Laurel, rozkładając na ziemi koc i wygładzając go. - Wielu ludzi zostało pochowanych tam, gdzie zginęli, kiedy wojska Unii atakowały szpitale. Było to bardzo ciężkie dla mojej matki, ponieważ w ostatnim liście ojciec dokładnie określił, jak chce zostać pochowany, a ona, niestety, nie mogła spełnić jego ostatniej woli.

A więc było tak, jak myślał. Skarb rzeczywiście ukryto w Chinatree. W milczeniu czekał na dalsze słowa Laurel. Był pewien, że w liście, o którym wspominała dziewczyna, znajdowały się wskazówki, gdzie zakopano złoto. Instrukcje co do pogrzebu - jakież to bezpieczny sposób wskazania żonie, gdzie schowane są pieniądze. Miało się przy tym pewność, że nie wpadną w niepowołane ręce. W tamtych czasach bowiem nie wynajmowano obcych ludzi do kopania grobów - robili to zaufani służący albo członkowie rodziny. Uważano to za swego rodzaju rytuał.

A więc pieniądze znajdowały się na cmentarzyku - to było logiczne.

Seth pochylił się, prostując rogi koca. Mimo podniecenia, jakie go ogarnęło, wyraz jego twarzy nadal pozostawał obojętny.

- Co za szkoda! Po co jednak w ogóle przysyłał jakiegokolwiek dyspozycje co do pogrzebu? Czy nie pragnął po prostu, by pochowano go na rodzinnym cmentarzu?

Laurel pokręciła głową.

- To dziwna historia. Wcale nie chciał być pochowany na tym cmentarzyku. Ciotka Sophie twierdzi, że to właśnie dlatego Bóg pokarał go tym, iż nigdy nie powrócił do domu. Sądzę zresztą, że gdyby nawet mama pochowała go tam, gdzie sobie życzył, i tak tu, w posiadłości, odbyłby się drugi pogrzeb.

- Ach, tak? A gdzież to chciał być pochowany? - Seth starał się, by jego głos brzmiał spokojnie.

Oboje klęczeli teraz na kocu, wygładzając jego fałdy i kiedy Laurel obróciła się, niespodziewanie dostrzegła, że twarz Setha znajduje się zaledwie o kilka cali od jej własnej. Inny mężczyzna poczułby się zapewne niezręcznie w tej sytuacji, ale Tait, jak zawsze, robił wrażenie spokojnego i opanowanego. Zmarszczywszy lekko brwi, Laurel odsunęła się, siadając na piętach.

- Cóż za okropnie smutny temat rozmowy znaleźliśmy sobie - powiedziała. - Lepiej dajmy mu spokój.

- To ciekawe, co pani mówiła. - Seth usiadł na kocu, obejmując ramionami kolana i starannie ukrywając niecierpliwość.

Wiedział jednak, że w swoim czasie i tak dowie się wszystkiego. Umiał czekać. Zdarzało mu się przecież całymi tygodniami ukrywać się na opustoszałym ranczo albo godzinami leżeć w bezruchu wśród gęstych zarośli, podczas, gdy przeszukujący teren ludzie szeryfa znajdowali się zaledwie o sześć stóp od niego.

Laurel uniosła rękę, by odsunąć zwieszającą się nisko gałązkę, która łaskotała ją w szyję; zbyt późno uświadomiła sobie, że zrobiła to szybkim, nerwowym gestem.

- Cóż, pańska ciekawość będzie musiała pozostać nie zaspokojona - odparła oschle. - Nie wiem, gdzie chciał spocząć mój ojciec. Opisał to miejsce w liście... pragnął chyba, by pochowano go tam, gdzie po raz pierwszy ujrział moją matkę, ale nie zaglądałam do ich korespondencji już od lat.

Seth nie oczekiwał, że dowie się w tej chwili czegoś więcej. I tak uzyskał już najważniejszą informację: Laurel wciąż miała ów list i on musiał tylko wysledzić, gdzie go przechowuje. Na pewno znajdzie sposób, by go wykraść. Co zabawne, nigdy dotąd nie ukradł rzeczy tak zwyczajnej jak list.

Usiadł blisko Laurel i uśmiechnął się, kiedy dziewczyna pośpiesznie odsunęła się od niego.

- Widzę, że panią denerwuję.

Laurel chciała odruchowo zaprotestować, wiedziała jednak, że jest to bezcelowe.

- Zawsze mnie pan denerwuje - odrzekła krótko, strzepując ze spódnicy kawałki zeschniętych liści. - To tak jak przebywanie w tym samym pokoju z tresowanym niedźwiedziem: można założyć mu łańcuch, ale nigdy nie wie się, co uczyni.

Seth roześmiał się szczerym, serdecznym śmiechem, a w jego oczach pojawiły się wesole ogniki. Laurel syknęła niespokojnie i rozejrzała się wokół, sprawdzając, gdzie znajduje się jej ciotka.

- Nie tak głośno! To nieprzyzwoite. Niech pan zobaczy, co pan uczynił - ciotka Sophie już tu wraca. Pomyśli sobie, że pan...

- Co? - Mężczyzna przestał się śmiać, ale w jego oczach nadal błyszczało rozbawienie. - Pomyśli, że dobrze się bawię podczas pikniku z piękną dziewczyną, albo może, że staram się panią oczarować.

Przez chwilę Laurel nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła w jego błyszczące oczy i czuła się jak młoda panna, adorowana przez najprzystojniejszego kawalera w mieście. Trwało to jednak zaledwie chwilę. Szybko otrząsnęła się z tego wrażenia.

- Nie jestem piękną dziewczyną, a pan nie próbuje mnie oczarować. Proszę zachowywać się jak należy.

Seth patrzył na nią w zamyśleniu, nie przestając się uśmiechać.

- Cóż... - powiedział, kiedy ciotka Sophie zbliżyła się do nich. - Myślę, że co do jednego ma pani rację. Nie jest pani piękną dziewczyną. Jest pani kobietą.

Laurel popatrzyła mu w oczy, niewiele jednak zdołała w nich wyczytać. Ciotka Sophie, wachlując się gwałtownie, stanęła tuż przy nich.

- Mówię ci, Laurel - oświadczyła - że nigdy nie widziałam takiego bałaganu! Musimy wynająć kilku chłopców, żeby przyjechali tutaj i oczyścili groby. To wprost obraza boska, jak bardzo pozwoliłyśmy im zarosnąć! Cóż o nas powiedzą ludzie?

Seth wstał i pomógł Sophie usiąść na kocu, zanim to jednak uczynił, mrugnął porozumiewawczo do Laurel. Ponieważ nie był w stanie poradzić sobie sam ze starszą panią, ona także wstała i nie mogąc powstrzymać uśmiechu, ujęła ciotkę Sophie pod drugie ramię. Piknikowy lunch był kolejną ekstrawagancją z rodzaju tych, o jakie Laurel urządzałaby prawdziwe piekło, gdyby nie to, że okazywanie Sethowi gościnności leżało w jej własnym interesie. Sophie nakazała Lacey upiec całą szynkę oraz kurczaka, ale to stanowiło jedynie początek uczyty. Wśród licznych przysmaków znalazły się między innymi: pełna taca bułeczek, tuzin marynowanych jaj oraz nieprzeliczone ilości pieczonych jabłek, sernika i ciasta jagodowego. Laurel patrzyła z niedowierzaniem, jak, potrawa po potrawie, kolejno rozkładano te rzeczy na kocu. Z powodzeniem można by tym nakarmić wszystkich członków ich kościelnej wspólnoty i jeszcze sporo by zostało. Laurel próbowała choć na chwilę przestać zastanawiać się nad tym, czego może chcieć od niej Seth i skupić uwagę na jedzeniu.

Mimo wszelkich wysiłków nie mogła jednak oderwać myśli od Taita. Najbardziej interesującą rzeczą było to, jak wiele ten człowiek ma pieniędzy.

Laurel zdumiewało, jak łatwo jej domownicy zapomnieli o czającym się tuż za drzwiami nieszczęściu. Dziwiła się, że potrafią cieszyć się piknikiem tak, jakby nic się nie stało. Ale właściwie czemu miałyby być inaczej? Wiedzieli przecież, że Laurel coś wymyśli. Zawsze tak było. Laurel zajmie się nimi, tak jak to czyniła już wielokrotnie.

Tym razem jednak dziewczyna nie była wcale pewna, czy zdoła zapobiec nieszczęściu grożącemu jej rodzinie. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny czuła narastającą panikę, zrodzoną z obawy, że być może tym razem nie uda jej się nic wymyślić. Seth Tait wydawał się jej jedynym ratunkiem, a nie była przecież nawet pewna, czy ma on pięćset dolarów. A nawet jeśli je miał, to w jaki sposób przekonać go, żeby pożyczył jej te pieniądze? Przecież ledwie go znała.

Jednak poprzedniego dnia wyznał, że Laurel posiada coś, czego pragnął. Gdyby więc udało jej się zaproponować wymianę...

Przede wszystkim musiała się dowiedzieć, na czym to Sethowi tak zależało, a później przekonać go, że owa rzecz jest warta przynajmniej pięćset dolarów. Och, jakże nienawidziła takiego kalkulowania! Jakże obce było jej naturze! O ileż prościej byłoby, gdyby mogła porozmawiać z nim otwarcie, jak mężczyzna.

Po posiłku resztki jedzenia zapakowano z powrotem i ciotka Sophie rozsiadła się wygodnie z tamborkiem do haftów, a Caroline pochyliła głowę nad książką. Laurel sama nie wiedziała, czy powinna zbesztać ciotkę, czy też podziękować jej, kiedy ta, z całkowitym brakiem subtelności, zaproponowała:

- Czemu nie oprowadzisz pana Taita po naszej posiadłości, Laurel? Taka przechadzka po jedzeniu dobrze ci zrobi.

Innym razem Laurel udzieliłaby ciotce ostrej odpowiedzi, jaka cisnęła jej się na usta: że spacer w takim upale może przyprawić człowieka o chorobę serca, że nie ma tu nic do oglądania prócz chwastów i węży, że pan Tait, podobnie jak ona sama, nie ma sił na żadne spacery. Zważywszy jednak na swoje plany, uznała, że nie powinna tracić takiej okazji.

Zlekceważyła więc szydercze błyski w oczach Taita i nawet zdołała uśmiechnąć się do niego, gdy pomagał jej wstać z koca. Kiedy podawał swoją rękę, dostrzegła, że miał duże, noszące ślady ciężkiej pracy dłonie. Ich dotyk przyprawił ją o lekki dreszcz. Przerażona tym, puściła rękę Taita natychmiast,

gdy tylko stanęła na nogach. Lekceważąc podane jej ramię, poprawiła na głowie kapelusz i zawiązując pod brodą czarne wstążki, ruszyła w stronę domu.

- Czyżbyśmy brali udział w wyścigach? - zapytał Seth.

- Przepraszam - Laurel zwolniła kroku. - Jest tu bardzo nierówno. Proszę uważać, żeby się pan nie przewrócił.

- To raczej ja mógłbym ostrzec przed tym panią - odrzekł, rzucając jej rozbawione spojrzenie. - Jak wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni odbyła pani przechadzkę z jakimś mężczyzną?

- Dwie noce - odparła natychmiast. - Spacerowałam z panem po ogrodzie.

- I, o ile pamiętam, czuła się pani wówczas o wiele swobodniej.

Laurel nabierała już tchu, by mu odpowiedzieć, uznała jednak, że jeszcze będzie miała na to czas. Unosząc lekko spódnicę i omijając co większe kępy trawy, w milczeniu szła przed siebie.

Powietrze było ciężkie i gorące, pulsujące odgłosami cykad i przesycone wonią magnolii oraz jaśminu, ale poza tym, wyjąwszy szelest trawy, gdy spod nóg uciekało im jakieś małe stworzenie, wszystko pozostawało nieruchome i ciche.

Ruszyli wzdłuż ruin budynku, wlokąc się noga za nogą przez od dawna nie pielęgnowane klomby kwiatów. Po drodze minęli małą kamienną rzeźbę, tak popękaną, obtłuczoną i obrośniętą mchem, że zupełnie nie można było odgadnąć jej niegdysiejszych kształtów. Już po chwili Laurel niemal zupełnie zapomniała o obecności Seta i zatoneła w myślach o swojej dawno utraconej rodzinie. Tait wyczuł chyba jej nastrój, ponieważ przez dłuższy czas nie odzywał się ani słowem, a kiedy w końcu to uczynił, jego głos brzmiał cicho i łagodnie, jakby nie chciał jej przeszkadzać.

- Nie podoba się pani to, że przyjechałem tutaj, prawda? - jego domyślność przeraziła Laurel. To było tak, jakby czytał w jej myślach.

- Nie lubi pani, kiedy ktokolwiek poza panią tu przyjeżdża.

To stwierdzenie zaskoczyło ją do tego stopnia, że nie była nawet w stanie zdobyć się na uprzejme zaprzeczenie.

- Niewiele prócz tego, co pan tu widzi, pozostało mi na świecie - powiedziała szczerze i bez zastanowienia. - Wiem, że kiedy się na to patrzy, wydaje się to mało... - zatoczyła ręką krąg w powietrzu - ale stanowi to dla mnie pewien symbol. - Popatrzyła na niego z nagłym zakłopotaniem. - Wiem, że dla pana brzmi to głupio. Nie może pan tego zrozumieć.

- Nie - zgodził się Seth. - Sądzę, że nie mogę, zważywszy na to, że oprócz konia i siodła nigdy w życiu nie posiadałem niczego więcej. Coś takiego, jak to... - rozejrzał się dookoła, jak gdyby się nad czymś zastanawiał. - Wydaje mi się, że gdyby coś takiego należało do mnie, w pełni podzielałbym pani uczucia. Miałbym ochotę to chronić.

Tak - pomyślała Laurel - chronić.

Właśnie to uczucie przepelniało jej serce, kiedy patrzyła na Chinatree. To było jej sekretne, prywatne miejsce i Seth to rozumiał.

Przez chwilę oboje szli w milczeniu, lecz było to już milczenie innego rodzaju: pełne zrozumienia i życzliwości. Seth podniósł z ziemi złamaną gałązkę wierzby i w zamyśleniu kołysał nią w powietrzu. Był bez kapelusza i słońce igrało swobodnie w jego włosach. Laurel przyłapała się na tym, że spogląda na niego o wiele częściej, niż wypadało to czynić przyzwoitej damie.

- Nigdy dotąd nie zastanawiałam się, jak to jest, kiedy się nie wie, kim byli nasi przodkowie ani skąd pochodzili - powiedziała po chwili Laurel.

- Musi to wywoływać w człowieku uczucie pustki.

- Czasami - przyznał. - Ale na ogół jest to bez znaczenia. Wcale się o tym nie myśli.

Laurel rozważała przez chwilę jego słowa, po czym uśmiechnęła się blado.

- Może rzeczywiście nie jest to aż takie złe. Czasem myślę, że byłabym szczęśliwsza nie pamiętając, kim jestem i skąd pochodzę. Bóg mi świadkiem, że mogłabym wtedy działać o wiele więcej.

Seth zachichotał, patrząc na nią z rozbawieniem.

- Założę się, że ma pani rację - przytaknął.

Doszli do odległego skrzydła domu. Drogę zagrodziły im prawie w całości porośnięte dzikim winem, rozwalające się kolumny portyku.

- Czy kiedykolwiek myślała pani o tym, żeby to odbudować? - Seth zatoczył łuk wierzbową gałązką, uważnie przesuwając wzrokiem po ruinach.

- Odbudować Chinatree? - roześmiała się zaskoczona. - Czy wie pan, jakich pieniędzy by to wymagało?

Seth rozejrzał się dookoła.

- Zupełnie nie mam pojęcia, jak to wszystko mogło kiedyś wyglądać. Przypuszczam, że pani także. Ale można by zacząć wszystko od początku. Można by wznieść tu mały dom i hodować konie. Tak właśnie bym postąpił, gdyby ta posiadłość należała do mnie.

Chinatree miałyby się stać farmą, na której hoduje się konie! Laurel nie wiedziała, jak wyrazić swoje oburzenie, dlatego też nawet nie próbowała tego czynić.

- Czasami lepiej pozostawić przeszłość w spokoju, panie Tait - oświadczyła.

- Tak pani uważa? - uśmiechnął się.

Było w tym uśmiechu i w malującym się w jego oczach rozbawieniu coś, czego Laurel nie rozumiała i co ją niepokoiło.

- Czemu zabrał nas pan na tę przejażdżkę? - zapytała z głębokim westchnieniem.

- A czemu panie przyjęły moje zaproszenie? - odpowiedział pytaniem Seth.

- To proste. Nie możemy pozwolić sobie na przeciwstawianie się komuś, kto ma pieniądze.

Mężczyzna rzucił wierzbową gałązkę daleko od siebie.

- A więc znowu wracamy do kwestii pieniędzy.

- Na świecie są dwa rodzaje ludzi, panie Tait: bogaci i biedni. Kiedy jest się biednym, jedynymi ludźmi, którzy mają dla nas znaczenie, są bogaci.

- A pani sądzi, że ja jestem bogaty, tak?

- Musi pan być, skoro chce pan grać w Jockey Club.

- Być może jestem po prostu zbyt leniwy, żeby zarabiać pieniądze w inny sposób.

- Być może - zgodziła się, patrząc mu prosto w oczy.

- Są tacy ludzie, którzy byliby gotowi postawić ostatniego dolara w nadziei, że wygrają dziesięć, chyba pani to wie.

- Owszem. Ale minimalna stawka w Jockey Club wynosi dwieście dolarów.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Nie sądziłem, że stara gwardia dysponuje jeszcze takimi pieniędzmi.

- To jest Charleston, panie Tait - odrzekła sucho Laurel. - Jego mieszkańcy mają opinię ludzi, którzy nigdy się nie poddają. Wielu z nas straciło w czasie wojny fortuny, to prawda, ale przecież fortunę można niekiedy odbudować: w przędzalniach bawełny, w fabrykach albo też wygrywając pieniądze od przybyszów, którzy lubią grać o wysokie stawki w prywatnych klubach.

- A więc jeśli byłbym charlestończykiem w trzecim pokoleniu, mógłbym postawić na jakiegoś konia dwieście dolarów i nikt nie zdziwiłby się, skąd mam pieniądze - skrzywił się ironicznie Seth.

- Nie czułabym się wcale zaskoczona, gdyby tak właśnie było - odparła chłodno Laurel. - Takie są zasady. Czy nadal to pana interesuje?

Serce nieomal w niej zamarło, kiedy czekała na odpowiedź. Dwieście dolarów stanowiło ogromną sumę. Tylko głupiec ryzykowałby ich stratę, gdyby były wszystkim, co posiadał. Zresztą, zdaniem Laurel, tylko głupiec w ogóle ryzykowałby utratę takich pieniędzy, niezależnie od tego, ile by ich miał. Oczywiście, nie było to pięćset dolarów, ale jeśli ktoś gotów jest stracić tyle, musi umieć znacznie więcej...

- O której? - zapytał krótko Seth.

Laurel odetchnęła głęboko, nieświadoma tego, że dotąd wstrzymywała oddech.

- O dziesiątej.

- Przyjadę więc po panią o dziewiątej - Tait skinął głową.

Serce Laurel poczęło znowu bić normalnym rytmem. W gruncie rzeczy wiedziała niewiele więcej niż przedtem, ale przynajmniej zyskiwała szansę. W sobotę... Dowie się wszystkiego w sobotę po wyścigu. I być może uda jej się ubić z nim interes.

- Od jak dawna nie żyje pani mąż? - zapytał Seth.

- Od trzech lat.

- A pani ma zamiar ubierać się na czarno przez resztę życia, czy tak?

Laurel była tak zajęta własnymi myślami, że nie od razu mu odpowiedziała.

- Tak nakazywałaby przyzwoitość - odparła sztywno po chwili.

- Prócz tego w zeszłym roku zmarł mój wuj.

- Ach, tak - Seth poważnie pokiwał głową. - To wielkie nieszczęście.

Laurel już chciała podziękować mu za okazane współczucie, kiedy mężczyzna dodał niespodziewanie: - Tak ładna kobieta jak pani nie powinna ciągle ubierać się w czerń. Ten kolor nadaje pani wygląd wrony i sprawia, że mężczyźni nie mają odwagi okazywać pani swego zainteresowania.

Zdumienie zatamowało Laurel dech w piersiach.

- Doprawdy, jest pan zupełnie niemożliwy! - krzyknęła odwracając się ku niemu. - To nie pański interes, jak się ubieram i byłabym wdzięczna, gdyby

zatrzymał pan swoje opinie dla siebie! Jeśli zaś chodzi o pańskie zainteresowanie moją osobą, to zapewniam, że jest ono ostatnią rzeczą, której bym sobie życzyła!

Uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, sprawił, że jej policzki oblał szkarłatny rumieniec. On także odwrócił się i oboje stanęli nagle twarzą w twarz, tak blisko, że nieomal się dotykali.

- Nie mówiłem o moim zainteresowaniu panią, choć przyznaję, że od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem, budziła pani moją ciekawość.

Laurel miała ochotę odejść bez słowa, ale nie pozwoliła jej na to duma. Lejący się z nieba żar oraz gorączka, jaka ogarnęła jej ciało, sprawiły, że wszystko wokół stało się nagle odległe i nierzeczywiste.

- Popełnił pan błąd, sir, jeśli choć przez minutę myślał pan... - powiedziała ochryple.

- Niczego nie myślałem. Po prostu, pani mi się podoba.

Powoli, nie odrywając od niej wzroku, wysunął rękę i chwycił zawiązane pod brodą wstążki kapelusza. Przez chwilę Laurel miała ochotę dać wyraz swemu oburzeniu, obracając się na pięcie i zostawiając go samego w cieniu zrujnowanego portyku. Nie była jednak w stanie się poruszyć - ani wtedy, kiedy delikatnym gestem zdjął jej z głowy kapelusz, ani gdy rzucił go na trawę u jej stóp. Nie drgnęła nawet wówczas, gdy powoli przyciągnął ją do siebie, zagłębiając palce w jej włosach.

Dłoń Taita błędziła po jej policzku, a twarz znajdowała się tuż przy jej twarzy. Laurel czuła na sobie jego gorące dłonie. Nie mogła złapać tchu. Serce waliło jej jak młotem. Nie była w stanie odwrócić twarzy ani nawet spuścić oczu. Co więcej, wcale nie chciała tego uczynić.

- Dlaczego pan to robi? - wyszeptała ochryple.

Nawet jeśli mężczyzna uśmiechnął się, usłyszawszy te słowa, Laurel tego nie dostrzegła. Czuła tylko, że jej ciało napętnia intymne ciepło.

- Nie jestem pewien, czy znam odpowiedź na to pytanie - odrzekł miękko.

Ujął jej twarz obiema dłońmi - palce miał silne, jak wykute z żelaza, ale mimo to ich dotyk był łagodny. Jego oczy pociemniały, a ich spojrzenie zdawało się przesywać ją na wylot.

- Może to dlatego, że nigdy dotąd nie spotkałem kobiety takiej jak ty - powiedział. - A może dlatego, że mamy ze sobą tak wiele wspólnego: więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Albo dlatego, że nigdy nie natknąłem się na kobietę, która potrzebowałaby pocałunków tak bardzo jak ty.

Mężczyzna dotknął ustami jej warg, sprawiając, że przebiegł ją dziwny dreszcz. Laurel szumiało w głowie. Gdzieś w głębi serca narastało w niej uczucie triumfu, a także niezaspokojonej tęsknoty, nienasyconego głodu, nad którym nie potrafiła zapanować. Oddała mu pocałunek, przywierając doń całym ciałem i zaciskając dłonie na jego ramionach.

Mężczyzna objął ją w talii i jeszcze silniej przytulił do siebie. Jej obolałe piersi napierały na niego; biodra mężczyzny dotykały jej łona w sposób, który powinien przyprawić ją o wstrząs, a budził jedynie pożądanie. Nigdy wcześniej nie zaznała nic podobnego i nie wyobrażała sobie nawet, że można się tak czuć w obecności mężczyzny.

Być może owo uświadomienie sobie, jak bardzo go pożąda, sprawiło, że namiętność opadła nagle, pozwalając jej odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy ich usta oderwały się od siebie, a dłonie mężczyzny puściły jej talię, Laurel poczuła się tak, jakby cofnęła się znad krawędzi przepaści. Jeszcze przez chwilę nie mogła złapać tchu.

Tait położył jej dłoń na ramieniu, przesuwając rozgorączkowanym wzrokiem po jej twarzy, szyi i piersiach. Pomimo opalenizny widać było, że on także poczerwieniał.

- Czy ty się mnie boisz, Laurel? - zapytał nieco ochrypłym głosem.

Serce dziewczyny nie przestawało walić jak młotem. Zacisnęła palce na kłapach jego marynarki, jakby sądziła, że to pomoże się jej uspokoić.

- Nie - szepnęła.

To nie jego się bała, lecz siebie.

Mężczyzna raz jeszcze obrzucił ją pełnym pożądania spojrzeniem, po czym niechętnie cofnął rękę z jej ramienia.

- A powinnaś - powiedział. - Jestem kłamcą i draniem, który gdyby tylko mógł, przywiódłby cię do zguby.

Laurel wpatrywała się w niego z napięciem, zaciskając dłonie, by opanować rozszalałe zmysły.

- Sam powiedziałeś, że mamy ze sobą wiele wspólnego! - odparła, odczekawszy chwilę, by uspokoić oddech. - Niewykluczone, że to ty powinienes obawiać się mnie.

Stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem. W końcu Seth uśmiechnął się i pochylił, aby podnieść z ziemi jej kapelusz.

- Być może powinienem - przyznał.

Tej nocy, kiedy ciotka Sophie udała się już na spoczynek, Caroline zapukała cicho do uchylonych drzwi pokoju Laurel. Słyszając zapraszające słowa kuzynki, wślizgnęła się do środka i świadoma tego, że sypialnia jej matki znajduje się tuż po drugiej stronie holu, starannie zamknęła za sobą drzwi.

- Laurel - powiedziała niepewnie. - Chciałabym porozmawiać z tobą przez minutę, korzystając z tego, że mama śpi. Wiem, jak bardzo musisz się martwić tym, że bank zajmie nasz dom... Mam świadomość, że z twojego punktu widzenia wygląda to tak, jakbyśmy wcale nie starały ci się pomóc...

Laurel odwróciła wzrok od otwartej szafy i zmarszczywszy brwi, obrzuciła kuzynkę nieobecny spojrzeniem.

- Co takiego? O co ci chodzi?

- O te pięćset dolarów - Caroline zacisnęła dłonie. - To ogromna suma. Wiem, że uważasz, iż ja znam się na pieniądzach nie lepiej niż mama, ale przemyślałam to sobie i uważam, że jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić. Musimy sprzedać dom. Dostaniemy za niego znacznie więcej niż pięćset dolarów i...

Pionowa zmarszczka zniknęła z czoła Laurel, ustępując miejsca rozbawieniu.

- Nie bądź śmieszna - bezceremonialnie przerwała kuzynce. - Nie możemy sprzedać domu. Gdzie byśmy wtedy mieszkali? - Odwróciła się na powrót do szafy i wyjęła z niej jedną ze swych trzech letnich czarnych sukien. Przyłożywszy ją do siebie, przejrzała się w lustrze. Suknia ta była nieco modniejsza od pozostałych: miała rękawy do łokci i mocno wciętą talię. Laurel wkładała ją czasem do kościoła.

- Poradzimy sobie - oświadczyła z determinacją Caroline. - Za pieniądze, które zostaną nam po spłacie długu, możemy kupić mniejszy dom gdzieś poza miastem.

- O czym ty mówisz?! - ofuknęła ją Laurel, obracając się, by zobaczyć, jak wygląda z profilu. - Czy mogłybyśmy ufarbować to na jakiś inny kolor? I czy mamy gdzieś choć trochę koronki o innej barwie niż czarna?

Caroline popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby Laurel zaproponowała nagle, żeby poszły ograbić czyjś grób. Szybko jednak przywołała się do porządku.

- Przypuszczam, że trzeba by to najpierw wybielić, a potem dopiero ufarbować na jakiś inny kolor. Być może brązowy albo granatowy.

Laurel zmrużyła oczy i popatrzyła w lustro, jak gdyby próbowała wyobrazić siebie w tych barwach, po czym pokręciła głową.

- Lawendowy - postanowiła. - Albo ciemnofioletowy. Coś choć odrobinę weselszego od czerni, na litość boską!

- Czyżbyś chciała zrzucić żalobę? - zapytała Caroline, z największym wysiłkiem starając się, by jej głos brzmiał naturalnie i spokojnie.

- Przynajmniej na sobotę - Laurel raz jeszcze obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje odbicie w lustrze, po czym odłożyła suknię na łóżko. - Wybieram się do Jockey Club.

Uklękała, szukając czegoś na dnie szafy.

- Muszę także, jak sędzę, zrobić coś z kapeluszem i rękawiczkami. Z pewnością ciotka Sophie ma gdzieś parę białych rękawiczek, prawda? Już prawie nie pamiętam czasów, kiedy nie nosiłyśmy żałoby.

Odwróciła się i mało nie parsknęła śmiechem na widok miny Caroline.

- Na litość boską, Caro, nie patrz tak na mnie! Z pewnością robiłam już w życiu rzeczy bardziej szokujące niż przyjęcie zaproszenia do Jockey

Club. Jak wiesz, jestem, formalnie rzecz biorąc, członkinią tego klubu. To zresztą ponoć bardzo szacowna instytucja.

- Ja... przepraszam. To po prostu dlatego, że dotąd nie interesowałam się takimi rzeczami.

- Szacownymi instytucjami? - W oczach Laurel zamigotały wesołe iskierki. - Cóż, przypuszczam, że masz rację. Tym razem jednak uczynię wyjątek. Nie wydaje mi się, by można było cokolwiek zrobić z moimi butami, prawda? - zmieniła nagle temat, unosząc suknię i zerkając na swe czarne lakierki. - Przedłużymy jednak dolną koronkę i może nikt nie zwróci na nie uwagi.

- Ale chyba nie... - Caroline z trudem przełknęła ślinę. - Chyba nie wybierzesz się tam sama?

- Nie bądź głupia. To rzecz, na którą nawet ja nie mogłabym sobie pozwolić. Będzie mi towarzyszył Seth Tait.

- Rozumiem - odparła Caroline, za wszelką cenę starając się, by w jej głosie w żaden sposób nie zabrzmiała dezaprobata.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

- No, powiedz wreszcie, co ci leży na sercu - odezwała się w końcu Laurel, uśmiechając się do kuzynki.

- Och, Laurie - wyjąkała Caroline, patrząc na nią z przerażeniem. - Nie ośmieliłabym się krytykować ciebie i proszę, nie zrozum mnie źle. Jestem pewna, że pan Tait jest dżentelmenem w każdym calu. Był dla nas tak niezwykle miły i hojny, ale... no cóż, bardzo mało o nim wiemy. Nie

chciałabym, żebyś karmiła się płónnymi nadziejami... On wszak może się okazać zupełnie inny, niż sądzimy...

Laurel sama nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Miała ogromną ochotę uściskać serdecznie kuzynkę, głęboko wzruszona jej troską, nawet jeśli była zupełnie nie na miejscu.

- Nie martw się o mnie - powiedziała łagodnie. - Pan Tait z pewnością jest absolutnie nieodpowiednim towarzystwem dla mnie, ale ma jedną ogromną zaletę: pieniądze. Ja zaś doskonale wiem, co robię.

Słowa Laurel, zamiast uspokoić Caroline, wprawiły ją w jeszcze większe zdenerwowanie.

- Och, kochanie, ale ty nie masz...

- Ciii... - uciszyła ją Laurel, mocno ściskając jej dłoń. - Nie martw się. Muszę zatroszczyć się o naszą przyszłość. - Pochyliła się i pocałowała

kuzynkę w policzek. - Idź teraz do łóżka i nie myśl o tym więcej, a rano zapytaj ciotkę Sophie o koronkę, dobrze?

Caroline zdobyła się na słaby uśmiech, po czym, wymamrotawszy słowa pożegnania, opuściła pokój. Nie udała się jednak do łóżka, ani nie przestała się martwić. Długi czas chodziła po swoim pokoju, aż w końcu podjęła ostateczną decyzję: wyjęła papier i pióro, i zebrawszy się na odwagę, napisała:

„Najdroższy Peterze!

Nie znoszę wtrącania się w sprawy innych ludzi, ale ty zawsze byłeś wiernym przyjacielem naszej rodziny i wiem, jak bardzo lubisz Laurel, dlatego też ośmielam się zwrócić do ciebie o pomoc. Zrozum, proszę, że to, co robię, wypływa jedynie z mojej miłości do kuzynki i najgłębszej o nią troski. Być może się mylę, ale nie ufam temu obcemu przybyszowi, panu Taitowi...”

ROZDZIAŁ 8

Sobota była jasna i pogodna, całkowicie różna od innych gorących, parnych, letnich dni. Seth wynajął powóz i przyjechał po Laurel na krótko przed dziewiątą rano. Wyścigi z konieczności odbywały się bardzo wcześnie, zanim jeszcze słońce zaczynało przygrzewać tak mocno, że odbierało całą energię nie tylko koniom, ale także widzom.

Laurel czekała na niego na ganku. Przez ostatnie dni bez przerwy słuchała narzekań ciotki Sophie, która załamywała ręce nad tym, jak niestosownie postępuje Laurel, wybierając się do Jockey Club z obcym mężczyzną. Dziewczyna uznała więc, że jedynym sposobem uniknięcia biadoleń starszej pani będzie poczekać na Setha na zewnątrz. Gdyby wszedł do domu, nigdy nie zdołaliby się uwolnić od towarzystwa ciotki.

Sophie była wstrząśnięta, kiedy dowiedziała się o zamiarach Laurel, szczególnie gdy ta wyjawiała jej, że nie chce się tam udać w żałobnym stroju. Mimo to udzieliła jej rady w kwestii ubioru, czego rezultatem była purpurowa, haftowana złotem suknia, ozdobiona, ze względu na wdowieństwo Laurel, czarnymi wstążkami. Sophie zajęła się także najlepszym kapeluszem Laurel, Caroline zaś odszukała w starym kufrze złoty jedwabny szal. Odprute od niego frędzle zdobiły teraz parasolkę Laurel oraz nadawały zupełnie nowy wygląd jej starym rękawiczkom w lawendowym kolorze. Kiedy Laurel spoglądała w lustro, widziała kobietę, za którą z pewnością warto byłoby się obejrzeć. W pierwszej chwili była zresztą tak oszołomiona zmianą, jaka w niej zaszła, że niemal zatęskniła za dawną, bezpieczną czernią. Od dnia ślubu nie miała na sobie nic pięknego ani modnego. Patrząc teraz na odcień, jaki nadał jej skórze głęboki kolor sukni, oraz podziwiając, jak złoty kapelusz rozjaśnił jej oczy, przypomniała sobie, co to znaczy być młodą dziewczyną, której jedynym

zmartwieniem jest to, aby być piękną. Bycie piękną uważała zresztą za najwspanialsze uczucie na świecie.

Słyszając nadjeżdżający powóz, szybko zeszła po schodach. Seth wysiadł i ujrawszy ją, zamarł w bezruchu. Laurel po raz kolejny poczuła, że wygląda pięknie, o ile w ogóle miało to teraz jakieś znaczenie. Mężczyzna zdjął z głowy kapelusz, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, i uśmiechnął się w taki sposób, że oblała się rumieńcem.

- Wyglądasz wspaniale - oświadczył. - Jestem naprawdę pod wrażeniem, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

- Do Jockey Club zawsze przyjeżdżało się w eleganckich strojach - odrzekła, nie patrząc na niego. - Lepiej pośpieszmy się i odjedźmy stąd, zanim zobaczy cię ciotka Sophie.

- Chyba nie chciałabyś, żebym uczynił cokolwiek, czego nie pochwalaby twoja ciotka? - oburzył się Tait. - Czy ma coś przeciwko mnie?

- Traktuje mnie jak szesnastoletnią pannę, która właśnie zdobyła pierwszego wielbiciela - odparła niecierpliwie Laurel. - Jeśli więc nie masz ochoty na towarzystwo deptającej ci po piętach przez cały dzień przyzwoitki, przestań tracić czas i pomóż mi wsiąść do powozu.

Seth roześmiał się cicho, podając Laurel rękę, ona jednak nie uspokoiła się aż do chwili, kiedy oddalili się od domu. Ciotce Sophie chodziło nie tylko o to, że jej siostrzenica opuszcza dom sama w towarzystwie mężczyzny - choć oczywiście w czasach jej młodości taka rzecz byłaby nie do pomyślenia - ale przede wszystkim o to, iż udaje się na wyścigi do Jockey Club. „Nie jest to już ten sam klub, co niegdyś” - powtarzała bez końca. Bywali tam teraz Jankesi i przygodni poszukiwacze łatwych zarobków, tzw. carpetbaggerzy, oraz inna zamożna biała hołota, eufemistycznie określana jako „dorobkiewicz”. Od czasów wojny wyścigi konne z pewnością nie były miejscem, gdzie wypadało bywać damie, a jeśli już nawet zdecydowała się tam pojawić, przyzwoitość nakazywała, aby towarzyszył jej mąż albo jakiś krewny. Tymczasem Laurel

udawała się tam z całkowicie sobie obcym człowiekiem. Bóg tylko wiedział, na co ją to narażało. Ów mężczyzna mógł przecież okazać się ordynarnym prostakiem, a ona nie miała przy sobie nawet przyzwoitki, która w razie czego przysłaby jej z pomocą.

Ostatecznie - myślała z rozpaczą Sophie - mogła tam pojechać choćby z Peterem.

Laurel jednak zdecydowanie się temu sprzeciwiła. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było towarzystwo obserwującego wszystkie jej poczynania Petera. Miała przed sobą ważne zadanie i obecność przyjaciela, podobnie jak ciotki Sophie, mogła tylko pomieszać jej szyki.

- Nie będzie mi łatwo przedstawić cię dzisiaj członkom klubu, panie Tait - powiedziała po chwili. - Chodzi mi o to, że o ile mogę wprowadzić cię tam przez bramę, o tyle nie jestem w stanie sprawić, byś został zaakceptowany przez towarzystwo.

Mężczyzna rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Wydaje mi się, Laurel, że potrafisz uczynić wszystko, co tylko zechcesz. Ale nawet jeśli tylko mnie tam wprowadzisz i tak będę ci już za to bardzo zobowiązany.

- Mam nadzieję. Pomijając wszystko inne, moja reputacja po dzisiejszej eskapadzie będzie mocno nadwerężona.

- Och, a to przecież tyle dla ciebie znaczy.

Twarz Taita była śmiertelnie poważna, lecz Laurel usłyszała w jego głosie lekkie szyderstwo.

- Przedstawię cię pułkownikowi Boatwrightowi - oświadczyła sztywno.

- Był bliskim przyjacielem mojego wuja i kiedy wspomniałam mu, że mam przyjaciela, który przybył do nas z daleka...

- Bogatego przyjaciela - uściślił Tait.

- Tak, to pomogło - przyznała. - Wiele starych rodów nie ma pieniędzy, by obstawiać konie, ale ludzie pamiętają, jak to bywało niegdyś i by osłodzić sobie własną biedę, gotowi są zapraszać obcych. Nawet niektórych Jankesów.

- O ile są dostatecznie bogaci?

- Nie rozumiem, czemu tak cię to bawi, drogi panie - rozzłościła się.

- Twoje pieniądze mogą kupić ci miejsce wśród robiących zakłady, ale z całą pewnością nie otrzymasz za nie członkostwa Jockey Club. Możesz o to zapytać każdego z tych bogatych Jankesów, którzy tam bywają.

Oddechnęła głęboko, by powstrzymać wybuch złości, ganiąc się jednocześnie w duchu za bronienie instytucji, której los był jej zupełnie obojętny. Cóż takiego tkwiło w Secie Taicie, że miała ochotę spierać się z nim, niezależnie od tego, co powiedział?

- Jak sądzę, będzie tam dzisiaj paru biznesmenów z Charlestonu - ciągnęła znacznie spokojniejszym już głosem. - Właściciele tartaków, kopalni fosforanów, statków i tym podobni ludzie.

- Wszyscy należą do najlepszego towarzystwa, prawda?

Raz jeszcze szyderczy ton jego głosu sprawił, że zawrzał w niej gniew.

- Jesteś doprawdy wulgarny! To nie gra w pokera. To wyścigi konne. Sport królów.

- Widzę, że naprawdę traktujesz te rzeczy poważnie - zachichotał Tait, potrząsając głową. - Cóż, tam, skąd pochodzę, wszystkim, czego potrzeba do zorganizowania wyścigu, jest wyznaczenie linii startu i mety oraz znalezienie kapelusza, do którego będzie się zbierać pieniądze.

- Tu jest zupełnie inaczej - powiedziała Laurel, uśmiechając się z wyższością. - Oczywiście, nie przypomina to już tego, co było dawniej. Ja sama naturalnie nie mogę pamiętać tych czasów, ale opowiadano mi, jak Jockey Club wyglądał przed wojną. Wówczas udział w wyścigach zastrzeżony był jedynie dla najpierwszych rodzin w Charlestonie: tych z naprawdę błękitną krwią w

żyłach. Nie mogłabym wtedy zaprosić cię do klubu, niezależnie od tego, jak bardzo byłbyś zamożny.

- Cóż, znaczy to, iż mam szczęście, że czasy się zmieniły. Laurel puściła te słowa mimo uszu.

- Sądzę, że uroczystości, jakie odbywały się przy okazji wyścigów, były znacznie bardziej ekscytujące niż same gonitwy. Wydawano wówczas eleganckie przyjęcie i organizowano wielki bal. Wyobrażam sobie, jak wspaniale wyglądały wszystkie te damy ubrane w krynoliny z jedwabiu i atlasu. Sale dekorowano kwiatami i oświetlano kandelabrami...

Dopiero, gdy poczuła na sobie uważne spojrzenie Taita, zdała sobie sprawę, jak smutno i tęsknie brzmiał jej głos. Szybko otrząsnęła się z sentymentalnego nastroju.

- Oczywiście, podczas wojny, a także później, stary tor wyścigowy w Washington Park został zniszczony - oświadczyła rzeczowo. - Podobnie jak trybuny dla publiczności. Ciotka Sophie twierdzi, że były one wprost wspaniałe. Część z nich przeznaczona była dla członków Jockey Club, inne zaś wzniesiono specjalnie dla dam: miały specjalne daszki chroniące od słońca. W czasie wyścigów kelnerzy roznosili widzom napoje chłodzące. Musiało to być rzeczywiście niezwykle.

- Istotnie - przyznał Seth, spoglądając na nią. - Tym razem w jego głosie nie było słyhać żadnej szyderczej nuty.

Wydostali się z miasta i jechali teraz wyboistą drogą, na której coraz częściej napotykali powozy i konnych jeźdźców.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oświadczyła Laurel. - Oto i stare Preston. To właśnie tutaj odbywają się teraz wyścigi.

Zgodnie z jej poleceniem, Seth skręcił ku dwuskrzydłowej bramie i zatrzymał powóz. Jadące przed nimi bryczki kolejno zataczały półkole, ustawiając się przodem do owalnego, pokrytego darnią toru wyścigowego. Po wszystkich swoich zachwytach i tym, co opisywała Taitowi w czasie drogi,

Laurel poczuła się lekko zakłopotana, przyglądając się teraz temu miejscu i myśląc o tym, jak też prezentuje się ono w jego oczach. W gruncie rzeczy było tu niewiele więcej prócz linii startu i mety oraz kapelusza, do którego zbierano pieniądze.

- Nie ma trybun dla widzów - powiedziała starając się, by jej głos zabrzmiał możliwie nonszalancko. - W dzisiejszych czasach, jak sędzę, ogląda się wyścigi wprost z powozu.

- Rzeczywiście, nie ma żadnych miejsc dla publiczności - przytaknął Seth. Laurel popatrzyła na niego ostro, szukając w jego twarzy oznak szyderstwa, jednak mężczyzna zdawał się być całkowicie poważny, a nawet jakby rozczarowany.

Ustawił powóz w szeregu innych i ściągnął lejce. Laurel rozejrzała się, skinieniem głowy odpowiadając na powitania i zupełnie nie reagując na pełne oburzenia spojrzenia matron. Wśród widzów byli także i mężczyźni, ale większość pasażerów powozów stanowiły kobiety, kryjące się przed słońcem pod jaskrawokolorowymi parasolkami. Laurel usłyszała rzenie koni i za kępą wysokich drzew dostrzegła ogrodzony padok. Nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni, by odgadnąć, gdzie podziali się panowie.

- Jeśli chcesz tylko zobaczyć gonitwę, możemy zostać tutaj - powiedziała do Seta. - Ale jeżeli masz ochotę zagrać, znajdziemy lepiej pułkownika Boatwrighta.

Tait uśmiechnął się i obszedł powóz dookoła, by pomóc jej wysiąść.

- Skąd się bierze w tobie ta władczość?

- Z doświadczenia, panie Tait. Z doświadczenia.

Stanąwszy na ziemi, rozłożyła parasolkę, a ponieważ i tak wszyscy patrzyli już na nią z potępieniem, ujęła Seta pod ramię i wysoko unosząc głowę, uśmiechem i ukłonami odpowiadała na jawnie zdumione spojrzenia.

- Zauważyłem, że większość dam pozostaje w powozach, przypuszczam

więc, iż kobiety nie mają wstępu tam, gdzie przyjmuje się zakłady - powiedział Seth. - Czy jeśli udasz się tam ze mną, nie będzie to miało złego wpływu na twoją reputację?

- To nie ma znaczenia. Oni wszyscy i tak zaczną plotkować już w minutę po tym, jak stąd odejdziemy. Lepiej nie zawracać sobie tym głowy.

Uśmiechnęła się szeroko, unosząc dłoń, by pozdrowić znajomych po drugiej stronie drogi. - Robiłam już gorsze rzeczy.

- O tak, wiem - mruknął Seth.

Laurel puściła to mimo uszu. Ze względu na korzyści, jakie mógł przynieść jej ten dzień, postanowiła powstrzymać się od wypowiedziania ostrych słów pod adresem Taita.

Szli przez trawiasty plac pełen palących cygara mężczyzn, którzy z przejęciem spierali się na temat koni. Silny zapach stajni mieszał się tu z wonią rumu i tytoniowego dymu. Laurel co chwila witała się ze znajomymi.

- Pułkowniku Boatwright - zawołała, dostrzegając starego przyjaciela swojego wuja. - Proszę pozwolić tu do nas!

Wysoki, lekko utykający mężczyzna o srebrzystosiwych włosach odłączył od jednej z grup i podszedł do nich z wyciągniętymi rękoma.

- Och, pani Laurel. Jakże ślicznie pani wygląda! - Skłonił się, ściskając jej dłoń, po czym pocałował ją w policzek. - A to musi być pani przyjaciel - odwrócił się do Seta.

- Seth Tait - przedstawił się Seth, wyciągając rękę. - Jestem doprawdy szczęśliwy, mogąc zobaczyć tutejsze wyścigi.

- Miło nam tu pana widzieć, sir. Wszyscy przyjaciele pani Laurel są... - uśmiechnął się do niej. - Cóż, jej rodzina i ja znamy się od dawna. Od bardzo, bardzo dawna. Chodź ze mną, synu - powiedział, klepiąc Seta po ramieniu. - Obejrzyj sobie konie. Pani, Laurel... - zawahał się, spoglądając na kobietę. - Zapewne nie będzie pani chciała zbliżyć się do tego brudnego padoku, poproszę

więc jednego z moich chłopców, aby odprowadził panią z powrotem do powozu, dobrze?

Laurel doskonale wiedziała, że prawdziwą przyczyną, dla której pułkownik chciał się jej pozbyć, było to, iż zamierzał porozmawiać z Sethem o procedurze przyjmowania zakładów, uważał zaś, że w obecności damy nie byłoby to czymś właściwym. Mężczyźni byli nader głupimi stworzeniami: żywili przekonanie, że hazard, podobnie jak rzeczy, które działy się w przybytkach takich jak dom panny Elsie, są sprawami, o których istnieniu kobiety nie mają nawet pojęcia.

Laurel posłała pułkownikowi najśłodszy ze swoich uśmiechów i zakreśliła parasolką, tak że złote frędzle zatańczyły w promieniach słońca.

- Lepiej niech pan tego nie robi. Nie pozbędzie się mnie pan tak łatwo. Dobrze pan wie, jak bardzo fascynuje ranie wszystko, co wiąże się z wyścigami konnymi.

Pułkownik chrząknął z zakłopotaniem, Seth zaś mrugnął znacząco do Laurel zza jego pleców. Było to tak niespodziewane, że niewiele brakowało, a dziewczyna wybuchnęłaby głośnym śmiechem. Na szczęście zdołała się jednak jakoś powstrzymać.

- W takim razie... - pułkownik podał jej ramię - chodźmy tam wszyscy troje. Proszę tylko uważać na tę piękną suknię.

Seth zauważył, że Laurel, choć złamała zapewne jakieś zasady, udając się w miejsce, gdzie zwykli bywać jedynie mężczyźni, darzono szacunkiem. Ukłony i pozdrowienia, które przesyłali jej dżentelmeni zarówno starzy, jak i młodzi, były o wiele cieplejsze od tych, jakimi obdarzały ją siedzące w powozach damy. Wielokrotnie dostrzegał, że mężczyźni długo odprowadzali ją wzrokiem i choć nie było w tym ani odrobiny braku szacunku, czuł irracjonalny gniew, że Laurel idzie pod rękę z tym starym człowiekiem, a nie z nim.

Na padoku znajdowało się sześć pięknych koni i Seth aż gwizdnął z podziwu na ich widok. Wszystkie były czystej krwi arabami.

- Hm, widzę, że umie pan docenić dobre konie - w głosie pułkownika brzmiało zadowolenie.

Seth przechylił się przez ogrodzenie i wzrokiem znawcy kolejno otaksował wszystkie zwierzęta.

- Wiem co nieco o koniach - przyznał. - Nauczyłem się tego na Zachodzie. - Ale małe, wytrzymałe, silne konie, na których zwykle jeździł, nie miały nic wspólnego z tymi eleganckimi, smukłymi wierzchowcami. Te należały do zupełnie innego świata.

- Straciliśmy nasze najpiękniejsze okazy hodowlane podczas wojny - wyjaśnił pułkownik. - Podobnie jak ludzie, poległy na polach bitew. Pamiętam mojego własnego ogiera Harvestmoona. Wygrał gonitwę w Jockey Club w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Został zastrzelony pode mną w pobliżu Atlanty, lecz to były inne czasy.

- Wydaje się jednak, że niektóre konie ocalały - stwierdził Seth.

- Nieliczni hodowcy zdołali przechować dla nas dobre okazy w Kentucky. Sądzę jednak, że dzisiejszy wyścig nie będzie w żadnej mierze przypominał tych, które odbywały się w Charlestonie trzydzieści lat temu.

Seth przyglądał się Laurel, która nie dbając zupełnie o swą piękną suknię, przechyliła się przez ogrodzenie i w skupieniu przyglądała się zwierzętom.

- No i co o tym myślisz? - zapytał ją.

- Gdybym miała dwieście dolarów - odparła bez zastanowienia - postawiłabym je na tego małego kasztanka.

Na moment zapadło niezręczne milczenie i Seth odwrócił się, aby ukryć uśmiech. Po chwili jednak pułkownik Boatwright wybuchnął głośnym śmiechem.

- Pani Laurel, jest pani doprawdy absolutnie wyjątkowa! A teraz proszę stąd odejść, zanim pobrudzi pani sobie tę śliczną suknię, i pozwolić, by mężczyźni we własnym już gronie zajęli się załatwianiem swoich interesów.

Laurel miała ochotę zakląć głośno, kiedy pułkownik odprowadzał ją na bok. Bardzo chciała zobaczyć, ile dokładnie Tait postawi na jakiegoś konia, jeśli w ogóle to zrobi. Nie mogła jednak nic na to poradzić, nie wywołując awantury, która ani jej, ani Sethowi nie przyniosłaby chwały. Zdobyła się więc na cierpki uśmiech i pozwoliła pułkownikowi Boatwrightowi, aby powierzył ją opiece jednego ze swych synów.

- Zakłady przyjmują w tamtym namiocie - powiedział oficjalnym tonem pułkownik, powróciwszy do swego gościa. Wskazał Taitowi oddalony o sto jardów płócienny pawilon. - Stawka w grze wynosi dwieście dolarów.

- Tak właśnie mi mówiono - uśmiechnął się grzecznie Seth.

- Ma pan... - starszy pan wyciągnął z kieszonki zegarek - około piętnastu minut na to, aby przyjrzeć się koniom i dokonać wyboru. Spotkamy się w namiocie.

Po padoku chodziły tylko dwa konie, które Seth poważnie brał pod uwagę. Jeden z nich był gniadoszem, wielkim, silnym zwierzęciem o smukłej piersi i szerokich chrapach, co dowodziło, że potrafi szybko biegać. Trasa wyścigu liczyła nieco ponad milę i zwycięzca musiał nie tylko szybko biegać, ale także odznaczać się wytrzymałością. Drugi z koni, kasztanek, był o wiele mniejszy, ale jego rysujące się pod skórą mięśnie z pewnością musiały należeć do zwierzęcia o bardzo silnych nogach. Bez wątplenia, byłby w stanie bez zmęczenia przebyć cały dystans, ale mógł nie okazać się wystarczająco szybki, aby wygrać.

Seth skierował się ku namiotowi, gdzie przyjmowano zakłady, i sprawdził, pod jakimi barwami występują oba konie. Kolorami gniadosza okazały się błękit i czerwień, a zakłady stawiane na niego obstawiano dwa do jednego. Prawie pewna wygrana. Zakłady na kasztanka, którego barwami były złoto i purpura, przyjmowano w stosunku dziesięć do jednego, z rozmów zaś toczonych przy torze wynikało, że ten koń po raz pierwszy brał udział w tak poważnej gonitwie.

Seth miał w kieszeni dwieście pięćdziesiąt dolarów oraz nieco drobnych. Jeśli przegra, zostanie mu akurat tyle, by opłacić hotel jeszcze na tydzień, ale z pewnością potrzebował znacznie więcej niż dwustu pięćdziesięciu dolarów, by móc zostać w tym mieście tak długo, póki nie odnajdzie złota. Wtedy będzie miał już wystarczająco dużo pieniędzy, aby udać się, gdziekolwiek zechce. Seth nigdy zresztą nie należał do ludzi, którzy cofają się przed ryzykiem.

Ponownie wyszedł na zewnątrz i jeszcze raz przyjrzał się wierzchowcom, ze szczególną uwagą obserwując gniadosza i kasztanka.

- Widzę, że podoba się panu mój koń?

Seth odwrócił się i zobaczył przed sobą wysokiego mężczyznę w eleganckim garniturze, popijającego coś ze srebrnego kubka. Nieznajomy pachniał burbonem i rumem.

- Podobają mi się zarówno gniadosz, jak i kasztanek - odrzekł Tait.

- Gniadosz należy do mnie i z pewnością wygra ten wyścig. - Nieznajomy uśmiechnął się, wyciągając rękę na powitanie. - Keith Peterson. Jestem właścicielem „Peterson Phosphate”.

Seth zawahał się, nim ujął podaną mu dłoń. Ów mężczyzna nie dał mu żadnego powodu, by czuć do niego niechęć, ale jeśli się jest człowiekiem dostatecznie byстрыm, nie potrzeba żadnych powodów. Było w Petersonie coś niepokojąco gładkiego i Seth wiedział, że nie jest w stanie zaufać temu człowiekowi.

- Seth Tait - przedstawił się po chwili. - Dopiero niedawno przyjechałem do tego miasta.

- Ale kogoś musi pan tu znać - powiedział Peterson - skoro został pan zaproszony do tego klubu. Dla tych starych snobów przyprowadzenie tutaj kogokolwiek nowego zakrawa wręcz na świętokradztwo. Oczywiście, ja sam nie jestem temu przeciwny. Mam w tym zresztą interes, skoro to właśnie mój koń wygra ten wyścig.

Seth wiedział już, na którego konia postawi.

- Pański wierzchowiec jest doprawdy piękny - odrzekł - ale mnie bardziej podoba się Johnny Reb.

Jego rozmówca skrzywił się z niechęcią.

- Musi pan mieć sporo pieniędzy do stracenia. Ten konik zostanie w tyle już po pierwszym okrążeniu.

- Być może - powiedział obojętnie Seth. Peterson przyglądał mu się z ironią.

- Jest pan hazardzistą?

- Można to tak nazwać - uśmiechnął się Tait.

- Co by pan powiedział o małym zakładzie na boku?

W innym czasie i miejscu Seth nie wahałby się ani chwili. W ostatnim momencie przypomniał sobie jednak pogardę, z jaką Laurel mówiła o Jankesach i właścicielach kopalń fosforanu. Jakiś instynkt ostrzegł go, że nawet gdyby wygrał zakład, to przestając z tym mężczyzną, straciłby znacznie więcej - szacunek starych członków klubu. A Seth potrafił słuchać swego instynktu.

- Dziękuję panu serdecznie, ale nie zakładam się z nieznajomymi.

Odwrócił się i ruszył w stronę namiotu. Pułkownik Boatwright obserwował go, stojąc przy wejściu, a na jego twarzy malowała się aprobata.

Zakłady stawiane na Johnny'ego Reba nie zmieniły się. Seth miał w sumie dwieście pięćdziesiąt dolarów, w tym owe pięćdziesiąt, które zwróciła mu Laurel. Położył na kontuarze dwieście dolarów, przykrył je jednak dłonią, zanim bukmacher zdążył po nie sięgnąć.

- Proszę zaczekać - powiedział.

Pułkownik zmarszczył brwi, a w oczach bukmachera pojawiło się zniecierpliwienie.

- Zamykamy za cztery minuty, proszę pana - oświadczył. Seth wyjął z kieszeni ostatnie pięćdziesiąt dolarów.

- Wszystko na Johnny'ego Reba - oświadczył.

Kiedy odbierał kwit, pułkownik, chichocząc, poklepał go po ramieniu.

- Wygląda mi na to, że nienawidzisz odzyskiwania swoich pieniędzy, kiedy już je na coś postawiłeś, synu. Nie powinieneś pozwolić, żeby Peterson zraził cię do jakiegoś konia. Być może to sukinsyn, ale ma najszybszego wierzchowca na tym torze, tak więc prawdopodobnie nigdy nie zobaczysz już swoich dwustu pięćdziesięciu dolarów.

- Tego nie można być pewnym. Sądzę, że to właśnie dlatego tak wielu ludzi emocjonuje się tą grą - uśmiechnął się Seth.

Wrócił do powozu, skąd obserwował, jak ustawiano konie na linii startu. Laurel niecierpliwie obracała w dłoniach parasolkę.

- Co zatrzymało cię tak długo? - zapytała. - Postawiłeś na któregoś konia?

- Czemuż to tak bardzo interesujesz się tym, ile wygram lub stracę? - Seth podał jej ramię, pomagając wsiąść do powozu.

- Nie obrażaj się. Oczywiście, że mnie to interesuje, po tych wszystkich kłopotach, jakich mi przysporzyłeś. Pytałam zresztą tylko...

- Postawiłem wszystko, co miałem, na Johnny'ego Reba - poinformował ją sucho.

- Och, ty kłamco! Nikt nie stawia ostatniego dolara na wyścigach konnych! - Jednak w spojrzeniu, jakim go obdarzyła, krył się niepokój.

Seth uśmiechnął się i wspiał na siedzenie obok niej.

Ubrani w kolorowe kostiumy, dżokeje ustawili już konie na starcie i widzów ogarnęło podniecenie. Laurel stanęła w powozie i przytrzymując dłonią kapelusz, zmrużyła oczy przed słońcem.

- Który to Johnny Reb?

- Ten w purpurze i złocie.

- To kolory mojej sukni - Laurel powoli obróciła ku niemu wzrok.

- Cóż, mężczyzna szuka szczęścia wszędzie, gdzie tylko może. Jego głos był równie nonszalancki, jak wyraz twarzy, ale i tak po plecach

Laurel przebiegł zimny dreszcz. Wybrał jej konia i jej kolory.

Tłum umilkł gwałtownie i Laurel ponownie skupiła uwagę na koniach.

- Są prawie gotowe do startu - powiedziała drżącym z podniecenia głosem. - Do roboty, Johnny Rebie.

Seth rzucił jej rozbawione spojrzenie, ona jednak wcale tego nie zauważyła. Usłyszawszy strzał z pistoletu startowego, gwałtownie chwyciła Seta za nadgarstek. Rozległ się głośny tętent i jeźdźców skrył tuman wzniesionego końskimi kopytami kurzu.

- Nic nie widzę! - krzyknęła Laurel, stając na palcach. - Kto prowadzi? Seth, tak jak wszyscy inni widzowie, poderwał się na nogi, słysząc strzał, ale jemu także obłok kurzu przesłonił widok.

- Nie jestem pewien - odparł. - Wygląda na to, że gniadosz wyprzedza wszystkie konie o ćwierć okrążenia.

Konie zniknęły za zakrętem, przesłonięte kępą drzew. Laurel uświadomiła sobie, że wciąż ściska rękę Seta. Cofnęła dłoń, nie mogła jednak opanować podniecenia. Wszyscy dookoła krzyczeli i wymachiwali rękoma. Nawet damy, które zwykle mówiły jedynie szeptem, teraz wywijały w powietrzu kapeluszami, głośnymi okrzykami zachęcając swoich ulubieńców do walki. Laurel wydało się to tak szaleńcze i obłąkane, że w tym momencie zrozumiała, jak to się dzieje, iż ludzie są w stanie postawić na jakiegoś konia ostatniego dolara.

- Jada, jada! - zawołał ktoś z sąsiedniego powozu.

Konie przebyły już pół mili i teraz zawracały w stronę widzów. Prowadził gniadosz, tuż za nim mknął jakiś czarny wierzchowiec, na trzecim zaś miejscu znajdował się Johnny Reb. Złoto-purpurowy kostium dżokeja powiewał na wietrze.

- Jest! Jest! - krzyknęła Laurel. - Szybciej Johnny, szybciej!

- Zdawała sobie sprawę, że w żadnym razie nie zachowuje się jak dama, podskakując w powozie i krzycząc co sił w płucach, ale tak postępowali przecież wszyscy inni.

Nawet ciotka Sophie zaczęłaby krzyczeć w tych okolicznościach - pomyślała.

Poczuła, że mięśnie znajdującego się obok niej mężczyzny sztywnieją, podobnie jak jej własne.

- On zdobędzie się na jeszcze jeden wysiłek - stwierdził cicho Seth.

- Wiem, że to potrafi. Jedź, chłopcze, walcz!

Dżokej uniósł się w siodle i pochylił nisko nad łbem Johnny'ego Reba. Ćwierć mili dalej kasztanek dogonił czarnego ogiera i wyprzedziwszy go, ruszył do walki z gniadoszem.

Laurel popatrzyła na Seta i spostrzegła, że jego twarz jakby skamieniała. Przeniosła wzrok z powrotem na konie.

Nie - pomyślała. - Reb za późno ruszył do boju. Nie zdoła już wyprzedzić gniadosza...

Myliła się jednak, podobnie jak Seth. Żadne z nich nie przypuszczało nawet, jak silne serce ma to zwierzę. Na kilka jardów przed metą dżokej po raz pierwszy użył bata i Johnny Reb dosięgnął przeciągniętej wzdłuż linii mety wstęgi, o długość łba wyprzedzając gniadego.

Przez tłum przetoczył się szmer niedowierzania, ale Laurel ledwie go słyszała, ogłuszona własnymi okrzykami radości.

- Wygrałeś! Wygrałeś! Udało ci się! - Otoczyła go ramieniem, sama nie bardzo wiedząc, co robi, i nie dbając o to, co pomyślą inni. Mężczyzna objął ją i przytulił tak mocno, że omal nie połamał jej żeber.

Dopiero po chwili wysunęła się z jego ramion, tak wyczerpana śmiechem, że ledwie mogła oddychać.

- Ludzie patrzą! Przestań! Puść mnie, zanim oboje upadniemy!

Seth zeskoczył na ziemię, po czym chwycił Laurel za nadgarstki, zmusił ją, by także wysiadła z powozu.

- Ile? - zapytała dziewczyna. - Ile wygrałeś?

Seth przyglądał jej się przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

- Jesteś nie tylko chciwa, ale także bezwstydna. Bardzo dużo - odparł. - Wygrałem naprawdę dużo.

Ujawszy Laurel pod ramię, poprowadził ją przez tłum ku namiotowi.

- Cóż, sądzę, że mam prawo wiedzieć, ile wygrałeś - oświadczyła starając się, aby jej głos zabrzmiał możliwie spokojnie. - Bądź co bądź był to mój koń i moje kolory.

I twoje pięćdziesiąt dolarów - pomyślał z rozbawieniem Seth.

- Zakłady przyjmowano w stosunku dziesięć do jednego - wyjaśnił, patrząc na nią. - Ja zaś postawiłem dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Arytmetyka zawsze była mocną stroną Laurel, natychmiast więc obliczyła wygraną. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- To oznacza...

- Dwa i pół tysiąca dolarów - dokończył Seth. - I wierz mi, że naprawdę były to moje ostatnie pieniądze - dodał.

Podał jej ramię, ale jeszcze przez moment Laurel nie była w stanie unieść ręki, by się na nim wesprzeć, ani nawet zaufać swoim nogom na tyle, aby uczynić choć jeden krok. Wciąż myślała o wygranej, o pliku banknotów, który za chwilę trafi w jego ręce. Wiedziała, że upłynie jeszcze wiele czasu, zanim będzie w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

ROZDZIAŁ 9

Najprostszą rzeczą, jaką mógł zrobić Seth, a może nawet także najmądrzejszą, byłoby zabranie swoich pieniędzy i po oddaniu Laurel tych pięciuset dolarów, które należały do niej, opuszczenie Charlestonu. Nowy Orlean nie mógł być gorętszy od tego miejsca, a człowiek mający w kieszeni dwa tysiące dolarów bez trudu zacząłby tam nowe życie. Mógł też udać się do San Francisco... Tam zawsze było chłodno.

Dwa tysiące dolarów stanowiło ogromną sumę. Seth od kilku już lat nie miał tylu pieniędzy naraz. Niewiele było rzeczy, których nie mógłby dokonać, dysponując taką kwotą. Jego życie stałoby się nareszcie łatwe i przyjemne.

Seth nigdy jednak nie uczynił niczego, by wieść łatwe życie. Dwa tysiące dolarów było sporą sumą, ale przecież nieporównywalną z ćwierć miliona dolarów, które czekały, by je odnaleźć. Naturalnie, istniało ryzyko, że ich nie znajdzie, ale przecież stawiając na Johnny'ego Reba, także ryzykował. Dlatego też nie zamierzał opuszczać miasta. Podobało mu się życie, które wiódł jako Seth Tait. Lubił, kiedy ludzie okazywali mu szacunek, a przynajmniej niektórzy przecież to czynili. Ku jego zaskoczeniu podobała mu się nawet wycieczka z paniami Sinclair do Chinatree. I pomyśleć, że te trzy wspaniałe damy starego Południa znajdowały się przez jakiś czas pod jego opieką. Czuł się też bardzo dobrze podczas kolacji w ich domu, podziwiając rodzinne pamiątki i odziedziczone po przodkach sprzęty. Ten nowo odkryty świat wydawał mu się zresztą dziwnie znajomy - jakby gdzieś w jego umyśle odezwał się niespodziewanie jakiś głos z przeszłości.

Wkraczając do Jockey Club z trzymającą go pod ramię Laurel, czuł się człowiekiem godnym szacunku. Tak właśnie - godnym szacunku. To uczucie było równie przyjemne, jak picie doskonałego burbona. Drżał z podniecenia na myśl, z jakim powodzeniem udaje mu się grać rolę szacownego obywatela. Co

zabawne, przychodziło mu to nadzwyczaj łatwo. Czy o to chodziło Pułkownikowi, kiedy wysyłał go z powrotem na Wschód? Może chciał, by Seth wiódł właśnie takie życie? Jeśli taki był jego zamiar, spisał się naprawdę wspaniale, przygotowując Seta do tej roli, ponieważ nic innego nie przychodziło mu nigdy z taką samą łatwością, jak przestawanie z ludźmi z najwyższych sfer Charlestonu.

No i oczywiście była jeszcze Laurel. Ona także coś dla niego znaczyła, nie tylko dlatego, że otworzyła przed nim drzwi do swego świata, ale także z powodu wyzwania, które podjęła.

Tego wieczoru podzieli się z nią pieniędzmi, które wygrał, stawiając na Johnny'ego Reba. Pomimo okoliczności, w jakich zwróciła mu pięćdziesiąt dolarów, przeczuwał, że bez oporów przyjmie pieniądze uczciwie wygrane na wyścigach. Nie miał pojęcia, skąd to wiedział: zapewne znowu podszeptał mu to jego instynkt. Pięćset dolarów stanowiło ogromny majątek dla żyjących na granicy ubóstwa Sinclairów i Seth wiedział, że przekazując jej tę kwotę, będzie mógł z czystym sumieniem przestać martwić się o tę rodzinę.

Z czystym sumieniem? Uśmiechnął się krzywo. Zwykle nie zastanawiał się nad swoim sumieniem. Być może to także wiązało się z etyką człowieka godnego szacunku i bez wątpienia było bezpośrednim skutkiem wpływu Laurel. Prawdopodobnie powinien trzymać się od niej z daleka, ale niestety potrzebował Laurel, a raczej potrzebował listu, który znajdował się w jej posiadaniu i który miał pomóc odnaleźć ukryte złoto.

Na krótko przed szóstą Seth ponownie skierował powóz w stronę Lamboll Street. Słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie, przeświecając przez gęste liście magnolii otaczających mały domek. Niósł się od nich zapach tak silny, że wprost trudno było oddychać. Wchodząc na ganek i unosząc wypolerowaną mosiężną kołatkę przymocowaną do spłowiałych od słońca frontowych drzwi, Seth uświadomił sobie, w jak bardzo dziwnej sytuacji się znalazł. Pocił się w

garniturze i krawacie tylko po to, aby złożyć wizytę jakiejś kobiecie i w mrocznym, małym salonie wypić kieliszek sherry w towarzystwie jej ciotki.

Laurel nie od razu zeszła na dół i Sethowi dopiero po jakimś czasie przyszło na myśl, że być może tak właśnie powinna zachowywać się młoda dama, kiedy przychodzi do niej adorator. Myśl, że jest traktowany jak wielbiciel Laurel, rozbawiła go niemal w tym samym stopniu, co przypuszczenie, że ktoś może uważać ją za przyzwoitą młodą damę. Mimo wszystko coś w tych obyczajach podobało mu się, podobnie jak podobał się ten ciemny, nagrany pokój, pełen zniszczonych skarbów przeszłości. Gdzieś w zakamarkach umysłu kołatało się w nim przekonanie o wartości takich rzeczy jak tradycja, dziedzictwo i wspomnienia.

We właściwy dla siebie, prostoduszny sposób Sophie rozprawiała żywo na temat dawnych dni Jockey Club oraz zaprzyjaźnionych z nią dżentelmenów, którzy, jak naiwnie przypuszczała, byli już teraz także bliskimi znajomymi Seta. Pomimo iż większość tych samych opowieści Seth usłyszał już rano od Laurel, nie nudził się ani trochę. Ku swemu zdumieniu odkrył, że lubi przysłuchiwać się paplaninie starszej pani, że podobają mu się głupiutkie aforyzmy, które nieustannie wygłaszała i że czuje się znakomicie, siedząc tak z uśmiechem na ustach i popijając wino oraz od czasu do czasu mamrocząc tylko: „Tak, proszę pani”.

Przyszło mu na myśl, że dzieje się tak dlatego, iż owe chwile spędzone pod dachem małego domku przy Lamboll Street stanowiły w jego życiu jedyny od lat czas, kiedy czuł się na tyle bezpiecznie, by móc się odprężyć całkowicie.

Po dwudziestu minutach Laurel zeszła na dół w towarzystwie swojej kuzynki. Wyglądała na lekko zniecierpliwioną i jeszcze piękniejszą niż rano. Miała na sobie tę samą suknię w kolorze głębokiej purpury. Jej skóra była jak alabaster, w oczach zaś czaiły się wesołe ogniki. W miejsce kapelusza, który miała rano, przypięła teraz skrawek koronki, ozdobiony suszonymi kwiatkami. W każdym razie w połączeniu z jej ciemnymi, lśniącymi włosami wyglądało to

doskonale. Zanim jeszcze młode kobiety zdały sobie sprawę, że Seth je obserwuje, Caroline odwróciła kuzynkę w stronę znajdującego się w holu lustra i poprawiła coś przy sukni. Laurel otuliła się jaskrawym szalem i zapinając rękawiczki, weszła do salonu. Seth natychmiast podniósł się z miejsca.

- Jestem gotowa - powiedziała, ledwie spojrzawszy w jego stronę.

Tait skłonił się, spoglądając na nią z uznaniem.

- Wygląda pani wspaniale, pani Laurel.

Laurel obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem, pochylając się jednocześnie, aby ucałować ciotkę w policzek.

- Nie wrócimy zbyt późno, ciociu.

Przez twarz Sophie przemknął niepokój. Z westchnieniem otarła twarz utrzymaną w dłoni chusteczką.

- Och, Laurel, sama nie wiem, jak mogłam się na to zgodzić. Moda dama chce jeść kolację w miejscu publicznym z jakimś dżentelmenem... Wprost nie mogę sobie wyobrazić, co powiedzą na to ludzie.

- Po pierwsze, trudno mnie uznać za młodą damę - odrzekła niecierpliwie Laurel. - A nawet, gdybym nią była, obyczaj się zmienił od czasu, kiedy byłam młodą dziewczyną, ciociu Sophie. Jeśli zaś chodzi o ludzi, jestem pewna, że mają znacznie ciekawsze tematy do dyskusji od tego, z kim jadam kolacje i gdzie. W przeciwnym razie możemy im tylko współczuć, prawda? Dobranoc, moja droga.

Jeszcze raz pocałowała Sophie, zbyt oszołomioną tą odpowiedzią, by dalej się z nią spierać. Seth także skłonił się starszej pani, po czym skinieniem głowy pożegnał Caroline. Nie czekając na niego, Laurel wyszła na zewnątrz.

- Poczekaj - zatrzymał ją, ujmując pod ramię, kiedy znaleźli się już na ulicy. - Nikt cię nie goni. Sprawdziłem to.

Laurel wydawała się nieco zakłopotana. Posłusznie zwolniła kroku.

- Przykro mi, że kazałam ci czekać - powiedziała. - Te dwie damy potrafią narobić wiele zamieszania wokół najmniejszego drobiazgu.

- To nie ma znaczenia. Mężczyźni lubią myśleć, że kobiety poświęcają mnóstwo czasu, aby się dla nich stroić. A ty wyglądasz naprawdę ładnie.

Seth nie miał dotąd zbyt wielu okazji, by prawić kobietom komplementy, ale Laurel popatrzyła na niego tak zaskoczona i uradowana, że natychmiast pożałował, iż nie zdobył się na określenie bardziej entuzjastyczne od słowa „ładnie”. Ubrana w elegancką purpurową suknię i jaskrawy szal, ze swymi ciemnymi, lśniąco-ciemnymi włosami, Laurel istotnie wyglądała tak, że mężczyźni mogło zaprzeć dech w piersiach. Przez moment Seth nie wierzył wprost, że ta majestatyczna, władczą kobieta rzeczywiście kroczy u jego boku. Poczł się dumny z tego, że przyjęła jego zaproszenie, nie wiedział jednak, jak jej to powiedzieć, ani też nie był pewny, czy w ogóle chce, żeby o tym wiedziała.

Laurel unikała jego wzroku, kiedy pomagał wsiąść jej do powozu, ale znalazłszy się w środku, opanowała się na tyle, żeby zapytać:

- Dokąd jedziemy?

- Do restauracji hotelowej, jeśli ci to odpowiada - odparł starając się, by jego głos zabrzmiał obojętnie. - Zapewniono mnie, że jest to odpowiednie miejsce, by zaprosić damę na kolację, ale zważywszy na źródło informacji, mogłem zostać wprowadzony w błąd.

- Cóż to za źródło? - zapytała zaciekawiona, właśnie tak, jak oczekiwał.

- Panna Elsie - uśmiechnął się.

Laurel popatrzyła na niego zaskoczona i jednocześnie rozgniewana, a także, czego również oczekiwał, z niemałą dozą ciekawości.

- Poszedłeś... zapytać ją... Miałeś czelność prosić ją o radę w sprawie... - z trudem przełknęła ślinę - dostatecznie przyzwoitego miejsca, by mnie tam zaprosić?

- Jestem obcy w tym mieście - odrzekł, nie zważając na jej minę. - Musiałem kogoś zapytać. Czyżby się myliła?

Laurel nie spuszczała z niego wzroku, tak jakby nagle zobaczyła przed sobą jakiegoś baśniowego potwora i nie mogła się zdecydować, czy budzi on jej

podziw, czy strach. Na jej twarzy tak wyraźnie widoczna była walka między urażoną godnością a niepohamowaną ciekawością, że Seth z trudem powstrzymał się przed wybuchem śmiechu. W końcu ciekawość zwyciężyła.

- Co takiego robiłeś w jej domu? - zapytała.

- Nie potrzebuję panny Elsie, aby wiedzieć, że nie jest to pytanie, które przystoi młodej damie - odparł Tait z wesołym błyskiem w oku.

Policzki Laurel oblał szkarłatny rumieniec. Odwróciła wzrok i nie odezwała się do niego ani słowem, póki nie przekroczyli progu restauracji w hotelu „Charleston”.

Miejsce to było dokładnie tak eleganckie, jak Laurel je zapamiętała. A może nawet bardziej, bo teraz przyjmowano w nim zamożnych gości, a nie wolontariuszy zbierających datki na cele dobroczynne. Salę przystrojono kwiatami, a stoły nakryto cienkimi płóciennymi obrusami, a nie - jak wtedy, gdy była tu poprzednim razem - tanim sukmem. W lichtarzach na stołach płonęły świece. Najważniejsze jednak, że tym razem wchodziła tu pod rękę z mężczyzną, na którego widok odwracały się wszystkie głowy.

Przypuszczała, że plotki o jej ostatnim wybryku: wejściu na górę do pokoju hotelowego Seta, obieły już całe miasto i była przygotowana na to, że jej pojawienie się w restauracji pod rękę właśnie z tym człowiekiem wywoła prawdziwe zdumienie. Była także świadoma tego, jak ładnie i elegancko wyglądała w swojej purpurowej sukni i jaskrawym szalu, a Tait należał bądź co bądź do bardzo przystojnych mężczyzn. Sposób, w jaki patrzyli na nią ludzie, spowodował, że serce zabiło jej szybciej, przepełnione dziwnym uczuciem dumy i triumfu.

W restauracji i hotelu „Charleston” bawili się zamożni przybysze spoza miasta, kupcy oraz niedobitki najbogatszych rodzin Charlestonu. Niektórzy z nich zachowywali się hałaśliwie, inni powściągliwie, ale widać było, że wszyscy czują się tu swobodnie. Kiedy jednak Seth i Laurel wkroczyli do środka, wśród zebranych przy stolikach ludzi zapadła pełna skrępowania cisza. Na ułamek

sekundy zamilkły wszystkie rozmowy. W spojrzeniach, jakie jej rzucano, Laurel wyczytała nie tylko ciekawość, ale i lekki, niemal niezauważalny lęk: ludzie ci zachowywali się tak, jakby krocząc znajomą ścieżką, nieoczekiwanie napotkali na niej dzikie zwierzę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to nie ona, lecz Seth jest obiektem ich wylęknionych spojrzeń. Poruszający się ze swobodą, muskularny i wciąż czujny, był w tej restauracji kimś równie nie na miejscu, jak tygrys pośrodku targowiska. Laurel czuła się jednak u jego boku zupełnie swobodnie i ani trochę nie przejmowała się spojrzeniami zebranego w restauracji towarzystwa. Żadne z nich nie pasowało do tego miejsca i oboje bardzo się z tego cieszyli. Zadowolona, ruszyła w ślad za Sethem do wskazanego im stolika.

Cóż - pomyślała w lekkim oszołomieniu - tak jak powiedział, jesteśmy do siebie bardzo podobni. Nikt nie uwierzyłby, że tak jest, ale to prawda.

Seth uśmiechnął się do niej lekko. Laurel popatrzyła mu głęboko w oczy. Przy jego boku czuła się bezpieczna. Powoli w jej umyśle wykluwał się pewien plan. Chyba wiedziała już, co powinna zrobić.

Kolacja była bardzo dziwna. Laurel nie pamiętała, by kiedykolwiek podawano jej tak wymyślne potrawy, prawie jednak nie czuła ich smaku. W innych okolicznościach nie przepuściłaby zapewne okazji, by poprzyglądać się bogatym nuworyszom siedzącym przy sąsiednich stolikach, ale dziś ledwie ich dostrzegała. Nie była nawet pewna, czy rozmawiała o czymś z Sethem, a jeśli tak, to czego dotyczyła ich konwersacja. Czuła dziwny ciężar w żołądku, jej twarz płonęła, a gardło było zupełnie ściśnięte.

Poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana, gdy do ich stolika zbliżył się Keith Peterson. Właśnie przed chwilą podano im mrożoną kawę. Seth nie wydawał się być zdziwiony jego obecnością, ale mimo to nie podniósł się z miejsca, jak przystało dżentelmenowi.

- Cóż, panie Tait, wygląda na to, że instynkt pana nie zawiódł. Widzę, że świętuje pan wygraną - oświadczył nieco zbyt głośno Peterson.

Laurel zauważyła, że Seth, pomimo iż siedział, wydawał się wyższy i silniejszy od stojącego nad nim mężczyzny.

- Mam nadzieję, że nie postawił pan na własnego konia - odparł Tait, nie patrząc na swojego rozmówcę. - Nie byłby to najlepszy interes.

Widoczne na policzkach Petersona rumieńce stały się nieco ciemniejsze, ale mężczyzna nie przestał się uśmiechać.

- Tak to już jest, że raz się wygrywa, raz przegrywa - odparł pojednawczo.
- Być może tylko jeden z nas odjechał z klubu z pieniędzmi w kieszeni, ale w końcu obaj wylądowaliśmy dziś wieczór w tej samej restauracji, prawda? Na pańskim miejscu nie zachowywałbym się tak wyniośle. Człowiek nigdy nie wie, kiedy może potrzebować przyjaciela - dodał, po czym skinął lekko głową w stronę Laurel, odszedł.

Seth powiódł za nim wzrokiem, jakby nie był pewien, czy powinien obrazić się za te słowa, czy też nie.

- Co on chciał przez to powiedzieć?

Laurel z zajęciem wpatrywała się w rękawy swojej sukni.

- Zawsze po rozmowie z tym człowiekiem mam ochotę natychmiast umyć ręce. Co takiego? Och, myślę, że mówił o przyjęciu. Po każdych wyścigach stara gwardia Jockey Club organizuje przyjęcie. Ci ludzie mogą tolerować osoby pokroju Petersona w klubie, ale to, kto zostanie zaproszony na ich przyjęcie, to zupełnie inna sprawa.

Utkwione w filizance oczy Seta pociemniały.

- Rozumiem.

- To mała, ale bardzo podniosła uroczystość - ciągnęła Laurel - na której podaje się lemoniadę i ciasteczka. Przygrywające podczas przyjęcia trio nigdy nie potrafi zagrać bez pomyłki żadnej melodii, ale sędzę, że mimo wszystko zebrany przypomina to o dawnych czasach, no i pokazuje ludziom pokroju Petersona, gdzie jest ich miejsce.

- Sądzę, że ty otrzymałaś zaproszenie na to przyjęcie - powiedział Seth, nie patrząc na nią.

Laurel z przyjemnością skosztowała doskonale zaparzonej, mocnej kawy.

- Owszem, otrzymałam.

- A ja nie.

Powiedział to tak cicho, że ledwie go usłyszała. Popatrzyła nań uważnie. Powoli zaczynała rozumieć, o co mu chodziło, a przynajmniej tak jej się wydawało.

- Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie? - zapytała.

Seth popatrzył na nią tak obojętnie, jakby myślał o czymś zupełnie innym.

- Z tego, co mówiłaś dziś rano, wynika, iż w tym mieście niewiele rzeczy ma równie wielkie znaczenie jak to, kim się jest, kogo się zna i jakie otrzymuje się zaproszenia.

Laurel miała ochotę wybuchnąć śmiechem, powstrzymała się jednak, wiedząc, że jeśli to uczyni, on także się roześmieje i nie wróci już więcej do tego tematu, a ona w żadnym wypadku nie chciała go porzucać.

- Nie sądziłam, że mężczyzna taki jak ty może przejmować się podobnymi rzeczami - powiedziała.

Seth z goryczą skrzywił usta, uczynił to jednak tak niedostrzegalnie, że Laurel zastanawiała się, czy jej się nie przywidziało. Tym bardziej że gdy się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie spokojnie.

- Skąd wiesz, jakim jestem człowiekiem, Laurel? - zapytał, także sięgając po kawę. - Prócz tego przyjaźń z właściwymi ludźmi bywa czasami jedyną drogą do osiągnięcia tego, czego się pragnie. Jeśli jednak jest się wykluczonym z takiego przyjęcia, trudniej nawiązać odpowiednie znajomości.

Laurel oczekiwała właśnie takiej odpowiedzi.

- A czego pan pragnie, panie Tait? - zapytała.

Mężczyzna przyglądał się jej badawczo, milcząc tak długo, że zniecierpliwiona przypomniała mu:

- Obiecałeś, że powiesz mi to, jeśli zabiorę cię na wyścigi. Sądzę, że należysz do ludzi dotrzymujących słowa.

- O tak, jak najbardziej - zapewnił. - Możesz na mnie liczyć.

Jego głos był cichy, a w oczach pojawił się lekki błysk, który sprawił, że serce Laurel zabiło szybciej.

- Pragnę mnóstwa rzeczy - odrzekł. - Zastanawiam się, o której z nich najbardziej chciałabyś usłyszeć.

- Może najpierw powiedz mi, co sprowadza cię do Charlestonu - poprosiła dziewczyna.

Nie spuszczał z niej wzroku ani nie przestając się uśmiechać, Seth wzruszył ramionami.

- To proste. Chcę mieć dom, miejsce, do którego bym należał. Przybyłem tutaj, żeby to znaleźć.

Laurel nie należała do osób tak naiwnych, by w to uwierzyć, o czym dobitnie świadczyło spojrzenie, jakim go obrzuciła, ale Tait wcale nie oczekiwał innej reakcji. Zanim jeszcze skończył mówić, na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz niechęci, który jednak szybko zniknął. Stało się tak dlatego, że przez krótką chwilę Laurel dojrzała w jego oczach i usłyszała w jego głosie coś, co sprawiło, że zdała sobie sprawę, iż Seth nie kłamał.

Była wszak dostatecznie sprytna, żeby nie pozwolić mu odkryć, o czym pomyślała. Stanowiłoby to ogromny, taktyczny błąd - przynajmniej w jej sytuacji. Wzruszyła więc ramionami i podniosła do ust filiżankę.

- Cóż, jeśli nie zamierzasz powiedzieć mi prawdy, nie mogę cię do tego w żaden sposób zmusić. Dotrzymałam jednak swojej części umowy i sądzę, że coś mi się za to należy.

- Moja dozgonna wdzięczność, jak widzę, raczej ci nie wystarczy - zakpił Tait.

- Masz rację, nie wystarczy - uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, zobaczymy więc, czy wyznaczona przez ciebie cena okaże się dla mnie do przyjęcia.

Laurel nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo, a jednocześnie, że będzie się czuła tak bardzo skrepowana. Przypuszczała, że Seth postawi przed nią jeszcze mnóstwo upokarzających warunków, targując się zawzięcie, i postanowiła, że dla dobra swojej rodziny jakoś to zniesie. Mimo wszystko najtrudniejsze było jeszcze przed nią: musiała popatrzeć w zmrużone oczy Taita i zebrać się na odwagę, aby poprosić go o pieniądze.

- Chcę cię prosić o pożyczkę - oświadczyła. - O pięćset dolarów.

Przez cały wieczór Seth starał się wymyślić sposób, w jaki mógłby poruszyć z Laurel delikatną kwestię pieniędzy. Odliczona dla niej suma spoczywała w jego kieszeni, owinięta kawałkiem białego papieru, miał bowiem nadzieję, że tutaj, w hotelowej restauracji, pani Laughton nie będzie mogła odmówić przyjęcia pieniędzy, nie robiąc przy tym sceny. Tymczasem to ona sama poprosiła go o pożyczanie pięćset dolarów! Czemu nie miałby skorzystać z okazji i nie załatwić całej sprawy w ten prosty sposób?

Pochylił się na krzesło, obrzucając ją uważnym, choć nieco rozbawionym spojrzeniem.

- Nie jestem pewien, czy kobieta, która w ciągu tygodnia chce powiększyć swój dług z pięćdziesięciu dolarów do pięćset, zasługuje na to, żeby podjąć dla niej takie ryzyko. Wygląda na to, że wyznawane przez ciebie zasady wymagają ponoszenia coraz większych kosztów.

Na policzki Laurel wypłynął rumieniec gniewu. Zacisnęła zęby.

- Obelgi są niewiele warte, sir, i jeśli to wszystko, co może mi pan zaproponować... - odsunęła krzesło, zamierzając podnieść się z miejsca.

Mężczyzna uniósł lekko dłoń, powstrzymując ją przed tym. Popatrzył na nią szyderczo, lecz Laurel wytrzymała to bez drgnienia powiek. Niech sobie patrzy, niech się śmieje, niech kpi, niech ma największą satysfakcję, jaką tylko

może odczuwać mężczyzna jego pokroju w podobnej sytuacji, byleby tylko powiedział: tak.

- Nie twierdzę, że nie możemy o tym porozmawiać - powiedział Seth. - Ale to mnóstwo pieniędzy, oczekuję więc od ciebie jakichś wyjaśnień.

Serce Laurel napełniło się nadzieją.

- Naturalnie - odrzekła, siląc się na spokój. - Odpowiem na każde pytanie, jakie tylko zadasz.

Seth sięgnął do kieszeni, wyczuwając pod palcami zwitek banknotów. Zamiast nich wyjął jednak cygaro.

- Na co ci te pieniądze?

- Mój wuj, umierając, zostawił poważne długi, o których nie miałam pojęcia. Między innymi zaciągnął pożyczkę na hipotekę domu, która musi zostać spłacona w ciągu najbliższych trzydziestu dni. Idzie właśnie o pięćset dolarów.

Przez głowę Seta przebiegło równocześnie kilka myśli. Przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie z Laurel, gdy spierała się z właścicielką domu publicznego o sto dolarów. Na moment ogarnął go irracjonalny gniew. Cóż pomyślałby Augustus Sinclair, gdyby widział swoją córkę zmuszoną do żebrania o pieniądze u dziwki lub błagania o pożyczkę u bandyty? I co pomyślałby o tym Pułkownik?

Czemu jednak Seth miałby się tym przejmować?

Trzymał w dłoni cygaro, lecz nie zapalał go, uświadomił sobie bowiem, że palenie tytoniu w podobnych miejscach może być czymś niewłaściwym, szczególnie w obecności dam. Z nauk Pułkownika zapamiętał więcej niż tylko to, co tamten mówił o dobrych manierach przy stole, ładnym wysławianiu się i umiejętności posługiwania się piórem. Przyszło mu nagle na myśl, że Pułkownik był jedynym dżentelmenem, jakiego znał. On sam wiedział, jak się zachować, ufając jedynie instynktowi. Nauczył się tego w czasach, kiedy był człowiekiem

wyjętym spod prawa. Zastanawiał się, cóż takiego doradziłby mu w tej sytuacji Pułkownik.

Był niemal pewny, że przyjaciel kazałby mu wyjąć pieniądze z kieszeni i spokojnie, bez słowa, podać je pod stołem siedzącej naprzeciw młodej damie.

- Rozumiem więc, że proponujesz mi, bym wykupił wasz dług, przyjmując w zastaw dom, czy tak?

Szkarłatny rumieniec na policzkach Laurel zbladł nagle. Zastaw! Jak mogła zapomnieć o czymś tak istotnym? Zastaw oznaczał, że jeśli nie byłaby w stanie zwrócić długu, a to, u diabła, było bardzo prawdopodobne, Seth zabierze dom. Prawie nie znała tego człowieka, a ze wszystkiego, co o nim wiedziała, wynikało, że nie powinna mu ufać. Jakże więc mogłaby ryzykować, zdając się na jego łaskę?

- Nie. Dom nie mógłby stanowić zastawu - odparła szybko. - Należy do ciotki Sophie. Nie mogę nim dysponować.

- Co wobec tego proponujesz? - skinął poważnie głową, postukując koniuszkiem cygara o stół.

- Chinatree - odparła bez zastanowienia. - Mogę zaproponować ci Chinatree.

Seth rzucił jej pośpieszne, niedowierzające spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że ta posiadłość jest na sprzedaż.

- Nie jest - odrzekła ochryple, zaciskając dłonie. - Traktuję ją tylko jako zastaw.

Na twarz Setha znów powróciło rozbawienie.

- Znając twoją sytuację finansową, sędzę, że to na jedno wychodzi. Tylko po co mi zrujnowany cmentarz i kawał pola pełnego chwastów i węży? Czy nie masz niczego, co mogłoby mi się przydać?

Laurel opuścił spokój.

- Tak, owszem - powiedziała. - Sędzę, że możemy ubić poważny interes.

Seth ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Jak poważny? - Sięgnął po filiżankę z kawą, po czym, skrzywiwszy się, odstawił ją z powrotem. - Jak możesz pić coś takiego? Co za paskudztwo! No więc, jakież to wielki interes masz mi do zaproponowania?

Laurel wzięła głęboki oddech.

- A co byś powiedział na członkostwo w Jockey Club, na zaproszenia na przyjęcia, na których nie bywa nawet gubernator tego stanu, na powszechną akceptację i szacunek, wreszcie na dom?

Seth był nadal rozbawiony, ale na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie.

- Sam nie wiem, o co zapytać najpierw. Jak to zrobisz, czy może dlaczego? - powiedział. - W gruncie rzeczy nie jestem nawet pewien, czy chcę znać odpowiedź na oba te pytania.

Laurel złożyła ręce na stole i wbiła w Seta pełen napięcia wzrok.

- Dlaczego, to chyba jasne: pieniądze. Ty je masz, a ja ich potrzebuję. A jeśli chodzi o to, jak to zrobić, wydaje się to zupełnie proste. Znowu głęboko zaczerpnęła powietrza, jej głos był jednak zdumiewająco spokojny, kiedy dokończyła: - Po prostu musiałbyś mnie poślubić.

Przez długą chwilę Seth przyglądał się jej w milczeniu. Nie przetarł ze zdumienia oczu, nie uśmiechnął się, nie zrobił zupełnie nic. Sama Laurel nie była w stanie nawet oddychać, ale też nie czuła, żeby tego potrzebowała. W pierwszej chwili po wypowiedzeniu tych słów ogarnęło ją przerażenie, że Tait wybuchnie śmiechem, i pomyślała, że chyba umarłaby ze wstydu, gdyby to uczynił. Teraz jednak doszła do wniosku, że to milczenie było czymś jeszcze gorszym. Spojrzenie jego spokojnych, nieruchomych oczu sprawiło, że opuściła ją cała odwaga. Musiała chyba być szalona. Z pewnością nie można było traktować serio tego, co powiedziała. Jak w ogóle w jej głowie mogła zrodzić się taka myśl?

Kiedy jednak w końcu mężczyzna odezwał się i najłagodniejszym z możliwych tonem zapytał, czy mówiła poważnie, nie cofnęła się, obracając wszystko w żart. Głęboka desperacja kazała jej trzymać się raz podjętej decyzji.

Skinęła głową.

- Mężczyźni i kobiety pobierają się ze znacznie błahszych powodów - powiedziała spokojnie. - Ja mam to, czego ty pragniesz, ty zaś posiadasz coś, na czym zależy mnie. Bylibyśmy chyba doskonałymi współnikami.

Choć mina Setha nie zmieniła się ani na jotę, ton jego głosu brzmiał zbyt uprzejmie, by nie kryła się w nim drwina.

- Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy na ten temat - przypomniał jej - oświadczyłaś, o ile pamiętam, że nigdy nie wyjdiesz powtórnie za męża.

- Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy na ten temat, nie groziło mi, że stracę dom - odrzekła spokojnie.

Mężczyzna popatrzył na cygaro, które wciąż obracał w palcach, a beztroski ton jego głosu stał się już nieco wymuszony.

- Naprawdę sprzedałabyś całe swoje życie za pięćset dolarów?

- Bez tych pięćuset dolarów - odparła Laurel - nie będę miała żadnego życia. Prócz tego - dodała - chodzi o coś więcej...

Seth obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- O pozostałe dwa tysiące. Laurel z trudem przełknęła ślinę.

- Tak - przyznała. - Po części tak.

- Nie wystarczą na zawsze - przypomniał jej Seth. - A ja nie kłamałem, kiedy mówiłem, że to wszystko, co posiadam. Co się stanie, kiedy pieniądze się skończą?

- Zarobisz więcej - odparła Laurel bez zmrużenia powiek. - Mężczyźni tacy jak ty zawsze to robią. Prócz tego, jak powiedziałam, tylko częściowo chodzi mi o te pieniądze.

Z całych sił pragnęła, aby zapytał, jakie jeszcze inne motywy nią kierują, choć jednocześnie czuła przed tym paniczny lęk. Wcale nie była pewna, czy

chce się przyznawać do swych pobudek nawet przed samą sobą. On jednak nie powiedział ani słowa. Przyglądał się jej po prostu, a w jego wzroku nie było teraz nawet śladu rozbawienia. Co więcej, jego oczy patrzyły na nią tak ciepło, że po plecach Laurel przebiegł dreszcz.

- Sądzę, że mówiłaś serio - oświadczył w końcu bardzo spokojnie.

Laurel chciała coś powiedzieć, ale czuła w gardle taką suchość, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Zresztą nie musiała nic mówić - Seth i tak mógł wyczytać odpowiedź z jej oczu.

Schował cygaro z powrotem do kieszeni. Jego palce musnęły owinięte w papier pieniądze.

Dosyć - pomyślał. - To wszystko zaszło już za daleko. Po raz pierwszy w życiu zrób to, co trzeba, szczególnie że jest to najłatwiejsza rzecz, jaką możesz uczynić...

Wyciągnął dwa banknoty, żeby zapłacić za kolację i podniósłszy się z miejsca, stanął za plecami Laurel.

Poczuła, jak jego dłonie okrywają jej ramiona szalem. Serce waliło jej jak młotem. Z pewnością nie zareagowała tak na jego dotknięcie - krótkie zresztą i niemal niewyczuwalne - musiała to być reakcja na tę niewyobrażalną rzecz, na którą się przed chwilą zdobyła. A może sprawił to wyraz jego twarzy? Tak zdecydowany i męski, że dopiero spojrzawszy nań, uświadomiła sobie, jak niewiele wie o tym człowieku. Kiedy swobodnie, niemal odruchowo podawał jej ramię, poczuła się zakłopotana, uświadomiwszy sobie, że jej dłonie są wilgotne.

Długi czas Seth nie odzywał się ani słowem, wyjąwszy polecenie wydane woźnicy, aby zatrzymał się, gdy dojadą do Bartery. Laurel, której serce zamierało z niepokoju i żalu, była wstrząśnięta: oczekiwała, że odwiezie ją do domu i pozostawi przed frontowym wejściem jak niegrzeczne dziecko, które na zbyt długi czas wymknęło się spod kontroli dorosłych. Gorączkowo próbowała wymyślić jakiś sposób, by nie wycofując się ze złożonej mu propozycji, ocalić resztki własnej godności.

Tait trzymał ją mocno pod rękę, prowadząc ku otaczającemu zatokę parkowi. Szedł swobodnym krokiem, ale Laurel czuła, jak bardzo napięte są jego mięśnie. I choć w żaden sposób Seth nie onieśmiał jej, było coś zupełnie naturalnego i kobiecego w tym, że reagowała na jego męską siłę lekkim uczuciem strachu.

Nie byli jedynymi, którzy wybrali się tu na spacer. Zmierzchało się już i park pełen był miękkich, głębokich cieni. Ocean przypominał błękitny szal rzucony bez troski na ziemię, marszczący się pod wpływem wiatru. Choć wieczór był ciepły, niosąca charakterystyczny zapach ryb i słonej wody bryza sprawiała, że Laurel zrobiło się zimno. Od czasu do czasu przejeżdżał obok nich powoli jakiś powóz lub mijali ich rozmawiający ze sobą przyciszonymi głosami ludzie, niekiedy też z oddali słyszeli wybuchy śmiechu. Seth wciąż był milczący i nieprzenikniony.

Przystanął na chwilę, żeby zapalić cygaro i na kilka sekund otoczył go zapach tytoniowego dymu, szybko uniesiony w dal przez wiejący od oceanu wiatr.

- Nawet mnie nie znasz - powiedział w końcu. - Mogę na przykład okazać się kimś, kto będzie bił żonę.

Słyszając jego spokojny głos, Laurel doznała takiej ulgi, że całe zdenerwowanie opuściło ją w jednej chwili.

- Tylko byś spróbował - odparła żartobliwie, obracając ku niemu twarz.

- A może ucieknę i porzucę cię już po miesiącu małżeństwa - uśmiechnął się. - Jakbyś się wtedy czuła?

- Jeśli hipoteka domu zostałaby spłacona - odrzekła rozsądnie - nie sądzę, żebym się tym przejęła zbyt mocno. Nie wydaje mi się jednak, byś miał to uczynić.

- Dlaczego nie?

Dotknął lekko jej ramienia, prowadząc ku ścieżce wiodącej w stronę kamiennego muru, z którego rozciągał się widok na ocean.

- Gdyby było ci łatwo zrezygnować z tego, po co przybyłeś do Charlestonu, już byś stąd wyjechał - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Poza tym sądzę, że naprawdę pragniesz tego, co mogę ci dać.

- Szacunku? - Seth cisnął w morze niedopałek cygara, który zakreślił w powietrzu czerwony łuk. - Kiedy ma się dość pieniędzy, nie potrzebuje się szacunku.

- Ale kiedy się go nie ma, same pieniądze nie wystarczą, by czuć się zadowolonym.

Seth popatrzył na nią rozbawiony.

- A więc chcesz powiedzieć, że z tobą u boku miałbym obie te rzeczy naraz?

- Być może - odparła Laurel, unosząc podbródek.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jeśli mnie poślubisz, będziesz cieszyła się w mieście znacznie mniejszym szacunkiem niż teraz? - zapytał, kładąc nacisk na słowo „szacunek”.

- Nie wiem, czemu miałyby tak być. Nie jesteś Jankesem ani żadnym wyrzutkiem społeczeństwa, a to otwiera ci drogę do najlepszego towarzystwa w tym mieście, o ile stara gwardia nie będzie miała nic przeciwko temu. I jeśli tylko nie masz gdzieś na Zachodzie żony, nie widzę żadnego powodu, dla którego małżeństwo z tobą miałyby wzbudzić w kimkolwiek tutaj dezaprobatę.

- Nie, nie miałem jeszcze nigdy żony - mruknął Seth. - Ale sądzę, że nawet to nie powstrzymałoby cię przed nakłanianiem mnie, żebym cię poślubił.

Laurel zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Nie - przyznała. - Dopóki bym o tym nie wiedziała, nie miałyby to dla mnie żadnego znaczenia.

Spacerując doszli do miejsca, gdzie naturalne wgłębienie w kamiennym murze tworzyło zaciszny kącik. Ustawiono tu malutką ławeczkę, na której w ciągu dnia przyjemnie było usiąść i wystawić twarz na oceaniczną bryzę. Teraz jednak ostatnie promienie słońca skryły się już za horyzontem i miejsce to stało

się ciemne i cieniste, niemal niewidoczne od strony biegnącej obok ścieżki. Laurel była pewna, że nie znaleźli się tu przez przypadek, sądziła także, że gdyby teraz spróbowała zawrócić, Seth nie pozwoliłby jej na to. Z wystudiowaną nonszalancją oparła się więc o mur i popatrzyła na zatokę.

Tait wsparł się ramieniem o kamienną ścianę, stając tak blisko niej, że nieomal się o nią ocierał. Serce Laurel zaczęło bić nieco szybciej.

- Być może szacunek nie jest wszystkim, czego bym od ciebie oczekiwał, Laurel - powiedział cicho, wpatrując się w nią uparcie. - Nie wiem, jak ty to wszystko sobie wyobrażasz, ale dla mnie małżeństwo zawsze pozostaje małżeństwem. W całym znaczeniu tego słowa.

Teraz serce Laurel biło już jak oszalałe. Próbowwała wmawiać sobie, że sprawił to nagły przypływ nadziei, Seth bowiem zdawał się poważnie rozważać przyjęcie jej propozycji, wiedziała jednak, że to nie z tego powodu czuje się tak podniecona.

Odwróciła się, dopiero teraz uświadamiając sobie, że jej piersi znajdują się zaledwie o kilka cali od ciała mężczyzny. Żeby na niego popatrzeć, musiałaby zrobić krok do tyłu, ale czuła, że cofnąwszy się o ten krok, mogłaby wszystko zepsuć, nie ruszyła się więc z miejsca.

- Naturalnie - oświadczyła najbardziej opanowanym tonem, na jaki tylko była w stanie się zdobyć - mam świadomość, że ci się trochę podobam. Powiedziałabym nawet, że nie ośmieliłabym się uczynić ci takiej propozycji, gdybym tego nie wiedziała. Poza tym nie jestem już panną, więc oczywiście zdaję sobie sprawę, z czym wiąże się małżeństwo i...

- A co z tobą?

Zadał to pytanie gwałtownie i niecierpliwie, jeszcze bardziej przysuwając się do Laurel. Poczula bijący od niego silny, męski zapach.

- Ja... ja nie wiem - wyjąkała, wściekła na siebie i czerwona z zakłopotania.

- Nigdy bym sobie nie darował, gdyby przyszło mi dzielić łożę z kobietą, która najchętniej zastrzeliłaby mnie podczas snu. Zważywszy, iż to jedynie pieniądze skłaniają cię do małżeństwa ze mną, taka myśl mogłaby zrodzić się w twojej głowie.

Laurel popatrzyła na niego ze zdumieniem, w jednej chwili zapominając o zakłopotaniu.

- To oczywiste, że nie uczyniłabym nic takiego! I to nie tylko twoje pieniądze są powodem... - znowu zająknęła się, widząc utkwione w niej spojrzenie mężczyzny. Jego oczy były niemal zwierzęco czujne. Nie mogła się już wycofać. - Myślę... Uważam, że bardzo do siebie pasujemy. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Moje zachowanie nie szokuje cię, a ja zapewne umiałabym przyjąć spokojnie do wiadomości wszystko, co ty mógłbyś uczynić. Mam nadzieję, że nie oczekujesz, iż powiem, że jestem w tobie zakochana, ponieważ ledwie cię znam, ale z całą pewnością lubię twoje towarzystwo i sądzę, że mogę nauczyć się być z tobą szczęśliwa. Nie ma też chyba sensu udawać, że uważam cię za kogoś fizycznie odpychającego, bo wiesz, że tak nie jest. Choć oczywiście te rzeczy mają mniejsze znaczenie...

Kiedy wypowiadała te słowa, mężczyzna położył dłonie na jej ramionach, a jego usta znalazły się zaledwie cal od jej twarzy. Wsparta plecami o kamienny mur, Laurel nie mogła cofnąć się nawet o krok.

- Cieszę się - oświadczył Seth, całując ją.

Mimo że powinna się tego spodziewać, zaskoczyła ją jego reakcja. Jednocześnie dotknięcie ust mężczyzny wywołało w jej ciele uczucie nagłej rozkoszy. A potem, niespodziewanie, uczynił jeszcze coś, co wprawilo ją w najgłębsze zdumienie: wsunął w jej usta swój język.

Uczucie, jakiego doznała w tym momencie Laurel, było tak wstrząsające i oszalamiające, że przez chwilę czuła się równie bezradnie, jak uwięziona w bursztynie mucha. Sparaliżowana, starała się opanować drzenie uginających się pod nią kolan. Ogarnął ją gwałtowny niepokój oraz poczucie, że robi coś

wyjatkowo nieprzyzwoitego. Uniosła ręce i próbowała odepchnąć Setha od siebie, nie miała jednak na to dość siły. Jego ramiona obejmowały ją mocno, a język zagłębiał się coraz dalej. Laurel domyślała się, że powinna być oburzona i dotknięta zachowaniem mężczyzny, ale nic podobnego nie czuła.

Bezradna, oszołomiona i przejęta do głębi serca, z trudem chwyciła powietrze. To, co przeżywała, napełniało ją strachem: lękiem przed nim, przed samą sobą, przed wszystkim, co miało się wydarzyć. Policzki ją paliły. Ta chwila intymności obudziła w niej dziwną tęsknotę i pragnienia, które ją przerażały.

Jeszcze długo potem, kiedy przestali się całować, czuła na ustach smak jego warg.

- Mam cię poślubić, Laurel? - szepnął mężczyzna, oddychając chrapliwie.

- Naprawdę tego chcesz?

Serce dziewczyny biło tak gwałtownie, że miała wrażenie, iż za chwilę wyrwie się jej z piersi. Tylko dzięki Sethowi, który ją podtrzymywał, była w stanie ustać na nogach.

- Tak - powiedziała zdławionym głosem. - Tak, chcę - powtórzyła obawiając się, że mógł jej nie usłyszeć.

Mężczyzna uniósł głowę, patrząc na nią płonąącym wzrokiem.

- Nie jestem dżentelmenem - powiedział cicho. - Wiesz o tym. Kiedy zostanę twoim mężem, mam zamiar zachowywać się jak dżentelmen, ale być może nie zawsze to, co zrobię, będzie ci się podobało.

Laurel nie spuszczała z niego wzroku tak długo, aż jej oddech stał się na powrót spokojny.

- Jak już powiedziałeś - odrzekła - nie powinnam narzekać, skoro to wszystko robię tylko dla pieniędzy...

Na moment zapadło milczenie. Seth odsunął się od niej, nieznacznie krzywiąc usta.

- Mój Boże, z jakąż to kobietą przyszło mi się związać! - westchnął.

- Być może... powinienesz zapytać samego siebie, jakimż to jesteś mężczyzną, skoro chcesz to uczynić.

Przez długą chwilę Seth patrzył na nią, nie odzywając się ani słowem.

- Czy kiedy spotkamy się jutro rano, nie zmienisz zdania? - zapytał.

Laurel poczuła taką suchość w gardle, że była w stanie jedynie pokręcić głową.

- A za tydzień? - dopytywał się oschłym tonem. Jego oczy zwęziły się, tworząc małe szparki. - Czy jeśli w przyszłym tygodniu ktoś pozostawi przed twoimi drzwiami pięćset dolarów, nadal będziesz chciała mnie poślubić?

Laurel wiedziała, że od odpowiedzi na to pytanie zależy cała jej przyszłość, ale nie mogła zebrać myśli. Skóra wciąż ją paliła, a na ustach nadal czuła smak warg tego mężczyzny.

- Jakiej odpowiedzi ode mnie oczekujesz? - wyjąkała, niezdolna do powiedzenia czegokolwiek innego. - Tak, sądzę, że chciałabym... Ach, sama nie wiem! Myślę, że i tak chciałabym ciebie poślubić... - Zacisnęła dłonie na skroniach, odwracając się od niego. - Czemu mnie o to pytasz? To nie ma znaczenia!

- Nie - przyznał dziwnie spokojnym tonem. - Nie ma.

Odwrócił głowę i zapatrzył się na morze. Laurel zobaczyła, że włożył rękę do kieszeni, jakby czegoś w niej szukał. Po chwili wyciągnął cygaro.

- Ułatwiłaś mi pewne rzeczy - oświadczył. - Być może i ja mógłbym ci co nieco ułatwić. Nie byłby to najgorszy interes, jaki w życiu zrobiłem. - Popatrzył na nią poważnym wzrokiem. - Nie oczekuj jednak ode mnie zbyt wiele, Laurel. Musisz też obiecać, że cokolwiek się stanie, zawsze będziesz pamiętała, iż był to twój pomysł.

Teraz, kiedy miała już to wszystko za sobą, ogarnął ją dziwny spokój. Jej oddech stał się głęboki i regularny, a serce biło równym rytmem.

- Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni? - zapytała, wpatrując się w twarz Seta.

Przez chwilę sądziła, iż mimo wszystko Tait odpowie: nie. A potem dostrzegła na jego twarzy cień znajomego uśmiechu.

- Owszem - odrzekł, na powrót chowając cygaro do kieszeni. - Jesteśmy zaręczeni. Boże, miej teraz w opiece nasze nieszczęsne dusze.

ROZDZIAŁ 10

Podczas długiej podróży pociągiem przez kraj Edgar Cassidy miał mnóstwo czasu na rozmyślania. Jedną z rzeczy, nad którymi się zastanawiał, było to, jak dziwnie splatało się ludzkie życie.

Przed trzema tygodniami przy drewnianym krzyżu na opuszczonym grobie zakończył swoje dwudziestoletnie poszukiwania. Kapelusz, siodło oraz broń w olstrach stanowiły wszystko, co pozostało po człowieku, który prześladował Cassidy'ego przez większość dorosłego życia. Rozminął się z Pułkownikiem Ike'em nie więcej niż o dwa dni. Szukał go przez tyle lat, żeby w końcu spóźnić się tylko o godziny. Kiedy odnalazł leżący na pustyni grób i przeczytał nieudolnie wycięte na drewnianym krzyżu słowa, miał ochotę wyc z wściekłości. Chciał rzucić się na ziemię i tarzać w pyle, szarpiąc gołymi dłońmi kamienie. Przez krótki moment pomyślał nawet o zakończeniu życia strzałem z pistoletu. Przegrał. A jednak nie wszystko było stracone. Uświadomił to sobie, kiedy dotarło do niego, że był przecież jeszcze Peach Brady. Ike nie żył, ale jego współnik tak... Wniosek był oczywisty: Pułkownik nie zabrał swego sekretu do grobu.

Nic innego nie zmusiłoby przecież człowieka takiego jak Peach Brady do powrotu na Wschód, a dokładnie tam przecież się udał. Cassidy dowiedział się tego, pomimo że odnalezienie śladów Peacha zabrało mu mnóstwo czasu. Brady był prawdziwym mistrzem w ucieczce przed prawem, skrywaniu się w sobie tylko znanych dziurach i umiejętności leżenia bez ruchu. Nie było na całym

Zachodzie człowieka, który potrafiłby tak zacierać za sobą ślady. Ale powrót na Wschód był błędem. Brady znajdował się teraz na terytorium Cassidy'ego.

Edgar Cassidy sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złożony plakat. Nikt nigdy nie zdobył fotografii Ike'a ani Peacha Brady'ego - stary Pułkownik był na to zbyt sprytny - ale ich rysopisy w zupełności wystarczały. Dowiedziawszy się, dokąd zmierzał uciekinier, Cassidy ruszył w ślad za nim przez Missisipi. Ku swemu zadowoleniu w hotelowym rejestrze w Saint Louis odkrył nazwisko, jakiego Brady używał obecnie. Tait. Seth Tait. Od tego momentu Cassidy nabrał pewności, że jego teoria jest prawdziwa. Pułkownik Ike powiedział współnikowi o złocie i ten właśnie po nie wracał.

Cassidy pomyślał, że mają rację ci, którzy mówią o niezbadanych wyrokach opatrności. Peach Brady powracał tam, gdzie to wszystko się zaczęło. Poszukiwania, jakie prowadził Edgar Cassidy, zatoczyły pełne koło - po latach znalazł się z powrotem w Charlestonie, w Karolinie Południowej.

Caroline usłyszała stukanie kołatki, ale nie przerwała pracy. Pokój, w którym siedziała, był kiedyś miłym, ładnym salonikiem, obecnie jednak zamieniony został w pracownię pełną farb, skrawków tkanin i środków chemicznych. Położone na tyłach domu, z dala od ulicznego ruchu pomieszczenie miało dobre oświetlenie. Chociaż matka często narzekała na bałagan, jaki robiła Caroline, ona sama była najszczęśliwsza, kiedy ukryta przed wszystkimi w tym małym pokoiku, mogła się oddawać ciężkiej pracy.

Z oddali usłyszała głos Petera witającego się z jej matką i pytającego o nią, była jednak zbyt skupiona na ostrożnym mieszaniu tlenku cynku, potasu i salicylu, by mogła oderwać się od pracy. Kątem oka spostrzegła, że Peter wszedł do pokoju i stanąwszy w progu, obserwował ją, ale nie ośmieliła się nawet podnieść wzroku i uśmiechnąć się do niego. Najmniejszy ruch, jakim wyraziłaby swoją radość, mógł przynieść w efekcie dodatkowe godziny pracy. Ostrożnie rozprowadziła kleistą maź po krawędzi oryginalnej chińskiej filizanki i połączyła ze sobą rozbite kawałki, czekając, aż klej stwardnieje. Kiedy

wysechł na tyle, by nie trzeba już było trzymać naczyń w dłoniach, ostrożnie postawiła je pośrodku wypełnionego piaskiem pudełka, gdzie miało wyschnąć do końca i poczekać na powtórne malowanie. Z lekkim westchnieniem satysfakcji otarła dłonie o ciężki, roboczy fartuch i odwróciła się do Petera.

- Wejdz, mój drogi - zaprosiła go z uśmiechem do środka. - Skończyłam z tym na jakiś czas.

W lekkim skinieniu głowy, którym powitał ją mężczyzna, widziało się najszczęśliwszy podziw. Zdjął pudełko z farbami z wyblakłego zielonego krzesła i usiadł na nim.

- Zawsze zdumiewa mnie twoja cierpliwość - oświadczył.

- Do takiej pracy trzeba mieć cierpliwość - przyznała Caroline, uśmiechając się lekko, po czym dodała: - Ale to zapewne dotyczy bardzo wielu rzeczy, prawda?

Peter zmarszczył brwi, nie do końca pewien, co miała na myśli. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, podszedł do stołu i przyjrzał się wyszczerbionemu dzbankowi do herbaty oraz schnącej filiżance.

- Stara gwardia stara się ocalić z przeszłości, ile się tylko da - stwierdził. - Wielkie damy Charlestonu chcą zachować choćby szczątki dziedzictwa swoich rodzin.

- Cała stara paryska porcelana pani Commel niemal przestała już istnieć - Caroline odwzajemniła jego uśmiech. - Mówiła mi, że jej mąż zamówił ten serwis w Paryżu tuż przed wojną. Zakopali wszystko, gdy tylko zaczęły się walki, i stracili za ledwie jeden dzbanuszek do herbaty. Jednak w ciągu ostatnich lat jej wnuki dokonały znacznie większych zniszczeń niż Jankesi. Oczywiście, nie może mi płacić zbyt wiele za naprawę...

- Oczywiście. A ty pozwalasz się wykorzystywać.

- Daj spokój, Peterze - powiedziała z łagodnym wyrzutem. - Nie bądź złośliwy. Dobrze wiesz, że to, co robię, sprawia mi tak wielką przyjemność, iż

pieniądze nie mają znaczenia. Mam satysfakcję, że pomagam ludziom ocalić ich wspomnienia, zachować przeszłość.

- Ale dla większości z nich byłoby lepiej, gdyby zapomnieli o przeszłości i poświęcili nieco więcej uwagi teraźniejszości.

- Teraz mówisz jak Laurie.

- Która, jak zawsze to podkreślam, jest prawdopodobnie najrozsądniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. To właśnie dlatego... - wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją niespokojnie - twój list tak bardzo mnie zdziwił. Cóż uczynił ten Seth Tait, że wprowadził cię w takie przygnębienie?

- Och, mój drogi - westchnęła Caroline. - Nie jestem przygnębiona. I naprawdę nie uczynił on nic, bym tak się czuła. Wiem, że prawdopodobnie robie z igły widły, ale po prostu nie znam nikogo innego prócz ciebie, kogo mogłabym prosić o pomoc. Usiądź. Czy możemy porozmawiać?

Peter wiedział, że Caroline trudno było bez przerwy siadać i podnosić się z miejsca, podobnie jak nie było jej wygodnie, kiedy musiała patrzeć w górę na stojącego nad nią człowieka. Przeklinając w duchu własną bezmyślność, natychmiast usiadł z powrotem na krześle. Dziewczyna odwróciła się ku niemu, składając dłonie na osłoniętych fartuchem kolanach.

- Proszę, nie zrozum mnie źle - powiedziała z wysiłkiem. - Nie mam nic przeciwko panu Taitowi. Jest doprawdy czarujący i okazał nam wiele dobroci...

- Ledwie znacie tego człowieka - przerwał jej ostro Peter - nie sądzę więc, by wypadało mu okazywać wam „dobroć”. W grancie rzeczy, całe jego zachowanie jest nieco dziwne jak na dżentelmena. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że Seth Tait wcale nie jest dżentelmenem.

- A więc słyszałaś już plotki na temat jego i Laurel - Caroline popatrzyła na niego z przygnębieniem. - To właśnie one mnie martwią, Peterze. Wiesz, że nigdy nie kwestionowałam sądów ani motywów postępowania Laurel, która z takim poświęceniem od lat zajmuje się nami i nie ośmieliłabym się sprzeciwić jej postanowieniom, ale... - Zaczerwieniła się gwałtownie. - Bywają mężczyźni,

którzy... gotowi są napastować niczego nie spodziewające się kobiety, a Laurel wydaje się... no cóż, ona chyba ulega urokowi pana Taita. Bardzo mnie to martwi i niepokoi.

Peter sam nie wiedział, co zdumiewało go bardziej: czy to, że Caroline wie w ogóle cokolwiek na temat mężczyzn mogących wyrządzić krzywdę niewinnym kobietom, czy też to, że wyobraża sobie Laurel Sinclair jako zupełnie bezbronne dziewczę. Rzeczywiście, słyszał jednak plotki, szczególnie na temat jej wizyty w Jockey Club, i nawet bez listu Caroline miał zamiar odbyć z Laurel poważną rozmowę. Nie zapominał o rzeczy, o której Caroline nie miała nawet najmniejszego pojęcia: jak i gdzie Laurel poznała Seta Taita. Peter nie wątpił, że za działaniem Laurel kryje się jakiś plan, ale skoro zaniepokoiło to nawet Caroline, sprawy najwyraźniej zaszły zdecydowanie za daleko.

- Laurel zawsze potrafiła zatroszczyć się o siebie - powiedział łagodnie. - Nie sądzę, byś musiała się o nią martwić.

Zmarszczka na czole Caroline jeszcze się pogłębiła. Dziewczyna spuściła oczy, przyglądając się swoim dłoniom.

- Myślę... cóż, uważam, że Laurel jest nim zainteresowana.

- W jakim sensie?

- W romantycznym - odparła Caroline, podnosząc na niego zmartwione oczy i jeszcze silniej zaciskając dłonie. - Doszło do tego, że wychodzi razem z nim bez żadnej przyzwotki. Ludzie widzieli ich razem podczas wyścigów konnych, a także później, w restauracji hotelowej. Wiem, że miasto aż trzęsie się od plotek. Nawet mama słyszała o tym podczas środowego spotkania biblijnego. Nie to mnie jednak martwi. Ludzie zawsze gadali o Laurel, ona zaś nigdy się tym nie przejmowała, co więcej, chyba nawet ją to cieszyło. Mój niepokój ma swe źródło w czymś innym: w sposobie, w jaki Laurel o nim mówi, a także w tym, jak wygląda, kiedy ten mężczyzna pojawia się w pobliżu... Lęka mnie także to, jak on na nią patrzy. Caroline umilkła, nieśmiało spuszczaając oczy. Policzki płonęły jej tak, iż wydawało się, że można by ogrzać o nie rękę.

- Wiem, że uznasz mnie za największą idiotkę, jaką kiedykolwiek spotkałeś, skoro rozmawiam z tobą o takich rzeczach, ale kiedy w grę wchodzi mężczyzna, nawet najrozsądniejsze damy tracą czasami głowę... - zakończyła niepewnie.

Przez dobrą chwilę Peter nie mógł wydobyć z siebie głosu. Z najwyższym trudem powstrzymał się przed zerwaniem się z miejsca i przypadnięciem do nóg Caroline, po to, by ściskając jej dłonie, zapewnić, że ostatnią rzeczą, jaką mógłby pomyśleć, byłoby uznanie jej za idiotkę. Zastanawiał się, czy jest możliwe, by Caroline nie zawsze była tak rozsądna jak zwykle, kiedy myślała o nim, i pragnął, by popatrzyła mu w oczy, ponieważ z pewnością potrafiłyby w nich wyczytać odpowiedź.

Pozwolił sobie jednak na rozmyślanie o takich głupstwach zaledwie przez minutę. Caroline zwracała się do niego o pomoc. Potrzebowała czegoś, co tylko on mógł jej ofiarować, a to stanowiło już więcej, niż śmiałyby oczekiwać. Miał pretekst, żeby się z nią zobaczyć i choć był pewien, że jej troska o Laurel nie zda się na nic, nie miał nic przeciwko temu, by zrobić, co w jego mocy, ażeby przedstawić Seta Taita w jak najgorszym świetle.

- Uważam, że niepotrzebnie martwisz się o Laurel - powiedział łagodnie. - Jednak sposób, w jaki ten człowiek pojawił się w jej życiu, w życiu was wszystkich, jest doprawdy... - Peter zmarszczył brwi. - Musisz wiedzieć, że od początku żywiłem co do niego pewne podejrzenia.

- A więc nie uważasz, że jestem głupia? - Na twarzy Caroline odmalowała się wyraźna ulga.

Peter uśmiechnął się i wyciągnąwszy rękę, pogładził jej dłoń.

- Jakże mógłbym tak pomyśleć? Laurel z pewnością nie podziękuje nam za wtrącanie się w jej sprawy, ale ja dobrze wiem, że twoje postępowanie wynika z tego, iż ją kochasz.

Caroline poczerwieniała lekko, wpatrując się w dłoń mężczyzny spoczywającą teraz na jej własnej, nie poruszyła się jednak.

- Ciebie także to dotyczy - szepnęła. - To znaczy, ty też ją kochasz, jak sądzę.

Peter powoli cofnął dłoń i wyprostował się na krześle.

- Tak - przyznał. - Laurel zawsze była dla mnie jak siostra. Caroline podniosła na niego wzrok, nie zdołał jednak dojrzeć wyrazu jej oczu. Zauważył tylko, że poczuła się niezręcznie i zganił się w duchu za to.

- Prawdę mówiąc, gdy tylko dostałem twój list, poczyniłem pewne kroki, by dowiedzieć się czegoś o panu Taicie - ciągnął beztroskim, obojętnym tonem. - Istnieją sposoby, by poznać przeszłość ludzi takich jak on. Niestety, zabierze mi to trochę czasu.

Caroline uśmiechnęła się do niego z taką wdzięcznością i ulgą, że Peter miał nadzieję, iż zbieranie informacji o Secie rzeczywiście zabierze mu mnóstwo czasu.

- Och, dziękuję ci. Wiedziałaś, że mogę na ciebie liczyć. Nie uważasz, że robimy coś złego, prawda? Czy sądzisz, że Laurel będzie się na nas bardzo gniewać?

- Laurel nigdy się o tym nie dowie - zapewnił ją. - A poza tym zrobiłaby to samo albo nawet więcej, gdyby martwiła się o kogoś z nas.

Ta myśl najwidoczniej nie przyszła wcześniej Caroline do głowy, bo teraz ogromnie podniosła ją na duchu.

- Masz rację, oczywiście. Jestem ci taka wdzięczna za pomoc!

Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnęła do niego obie dłonie, on zaś błyskawicznie poderwał się na nogi, pomagając jej wstać.

- Lacey upiekła dziś rano biszkopty. Odszukajmy mamę i namówmy ją, żeby napiła się z nami lemoniady na świeżym powietrzu. W ogrodzie na tyłach domu jest całkiem chłodno.

W pół godziny później w owym właśnie ogrodzie na tyłach domu, kiedy w cieniu mimozy pili lemoniadę, odnalazła ich Laurel. W pierwszej chwili poczuła się nieco speszona obecnością Petera, ale wkrótce uznała, że jest jej ona

jednak na rękę. Równie dobrze przecież mogła podzielić się swoją nowiną od razu ze wszystkimi, choć dobrze wiedziała, że Peter mógł sprawić jej niemało kłopotu.

Seth zastanawiał się, czy Laurel nie zmieni jeszcze zdania i być może nie były to przypuszczenia pozbawione racji. Laurel obudziła się następnego ranka zrana zimnym potem i na myśl o tym, co uczyniła, nieomal zabrakło jej tchu. Gdyby istniało jakieś inne wyjście - na przykład gdyby pod wazonikiem z kwiatami znalazła nagle pozostawione przez kogoś pięćset dolarów - z pewnością wycofałaby się z umowy z Sethem. Ale żaden cud się nie zdarzył. Leżąc w złotych promieniach słońca przeświecających przez wzorzyste bawełniane zasłony, próbowała wyobrazić sobie, jak to będzie dzielić łóżce z mężczyzną i myśl ta sprawiła, że powoli opuściło ją przerażenie, a ogarnęło nowe, nieznane, trudne do określenia uczucie.

Godzinę wcześniej ona i Seth pojechali do sędziego pokoju, by omówić szczegóły ceremonii zawarcia małżeństwa, która miała się odbyć w jego biurze w następny poniedziałek.

- Byłoby o wiele lepiej - narzekała Sophie, popijając lemoniadę - gdybyśmy miały trochę lodu, ale Laurel ograniczyła nasze zamówienia do dwóch dostaw na miesiąc. To stanowczo za mało jak na panujące upały.

Laurel odetchnęła głęboko i wkroczyła do ogrodu.

- Na szczęście, ciociu - powiedziała beztrąsko - już niedługo będziesz mogła mieć lód codziennie, a Caro będzie mogła wreszcie spakować te swoje wszystkie potłuczone filiżanki i odesłać je ich skąpym właścicielom. Jak miło cię widzieć, Peterze. Czy i dla mnie znajdzie się szklanka lemoniady?

W pierwszym momencie na dźwięk głosu Laurel na twarzy Sophie odmalowało się poczucie winy, ale już po chwili wyglądała tylko na zaniepokojoną.

- Lód codziennie? - powtórzyła sceptycznie, po czym, kierując ku córce swój spleciony z palmowych liści wachlarz, oświadczyła: - To ten upał. Ochłódź ją, Caroline. Rozepnij jej kołnierzyk i daj pić.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Laurel, która roześmiała się, siadając obok Petera.

- Nonsens. Ale rzeczywiście wypiję trochę tej lemoniady, nawet jeśli nie mamy do niej lodu... Dziękuję, Caro. Wygląda całkiem zachęcająco.

Przyjęła z rąk kuzynki szklankę, krzywiąc się nieznacznie, kiedy poczuła na wargach cierpki smak ciepłego napoju.

- Nie trzymaj nas dłużej w niepewności - poprosił Peter. - Cóż takiego zrobiłaś? Obrabowałaś bank? A może miałaś dziś równie dużo szczęścia w Jockey Club, jak ostatnio twój przyjaciel? Laurel popatrzyła na niego znad szklanki z lemoniadą.

- W jakiś sposób tak - przyznała - i mnie dopisało podobne szczęście, co jemu.

- Na litość boską, Laurel! - wykrzyknęła Caroline. - Mów jaśniej! Twierdzisz, że będzie nas stać na to, żeby codziennie kupować lód i że będę mogła zrezygnować z klejenia filizanek... Czyżbyśmy nagle odziedziczyły jakiś majątek? - W jej oczach rozbłysła nadzieja. - Nic takiego się przecież nie stało, prawda? - zapytała.

Laurel zacisnęła dłonie.

- Wydarzyło się coś o wiele lepszego - odrzekła tak pogodnie, jak tylko potrafiła, patrząc prosto w oczy ciotce i kuzynce. Nie miała jednak odwagi spojrzeć na Petera. - Wychodzę za mąż za majątek - oświadczyła. - Niewielki, ale zawsze. Nazywa się Seth Tait.

Na chwilę zapadło głucho milczenie.

- Nie było sensu tego ukrywać, wcześniej czy później i tak byście się o wszystkim dowiedzieli - dodała beztrąsko, zanim jeszcze pozostali ochłonęli z

wrażenia. - Biorę ślub za tydzień, licząc od najbliższego poniedziałku.

Pobralibyśmy się wcześniej, ale był to pierwszy wolny termin...

Sophie przysłała do siebie na tyle, żeby odzyskać głos.

- Dowiedzieli się?! Dowiedzieli? Mówisz nam o tym tak, jakbyś popełniała przestępstwo!

- Bo to jest przestępstwo! - wybuchnął Peter.

Odstawił trzymaną w dłoni szklanę na pobliski stolik tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a rozlałby lemoniadę. - Niech to diabli wezmą, Laurel!

Przepraszam, pani Sophie, ale nie mogę znieść myśli...

- Peterze, proszę! - zawołała Caroline. - Laurel z pewnością nie mówiła poważnie! Nie możesz przecież, kochanie, poślubić mężczyzny, którego znasz zaledwie od tygodnia.

- Małżeństwo! - Sophie z trudem łapała powietrze, opadając z powrotem na fotel. - Och, Caro, daj mi mój wachlarz... Moje sole trzeźwiące! Szybko.

Laurel niecierpliwie zerwała się z miejsca.

- Na litość boską, ciociu Sophie, nie ma powodu, żeby mdleć! Sądziłam, że będziesz szczęśliwa. To ty jesteś przecież głównym powodem, dla którego wychodzę za tego mężczyznę.

Caro przestała na chwilę wachlować swoją matkę i podniosła na kuzynkę przerażony wzrok. Peter stał sztywno za jej plecami. Sophie zapominając, że właśnie miała zemdleć, poprawiła się na krześle, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

- Cóż, zawsze lubiłam pana Taita - przyznała. - Był dla nas niezmiernie hojny...

- Mamo! - krzyknęła przelękłym głosem Caroline. - Laurel nie jest na sprzedaż! Nie może poślubić jakiegoś człowieka tylko dlatego, że przyniósł ci czekoladki i kwiaty!

Peter ściągnął usta, ale nie powiedział ani słowa. Laurel dostrzegła w jego oczach błysk dezaprobaty, lecz nie odwróciła wzroku.

- Ona ma rację, Caro i nie ma powodów udawać, że jest inaczej - oświadczyła zimno. - Seth Tait stanowi dobrą partię. Jeśli ja za niego nie wyjdę, uczyni to jakaś inna kobieta. Szczerze mówiąc, nie sędzę, by w tym mieście był ktoś, kto bardziej od nas potrzebuje tego, co ma on do zaoferowania.

- Dobra partia? - Caroline z rozpaczą wodziła wzrokiem od Laurel do Petera. - Jak możesz mówić coś takiego? Nic o nim nie wiesz. Nie masz pojęcia o jego charakterze, rodzinie, czy... czy...

- Wiem dość - przerwała jej ostro Laurel. - Wiem, że ma pieniądze, których potrzebujemy. A jeśli chęć wsparcia tej podupadłej rodziny i popadającego w ruinę domu nie jest wystarczającym dowodem dobrego charakteru, to sama nie wiem, co mogłoby nim być.

Oczy Caroline pociemniały z niepokoju, a głos stał się zdławiony od hamowanego z trudem płaczu.

- Ależ... ty mówisz o tym jak o robieniu interesów! Laurel, to małżeństwo! Nie wolno ci myśleć w ten sposób! Mamo, powiedz jej...

Sophie jednak zdążyła już zapomnieć o swoich zastrzeżeniach i po raz pierwszy w życiu sprawiała wrażenie naprawdę zamyślanej.

- Dawno temu - odezwała się po chwili - w czasach naszych dziadków, wszystkie małżeństwa przypominały w zasadzie umowy handlowe. Jedna rodzina pragnęła ziemi lub domu drugiej, żeniono się więc z córkami tamtej, biorąc w posagu majątek. I wiele tych małżeństw było całkiem szczęśliwych. Najważniejsze, jak sędzę, to wiedzieć, czego się po takim związku oczekuje. Oczywiście - dodała pośpiesznie, spostrzegłszy przerażone spojrzenia córki i Petera - Laurel zna tego młodego człowieka skandalicznie krótko, ale i sytuacja, w której się znalazłyśmy, jest przecież niezwykła, prawda? A ponieważ tak bardzo brakuje w mieście dżentelmenów... mam na myśli takich, którzy pochodzą z dobrych rodzin, uważam, że możemy przymknąć oko na ten pośpiech i okazać Laurel nieco wyrozumiałości. Kto wie, może nawet ludzie nie będą o tym plotkować aż tak bardzo?

- Mamo, na miłość boską! - jęknęła Caroline. - Któż myślałby o plotkach w chwili, kiedy Laurel... robi to tylko dla nas! - Z oczami pełnymi łez obróciła się do kuzynki. - Nigdy nie przyszłoby ci do głowy coś takiego, gdybyś nie musiała się o nas troszczyć. Gdybym ja nie była dla ciebie takim ciężarem, a mama... Cokolwiek się z tobą stanie, będzie to wyłącznie nasza wina!

- Nic nie rozumiesz, Caro...

Sophie ze zdziwieniem popatrzyła na Laurel.

- Czy to prawda? Czy nie poślubiłabyś pana Taita, gdybym... gdybym lepiej gospodarowała pieniędzmi Jonasa? Gdybym nie była taka rozrzutna...

- Nie możemy budować naszego życia na gdybaniu - oświadczyła oschle Laurel. - Nie ma o co robić takiego larum - dodała pojednawczo, spoglądając na Caroline. - Wyjdę za mąż i wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Proszę, nie martwcie się.

Caroline zwróciła ku niej przepelnione bólem oczy i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale ubiegł ją Peter.

- Sądzę, że dla twojej matki jest to nie lada szok - powiedział stanowczo i spokojnie. - Lepiej chyba będzie, jeśli odprowadzisz ją do sypialni.

Caroline zawahała się, nie mogła mieć jednak wątpliwości co do intencji Petera. Pomogła matce wstać i poprowadziła ją w głąb domu.

Laurel i Peter zostali sami. Kobieta stała ze spuszczoną głową. By zająć czymś ręce, obracała w palcach szklanek z gorzkawą lemoniadą.

- W porządku. Zrób mi wykład i idź sobie - powiedziała w końcu.

- Laurel Sinclair Laughton, czyś postradała zmysły?! - zapytał Peter, nie zważając na jej słowa. - Nie możesz tak po prostu poślubić człowieka, którego znasz niespełna dwa tygodnie. Kogoś wprost z ulicy...

- Och, na litość boską! - wykrzyknęła ze złością Laurel. - Przestańcie wreszcie mówić mi, co mogę, a czego nie mogę robić! Nie macie najmniejszego pojęcia, jak to jest, kiedy...

- Jak bardzo jest bogaty?

- Wystarczająco.

Peter zrobił krok w jej stronę, ale Laurel cofnęła się z pałającym gniewem wzrokiem. Nie potrafiła jednak złościć się zbyt długo, widząc ból i smutek w oczach mężczyzny.

- Powiedziałem ci już wcześniej, że jeśli chodzi jedynie o pieniądze, możemy coś na to zaradzić - oświadczył. - Zrobię, co w mojej mocy...

- Wiem, że masz dobre intencje, Peterze, ale nic tu nie pomożesz - przerwała mu Laurel zmęczonym głosem, przyciskając dłonie do skroni. Wiem, co robię, zapewniam cię.

- Jak możesz ? Na miłość boską, przecież spotkałaś tego człowieka w... - rozejrzał się niespokojnie wokół, jakby obawiał się, że ktoś może ich podsłuchiwać, i ściszył głos. - W domu panny Elsie. Czyżbyś o tym zapomniała? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jakiego rodzaju ludzie bywają w takich przybytkach?

Laurel popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Tak, zastanawiałam się. Zastanawiałam się, dlaczego mężczyźni odwiedzają takie miejsca. Jak ci się wydaje, Peterze?

Zdumienie odebrało na moment mężczyźnie głos, po chwili zaś jego twarz powlekła się szkarłatnym rumieńcem.

- Skąd, u licha, mam wiedzieć? Zapytaj twego... twego narzeczonego. On zapewne lepiej zna się na tych sprawach!

- Być może to uczynię - odrzekła spokojnie, sprawiając, że Peter ponownie popatrzył na nią z przerażeniem.

- Uczyniłaś już w życiu mnóstwo szalonych rzeczy, Laurel, i ja śmiałem się z nich równie serdecznie, jak ty - stwierdził oschle, kiedy już odzyskał głos. - Ale tym razem to nie przelewki! Wprowadziłaś tego człowieka do swego domu, do domu Caroline oraz pani Sophie i zgodziłaś się zostać jego żoną... A co, jeśli... - na jego policzkach znowu ukazały się ciemne rumieńce - jeśli będziesz miała dziecko? - wykrztusił w końcu.

- Nie pomyślałam o tym - odparła z wahaniem Laurel. - Ale może nie będę miała - dodała nieco pewniejszym tonem. - Och, Peterze, nie mogę martwić się o wszystko. Pozwól, że będę rozwiązywać problemy po kolei, dobrze?

- Nie mogę pozwolić ci na to małżeństwo!

- Nie możesz mi go także zabronić. - Była już zmęczona i miała dość całej tej rozmowy. - Nie jesteś w stanie nawet sprawić, abym raz jeszcze rozważyła swoją decyzję. Od poniedziałku za tydzień wyjdę za mąż za Seta Taita, niezależnie od tego, co ty na ten temat myślisz.

- Czy to twoje ostatnie słowo? - zapytał Peter, patrząc na nią ponuro.

- Tak.

- Nigdy nie znałem nikogo, kto byłby w stanie przekonać cię, żebyś zmieniła zamiary, jeśli już coś sobie wbiłaś do głowy - westchnął, spuszczaając wzrok. - Mimo wszystko będę próbował. - Podniósł na nią przepelnione żalem oczy. - Wiem, że kierujesz się szlachetnymi pobudkami i mam świadomość, że jesteś zbyt mądra, żeby podejmować podobne decyzje bez uprzedniego zastanowienia się nad wszystkimi konsekwencjami. Żałuję, że nie mogę dać ci swego błogosławieństwa, ale jest to ponad moje siły. Przykro mi.

Dziennikarz wyszedł i Laurel została sama w ogrodzie, oddychając głęboko, co powinno przynieść jej ulgę, a co tylko zwiększało lęk przed przyszłością. Peter się mylił - wcale nie przemyślała tej decyzji i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak ogromne ryzyko podjęła.

ROZDZIAŁ 11

Jedną z rzeczy, które czyniły Edgara Cassidy'ego wyjątkowo dobrym detektywem, była jego umiejętność przystosowania się do określonej sytuacji. Zależnie od warunków potrafił zmieniać się jak kameleon, czynił to przy tym tak zupełnie bez wysiłku, że niemal sam owych zmian nie zauważał. Mógł wkroczyć nie ogolony, w wysokich butach i rozchełstanej koszuli do hotelu w Denver lub w Dodge City, wynająć tam pokój, a po chwili, zmywszy z siebie podróżny kurz, wyjść stamtąd w eleganckim garniturze i okazując legitymację agencji Pinkertona, pytać o ściganego listem gończym Peacha Brady'ego. Tak przynajmniej rzecz się miała na Zachodzie.

Ale w Charlestonie, w Karolinie Południowej trzeba było postępować nieco inaczej, Cassidy zatem przeistoczył się w człowieka Wschodu z taką samą łatwością, z jaką nakładał sztywny kołnierzyk i świeżo wyszczotkowany filcowy kapelusz. Równie naturalnie, jak zmiana stroju, przychodziło mu także dopasowanie do nowej sytuacji swojego myślenia. Całkowicie wczuwał się w rolę, jaką odgrywał.

Nie tracił czasu na włóczenie się po dokach, położonych na prerii miasteczkach ani nadbrzeżnych saloonach, gdzie często bywali podobni Brady'emu, wyjęci spod prawa ludzie. Cassidy nie zastanawiał się wprawdzie nad przyzwyczajeniami Brady'ego, ale znał Pułkownika Ike'a lepiej niż własną matkę i wiedział o jego zamiłowaniu do luksusu i dobrym guście. Taki człowiek nie sypiałby ze szczurami i pluskwami, jeśli w pobliżu znajdował się hotel. Cassidy miał świadomość, że Pułkownik z pewnością nauczył także swego przybranego syna doceniać komfort i wygodę.

Peach Brady zmienił nazwisko, a nawet wygląd: zgolił wąsy i skrócił włosy, i mając nieco pieniędzy w kieszeni, opuścił okolice, w których go znano. Nie sądził, by ktokolwiek mógł szukać go w Charlestonie, nie miał więc

powodów, aby się ukrywać. Na ile Cassidy go znał, pierwszą rzeczą, którą uczynił, przyjechawszy do tego miasta, było wynajęcie pokoju w hotelu.

Pierwszego ranka po przyjeździe do Charlestonu Cassidy'emu wydawało się, że Brady postąpił właśnie w ten sposób.

Wysiadając z pociągu, nie miał nawet pewności, czy Brady w ogóle zatrzymał się w tym mieście. Jediną rzeczą, jaką mógł uczynić, było prowadzenie systematycznych poszukiwań we wszystkich hotelach i pensjonatach, poczynając od tych, które, jak sądził, najbardziej przypadłyby do gustu mężczyźnie pokroju Peacha. W pierwszej kolejności skierował się więc do tych najdroższych.

Zbliżył się do recepcji w hotelu „Charleston” z taką samą swobodą, z jaką by wchodził do sześciopokojowego pensjonatu „Clean Rooms” koło stacji kolejowej, choć w duszy dręczył go dziwny lęk. Istniały również inne miejsca, w których zamierzał szukać Brady'ego, zaczął jednak od tego, cały czas obawiając się, że Brady znalazł już złoto i uciekł.

Uchylił kapelusza przed stojącym za kontuarem mężczyzną o puciołowatej twarzy.

- Dzień dobry, przyjacielu - powiedział uprzejmie. - Nazywam się John Brooks, „Maszyny i narzędzia rolnicze”... - Mignął przed oczami recepcjonisty małą, białą wizytówką, schował ją jednak na powrót do kieszeni tak szybko, że tamten nie miał szans przeczytać, co na niej napisano. - Powiedziano mi, że mam się tutaj spotkać z człowiekiem nazwiskiem Seth Tait. Prawdopodobnie zna go pan. Przystojny, wysoki mężczyzna o jasnych włosach...

Hugh Casom skinął głową i uśmiechnął się, zanim jeszcze nieznajomy skończył mówić.

- Oczywiście, że znam pana Taita. Sympatyczny człowiek. A w dodatku zawsze na czas płaci swoje rachunki. Będziemy za nim tęsknić.

Jedynie nabyte doświadczenie i częste ocieranie się o śmierć pozwoliło Cassidy'emu ukryć niepokój, jaki poczuł, słysząc te słowa.

- Tęsknić za nim? Czyżby już opuścił hotel?

- Jeszcze nie, ale sądzę, że wkrótce to uczyni. - Twarz Hugh'a

rozpogodziła się nagle. - Cóż, pan także nie urządzałby tutaj wesela, prawda?

Cassidy z trudem starał się ukryć zdumienie.

- A więc żeni się, czy tak? - zachichotał nerwowo. - Cóż, to dostatecznie ważki powód, by zapomnieć o naszym spotkaniu. Choć to dziwne, że nie wspomniał o tym dotąd ani słowem. Chętnie poznałbym damę, która w końcu zdołała go usidlić. Musi to być nie lada jaka kobieta. To tutejsza dama?

Przez cały czas, kiedy wypowiadał te słowa, miał wrażenie, jakby wydobywały się one z ust kogoś innego. Jego umysł pracował bez wytchnienia, snując plany, kalkulując i oceniając sytuację.

- Cóż, prawdę mówiąc, wszystko to stało się tak nagle... - zwierzył się Hugh. - Niemal skandalicznie szybko, jak twierdzą niektórzy. Rozumie pan - dodał, przechylając się konfidencjonalnie nad kontuarem - wdowa Laughton należy do jednej z najlepszych rodzin w mieście i nigdy z jej nazwiskiem nie wiązał się żaden skandal. Tyle że czasem bywa w gorącej wodzie kąpana. Nie to, żebym chciał powiedzieć o niej coś złego, rozumie pan...

Edgar Cassidy współczująco pokiwał głową i wsparłszy się łokciami o kontuar, słuchał uważnie.

- Cóż, nie było chyba w końcu tak źle? - zapytała z troską Laurel. -

Przecież ślub to radosne wydarzenie. - Jej głos brzmiał pogodnie, a uśmiech był wręcz promienny.

Siedziała wyprostowana obok Setha w wynajętym powozie, z dłońmi złożonymi skromnie na kolanach. Suknię miała zasznurowaną tak ciasno, że ledwie mogła oddychać.

- Nie mam pojęcia, jak to jest. - Na ustach Setha zaigrał lekki uśmiech. - Żenię się wszak po raz pierwszy. To ty jesteś już w tych sprawach ekspertem.

Laurel obrzuciła go krótkim spojrzeniem, zastanawiając się, czy czasem z niej nie kpi.

- Było całkiem miło - powtórzyła zdecydowanie. - Szybko i bez zbędnych ceremonii.

- Przypominało to ubijanie interesu.

- Właśnie.

Ciotka Sophie przekonała ją, by zrezygnowała z brania ślubu przed sędzią pokoju. Mała, kameralna uroczystość była odpowiednia dla wdowiego stanu Laurel i niedawnej śmierci jej jedyne go wuja. Ale żaden Sinclair w historii rodziny nie składał nigdy przysięgi małżeńskiej przed obliczem kogoś, kto nie był przynajmniej pastorem z własną plebanią. Inaczej, nie czuliby w ogóle, że wzięli ślub. Świecką uroczystość uważano za coś jeszcze gorszego niż życie w grzechu: za świętokradztwo, które wykluczało chodzenie z podniesioną głową i patrzenie ludziom prosto w oczy. W końcu Laurel doszła do wniosku, że łatwiej będzie ustąpić ciotce, niż się z nią spierać.

Ale małżeństwo zawarte przed duchownym nie było wszystkim. Należało jeszcze zamieścić ogłoszenie w rubryce towarzyskiej miejscowej gazety: „Czy chcesz, żeby ludzie pomyśleli, że wstydzisz się tego, iż wychodzisz za mąż?” - upierała się Sophie. Ciotka nalegała także na małe weselne przyjęcie po zakończeniu uroczystości. Laurel miała świadomość, że z chwilą, kiedy napisała ogłoszenie do gazety, bezosobowe i oficjalne, zupełnie straciła kontrolę nad całym przedsięwzięciem i z tej właśnie przyczyny martwiła się, jak to wszystko wyglądało w oczach Seta.

Podejrzewała, że z jego punktu widzenia uroczystość ślubna przypominała senny koszmar: żona duchownego grała marsza weselnego na rozstrojonym fortepianie, ciotka Sophie tłumiała szloch ściskaną w dłoni chusteczką, Caroline zaś, która była druzną kuzynki, za wszelką cenę próbowała uśmiechać się przez łzy. Laurel nie była więc zdziwiona ani nie miała żalu do Seta, że podczas całej ceremonii zachowywał się sztywno i był ponury. Sądziła, iż mimo wszystko udzielał właściwych odpowiedzi na pytania pastora - nie mogła być tego pewna, jej serce bowiem biło tak głośno, że niczego nie

słyszała. Kiedy duchowny powiedział: „Może pan pocałować żonę”, Seth odwrócił się ku niej i uniósłszy do ust jej ukrytą w rękawiczce dłoń, lekko musnął wargami palce. Ciotka Sophie wybuchnęła w tym momencie głośnym płaczem.

Nawet teraz Laurel nie mogła powstrzymać się od porównywania tej ceremonii ze swoim ślubem z Johnnym. Kościół był wówczas udekorowany na święta Bożego Narodzenia gałązkami jedliny, a kolorowe szyby odbijały światło umieszczonych na starych kamiennych ścianach świec, które migotały jak miliony gwiazd. Jej biała atlasowa suknia miała sześćojardowy tren i sięgający poniżej kolan koronkowy welon, upięty za pomocą białych różyczek. Była wówczas taka młoda. Ale ani biała suknia z welonem, ani nawet ceremonia przed ołtarzem nie zdołała przynieść szczęścia temu związkowi. Wtedy ciotka Sophie również zanosila się płaczem, a Laurel nie czuła się mężatką, podobnie jak teraz.

Było to coś, czego zupełnie nie brała pod uwagę. Z trudem przełknęła ślinę.

- Przykro mi z powodu całego tego zamieszania - powiedziała, utkwivszy spojrzenie w oknie powozu. - Wiem, że nasza umowa tego nie obejmowała.

- Owszem - zgodził się obojętnie Seth. - Nie obejmowała. Uważam jednak, że i tak uniknęliśmy pewnej drobnej rzeczy, która powinna się z tym wiązać.

Laurel odwróciła się, chcąc zapytać, o co mu chodzi, zanim jednak zdążyła otworzyć usta, mężczyzna ujął jej podbródek i pocałował ją.

Miał to być gwałtowny, władczy pocałunek. Seth sam nie wiedział, czemu pragnął, by był właśnie taki. Nie mógł zapomnieć, jak mocno zabiło mu serce, gdy ujrzał pastora i Laurel ubraną w popielatą suknię z przypiętym bukietem pachnących fiołków. Była zbyt zakłopotana i zawstydzona, by popatrzeć mu w oczy w chwili, kiedy wypowiadała słowa małżeńskiej przysięgi. On sam złościł się na siebie, nie spodziewał się bowiem, że na jej widok odczuje tak wielką

dumę, podobnie jak nie oczekiwał, że będzie składał przed obliczem pastora obietnice, których nie miał zamiaru dotrzymać. Nie sądził również, że odniesie wrażenie, iż został schwytyany w pułapkę... Sprawił to nastrój uroczystości: fortepianowa muzyka, bukiety kwiatów, kobiecy płacz oraz treść zamieszczonego w gazecie ogłoszenia: „Pani Jonasowa Sinclair ma zaszczyt zawiadomić o małżeństwie swej ukochanej siostrzenicy Laurel Sinclair Laughton z panem Sethem Taitem...” Tradycja, duma, prawość. Nie spodziewał się, że to znaczy aż tak wiele. Nie oczekiwał, iż może to być aż tak realne. To właśnie sprawiło, że ujął twarz Laurel w swoje ręce i całował ją gwałtownie aż do chwili, kiedy poczuł, iż, zaskoczona, instynktownie poddaje się tej pieśczości. Jego gniew zniknął, ustępując miejsca gorączkowemu pożądaniu, nad którym nie był w stanie zapanować. Całował ją teraz dlatego, że chciał to robić, przerwał jednak, uświadomiwszy sobie, jak łatwo zapomniał o tym, co najważniejsze.

Nadal trzymał twarz Laurel w swoich dłoniach, póki nie opuściło go pożądanie. Jeszcze przez dłuższy czas nie mógł odzyskać głosu.

- A więc widzę, że o tej części umowy nie zapomniałaś - powiedział nieco ochryple.

Palce Laurel automatycznie powędrowały do ust, tak jakby chciała zatrzymać na nich pocałunek albo uśmierzyć ból, jaki jej zadał, całując tak namiętnie.

- Nie zapomniałam - odrzekła spokojnym tonem. - Dotrzymałaś słowa i ja także dotrzymam swego.

Seth nalegał, by pojechali do banku natychmiast po ślubie i uregulowali dług hipoteczny. Laurel czuła się w tym momencie, jakby ją kupowano - bez wątplenia Seth miał takie właśnie intencje. A jednak warto było - zapewniała samą siebie, składając dłonie na kolanach. Teraz już wiedziała, że było warto. Dom jej rodziny miał znowu czystą hipotekę i nawet gdyby Seth nie chciał uczynić dla nich nic więcej, małżeńska przysięga, którą złożyła przed Bogiem i

bliskimi ludźmi, była tego warta. A dziś w nocy... Serce zaczęło jej bić gwałtownie na wspomnienie silnych dłoni Setha dotykających jej policzków i ciepła bijącego od jego ciała. Tak, to, co stanie się dziś w nocy, także będzie tego warte.

Powóz zakołysał się i zatrzymał przed domem przy Lamboll Street. Dzień był ponury i deszczowy.

W sam raz na taką uroczystość - pomyślała Laurel.

W oknach zapalono lampy, zmierzch bowiem zapadł wyjątkowo wcześnie. Powozy uczestników uroczystości stały już wzdłuż ulicy. Lista gości obejmowała jedynie najbliższych przyjaciół i sąsiadów, choć dla Laurel i to wciąż jeszcze było za dużo.

- Przykro mi z powodu tego zamieszania - powiedziała do Setha, kiedy pomagał jej wsiąść. Wskazała na dom i ustawione przed nim powozy. - Wiem, że to ci się nie podoba.

- Obiecałaś mi, że stanę się osobą godną szacunku - odrzekł Seth. - Chyba to właśnie się z tym wiąże, prawda?

- Owszem - odparła Laurel nieco niepewnie. - Przypuszczam, że tak. - Popatrzyła na niego i położywszy dłoń na jego silnym ramieniu, dodała: - Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem.

Spuściwszy wzrok, poprowadziła go w stronę werandy.

Kiedy wkroczyła do salonu, na moment zabrakło jej tchu w piersiach.

- Och, Caro! - wyszeptała. - Jakież to piękne!

Obskurny, mały pokójek został udekorowany świecami oraz wazonami pełnymi kwiatów magnolii, których liście lśniły aksamitnie w łagodnym świetle. Stare zasłony upięto za pomocą laurowych girland - symbolu szczęścia - a paki róż i gałązki jaśminu tworzyły istny klomb pośrodku długiego stołu, na którym piętrzył się niewielki stosik pięknie opakowanych prezentów. Laurel ścisnęło w gardle ze wzruszenia.

- To naprawdę piękne - powtórzyła szeptem, ściskając Caroline. -

Dziękuję ci.

Caroline nie mogła powstrzymać uśmiechu. Pocałowała kuzynkę w policzek.

- Mogę nie pochwalać tego małżeństwa, Laurel, ale z pewnością cię kocham i szczerze ci życzę, byś była szczęśliwa.

Dopiero teraz zauważyła stojącego za plecami kuzynki Seta, który znajdował się dostatecznie blisko, by słyszeć każde jej słowo. Policzki Caroline pokryły się ciemnym rumieńcem wstydu, odważnie jednak popatrzyła mu w oczy.

- Witamy w naszej rodzinie, panie Tait - powiedziała, wyciągając ku niemu rękę.

- Miło mi, panno Caroline - Seth pochylił się, by ucałować jej dłoń i Laurel z podziwem zauważyła, że w jego zachowaniu nie było ani śladu rozbawienia czy niecierpliwości.

Sophie wysunęła się naprzód i ocierając załzawione oczy, dała początek istnej powodzi najlepszych życzeń składanych młodej parze. Przez kilka następnych minut Laurel nie robiła nic innego poza całowaniem policzków i ściskaniem pachnących lawendą ramion oraz uśmiechaniem się tak szeroko, że aż bolała ją od tego cała twarz.

- Och, Peterze! - wykrzyknęła ze szczerą radością, odwracając się na dźwięk znajomego głosu. - Ogromnie się cieszę, że cię widzę.

- Pod żadnym pozorem nie opuściłbym takiej uroczystości - odparł przyjaciel, ale na jego twarzy nie było uśmiechu, a usta, którymi dotknął jej policzka, były wprost lodowate. Utkwił spojrzenie w Secie. - Gratulacje, Tait. Dobrze wiesz, że to o wiele za dobra dziewczyna dla ciebie.

- Wiem - odrzekł Seth, ściskając jego dłoń. - I, co ważniejsze, ona także o tym wie.

Pomimo pogodnego uśmiechu i beztroskiego głosu Setha, Laurel wyczuła napięcie między tymi dwoma mężczyznami. Była wdzięczna, kiedy Sophie, wymachując chusteczką, przerwała ich rozmowę.

- Chodźcie do jadalni. Czeka tam tort weselny i wino porzeczkowe. Laurel, panie Tait, do was należy pełnienie honorów domu.

Stół w jadalni przykryto koronkową serwetą i udekorowano kwieciem magnolii, które rozsiewało w dusznym, gorącym powietrzu ciężką, obezwładniającą woń. Każdą wolną przestrzeń zastawiono wypełnionymi oliwą szklanymi misami, w których tkwiły zapalone knoty. Na tę uroczystość wyjęto z kredensu wszystkie piękne rzeczy, jakie tylko posiadała ciotka Sophie: kosztowne porcelanowe talerzyki deserowe, ręcznie rżnięte kryształowe kieliszki, pięknie haftowane serwetki. Nóż do krojenia tortu przyozdobiono białą wstążeczką, a obok ciasta postawiono dwie karafki wina porzeczkowego.

Seth ujął jedną z nich i począł nalewać wino do kieliszków, jakby całe życie nie robił nic poza pełnieniem roli gospodarza w przyzwoitym domu. Laurel kroila tort z wprawą, choć jej dłoń, w której trzymała nóż, była nieco spocona.

- A teraz czas na toast - oświadczyła radośnie Sophie. Zapadła dźwięcząca w uszach cisza.

Laurel odłożyła nóż i bezradnie popatrzyła na Setha. Tait skrzywił usta w cynicznym uśmiechu i uniósł w górę swój kieliszek.

- Za piękną pannę młodą - powiedział. - Oby to małżeństwo spełniło wszystkie jej nadzieje.

Zgromadzeni odetchnęli z ulgą, trącając się z młodą parą kieliszkami i spełniając toast. Laurel, poirytowana malującym się w oczach Setha szyderczym rozbawieniem, natychmiast powróciła do krojenia ciasta.

Peter odstawił kieliszek, nie wypiwszy ani kropli i wyszedł na zewnątrz. Chwilę później dołączyła do niego Caroline.

- Przepraszam - mruknął, dostrzegając w jej oczach zatroskanie. - To jedyny toast, którego nie potrafiłem spełnić. Czy naprawdę nie można było uniknąć tej... farsy?

- Laurel uparła się, a dobrze wiesz, że w takich wypadkach nie trafiają do niej żadne argumenty. - Caroline potrząsnęła głową. - Hipoteka domu była poważnie obciążona.

- I on ją spłacił?

Caroline potaknęła. Peter gniewnie zacisnął usta.

- Czy twoje śledztwo... przyniosło jakieś rezultaty? - zapytała z wahaniem dziewczyna.

- Dowiedziałem się tylko tyle, że w Wyoming nikt o nim nie słyszał - odrzekł ponuro Peter.

- Wyoming to wielki stan - powiedziała bez przekonania.

- Ale ma bardzo niewielu mieszkańców. I większość z nich zna, a przynajmniej słyszała kiedyś o pozostałych. Szczególnie dotyczy to właścicieli rancz. Gdyby rzeczywiście hodował konie, tak jak twierdził...

- Nigdy nie mówił, że ma jakieś ranczo. Być może wyraził się nieprecyzyjnie albo myśmy go źle zrozumieli.

- Albo po prostu kłamał.

- Och, Peterze - ze zbolałym wyrazem twarzy Caroline złożyła dłonie na piersi. - Chyba lepiej tego nie wiedzieć. Laurel została jego żoną, powinniśmy więc robić dobrą minę do złej gry.

- Tak łatwo się nie poddam, Caroline.

- Ale...

- Być może powiedział prawdę o swoich bliskich, którzy mieli zginąć w drodze na Zachód. To wygląda prawdopodobnie. Sporo Południowców wyruszyło po wojnie na Zachód i wielu z nich nigdy tam nie dotarło. Gdyby tak rzeczywiście było, to istnieje niemała szansa, że zamieszczono by o tym notatkę

w jakiejś lokalnej gazecie, a wszystkie redakcje przechowują w archiwach egzemplarze swojego pisma. Ale...

- Ależ to było dwadzieścia lat temu - zdumiała się Caroline. Peter nie zrażony pokiwał głową.

- Niektóre mogą mieć nawet swoje roczniki sprzed wojny. Mam zamiar zbadać tę sprawę.

- Jak dasz radę przejrzeć gazety we wszystkich miastach w całym kraju?

- Po pierwsze, nie ja będę to robił - odrzekł z uśmiechem Peter. - Wyślę telegramy do kilku moich przyjaciół redaktorów i oni zlecą to zatrudnionym u siebie chłopcom. I nie mam zamiaru sprawdzać wszystkich gazet w kraju. Nie sądzę, by Seth Tait przyjechał do Charlestonu tylko dlatego, że zobaczył takie miasto na mapie. Muszą łączyć go z tym miejscem jakieś interesy. Dlatego też zacznę od Gazette, potem zabiorę się do Dispatch z Savannah, a następnie przejrzę ukazujący się w Atlancie Journal oraz lokalne gazety wydawane na tamtym terenie.

Pod wpływem nagłego impulsu Caroline ujęła jego dłoń.

- Och, Peterze, jesteś naszym prawdziwym przyjacielem. Cóż ja bym bez ciebie zrobiła?

Peter ponownie zacisnął usta, jakby walczył z jakimś wewnętrznym bólem.

- Gdybym istotnie był waszym prawdziwym przyjacielem, nigdy nie dopuściłbym do tego, co się stało... Ani z Laurel, ani z tobą.

- Ależ zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy... - powiedziała łagodnie Caroline, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Nie, nie zrobiłem - odrzekł ochryple, kręcąc głową. - Powiniennem zdawać sobie sprawę, że może dojść do czegoś takiego i powstrzymać ją.

Powiniennem napaść na bank, żeby zdobyć pieniądze, lub obezwładnić ją i związać, byleby tylko nie wyszła za mąż za tego człowieka...

Caroline uspokajającym gestem położyła dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Nie wolno ci się oskarżać, Peterze. Nie wiemy przecież, czy pan Tait nie jest jednak całkowicie godnym szacunku człowiekiem i...

W nagłym przyływie odwagi Peter chwycił dłonie kobiety i przycisnął do swojej piersi.

- Caroline, nie mogę pozwolić, byś pozostała tutaj, razem z tym mężczyzną. Laurel dokonała własnego wyboru, ale ty jesteś zbyt delikatna, zbyt krucha, by narażać się na przebywanie pod jednym dachem z kimś, kogo zupełnie nie znasz. Gdybym był choć trochę mężczyzną, zabrałbym cię stąd już dawno temu, ale...

- Peterze, proszę! - Głos dziewczyny zabrzmiał obco, jej twarz powlekleła śmiertelna biel, a oczy pociemniały ze zdenerwowania.

- Muszę... muszę prosić cię, byś nie mówił do mnie w ten sposób. - Próbowała uwolnić dłonie z jego uścisku, on jednak, zdesperowany, nie puścił ich. - Jeśli nie przestaniesz... - wypowiedziała te słowa niemal niedosłyszalnym szeptem, a na jej policzki wypełził powoli szkarłatny rumieniec - obawiam się, że będę musiała poprosić cię, byś opuścił mój dom!

Peter uwolnił jej dłonie, czując się tak, jakby uderzono go w twarz. On także poczerwieniał.

- Bardzo przepraszam, panno Caroline - wymamrotał. - Dałem się ponieść nerwom. Tak bardzo niepokoję się o was wszystkie. Proszę o wybaczenie.

Caroline zdobyła się na wymuszony uśmiech, unikała jednak spojrzenia mu w oczy.

- Wybacz mi, muszę pomóc mamie.

Peter bezradnie zacisnął dłonie i popatrzył w ślad za odchodzącą z dumnie podniesioną głową dziewczyną.

Seth obserwował tę rozmowę z drugiego końca pokoju.

- A więc to tak sprawy stoją - mruknął. Laurel podniosła na niego wzrok.

- Jakie sprawy?

- Między twoim ukochanym a panną Caroline - odparł Seth, wskazując w ich stronę trzymanym w ręku kieliszkiem wina.

- On nie jest moim ukochanym - syknęła Laurel.

- Dobrze wiedzieć. Jesteś teraz moją żoną i byłoby mi przykro, gdybym musiał go zabić.

Laurel dostrzegła w jego oczach łobuzerskie iskierki i uśmiechnęła się z przymusem.

- Sądziłam, że to nie miałyby dla ciebie znaczenia.

- Och, miałyby - zapewnił ją miękko. Z jego oczu znikło rozbawienie i serce Laurel zabiło żywiej. - Należysz teraz do mnie, a ja mam zwyczaj pilnować tego, co stanowi moją własność.

- Oczywiście, dopóki ci to odpowiada - stwierdziła spokojnie dziewczyna.

Na moment w jego oczach pojawił się nieodgadniony błysk.

- Oczywiście - uśmiechnął się. - O wilku mowa - mruknął, zerkając ponad jej ramieniem. Skinął żonie lekko głową i szybko odszedł.

Kobieta odwróciła się i dostrzegła zbliżającego się do niej Petera. Miał ściągniętą, ponurą twarz, a jego głos brzmiał oschle i obco.

- Wychodzę już, moja droga. Chciałem powiedzieć ci dobranoc.

- Nie pogratulujesz mi?

Twarz mu stężała.

- Sądzę, że sama wiesz, iż prosisz o zbyt wiele.

- Och, Peterze, jesteś najbardziej upartym mężczyzną, jakiego znam!

Czemu nie uznasz po prostu, że co się stało, to się nie odstanie i nie pogodzisz się z tym?

- Dokładnie to samo powiedziała mi twoja kuzynka - odrzekł Peter. Oczy Laurel zrobiły się wielkie ze zdumienia i gniewu.

- Rozmawiałeś z nią o tym? Za moimi plecami? Bądź łaskaw na przyszłość pamiętać, że to jednak nie twoja sprawa. Ani jej!

- Jeśli to nie moja sprawa, to sam już nie wiem czyja - odrzekł ostro Peter.
- Caroline prosiła mnie, bym zawsze strzegł cię przed kłopotami. Jakże ma mnie teraz szanować, skoro nie potrafiłem cię nawet powstrzymać przed popełnieniem największego głupstwa w życiu?

- To najbardziej absurdałna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Peter smutno pokiwał głową.

- Gdybym wcześniej poszedł po rozum do głowy, nigdy by do tego nie doszło. Mogę nie stanowić najlepszej partii, ale przynajmniej nie mając Caroline na głowie, byłabyś mniej zdesperowana.

- Teraz jest najlepszy czas, żeby o tym pomyśleć.

- Nie musisz ze mnie szydzić. I bez tego czuję się parszywie - Peter popatrzył na nią gniewnie. - Sądzę, że przynajmniej mógłbym zabrać ją z tego domu, zanim ty wprowadzisz tutaj jego.

Z twarzy Laurel zniknęły ostatnie ślady dobrego humoru.

- Mówisz o moim mężu, Peterze, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie. I czuję się dotknięta twoimi insynuacjami.

- I tak są one zapewne dużo lepsze od prawdy - powiedział zimno Peter. - Ale ja dowiem się prawdy, obiecuję ci to. Przynajmniej tyle mogę uczynić dla was obu.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Potem skłonił się jej nisko i odszedł. Laurel, zdumiona, popatrzyła w ślad za nim, ale mężczyzna już się nie odwrócił.

Jeśli szacunek, akceptacja i poczucie, że jest się na właściwym miejscu, były tym, czego pragnął Seth, nie miał powodu czuć się rozczarowany tym wieczorem. Srebrnowłose damy odpowiadały uprzejmie na jego ukłony i uśmiechały się do niego, doktor Weathersby wznosił toast na jego cześć, a szef policji nazywał go „synem”. Cyrus Lars, z którym zamienił zaledwie kilka słów, poklepał go po ramieniu i oświadczył, że uważa go za prawdziwego dżentelmena. Seth zanurzył usta w winie, by ukryć uśmiech, który pojawił się na

jego twarzy na myśl, co powiedziałaby Pułkownik, widząc go w tej chwili, swobodnie gawędzącego z bankierem, żartującego z prawnikiem, a przede wszystkim ożenionego z prawdziwą damą. Niekiedy Sethowi wydawało się, iż zaraz obudzi się i przekona, że ktoś ukradł jego ciało i przeżywa wszystkie te rzeczy, posługując się jego nazwiskiem, ale już po chwili to, co się działo, na powrót stawało się realne i sam nie rozumiał, co w tym widział dziwnego.

Nie miał zamiaru szukać Caroline, kiedy jednak w pewnym momencie znalazł się obok niej, nie mógł odejść tak po prostu. Była ona pośród wszystkich ludzi, z jakimi zetknął się od chwili przybycia do Charlestonu, jedyną osobą, w której towarzystwie wciąż czuł się niezręcznie - być może dlatego, że jej niewinność wywoływała w nim stale poczucie winy. To dziwne, że mógł bez zmrużenia powiek śmiało patrzeć prosto w oczy policjantom i bankierom, a w obliczu tej brązowookiej, drobnej dziewczyny miał ochotę skryć się w mysiej dziurze.

Przez chwilę Caroline czuła się równie niezręcznie, jak on, potem jednak, widząc pusty kieliszek w jego dłoni, zapytała:

- Jeszcze wina, panie Tait?

Seth wiedział, że powinien dać zarówno jej, jak i sobie szansę ucieczki, ale nie uczynił tego.

- Nie, dziękuję - odparł spokojnie. - Jestem pani bardzo wdzięczny za to przyjęcie, panno Caroline. Wiem, że nie jest pani zachwycona moim małżeństwem z Laurel, ale mimo wszystko uczta, którą wydała pani na naszą cześć, jest wspaniała.

Policzki Caroline poczerwieniały, wytrzymała jednak jego spojrzenie.

- Przykro mi, że usłyszał pan moje słowa - powiedziała. - Przyznaję, że nie znam pana dostatecznie dobrze, by pochwalać lub potępiać decyzję mojej kuzynki. Byłam jedynie przeciwna temu, by poślubiła człowieka znanego jej przez czas tak krótki... I by czyniła to dla tak nieistotnej przyczyny - dodała, spuszczaając oczy.

- A więc powiedziała pani o tym - stwierdził cicho Seth.

- Laurel rzadko miewa sekrety przed swoją rodziną. - Spojrzenie dziewczyny było szczere i przeproszające. - Proszę uwierzyć, panie Tait, że nie czuję do pana żadnej niechęci. Po prostu bardzo kocham moją kuzynkę. Całe życie troszczyła się o mamę oraz o mnie i obie zawdzięczamy jej więcej, niż potrafię wyrazić. Myśl, że ktoś mógłby wyrządzić jej krzywdę...

Seth nie wiedział, co powiedzieć. W skupieniu przyglądał się trzymanemu w dłoni pustemu kryształowemu kieliszkowi.

- Czy pan ją kocha, panie Tait? - zapytała miękko Caroline. - Jeśli tak, to wszystko wygląda zupełnie inaczej...

Seth popatrzył na nią zdziwiony. Po chwili zmieszany odwrócił wzrok.

- Ogromnie podziwiam panią Laurel... moją żonę.

- To nie to samo, co miłość - Caroline uśmiechnęła się smutno.

Kątem oka Seth obserwował, jak w drugim rogu pokoju Peter żegna się z Laurel.

- Tak. Sądzę, że pani wie o tym bardzo dobrze - odrzekł cicho. Caroline powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i poczerwieniała z gniewu.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - stwierdziła sucho.

- Tak myślałem - uśmiechnął się łagodnie Seth. - Ale gdyby pani rozumiała, jestem pewien, że zgodziłaby się pani ze mną, iż to, co ludzie nazywają miłością, nie zawsze jest takie proste.

- Nie - przyznała spokojnie, znowu spuszczać wzrok. - Często myli się to uczucie z innymi... Na przykład z litością.

- Och, panno Caroline - powiedział z galanterią Seth. - Nie wiem, czemu jakikolwiek człowiek na tej ziemi mógłby odczuwać wobec pani litość. Jest pani najsilniejszą z kobiet, jakie znałem. Jedynym powodem, dla którego nigdy sobie pani tego nie uświadomiła, jest to, że zawsze była obok pani Laurel. Nie sądzę zresztą, by troszcząc się o was, wyświadczała w ten sposób pani jakąkolwiek przysługę.

Caroline popatrzyła na niego ze zdumieniem, lecz on jedynie skłonił się jej i dodał:

- Jeszcze raz dziękuję za to wspaniałe przyjęcie.

Laurel rozmawiała właśnie z żoną właściciela zakładu pogrzebowego, kiedy Seth lekko dotknął jej ramienia.

- Jest już późno - oświadczył. - Powinniśmy jechać. Laurel odwróciła się ku niemu zaskoczona.

- Jechać? Dokąd? O czym ty mówisz?

Mężczyzna ujął ją pod ramię i odciągnął nieco na bok, uśmiechając się sucho.

- To wszystko może nie mieć wiele wspólnego z prawdziwym małżeństwem, ja zaś mogę nie znaczyć dla ciebie tyle, co mąż, ale mimo to oboje zasługujemy na noc poślubną. I spędzimy ją w hotelu.

W pierwszej chwili Laurel miała ochotę spierać się z nim, ale w tym samym momencie dotarło do niej, co naprawdę oznaczało małżeństwo. Musiała robić to, czego chciał jej mąż - szczególnie w sprawach takich jak ta. Ogarnęło ją dziwne uczucie: zakłopotanie, oczekiwanie, zdenerwowanie i strach jednocześnie. Hotel. Miała spędzić poślubną noc nie we własnym łóżku z wysokim baldachimem i białą pościelą, lecz w hotelowym pokoju. W jego hotelowym pokoju. Było w tym coś nieprzyzwoitego, nawet grzesznego, choć niewątpliwie pomysł ten miał też swój urok. Być może Seth pragnął oszczędzić jej, a także Caro i Sophie, zakłopotania, jakie odczuwałyby, gdyby spał w jej łóżku? Laurel niewiele się nad tym zastanawiała, pozostawiając tę sprawę w rękach mężczyzny.

Poczuła zalewającą ją falę podniecenia i była pewna, że Seth zdaje sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. Widząc jego szydercze spojrzenie, odwróciła wzrok.

- Muszę... muszę się spakować.

- Twoja ciotka już to zrobiła.

Laurel popatrzyła na niego ze zdumieniem, on jednak tylko się uśmiechnął.

- Jeśli chcesz mieć jakikolwiek pożytek z pieniędzy, które mi jeszcze zostały, lepiej nie trzymaj zbyt długo bezużytecznie tego wynajętego powozu. Płacę woźnicy od godziny.

Laurel niewiele pamiętała z podróży do hotelu. Nocny recepcjonista powitał Seta, zwracając się doń po nazwisku i z szerokim uśmiechem wręczył mu klucz. Potem, obrzucając Laurel nieśmiałym, jakby zawstydzonym spojrzeniem, przywitał się także z nią:

- Dobry wieczór, pani Tait. - Upłynęło kilka sekund, zanim kobieta uświadomiła sobie, że to do niej skierowane były te słowa.

Seth wziął ją pod ramię i powiodł w stronę schodów.

Żadne z nich nie zauważyło mężczyzny, który podniósł się z głębokiego fotela, ponieważ siedział zasłonięty wielką płachtą rozłożonej gazety. Gdy wchodzili po schodach, człowiek ów patrzył za nimi tak długo, aż zupełnie zniknęli mu z oczu. Dopiero wtedy złożył gazetę i opuścił hotel.

ROZDZIAŁ 12

Pokój wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Laurel przysła tu rozgniewana, by zwrócić Sethowi pieniądze. Z ironią pomyślała teraz o owym dniu i zmieszaniu, jakie czuła na myśl o odwiedzeniu w hotelu mężczyzny. A także o wstrząsie, jaki przeżyła, gdy Tait otworzył jej drzwi bez koszuli. Choć niczego to w tej chwili nie mogło zmienić, miała uczucie, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby w tamtym momencie nie przedłożyła honoru nad praktyczny stosunek do życia.

Johnny zawiódł ją do sypialni przez hol swego rodzinnego, dwupiętrowego domu w Georgii. Seth nie zawracał sobie głowy takimi rzeczami i Laurel była mu za to wdzięczna. I bez tego czuła się wystarczająco głupio. Była zmieszana, niepewna siebie i trochę przerażona. Wszystko to czuła także w obecności Johnny'ego, ale wtedy serce nie biło jej tak szybko, nie oblewał jej na zmianę zimny i gorący pot ani też żołądek nie kurczył się ze strachu, a skóra nie piekła z pożądania. Drzwi zamknęły się za nią z lekkim trzaśnięciem i nagle uświadomiła sobie, że znajduje się sama w pokoju z tym obcym człowiekiem. Człowiekiem, który właśnie został jej mężem.

Seth postawił przy drzwiach jej małą walizkę, świeżo wyczyszczonej i przewietrzonej na tę okazję. Laurel zerknęła w jego stronę, nie śmiała jednak popatrzeć mu w oczy. Podeszła do lustra niskiej toaletki i zdjęła kapelusz. Powoli zsunęła rękawiczki i złożywszy je starannie, położyła przy lustrze. Słyszała, że Seth krząta się za jej plecami, nie odwróciła się jednak, by sprawdzić, co robi. Odpięła od sukni bukiet przywiedłych fiołków.

Kiedy tuż za plecami usłyszała głos męża, przestraszyła się tak, że aż podskoczyła.

- Proszę - Seth wręczył jej jedną z trzymanyh w dłoniach szklanek i popatrzył na nią kpiąco. - Nie chcę, byś kiedykolwiek zarzuciła mi, że nie jestem troskliwym mężem.

- Co to jest? - Laurel ujęła szklaneczkę, z ciekawością wachając trunek.

- Doskonała whisky rodem z Kentucky. Będzie ci smakować.

- Damy nie pijają tak mocnego alkoholu. - Popatrzyła sceptycznie na trzymaną w dłoni szklanę, ale nie oddała mu jej.

- Będzie ci smakować - powtórzył Seth, przechodząc przez pokój i siadając w fotelu przy drzwiach. - Przestań być taka zdenerwowana i usiądź - powiedział.

W pokoju nie było już innego miejsca, na którym można by usiąść, z wyjątkiem brzegu łóżka, wobec czego Laurel postanowiła, że będzie stać. Chciała zachowywać się z dystansem, bała się bowiem jakiegokolwiek intymnej więzi z tym dziwnym, pociągającym i zarazem przerażającym człowiekiem. Uważała, że lepiej zlekceważyć konwenanse niż dać mu pretekst do... Ale to oczywiście nie miało najmniejszego sensu. Ten człowiek był jej mężem i nie potrzebował żadnych pretekstów.

Zrezygnowana, po chwili usiadła na brzegu łóżka i wypila spory łyk whisky. Alkohol zapiekł ją w gardle, w oczach pojawiły się łzy. Zakaszła, z trudem łapiąc powietrze.

- Whisky należy sączyć, a nie pić duszkiem jak wodę - powiedział Seth, ze złośliwym błyskiem w oczach. - Spróbuj raz jeszcze - dodał, demonstrując jednocześnie, jak należy to zrobić.

Ponieważ whisky była jedynym płynem, jaki miała pod ręką, chcąc ugasić piekący ból w gardle, Laurel uczyniła to, co kazał, tym razem sącząc alkohol małymi łydkami. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że whisky ma nie najgorszy smak, a palący ból, jaki poczuła poprzednio, przemienił się w rozlewające się po całym ciele ciepło.

- Smakuje... całkiem interesująco - oświadczyła.

Wypiła kolejny nieduży łyk.

- Uważam, że kobieta powinna wypić czasem szklaneczkę w towarzystwie mężczyzny. - Seth uśmiechnął się pogodnie. - Będę jednak wdzięczny, jeśli nie upijesz się całkowicie. Fakt, że żona urzęnęła się do nieprzytomności w noc poślubną, nie świadczyłyby, zdaje się, najlepiej o panu młodym.

Laurel starała się nie zarumienić i z namaszczeniem wypiała kolejny łyk wódki.

Seth popatrzył na swoją szklaneczkę i kiedy ponownie podniósł wzrok na Laurel, w jego oczach nie było już rozbawienia. Rozsiadł się wygodnie, zakładając nogę na nogę i od niechcienia obracając w palcach trzymaną w dłoni szklaneczkę.

- Nie chcę żadnych nieporozumień - stwierdził z powagą. - Prawdopodobnie zastanawiasz się teraz, jakiego rodzaju mężczyznę poślubiłaś i jesteś nieco przerażona. W innym wypadku nie siedziałabyś przecież tak sztywno jak krawiecki manekin, jakbyś obawiała się, że łóżko załamie się pod tobą, gdy tylko usiądziesz nieco wygodniej.

Laurel już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale Seth nie dał dojść jej do słowa. Jego głos brzmiał łagodnie, lecz stanowczo.

- Nie winię cię za to, że uważasz, iż masz powód do zmartwienia. Prędzej czy później odkryjesz, jak niewiele wiem o tym, w jaki sposób należy traktować damę. Nie mam nawet pojęcia, czego ode mnie oczekujesz. Pochodzimy z dwóch różnych światów, ale... - popatrzył na nią uroczyście - nie mam zamiaru uczynić niczego, co wprowadziłoby cię w zakłopotanie, ani też niczego, czego byś sama nie chciała. Nie chcę, żebyś się mnie bała. Nigdy nie cenilem mężczyzn, którzy budzą lęk w swoich kobietach.

Dama powinna się pewnie oburzyć na tak szczere postawienie sprawy, a przynajmniej udać, że nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mowa, Laurel jednak zamiast tego poczuła niewymowną ulgę. Słyszała opowieści o przeróżnych rodzajach perwersji, na przykład o mężczyznach, którzy lubili

przyglądać się, jak ich żony w pełnym świetle rozbierają się do naga, i cieszyła się, że jej mąż nie będzie żądał równie niemoralnych rzeczy. Seth Tait nie czynił tajemnicy z tego, że jej pragnie, ale przynajmniej wiedziała, czego się może po nim spodziewać. Jej pierwsza noc poślubna byłaby daleko przyjemniejsza, gdyby Johnny zdobył się przed nią na podobną szczerłość.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie biały, nieowłosiony tors Johnny'ego i jego nieporadne usiłowania, by wydać się romantycznym oraz ogromną wdzięczność dla niej, gdy było już po wszystkim, a także pełne zakłopotania udawanie rano, że nic się między nimi nie wydarzyło. Wszystko to razem było raczej nieprzyjemne i niesmaczne, Laurel zaś nie miała powodów przypuszczać, że z Sethem będzie inaczej. A jednak w skrytości ducha bardzo na to liczyła.

Podniosła wzrok i popatrzyła na męża. Nie była pijana, ale czuła ciepło przenikające ciało. Alkohol rozwiązał jej także nieco język. Nie wiedziała, czy czułaby się w obecności Setha równie swobodnie, gdyby nie whisky.

- Skoro już jesteśmy wobec siebie nawzajem tacy szczerzy - powiedziała - mój przyjaciel, Peter, radził mi, bym cię o coś zapytała. Myślę, że teraz jest na to dobry moment.

- Nie sądzę, bym lubił, jak mówisz do mnie w taki sposób, ale niech ci będzie. Pytaj.

- Czemu mężczyźni odwiedzają burdele?

W pierwszym momencie w jego oczach zobaczyła zdumienie, ale już po chwili z rozbawieniem zmrużył powieki.

- Lepiej będzie, jeśli oddasz mi już tę szklaneczkę.

- Nie wygłupiaj się. I nie traktuj mnie jak dziecka. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Pytałam o to Petera, ale on powiedział, że to ty jesteś ekspertem w tych sprawach.

- A więc obgadywaliście mnie za moimi plecami - mruknął Seth, unosząc do ust swoją whisky. - Powinienem był go zastrzelić.

- Pomyślałam, że jesteś jedynym mężczyzną, który może mi odpowiedzieć na to pytanie.

- A ja sędzę, że jesteś jedyną kobietą, która już zna na to pytanie odpowiedź.

- Nie wydaje mi się. - Laurel zmarszczyła brwi. - Wszyscy wiedzą, po co się tam chodzi. Ale w burdelach bywają także żonaci mężczyźni - popatrzyła na niego z nieskrywaną ciekawością. - Dlaczego to robią?

Seth wpatrywał się w nią tak, jakby rozważał, czy wybuchnąć śmiechem, czy też potraktować jej pytanie poważnie.

- To skomplikowana sprawa - wzruszył ramionami. - Gdybyś zapytała o to tuzin mężczyzn, otrzymałabyś, jak sędzę, dwanaście różnych odpowiedzi. - Widząc malującą się na jej twarzy niecierpliwość, złagodniał nieco. - Większość mężczyzn nie przyjaźni się z kobietami - powiedział w zamyśleniu, wypiuwszy kolejny łyk whisky. - Nie mają kobiety, z którą mogliby po prostu porozmawiać. Czasem więc lubią pobyc przynajmniej z kimś, przed kim niczego nie muszą udawać.

- Rozumiem - Laurel pokiwała głową. - Byłabym jednak wdzięczna, gdybyś teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem, powstrzymał się od wizyt u panny Elsie.

- Jest pani zazdrosna, pani Tait? - zapytał z wesołym uśmiechem.

- Skądże - odparła z godnością. - Po prostu nie wydaje mi się to stosowne. To wszystko. Poza tym istnieje tak wiele rzeczy, z którymi musimy się pogodzić, że nie ma sensu dodawać do nich jeszcze twoich osobistych przyzwyczajzeń. A ponadto... - znowu napiła się whisky. - Zupełnie dobrze do siebie pasujemy, nie sądzisz? Nie widzę powodów, dla których nie mogłabym być twoją przyjaciółką, pomimo że jestem twoją żoną.

Jakieś dziwne uczucie ogarnęło Setha, kiedy usłyszał te słowa: coś pośredniego między zaskoczeniem, żalem i nadzieją. Przyjaźń. Przez całe życie Pułkownik był jedynym przyjacielem Setha i myśl o tym, że mógłby mieć

przyjaciela w kobiecie, wydała mu się równie obca, jak ta, że mógłby mieć żonę.

Odstawił szklanę i podszedł do niej, siadając obok na łóżku. Delikatnie wodził palcami po jej twarzy, po czym pochylił się i pocałował ją lekko.

Uśmiechnął się.

- Czy mogę zapytać o coś jeszcze? - odezwała się po chwili Laurel.

- Możesz - odparł Seth, nie cofając dłoni od jej twarzy i nie spuszczać z niej wzroku.

- Chodzi mi o sposób, w jaki całowałeś mnie tamtej nocy... Czy nauczyłeś się tego w miejscu podobnym do domu panny Elsie?

Mężczyzna wyjął jej szklanę z rąk i postawił na stoliku przy łóżku. Dotknął palcem kącika ust Laurel, zmuszając, by rozchyliła wargi. Przesunął po nich koniuszkiem języka, po czym wsunął go głębiej. Laurel przytuliła się do niego, szerzej rozchylając usta. Smak jego warg napełniał ją rozkoszą. Ogarnęło ją gorączkowe podniecenie - czuła się słaba i oszołomiona. Kiedy mężczyzna puścił ją, ze zdumieniem uświadomiła sobie, że obejmuje go za szyję, a jej głowa spoczywa na poduszkach.

- Powinieneś wiedzieć - wyszeptała niemal bez tchu - że panna Elsie uważa, iż ja nie nadawałabym się na kobietę mającą dostarczać mężczyźnie przyjemności.

Seth nie przestawał pieścić ustami jej twarzy i szyi.

- W takim razie to bardzo dobrze, że nie poślubiłem panny Elsie, prawda? Sięgnął rękami ku jej włosom i wyjął z nich spinki, sprawiając, że ciemne loki Laurel rozsypały się po poduszce. Poczwała na twarzy jego ciepły oddech.

- Czy powinnam... się teraz rozebrać? - szepnęła. Mężczyzna dotknął wargami jej ust.

- Nie. - Jego palce powędrowały w dół, z wprawą rozpinając guziki.

Seth powoli rozpinął jej suknię i z każdym kolejnym guzikiem serce Laurel biło szybciej, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Zamknęła oczy, sądząc,

że w takiej sytuacji właśnie to powinna uczynić dama, potem jednak zapragnęła zobaczyć twarz mężczyzny i popatrzeć mu w oczy. Jej wzrok zasnuwała jednak mgła pożądania. Poczula, jak Seth zdejmuje z niej suknię i zaczyna rozpinać bieliznę. Pochylił głowę, obsypując delikatnymi pocałunkami jej nagie piersi.

Laurel nie panowała już nad sobą. Całe jej ciało płonęło z podniecenia, przed oczyma wirowały czerwone kręgi. Zacisnęła dłonie na jego ramionach, a z gardła wyrwał jej się jęk rozkoszy. Rozkosz. Nigdy nie sądziła, że można doznawać czegoś takiego z mężczyzną.

W pewnym momencie Seth usiadł na łóżku i zgasił światło. W ciemności nie widać było jej bezładnie rozrzuconego ubrania. Drżąc z niecierpliwości, rozluźniła tasiemki gorsetu. Ciepły oddech Taita nadal pieścił jej nagą skórę. Potem ponownie znalazła się w jego objęciach.

Chwilami Laurel wydawało się, że to jakaś inna kobieta leży w objęciach Seta Taita. Nie wierzyła, że to ją mogło ogarnąć tak wielkie pożądanie, iż potrafiła tak bez reszty oddać się mężczyźnie, odczuwając przy tym niewysłowioną rozkosz. Błądzące po sekretnych częściach jej ciała palce Seta rozпалиły w niej jeszcze większe pożądanie. Nieustannie wodziła rękoma po jego plecach i ramionach, zagłębiała dłonie w jego jedwabistych włosach. W jednej chwili zniknęły wszelkie obawy, jakie czuła uprzednio. Przytuliła go mocno do siebie, rozchylając usta pod dotykiem jego warg. Rozkosz, którą odczuła, gdy w nią wszedł, wyrwała z jej gardła głośny krzyk. Każdy jego ruch sprawiał, że ogarniała ją coraz większa namiętność. Jęcząc tuliła go do siebie, póki jej ciało nie przeszył gwałtowny dreszcz rozkoszy, daleko wspanialszy od wszystkiego, czego kiedykolwiek doznała.

Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, wypełniona głośnym biciem serc, przyspieszonym rytmem oddechów, gorączkowymi pieszczotami i gwałtownymi pocałunkami, zanim poczuła, że Seth wypuszcza ją z objęć i odsuwa się od niej. Zaprotestowała odruchowo, przyciągając go do siebie i już

po chwili mężczyzna ponownie znalazł się w niej, tuląc ją w ramionach i obsypując pocałunkami.

Wszystko to było dla Laurel jak sen. Jediną rzeczą, jaką sobie uświadamiała, było to, że Seth trzyma ją w ramionach, tuląc mocno.

Jakież to dziwne - pomyślała - że zwykle wyjście za mąż może tak wiele zmienić.

Przed nią otworzyło ono nowy świat, o którego istnieniu w ogóle nie miała pojęcia. Obcy człowiek stał się nagle kochankiem, który wypełnił całe jej życie. Gdzieś w głębi duszy czuła, że zawsze marzyła o przeżyciu czegoś takiego, ale na razie doświadczenie to było zbyt nieoczekiwane i zbyt intensywne, aby mogła wierzyć w jego realność. Jakże mogła ufać swoim zmysłom, skoro ten mężczyzna postawił na głowie cały znany jej dotąd świat?

Nie potrafiła jeszcze myśleć o tym wszystkim, umiała jedynie czuć. Seth wodził palcami po jej skroniach i włosach, odgarniając splątane, mokre pasemka z jej czoła i obsypując pocałunkami policzki.

- A zatem, pani Tait - powiedział ochryple - czy tym razem podoba się pani bycie mężatką?

Laurel stłumiła śmiech i jeszcze silniej przywarła do niego.

- Myślę - odparła - że tym razem nauczę się jakoś tolerować ten stan.

- Hm. A jak długo, pani zdaniem, potrwa ta nauka? Laurel uniosła się na łokciu i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jeszcze tylko jedną chwilę.

- ... to było wtedy, kiedy stary Cody podskoczył do góry i powiedział: „To nie kojot, do diabła. To tylko Shortie próbuje w ciemności przejść boso przez pole kaktusów!”

Laurel wybuchnęła śmiechem.

- Czy to prawdziwa historia? Nie, nie może być prawdziwa. Sądzę, że przynajmniej połowę z tego, wymyśliłeś sam.

Seth uśmiechnął się i sięgnął po cygaro, które zgasił pół godziny wcześniej.

Nastał już prawie świt. Przez ostatnie dwie godziny Laurel słuchała opowieści Seta o jego życiu na Zachodzie bądź też opowiadała mu ciekawostki z Charlestonu. Przytulali się do siebie, pieszcząc nawzajem lub pogrążali w całkowitym milczeniu. Żadnemu z nich nie chciało się spać i Laurel nauczyła się przy tej okazji czegoś nowego: że mężczyzna i kobieta mogą kochać się więcej niż raz w ciągu nocy. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy istniała jakaś granica tego, ile razy można to robić, ponieważ kiedy tylko wtulała się w ramiona męża, sądząc, że z pewnością musi być już zmęczony, oboje na nowo ogarniała fala pożądania. Każdy kolejny akt miłosny był piękniejszy i pełniejszy od poprzedniego.

Nie to jednak stanowiło najważniejszą i nawet najdziwniejszą rzecz, jakiej Laurel dowiedziała się tej nocy. Tym, co zdumiewało ją najmocniej, było to, jak łatwo miłość fizyczna może odmienić życie człowieka.

To prawda, że podziwiała Seta, zanim go poślubiła. Bez wątplenia, od początku uważała go za wyjątkowo przystojnego, interesującego, tajemniczego i podniecającego mężczyznę. Miał wiele cech, które w nim lubiła. Ale teraz... teraz mogła się śmiać razem z nim, mogła powiedzieć mu o rzeczach, o których nigdy nie rozmawiałaby z Peterem ani z nikim innym. Było to tak, jakby zniknięcie barier fizycznych usuwało także wszystkie inne i przez tych kilka krótkich godzin Seth stał się dla Laurel najbliższym człowiekiem na świecie. To właśnie, jak przypuszczała, stanowiło esencję małżeństwa. Tait siedział wsparty o wezłowie łóżka, ubrany jedynie w spodnie. Laurel, narzuciwszy na siebie nocną koszulę, leżała na brzuchu po drugiej stronie, z podbródkiem wspartym na złożonych dłoniach, i przyglądała się mężowi. Zapragnęła nagle dotknąć go, poczuć pod palcami znajomą gładkość jego skóry, silne mięśnie i jedwabistą miękkość owłosienia na klatce piersiowej. Powoli wyciągnęła rękę. Być może

najwspanialszą rzeczą w małżeństwie było to, że nie trzeba się było z niczym spieszyć. Oczekiwanie wzmagало jedynie późniejszą rozkosz.

- Wydaje mi się, że wiodłeś na Zachodzie nadzwyczaj ekscytujące życie - powiedziała w zadumie. - Nie tęsknisz za tym?

Jego dłoń zatrzymała się tylko na ułamek sekundy, kiedy zbliżał do cygara płonąca zapalną, ale wyraz twarzy pozostał niezmienny.

- Być może z czasem wybierzemy się w podróż, byś mogła zobaczyć Zachód na własne oczy.

Laurel uśmiechnęła się myśląc, jak wspaniale być mężatką, ale jednocześnie ogarnął ją smutek, ponieważ to, o czym mówił Seth, było niemożliwe.

- Wiesz dobrze, że nie mogłabym stąd wyjechać, choćby na krótko - pokręciła głową. - Ciotka Sophie, Caroline... Nie mogę ich zostawić. A one nigdy nie opuszczą Charlestonu.

Jego oczy zwęziły się na chwilę, przesłonięte mgiełką tytoniowego dymu.

- Byłabyś zdumiona widząc, jak dobrze poradziłyby sobie bez ciebie, gdybyś tylko dała im taką szansę - powiedział poważnie.

Laurel zaśmiała się ironicznie, ale w jej śmiechu dało się wyczuć napięcie.

- Żadna z nich nie potrafi beze mnie zrobić nawet kroku. - Mimo że się starała, nie potrafiła ukryć niechęci, jaką napawała ją ta myśl. - Pewnie nie wiedziałeś, iż poślubiając mnie, poślubiasz także moją rodzinę, prawda?

- Było wiele rzeczy, których, jak sądzę, nie uświadamiałem sobie - rzekł spokojnie, wpatrując się w koniuszek cygara. - Potrafisz jeździć konno? - zmienił temat, zanim Laurel zdążyła zapytać, o co mu chodzi.

Zamrugnęła oczyma.

- Oczywiście. W angielskim siodle, bokiem...

- A co powiesz o starym siodle rodem z Zachodu? - skrzywił się Seth.

- Mam zamiar kupić ci konia. Sobie zresztą także. W tutejszej stajni przykuł mój wzrok pewien gniadosz, a także wałach kasztanek dla ciebie. Sądzę, że powinienem również nabyć powóz dla naszych dam. Jestem przerażony, kiedy pomyślę, że muszą wszędzie chodzić pieszo w takim upale.

Laurel usiadła na piętach, składając razem ręce w geście podobnym do tego, jakim małe dzieci witają w świąteczny poranek choinkę, pod którą złożono gwiazdkowe prezenty. W jej oczach zabłyśły łzy. Gwałtownie zamrugowała powiekami.

- Nie - zdecydowanie pokręciła głową. - Dwa wierzchowce i konie do zaprzęgu kosztowałyby przynajmniej pięćset dolarów. Nie wspominam już o tym, ile musiałbyś zapłacić za powóz. Seth, czyś ty postradał zmysły?

- Wzruszenie, które jeszcze przed chwilą malowało się na jej twarzy, ustąpiło miejsca przerażeniu. - Nie, absolutnie nie. Lada moment zostałbyś bankrutem...

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnąwszy ramiona, przytulił ją do siebie.

- Czemu nie chcesz pozwolić, żebym to ja martwił się o pieniądze? Laurel jednak, zmarszczywszy brwi, raz jeszcze pokręciła głową.

- To ja muszę się o nie martwić. Nie wiesz nawet, jak to jest być biednym...

- Często sięgałem do moich juków przy siodle w poszukiwaniu chleba i znajdowałem tam tylko kurz.

- ... kiedy spoczywa na tobie odpowiedzialność za innych ludzi i ciągle musisz walczyć o to, by jakoś związać koniec z końcem. A zawsze, ilekroć już się wydaje, że kłopoty nareszcie się skończyły, nagle pojawia się jakiś nowy problem... - Ponownie z uporem pokręciła głową. - Nie. To naprawdę ja powinnam się o to martwić i nie pozwolę ci wyrzucać pieniędzy w błoto. Musimy być bardzo rozważni.

Seth uświadomił sobie, że Laurel o wiele bardziej podoba mu się taka, jaka była przed chwilą: ciesząca się jak dziecko, które otrzymało wymarzony

prezent, niż zatroskana i zmartwiona, jaką widział teraz. Rozpaczliwie pragnął na zawsze usunąć smutek z jej oczu i uczynić ją na powrót małą, beztroską dziewczynką. Chciał tego tak gorąco, że nawet jego samego to przerażało.

Mocno objął ją ramieniem, tuląc do siebie.

- Nie będziesz musiała już więcej liczyć się z każdym groszem - obiecał. - I mimo twoich protestów kupię ci tego kasztanka.

Dostrzegł, z jakim wysiłkiem zmusiła się, by zamilknąć i nie sprzeciwić mu się dłużej. Tak bardzo pragnął przekonać ją, że naprawdę nie powinna się niczym martwić i że może w pełni zdać się na niego, bo to on będzie się teraz o nią troszczył. Nie znalazł jednak odpowiednich słów - być może dlatego, że nigdy dotąd, przez całe życie, nie chciał się o nikogo troszczyć. Poczł, jak napięcie opuszcza jej ciało i zobaczył, że Laurel uśmiecha się do niego. Człłym gestem powiodła dłonią po jego piersi, wywołując w nim nową falę pożądania.

- Opowiedz mi więcej o życiu, które wiodłś na Zachodzie - poprosiła. - Nie obchodzi mnie, ile z tego, co mówisz, jest prawdą, ale twoje historie są znacznie lepsze od tanich powieści Petera. Czy jesteś pewien, że nie znasz żadnych opowieści o Pułkowniku Ike'u i Peachu Bradym? Peter mógłby je wydrukować w swojej gazecie.

Na krótką chwilę Seth zamarł w bezruchu z dłonią w powietrzu, wyciągniętą po zgasłe cygaro. Przeszłość wdarła się w terażniejszość i świat, o którego istnieniu chwilowo zapomniał, ponownie dał znać o sobie.

- Owszem. Prawdę mówiąc, znam pewną historię - odpowiedział spokojnie, starannie dobierając słowa. - Być może kiedyś ci ją opowiem. Ale teraz... - przechylił się nad nią i delikatnie złożył jej głowę na poduszce - sędę, że będzie lepiej, jeśli wyślemy do ciotki wiadomość, by nie oczekiwała nas dzisiaj.

Laurel objęła go za szyję, przymykając oczy i rozkoszując się dotykiem jego ciała.

- To brzmi wspaniale - westchnęła.

- Jak się czujesz? - zapytał szeptem Seth długi czas później, trzymając Laurel w ramionach i całując jej palce.

Jej odpowiedź sprawiła, że serce zamarło mu ze wzruszenia.

- Bezpieczna - odrzekła, przytulając się do niego. - Czuję się bezpieczna.

ROZDZIAŁ 13

Oczywiście, rozumie się, pani Sinclair - powiedział z uśmiechem Edgar Cassidy - że w innych okolicznościach nigdy nie prosiłbym pani o rozstanie się ze swoim dziedzictwem. Nawet by mi to przez myśl nie przeszło. Ale sama byłaby pani zdumiona skarbami, jakie są ukryte u pani na strychu. Pani pewno je uważa za rupiecie, ale w rzeczywistości rzeczy te mogą mieć nie lada wartość i przynieść pani niemały pożytek. Oczywiście, trzeba najpierw wiedzieć, jak je wykorzystać - dodał.

Sophie westchnęła ciężko, spoglądając na wizytówkę, którą jej wręczył. Przed nimi stały filiżanki ze stygnącą herbatą oraz taca z ciasteczkami - tak rzadko jej dom odwiedzali goście spoza miasta, że czuła, iż przynajmniej tyle powinna zaofiarować przybyszowi. A pan Cassidy przyjechał tu w dodatku z najlepszymi z możliwych rekomendacjami. Zarówno Sylvia Clark z Richmond, jak i Dorothea Montgomery z Atlanty korzystały z jego usług i, zdaniem pana Cassidy'ego, obu damom przyniosło to niemałe korzyści.

- Och, sama nie wiem, panie Cassidy - powiedziała. - Tak zupełnie nie mam głowy do interesów... Żałuję, że nie zastał pan mojej siostrzenicy, ale... - zmieszła się i poczerwieniała lekko. - Wyjechała w krótką podróż poślubną.

- Moje gratulacje. Jeśli woli pani, bym porozmawiał z nią albo nawet z jej mężem, jeśli nie macie innego męskiego krewnego, z przyjemnością zjawię się tu raz jeszcze w naznaczonym przez panią terminie. Sądzę, że zabawię w Charlestonie przez kilka tygodni, żeby odwiedzić także innych klientów...

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby gotował się do wyjścia.

- Nie - zatrzymała go pośpiesznie Sophie. - Przemyślałam to i uważam, że będzie najlepiej, jeśli Laurel wcale się o tym nie dowie.

- Rozumiem - uśmiechnął się Cassidy. - Mogłaby pani za zarobione przez siebie pieniądze kupić siostrzenicy ślubny prezent, jak sądzę. Cóż, z pewnością może pani liczyć na moją dyskrecję.

To właśnie słowo „pieniądze” ostatecznie przekonało Sophie. Choć oczywiście nie bez znaczenia była tu sugestia, że Cassidy porozmawia z mężem Laurel. Starsza pani nie mogła zapomnieć gniewu Caroline i jej oskarżeń, że Laurel nie byłaby zmuszona do zawarcia tak skandalicznego małżeństwa, gdyby ona, Sophie, nie wydawała tak lekkomyślnie pieniędzy. Ten zarzut bardzo ją dotknął. Chociaż ona sama nie żywiła aż takich jak jej córka obiekcji wobec małżeństwa siostrzenicy - pan Tait był mimo wszystko wyjątkowo miłym człowiekiem - nie chciała, by mówiono, iż czerpie korzyści z zamążpójścia Laurel albo że żyje na łasce obcego człowieka. Strych zapelniały pudełka i paczki, których nie oglądała od czasu, gdy była dzieckiem, a myśl o tym, że będzie miała jakieś własne pieniądze, wydawała jej się nadzwyczaj kusząca. Pieniądze, które sama zarobi.

- Jeszcze dziś po południu przeszukam strych, panie Cassidy - oświadczyła z uśmiechem. - A teraz proszę dopić swoją herbatę i opowiedzieć mi trochę o sobie.

Dwa dni później Seth i Laurel opuścili hotel. Tait wydał dyspozycje dotyczące zakupu wierzchowców i Laurel, nie czekając, aż mąż zapłaci rachunek, pośpieszyła na zewnątrz, by obejrzeć swego konia. Seth cieszył się, że poszła przodem, nie chciał bowiem, by widziała szeroki uśmiech, jaki zagościł na jego twarzy, kiedy obserwował ją przez wielkie okno w holu. Zależało mu na tym, by nie wiedziała, jak wielką przyjemność sprawia mu widzieć ją szczęśliwą.

Ludzie kłaniali mu się i uśmiechali, kiedy szedł przez hol, niektórzy witali go nawet po nazwisku. Odpowiadał im uprzejmie, uświadamiając sobie nagle, że opuszcza ten hotel na zawsze. Udaje się do domu...

Było to nader dziwne uczucie. Jeszcze niecały miesiąc wcześniej niechętnie wychodził ze swego pokoju, czując się niepewnie na myśl, że ma poruszać się po mieście bez broni. Teraz wydawało mu się to całkowicie naturalne. Kilka tygodni temu nie byłby w stanie przekroczyć progu hotelu bez uprzedniego rozejrzenia się uważnie po ulicy, wszędzie węsząc zasadzkę i niebezpieczeństwo. Teraz spokojnie uchylał kapelusza przed obcymi ludźmi. Zresztą, prawdę mówiąc, niewielu przechodniów pozostawało mu jeszcze nieznanych.

Nie był tym samym człowiekiem, który miesiąc temu pojawił się w hotelu. Przybył tutaj samotnie, a opuszczał to miejsce z żoną. Choć żadne z nich nie miało początkowo zamiaru traktować tego związku jak prawdziwego małżeństwa, stało się ono dla nich bardziej realne, niż mogli przypuszczać. Seth był teraz odpowiedzialny aż za trzy kobiety i wcale nie czuł się z tego powodu źle. A Laurel... Jakże mógłby zastanawiać się nad tym, co zmieniło się w jego życiu, nie myśląc przy tym o niej? Była taka zabawna, wygadana i inteligentna. Nawet gwałtowna namiętność, którą skrywała głęboko jak tajemny klejnot, stanowiła jedynie część jej osobowości. Bez wątpienia zawróciła mu w głowie: kiedy był razem z nią, nic nie miało znaczenia. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety takiej jak ona. Nie wyobrażał sobie, by mógł związać się z kimkolwiek innym. Przypuszczał, że wiedział o tym już w owej chwili, kiedy ustalał z nią warunki małżeńskiego kontraktu. Laurel. To ona stanowiła przyczynę, dla której nie był już tym samym mężczyzną, jaki tak niedawno przybył do tego hotelu.

Obserwował ją przez okno, starając się nie uśmiechać zbyt otwarcie, kiedy płacił rachunek.

- Goszczenie pana było dla nas prawdziwym zaszczytem - oświadczył Hugh Casom, podając mu dłoń. - Życzę panu i pani Laurel samych szczęśliwych chwil.

- Dziękuję. - Nie wyzbył się jeszcze cynizmu, by ściskając dłoń mężczyzny nie zastanawiać się, na ile jego życzenia związane są z dodatkowymi dziesięcioma dolarami, które dołączył do rachunku.

- Proszę nie martwić się o bagaże. Chłopak dostarczy je panu do domu w ciągu godziny - zapewnił gorliwie Hugh.

- Będę bardzo wdzięczny.

- A tak przy okazji, czy pański przyjaciel już pana odnalazł? Ta jedna chwila zmieniła wszystko.

Seth zrobił może pięć kroków w kierunku drzwi, obserwując przez okno Laurel, która wsiadła już na konia i czekała nań niecierpliwie. Nalegała na kupno damskiego siodła i teraz jej suknia spływała we wdzięcznych fałdach z końskiego boku. Ubrana była na zielono, a na głowie miała ciemnozielony kapelusz z żółtym piórem, który poprzedniego dnia podziwiała na wystawie pobliskiego sklepu. Seth kupił go dla niej, ponieważ szalenie bawiły go wyrzuty, jakie robiła mu na temat wydawania pieniędzy... A poza tym był szczęśliwy widząc, jak błyszczały jej oczy, kiedy założyła kapelusz na głowę. Przez chwilę jeszcze chłonał jej obraz, pozwalając, by zapadł mu głęboko w pamięć, wiedział bowiem, że kiedy odwróci wzrok od żony, a potem ponownie na nią popatrzy, Laurel będzie już zupełnie inna. Z doskonale obojętnym wyrazem twarzy cofnął się w stronę Hugh'a.

- Ktoś mnie szukał? Kto?

Hugh Casom zmarszczył brwi,

- Brewster? Johnson? - Nagle jego twarz rozjaśniła się. - Brooks! John Brooks. Twierdził, że jest z panem umówiony. Było to akurat w dniu, kiedy brał pan ślub. Powiedziałem mu więc...

Seth pozwolił Hughowi mówić. Jego twarz zastygła w uprzejmym grymasie. Od czasu do czasu kiwał głową, by dać wyraz temu, że uważnie słucha słów recepcjonisty, a umysł dokładnie rejestrował najdrobniejsze szczegóły relacji, planując już następne posunięcia.

Tak naprawdę nic się nie zmieniło. Wciąż był Peachem Bradym i ktoś go szukał. Przybył tu w konkretnym celu i z każdą minutą zwłoki jego prześladowca znajdował się o krok bliżej. Musiał być szalony, sądząc, że jest tu bezpieczny. Nigdy więcej nie powtórzy tego błędu.

Wyszedł na zewnątrz. Laurel czekała na niego z błyszczącymi radością oczyma, a pióro u kapelusza drżało lekko na wietrze. Seth wspiął się na grzbiet swojego wierzchowca. Ogarnęło go nagle dojmujące poczucie straty. Ściągnął wodze i zawrócił konia ku miejscu, które, przynajmniej chwilowo, było jego domem. Miał rację. Wszystko się zmieniło.

Znalezienie tego, czego potrzebował, nie okazało się wcale trudne. Kłopoty pojawiły się dopiero wtedy, kiedy odkrył, że to, czego szukał, nie było tym, czego oczekiwał.

Sypialnię Laurel - teraz także jego sypialnię - umeblowano skromnymi sprzętami, niemal ze spartańską prostotą. Spore rozmiary pokoju oraz tak często spotykane w Charlestonie sięgające od podłogi aż po sufit okna jeszcze bardziej podkreślały ubóstwo mebli. Obok przesłoniętego białą moskitierą łóżka z baldachimem znajdowała się szafa, mieszcząca w sobie nieliczne, głównie czarne suknie. W pobliżu niej ustawiono komodę z szufladami oraz mały stolik z nocną lampką, krzesło i kufer. Patrząc na te sprzęty, widziało się od razu, że wszystkie lepsze meble zostały z biegiem lat sprzedane albo przeniesione na dół, w sypialni zaś pozostawiono jedynie te najpotrzebniejsze. Jediną ozdobę pokoju stanowił amatorski obraz przedstawiający dom, pole i ogród. Namalowane jaskrawymi farbami malowidło natychmiast przyciągnęło uwagę Seta, wydawało mu się bowiem w jakiś sposób znajome. Widząc jego spojrzenie,

Laurel wyjaśniła, że obraz przedstawia posiadłość w Chinatree w czasach jej świetności, a namalowała go jej matka.

Było słoneczne popołudnie. Laurel wyszła z domu po zakupy, Seth zaś pozwolił, by ciotka Sophie i Caroline sądziły, iż udał się razem z żoną. Zamiast tego jednak powędrował na górę do ich sypialni. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia z powodu tego, co zamierzał zrobić, nie tylko dlatego, że Laurel była jego żoną, ale także dlatego, że robił w życiu o wiele gorsze rzeczy.

Otworzył wieko kufra i wyjął leżący na wierzchu owinięty papierem pakunek. Rozwinąwszy go, ujrzał ślubną suknię, najwidoczniej to w niej właśnie Laurel po raz pierwszy składała małżeńską przysięgę. Staranność, z jaką ją zapakowano, wskazywała raczej na praktyczny zmysł właścicielki niż na jej sentymentalną naturę. Seth odłożył suknię na bok z najwyższą ostrożnością. Poza tym w kufrze znajdowało się kilka ciężkich kryształów, które musiały należeć do matki Laurel, parę oprawnych w skórę tomów poświęconych rolnictwu, z wklejonymi wewnątrz ekslibrisami (z nazwiskiem Augustus Sinclair), rzeźbione drewniane pudełko z pojedynczym sznurem pereł w środku oraz medalion z puklem włosów: ostatni klejnot jej matki. Otwierając medalion, Seth czuł się dziwnie. Wiedział, że włosy należały do Augustusa Sinclaira i po karku przebiegł mu zimny dreszcz, tak jakby zza grobu dotknęła go ręka zmarłego.

Na dnie kufra leżał plik listów, związanych wyblakłą błękitną wstążeczką. A więc było to takie proste.

Usiadł na krześle przy oknie i zaczął czytać.

Miał zamiar jedynie przejrzeć listy w poszukiwaniu potrzebnej informacji, ale słowa, na które padł jego wzrok, sprawiły, że zaczął czytać dokładniej: *„Ukochana! Tak bardzo chciałbym do Ciebie wrócić...”, „Jakież słodkie są noce, kiedy mogę o Tobie śnić...”*

W miarę, jak czytał, wyłaniał się przed nim obraz głęboko zakochanych w sobie ludzi, czułych, szczerych, niepokojąco żywych.

„Wierz mi, że będąc w środku całej tej jatki, mogę, zamykając oczy, przenieść się do Chinatree. Zapadł już zmrok, powietrze jest przesycone zapachem jaśminu, od odległego stawu dobiega kumkanie żab, na werandzie zaś skrzypią leniwie fotele na biegunach. Wydaje mi się, że wystarczy, bym wyciągnął rękę, a dotknę twojej dłoni...”

„To, co najgorsze, ukochana, wcale nas nie dotknęło, ponieważ my, przez ten krótki czas spędzony razem, zazналиśmy więcej radości, niż zasługuje na to dwoje ludzi. Najbardziej współczuć należy naszej drogiej Laurel, która nigdy nie otrzyma dziedzictwa, jakie jej się należy. Ta wojna jest już przegrana, moje serce, i potrwa jeszcze najwyżej kilka miesięcy. Straciliśmy w niej nie tylko nasze domy, tradycje i przechodzące z pokolenia na pokolenie zwyczaje. Straciliśmy jedyną rzecz, jaką mogliśmy przekazać naszym dzieciom: przyszłość”.

„Nie wolno Ci się o mnie bać. Zbyt wielka jest moja tęsknota za domem, żebym pozwolił jakiejś jankeskiej kuli stanąć mi na drodze”.

W końcu odnalazł ostatni list. Napisano go innym charakterem pisma, najwidoczniej więc został podyktowany.

„Wiem, że jest to list, którego nie chciałaś nigdy otrzymać, a ja pragnąłem nigdy nie napisać, ale być może oboje od początku wiedzieliśmy, że to właśnie było nam przeznaczone. Mam powód, by sądzić, że Ike - Seth drgnął, kiedy ujrzał to nazwisko - nie żyje, bo w innym wypadku, to on sam przyniósłby Ci tę wiadomość. Ufam mu równie mocno, jak on ufa mnie i chętnie powierzyłbym mu wypełnienie swojej ostatniej woli. Niestety, jest to niemożliwe. Muszę więc zdać się, moja droga, na Twoje oddanie dla mnie, którego jestem całkowicie pewien. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko żywić nadzieję, że ten list dotrze do Ciebie, choć mam co do tego pewne wątpliwości. Uczyni dla mnie to, o co proszę, a umrę spokojny, wiedząc, że moje życie i moja miłość do ciebie oraz naszej Laurel nie poszły na marne: pochowaj mnie pod ową ławką, gdzie tak dawno temu siedzieliśmy o zmierzchu i gdzie skradłem Ci pierwszy

pocałunek. Chcę, by w ceremonii pogrzebowej uczestniczyli tylko członkowie rodziny. Przyjmij to, co ofiarowuję Ci wraz z ostatnim tchnieniem i całą moją miłością. Uczyń to, a będę spoczywał w pokoju. Przysięgam Ci, moja ukochana, że zrobiłem, co tylko się dało, żeby zapewnić przyszłość naszej ukochanej córce..."

Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem i na twarz Taita padł cień wchodzącej kobiety.

- Seth? - zapytała niepewnie Laurel.

Powoli podniósł na nią wzrok, po czym ponownie spojrzał na trzymany w ręce list.

- On cię naprawdę bardzo kochał.

Laurel weszła do pokoju, marszcząc ze zdziwienia czoło.

- Czy to są listy mojego ojca?

Seth próbował przywołać na twarz niewinną minę. To, co przeczytał, wzruszyło go zbyt mocno, by miał ochotę udawać cokolwiek.

- Czy masz coś przeciwko temu, że je czytam?

- Cóż, nie. Chyba nie. Ale, na litość boską, gdzie je znalazłeś?

- Szukałem miejsca, w którym mógłbym schować koszule - odparł obojętnie. Na wszelki wypadek już zawczasu przygotował sobie to kłamstwo.

Laurel zdjęła kapelusz i rękawiczki i rzuciła je na łóżko.

- Nie zaglądałam do nich od lat - powiedziała z uśmiechem, podchodząc do niego. - Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze płakałam czytając je.

A więc zyskał ostateczny dowód - jeśli w ogóle kiedykolwiek go potrzebował - że złoto naprawdę istnieje: „Zrobiłem, co tylko się dało, żeby zapewnić przyszłość naszej ukochanej córce... Przyjmij to, co ofiarowuję Ci wraz z ostatnim tchnieniem i całą moją miłością...” Każdy zorientowałby się, o co chodziło Augustusowi. Zakopał złoto w Chinatree, tak jak twierdził Pułkownik, wybierając miejsce, które znać mogła jedynie żona. W ostatnim

liście zostawił jej jasne wskazówki. I mimo że minęło już tyle lat, te pieniądze wciąż tam spoczywały.

„Zrobiłem, co tylko się dało, żeby zapewnić przyszłość naszej ukochanej córce...”

Seth wstał i z listem w dłoni podszedł do okna.

Powie jej. Byli małżeństwem i to, co należało do niej, stanowiło także jego własność, nie miał więc powodu dłużej zachowywać przed nią tajemnicy.

Nie, mimo wszystko istniały przyczyny, dla których nie powinien tego robić. Człowiek taki jak Peach Brady mógł znaleźć pół miliona w złocie i zniknąć z tymi pieniędzmi bez śladu. Gdyby kobieta taka jak Laurel Sinclair... nie, Laurel Tait, nagle znalazła się w posiadaniu podobnej fortuny, każdy szeryf, prawnik czy bankier w kraju natychmiast zacząłby ją szpiegować. Aby móc skorzystać z tego złota, Laurel musiałaby wyjechać z Charlestonu, a Seth wiedział, że nigdy nie zgodziłaby się tego uczynić.

Poczuł, że ogarnia go złość na jej ojca, który chcąc jak najlepiej dla swego dziecka, w rzeczywistości tylko je skrzywdził. Nie mógł jednak winić za to Augustusa. Stałoby się najlepiej, gdyby matka Laurel zdołała wypełnić zawarte w liście instrukcje. Dwadzieścia lat temu, w wojennym zamieszaniu, nikt nie pytałby, skąd wzięła taki majątek. W tamtych czasach można było bez żadnego ryzyka zainwestować pieniądze w jakiś interes, odbudować Chinatree albo nawet przenieść się na Zachód. Nie, nie mógł winić Augustusa.

Ale mógł mieć pretensje do Pułkownika. Przez wszystkie te lata wiedział o złocie i nic nie zrobił. Twierdził, iż był dobrym przyjacielem Augustusa Sinclaira, a nie przyszło mu na myśl, że jego rodzina może głodować, podczas gdy gdzieś na terenie ich posiadłości leży zakopana fortuna. Nawet w ostatniej minucie życia, wysyłając Seta po złoto i wymuszając na nim obietnicę, że po nie pojedzie, nie pomyślał o Laurel. Musiał przecież wiedzieć, iż to właśnie ona ma dziedziczne prawo do tego skarbu i że na pewno nie żyje otoczona bogactwem. A jednak to Sethowi pozostawił podjęcie decyzji w tej sprawie.

Palce mężczyzny zacisnęły się na liście tak silnie, że papier zaszeleścił i zaczął się drzeć.

Laurel lekko dotknęła jego ramienia.

- To musi być dla ciebie bardzo trudne - powiedziała miękko - że nic nie wiesz o swojej rodzinie. Oboje jesteśmy sierotami, ale ja przynajmniej mam jakieś wspomnienia o matce, a także te listy pisane przez ojca. Wiem, jak oboje mocno mnie kochali.

Seth zerknął na nią, po czym ponownie utkwił spojrzenie w oknie. Rozprostował zaciśnięte na liście palce.

- Zastanawiam się - powiedział w zamyśleniu - kim byli moi rodzice, czym się zajmowali, co lubili... a także, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie umarli. To bardzo dziwne uczucie nie znać swoich korzeni.

Laurel skinęła głową, lekko ocierając się policzkiem o jego ramię.

- Cóż, i tak miałeś szczęście. Dane ci było przeżyć i dorosnąć.

- Tak - przyznał Seth. - Człowiek, który mnie przygarnął, starał się wychować mnie najlepiej, jak umiał. Nie jestem jednak pewien, czy rzeczywiście wiedział, jak należy to robić.

Znowu popatrzył na list, zastanawiając się, co powinien uczynić. Nie mógł powiedzieć Laurel o złocie, ponieważ ona nie wiedziała, że jest Peachem Bradym. A Peach Brady to złodziej i człowiek wyjęty spod prawa, który przebył trzy tysiące mil po to, by zrabować jej dziedzictwo. Choć

Laurel potrafiła zrozumieć bardzo wiele, akurat tego z pewnością by mu nie wybaczyła. Pragnął uczynić dla niej wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy, ale nie mógł zmienić swojej przeszłości.

Najlepsze, co mógł zrobić, to odnaleźć złoto i zniknąć z jej życia. Uśmiechnął się, wygładzając pognieciony list i odkładając go na krzesło.

- Twój ojciec naprawdę kochał matkę. To niezwykle, że mężczyzna może napisać coś takiego. Pragnął nawet, by pochowano go pod ławką, gdzie się po raz pierwszy pocałowali.

- Och, a więc to tam chciał mieć grób? Przypominam sobie, że coś takiego rzeczywiście było w jego ostatnim liście.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś odnaleźć tę ławkę w Chinatree? - zapytał, odwracając się do niej plecami.

- Na Boga, nie! Do tej pory na pewno już zgniła i rozpadła się. Poza tym wszystko tak bardzo zarosło chwastami, że nie da się odnaleźć miejsca, gdzie stała. Zresztą, dlaczego miałabym robić coś tak głupiego? Kogóż dzisiaj to wszystko obchodzi?

- Sądziłem, że kobiety lubią takie sentymentalne gesty - uśmiechnął się Seth, zwracając listy.

- Nie ja - Laurel wzruszyła ramionami, ale oczy zaszyły jej mgłą, kiedy chowała listy na powrót do kufra. - Nic już nie może sprawić, by Chinatree było tym samym miejscem, co niegdyś.

- Ale chciałabyś tego, prawda? - zapytał niespodziewanie Seth.

- Odbudować je, by było takie jak w przeszłości.

Laurel ponownie wzruszyła ramionami, ale na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- To niemożliwe. Przecież nie mam pieniędzy. I nigdy nie będę ich miała.

- Uśmiechnęła się smutno. - Chyba już rozsądniejsze byłoby założenie tam stadniny koni.

Sethowi niełatwo było spojrzeć jej w oczy i odwzajemnić uśmiech. Uczynił to jednak - w końcu zdarzało mu się robić w życiu trudniejsze rzeczy.

- Słyszałem, jak twoja ciotka narzekała, że chwasty zarosły już niemal całkowicie wasz rodzinny cmentarzyk - powiedział. - Pomyślałem, że mógłbym pojechać tam i zrobić porządek na grobach.

Laurel popatrzyła nań zaskoczona.

- Nie ma takiej potrzeby - odrzekła. - Nikt tam już przecież nie bywa.

- Ale to uszczęśliwiłoby ciotkę - odparł obojętnie. - A ja miałbym jakieś zajęcie. Przywykłem do pracy na świeżym powietrzu.

Laurel podeszła bliżej i objęła go za szyję, uśmiechając się promiennie.

- Chwilami wydaje mi się - stwierdziła - że jesteś lepszym człowiekiem, niż udajesz.

Mężczyzna przyciągnął ją do siebie i wsparł brodę na jej głowie. Uczynił to głównie po to, by nie mogła dostrzec jego twarzy.

- Na twoim miejscu raczej bym na to nie liczył - powiedział spokojnie. - Ani trochę bym na to nie liczył.

Caroline siedziała w salonie w porannym słońcu i cerowała męską koszulę, kiedy wszedł Peter.

- Sądziłem, iż wielkie poświęcenie Laurel uwolniło was od wszelkich trosk finansowych, ale widzę, że mimo wszystko jesteś zmuszona do zajmowania się szyciem. To już szczyt wszystkiego - powiedział gorzko.

Caroline poczerwieniała, lekko zagryzając wargi.

- Nie bądź głupi, Peterze. To jest... koszula pana Taita.

- Cerujesz koszule Setha? - zapytał z niedowierzaniem mężczyzna.

- Cóż, Laurel zupełnie nie zna się na szyciu, więc kiedy oderwał mu się guzik... - odparła dziewczyna obronnym tonem.

- I on miał czelność poprosić cię o to?

- Wcale nie. - Igła migotała jej w palcach, niecierpliwie zagłębiając się w materiał. - Zauważyłam, że oderwał mu się guzik i sama zaproponowałam, że go przyszyję - odrzekła urażona. - W końcu uczynił dla nas tyle, że tak niewielka uprzejmość wydaje się przy tym wyjątkowym drobiazgiem. Zupełnie nie rozumiem, czemu cię to w ogóle interesuje, Peterze.

Dziennikarz usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Widzę, że zmieniłaś nieco zdanie o tajemniczym panu Taicie - powiedział z przekąsem, starając się zapanować nad swoim głosem.

- Uważam, że nieco już go poznałam - wyjaśniła z prostotą Caroline.

- Jest inny, niż myślałam. Jest... o wiele miłszy i bardziej dystyngowany, niż sądziłam. Poza tym, jak dotąd, zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen.

Traktuje Laurel z wielkim szacunkiem i nie daje żadnych powodów, by wątpić w jego miłość do niej.

- Prawdziwy święty, jak widzę - Peter nie zadał sobie nawet trudu, by ukryć sarkazm.

- Och, Peterze, nie bądź cyniczny. Ironia jest tu całkowicie nie na miejscu. Być może ślub zmienił coś w jego stosunkach z Laurel? - Twarz dziewczyny rozjaśniła się nagle. - Ofiarował jej konia! Wyobrażasz sobie?

- A Laurel galopuje dookoła na sznurku jak cyrkówka - mruknął Peter. - Mam nadzieję, że się przy tym nie zabije. Ten człowiek nie powinien zachęcać jej do robienia takich głupstw.

- Poza tym ocalił nasz dom - ciągnęła niezrażona Caroline - a także opłacił dla mamy składki członkowskie w Carillon Club, dzięki czemu może zapraszać tam teraz na lunch swoje przyjaciółki. Wyobraź też sobie, że pan Tait przez ostatnie dwa tygodnie codziennie jeździ do Chinatree i porządkuje nasze rodzinne groby na tamtejszym cmentarzu. Zeszłego wieczoru nalegał, bym przestała naprawiać porcelanę...

Peter ze złością poderwał się z miejsca.

- To nie jego sprawa, co robisz, Caroline. Poślubił Laurel, nie ciebie... Dziewczyna zamrugła oczyma ze zdumienia.

- Cóż ty za bzdury wygadujesz, Peterze! Wygląda na to, że jesteś zazdrosny.

- Nie jestem - odburknął. - A ty?

- Co ja?

- Masz zamiar porzucić klejenie porcelany tylko dlatego, że on uważa, iż powinnaś to uczynić?

- Oczywiście, że nie - Caroline spokojnie złożyła koszulę i z powrotem ułożyła w koszyczku przybory do szycia. - Robię to dobrze i moi klienci liczą na mnie.

Peter nerwowo chodził po pokoju.

- Usiądź, mój drogi - poprosiła. - Chodzisz tak szybko, że nie mogę nadążyć za tobą wzrokiem.

Dziennikarz zatrzymał się gwałtownie.

- Sądzę, że jestem zazdrosny - oświadczył niespodziewanie. - Od śmierci twego ojca byłem w twoim życiu jedynym mężczyzną... Podobnie jak w życiu Laurel i twojej matki... - przerwał, po czym poprawił się: - Nie. Idzie mi tylko o twoje życie. A teraz Tait próbuje siłą...

- Nie siłą, Peterze - zaprotestowała łagodnie Caroline. - On należy do rodziny.

Mężczyzna westchnął głęboko.

- Wiem, że nie lubisz, kiedy wracam do tego tematu, ale wciąż uważam, że ty i ja... - Błagalny wyraz jej oczu nieomal powstrzymał go przed dokończeniem tego zdania, po chwili jednak zdecydował się wyjawić wszystko, co miał do powiedzenia. - Możemy być dla siebie czymś więcej niż tylko przyjaciółmi. Gdybyś pozwoliła mi...

- Och, wiesz dobrze, co czuję, kiedy mówisz na ten temat. - Dziewczyna spuściła oczy, zaciskając palce na koszyczku z przyborami do szycia.

- Nigdy nie będę... Nigdy nie pozwoliłabym sobie na to, aby stać się dla kogoś ciężarem. Jestem bardzo zadowolona ze swego życia i chciałabym dalej mieszkać pod jednym dachem razem z matką, zajmować się swoimi sprawami i, jeśli byłoby to możliwe, cieszyć się twoją przyjaźnią.

- Ja jednak pragnę czegoś innego.

- Nie zawsze możemy mieć to, czego pragniemy - odrzekła, patrząc na niego ze smutkiem.

Peter wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, powstrzymał się jednak. Zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

- Potrafisz wpędzić człowieka w zły nastrój, Caroline - oświadczył.

- Przykro mi.

- Nie tak przykro jak mnie - powiedział cicho, przybity. Podniósł się z miejsca i wyjął z kieszeni jakiś list. - Sądzę, że mogę ci powiedzieć, iż otrzymałem właśnie z Savannah list na temat Taita.

Caroline klasnęła w dłonie, a smutny wyraz jej oczu natychmiast przemienił się w ciekawość.

- Jak wspaniale! Och, Peterze, mów zaraz, czego się dowiedziałeś! Dziennikarz nie odrywał oczu od trzymanej w dłoni kartki papieru, pomimo że znał już jej treść na pamięć.

- Przysłał mi go pewien prawnik, Rankin Legare. Przeczytał opis, który rozesłałem do wszystkich dużych miast od Richmondu aż po Savannah, pytając moich przyjaciół z różnych redakcji o Setha Taita bądź jego rodzinę. Zdaje się, że Taitowie pochodzili z okolic Savannah, a po wojnie przenieśli się na Zachód: matka, ojciec i dziecko. Potem zaś ślad po nich zaginął.

- A więc ten prawnik może na powrót skontaktować pana Taita z jego krewnymi! - Oczy Caroline zaślniły z radości.

- Tak przypuszczam - wzruszył ramionami Peter. - Wydaje mi się jednak, że Taita bardziej zainteresuje fakt, iż jego dziadek pozostawił mu w spadku pewne udziały w liniach kolejowych. Nie jest to wielka fortuna, ale z pewnością ładny grosz. - Peter podniósł wzrok i zerknął na Caroline.

- Wydaje się, że modły Laurel zostały wysłuchane.

- Cóż za wspaniała nowina! - zawołała Caroline. - Nie to, że odziedziczył majątek, choć zapewne bardzo go to uraduje, ale że po tylu latach odnalazł wreszcie swoją rodzinę! Jestem pewna... - urwała nagle, dostrzegłszy ponure spojrzenie Petera. - Widzę, że ty zupełnie się tym nie cieszysz.

- Wciąż pozostaje jeszcze wiele do wyjaśnienia - odparł. - Mam przeczucie, że nie jest to cała prawda o Taicie. Niewykluczone, iż rzeczywiście jest on krewnym tych ludzi z Savannah. Ale być może, będąc na Zachodzie, zabił po prostu prawdziwego Setha Taita.

- Peterze, nie!

Przerażenie w jej głosie dało mu jasno do zrozumienia, że chyba przesadził, a przynajmniej posunął się za daleko, wypowiadając swe podejrzenia na głos.

- Niczego tak naprawdę nie wiemy - oświadczył jednak z uporem. - Nie mamy na przykład pojęcia, jak wyglądało życie Taita na Zachodzie.

- Peterze, proszę, nie zaczynaj od nowa. Sprawdzalesz to już i...

- Najwidoczniej nie dość dokładnie. Nadal mam zamiar dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Och, Peterze - w głosie Caroline dała się słyszeć niechęć. - Zostaw to już, proszę. Seth i Laurel pobrali się i co się stało, to się nie odstanie. A teraz jeszcze ten jego odziedziczony majątek... To brzmi jak bajka. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Masz rację, Caroline. To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe i dlatego ja ani trochę w to nie wierzę.

- Cóż, a ja tak. Z jednego powodu: Laurel, podobnie jak pan Tait, zasłużyła na trochę szczęścia w życiu. Posłuchaj mnie - pochyliła się nieco do przodu, jakby miała zamiar ująć go za rękę, nie uczyniła tego jednak. - Błagam cię, byś zapomniał o naszym śledztwie. Dowiedzieliśmy się już wszystkiego, co chcieliśmy wiedzieć.

Peter nie odpowiedział jej.

- Obiecuj mi to - poprosiła, dotykając lekko jego dłoni.

Dobrze wiedziała, że czegokolwiek by zażądała, Peter nie potrafi jej odmówić.

- Zgoda - odrzekł z rezygnacją. - Obiecuję, że nie będę już wysyłał żadnych nowych listów z pytaniami o Setha Taita.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego promiennie, na powrót prostując się na krześle.

- Kiedy masz zamiar obwieścić mu tę dobrą nowinę?

- W ogóle nie mam zamiaru tego robić - powiedział obojętnym tonem, marszcząc przy tym brwi. - Nie lubię tego człowieka i nie chcę być posłańcem przynoszącym mu dobre wieści. - Podniósł się z krzesła i położył jej list na kolanach. - Ty to uczynisz. Zresztą gdy usłyszysz tę wiadomość od ciebie, wyda mu się ona znacznie bardziej prawdopodobna, niż gdybym to ja mu ją powiedział.

Odwracał się już, by wyjść, kiedy jego uwagę przykuła stojąca na stole nowo oprawiona fotografia. Wziął ją do ręki.

- A więc powiadasz, że stanowią szczęśliwą parę?

Z ręcznie malowanej, porcelanowej ramki spoglądali nań Laurel i Seth w ślubnych strojach, zastygli w sztywnych, dziwnych pozach, w jakich zwykle ustawiają ludzi fotografowie. Peter odłożył zdjęcie, stawiając je obok fotografii rodziców Laurel, a na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Przepięknie wyszli, prawda? - zapytała Caroline. - Jakże to miło z twojej strony, że zatroszczyłeś się o to, by mieli taką pamiątkę. To naprawdę piękny prezent ślubny.

- Nic mnie to nie kosztowało - odparł Peter, unikając patrzenia jej w oczy. - Nasz redakcyjny fotograf policzył mi tylko za kliszę i papier.

- Mimo to wiem, że sprawiłeś Laurel wielką przyjemność - uśmiechnęła się. - I nie udawaj, że sam nie traktujesz ich ślubu z pewnym sentymentem. Fotograf powiedział mi, że zamówiłeś jedną odbitkę także dla siebie.

Peter obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok.

- Chodziło mi tylko o Laurel - odrzekł, sięgając po swój kapelusz.

- Ach, Peterze, jakże miło mi to słyszeć. - Uśmiech dziewczyny stał się jeszcze bardziej promienny. - Teraz znów jesteś tym samym Peterem, którego tak dobrze znam: wspaniałym przyjacielem, a nie cynicznym reporterem, który wszędzie węszy sensację.

Mężczyzna podszedł do drzwi, po czym jeszcze raz obrócił się w jej stronę.

- Czy wiesz, na czym polega twój problem, Caroline? Wszędzie widzisz tylko dobro, a to może być niebezpieczne.

- Nie bardziej niebezpieczne od widzenia wszędzie zła - powiedziała miękko.

Idąc przez Lamboll Street i wdychając ciężki zapach kwiatów magnolii, Peter myślał o tym, że kolejne spotkania z Caro pozostawiają w nim coraz silniejsze uczucie frustracji i gniewu. Kochał ją od zawsze, ale ilekroć zbierał się na odwagę, by jej to wyznać, dziewczyna zmieniała temat. Żywiła niezachwianą pewnością, że byłaby ciężarem dla każdego, kto postanowiłby się o nią troszczyć, zupełnie natomiast nie uświadamiała sobie, jak wiele ona sama wykazuje troski o innych. Peter nie wiedział, jak ją przekonać, by zmieniła zdanie. Widocznie musiała dojść do tego sama, żadne rozmowy bowiem nie były w stanie zmienić jej poglądów.

Teraz na dodatek pojawił się między nimi jeszcze jeden powód do niezgody: ten przeklęty Seth Tait. Intuicja podpowiadała Peterowi, że w przeszłości Taita kryje się coś więcej niż tylko przodkowie w Savannah i udział w liniach kolejowych, o których napisał prawnik. Caroline była jednak całkowicie przekonana, że Tait jest pełnym dobrej woli, przyzwoitym człowiekiem. Ciekawe, jak zareagowałyby, dowiedziawszy się, co jej przyjaciel uczynił ze zdjęciem młodej pary. Jego odbitki krążyły teraz po posterunkach policji i redakcjach gazet we wszystkich większych miastach na Zachodzie, Peter bowiem miał nadzieję, że, choć nikt nie znał nazwiska Taita, ktoś być może rozpozna jego twarz.

ROZDZIAŁ 14

Mężczyzna obserwujący dom po drugiej stronie ulicy obrzucił uważnym spojrzeniem wchodzących do środka Seta i Laurel. Dla przypadkowego przechodnia nie było w tym nic szczególnego: ot, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w letni garnitur i słomkowy kapelusz o szerokim rondzie przechadzał się z wolna ulicą. Z pewnością nie wzbudziłby podejrzeń. Nikomu też nie przyszłoby na myśl, że obserwuje dom. Ale oczy Seta przywykły dostrzegać to, czego nie zobaczyłby zwykły przechodzień. Instynkt podpowiadał mu, że jego dom jest obserwowany. Znaczyło to, że ma coraz mniej czasu.

Ostatnie popołudnie spędzili z pułkownikiem Boatwrightem i kilkoma jego przyjaciółmi, rozmawiając o koniach. Laurel nigdy nie przepuszczała okazji, aby wypełnić swoją część umowy i przedstawić męża najbardziej szacownym obywatelom Charlestonu. Otwierała przed nim drzwi, których nie mógł otworzyć sam i dbała o to, by wszędzie przyjmowano go dobrze. Seth chwilami czuł się tym tak podekscytowany, że niemal zapominał, iż wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia. Niekiedy nadarzała mu się okazja, żeby poruszyć temat wojny i bohaterstwa Augustusa Sinclaira w nadziei, że być może dowie się przy tej okazji, gdzie dokładnie zakopano złoto. Jego wysiłki jednak zawsze spełzały na niczym.

Nie mógł zostać w Charlestonie zbyt długo. Gdyby nie Laurel wyjechałby już kilka tygodni temu, w chwili kiedy zorientował się, że ktoś go szukał w hotelu. Wiedział jednak, że złoto schowano właśnie tutaj i czuł, że powinien je odnaleźć - przynajmniej ze względu na żonę. Zawdzięczał jej tak wiele, niemal równie dużo, jak Pułkownikowi. Nie mógł tak po prostu uciec, niczego jej nie pozostawiając. Zresztą nie wiedział, czy w ogóle będzie w stanie z nią się rozstać.

Niekiedy wydawało mu się, że te ostatnie tygodnie przeżywał jakiś inny człowiek. Ze zdumieniem myślał o dniu, kiedy udając szacownego dżentelmena, poślubił prawdziwą damę. Teraz, ukrywając rewolwer w szufladzie pięknej komody, starszej niż większość dróg w tej okolicy, miał wrażenie, że cała ta historia dotyczy kogoś zupełnie innego. Ale z drugiej strony czuł, iż wszystko to jest najbardziej realne, najbardziej prawdziwe i ważne z tego, co kiedykolwiek przeżył. Był już przy tym tak bardzo zmęczony uciekaniem.

Caroline czekała na nich przy drzwiach, a na jej twarzy malował się niepokój i podniecenie.

- Laurel... panie Tait, tak się cieszę, że już wróciliście - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Jak udała wam się wizyta u pułkownika?

Seth nie usłyszał tego pytania, skierował się bowiem natychmiast do wąskiego okna i uchyliwszy koronkową firankę, wyjrzał na zewnątrz. Laurel natomiast odparła:

- Gdybyś tylko wiedziała, jak głupio brzmi to „panie Tait”, Caro, nie uważałabyś za tak straszny grzech mówienie do mego męża po imieniu. Tak, wizyta się udała, chociaż było nieprawdopodobnie gorąco. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio pogoda była równie okropna, nawet w sierpniu.

Obserwujący dom człowiek wciąż trwał na swoim posterunku. Usiadł teraz na ławeczce pod krzewem mimozy przy ogrodowej furtce Castelburych i wyglądał jak gość oczekujący przed domem na powrót gospodarzy albo jak obserwujący ulicę policjant.

- Czy mogę z wami porozmawiać? - zapytała Caroline. Seth zauważył, że głos dziewczyny brzmi cokolwiek dziwnie.

- Czy coś nie w porządku? - zapytał, mając nadzieję, że nie uczynił tego zbyt ostrym tonem. - Czy coś się stało podczas naszej nieobecności?

Caroline złożyła ręce na piersiach. Czyniła to zawsze, gdy była zdenerwowana. W jej oczach pojawił się niepokój. Poczucie winy, którego Seth nieodmiennie doznawał, ilekroć na nią patrzył, tym razem zaciążyło mu jeszcze

mocniej. Niezawodny instynkt sprawił, że w jego umyśle odezwał się dzwonek alarmowy.

- Tak... - wyjąkała dziewczyna. - Czy moglibyśmy przejść do salonu i usiąść?

Laurel rzuciła Sethowi zdumione spojrzenie, ale wzrok jej męża utkwiony był w oknie. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy wciąż siedział na ławce.

- Muszę wam się do czegoś przyznać - oświadczyła Caroline, czerwieniejąc, gdy tylko weszli do salonu.

- Ty? Przyznać? - Laurel zamruwała oczyma. - Pozwól, że odgadnę, cóż to takiego może być. Ukradłaś pieniądze z kościelnej tacy? Nie? A zatem musiałaś zapomnieć o nakarmieniu ptaków w ogrodzie albo może zjadłaś dwa kawałki ciasta zamiast jednego?

- Laurel, proszę - jęknęła Caroline, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. - Mówię poważnie.

Laurel usiadła na kanapie i wskazała jej miejsce obok siebie, Seth natomiast pozostał przy drzwiach. Caroline zerknęła na niego bezradnie.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, cóż takiego chce nam pani wyznać, panno Caroline - powiedział z uśmiechem.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, najwidoczniej zbierając się na odwagę, po czym wypowiedziała słowa, których Seth musiał spodziewać się już od dawna:

- To dotyczy pana, panie Tait.

Jakby gdzieś z oddali dobiegł Seta jego własny uprzejmy i spokojny, choć nieco zdziwiony głos:

- Mnie?

- Tak - odparła, spuszczaając oczy. - Uczyniłam coś głupiego i niewybaczalnego, czego teraz bardzo żałuję. I dotyczy to pana.

Seth poczuł się naprawdę zaniepokojony.

- O co chodzi? - zapytała Laurel. - O czym, u licha, ty mówisz Caroline?

Dziewczyna zerknęła na kuzynkę, a potem z największym wysiłkiem na powrót przeniosła spojrzenie na Taita.

- Kiedy zaczął pan adorować Laurel - wyjaśniła, składając przed sobą ręce - bardzo się tym martwiłam, ponieważ nic o panu nie wiedzieliśmy i dlatego... dlatego poprosiłam Petera, by przeprowadził w pana sprawie śledztwo.

- Ależ Caroline! - krzyknęła wstrząśnięta do głębi Laurel, podrywając się z kanapy.

Seth podszedł do żony i położył jej dłoń na ramieniu, nie spuszczając jednak wzroku z Caroline.

- Śledztwo - powtórzył podejrzenie spokojnym głosem. - Co to znaczy „śledztwo“?

Caroline nerwowo zacisnęła dłoń.

- Po pierwsze, wysłał telegram na Zachód, do Wyoming, ale tam nikt o panu nie słyszał.

- Caroline Sinclair, wstyd mi za ciebie! - oświadczyła oburzona Laurel, strząsając z ramienia dłoń męża. - Jak mogłaś?

Seth poczuł, że jego mięśnie stają się mniej napięte.

- Proszę mówić, panno Caroline - powiedział, wciąż wpatrując się w nią uporczywie.

- Następnie Peter zwrócił się z prośbą do swych przyjaciół z największych gazet na Wschodzie, aby spróbowali dowiedzieć się czegoś o panu i pańskiej rodzinie.

- To bardzo sprytne - oświadczył Seth.

- Myślał po prostu, że skoro przybył pan na Wschód, musi mieć pan tutaj jakichś krewnych albo znajomych. No i to przyniosło wreszcie rezultaty. - Dziewczyna sięgnęła do kieszeni i wyjęła stamtąd złożony arkusz papieru. - Otrzymał list od prawnika z Savannah... - Caroline popatrzyła na Seta niespokojnym, przeprasającym wzrokiem. - Mam nadzieję, że to wynagrodzi

panu jakoś tę straszną rzecz, którą uczyniliśmy. Dowiedzieliśmy się czegoś na temat pańskiej rodziny. - Wyciągnęła rękę, podając mu list.

Seth zrobił krok w jej stronę, zatrzymał się jednak raptownie.

- Prawdopodobnie chodzi o jakichś innych ludzi - stwierdził. Caroline stała nieruchomo, wciąż wyciągając ku niemu dłoń z listem i patrząc nań błagalnie.

- Ten prawnik pisze o rodzinie, która wyruszyła na Zachód ze swym synem Sethem. Rodzice zginęli podczas tej podróży, po dziecku natomiast zaginął wszelki ślad... Niewielu było chyba ludzi, których okoliczności wędrówki na Zachód i śmierci pasowałyby tak dokładnie do tego, co pan opowiadał nam o sobie. A i czas by się zgadzał.

Serce Seta było jak oszalałe. Z nadludzkim niemal wysiłkiem sięgnął po list. Tysiące domysłów i fantazji na temat tego, kim mogła być jego rodzina, rozwiało się z dymem. Trzymał w dłoni pismo zawierające prawdę o jego pochodzeniu, prawdę, której poznania nigdy nie oczekiwał.

„Jedź do Charlestonu - przypomniał sobie słowa Pułkownika.

- Znajdziesz tam... wszystko".

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć - mruknął.

- Owszem, chce pan - w głosie Caroline słychać było ulgę i radość. - To dobre wieści. Ów prawnik powie panu wszystko na ten temat. Sądzę, że będzie pan chciał tam pojechać i porozmawiać z nim osobiście. To jeszcze nie koniec nowin. Pańska rodzina była... cóż, raczej zamożna. Dziadek pozostawił panu udziały w liniach kolej...

Laurel podniosła wzrok i napotkała spojrzenie męża.

- Prawdopodobnie bezwartościowe - powiedział lekceważąco Seth.

- Nie, ten prawnik wcale tak nie uważa. Prawdę mówiąc... - Caroline urwała, przyciskając dłonie do skroni. - Powinam się wstydzić, że mówię panu o rzeczach, które są w tym liście. Najlepiej będzie, jeśli pan sam go przeczyta. On... ten prawnik pragnie, by skontaktował się pan z nim tak szybko, jak to

tylko możliwe, dlatego będzie chyba najlepiej, jeśli od razu wyśle pan telegram.

- W jej oczach ponownie pojawił się niepokój.

- Bardzo się pan gniewa? Nienawidzi mnie pan?

- Nienawidzić panią? - w głosie Setha zabrzmiało lekkie zdumienie.

- Nie, wcale nie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i podszedłszy doń, lekko dotknęła jego ramienia.

- Cieszę się ze względu na ciebie... na was oboje - powiedziała, zwracając się nareszcie do niego po imieniu. Zerknęła na Laurel, po czym ponownie przeniosła spojrzenie na Setha. - Znalazłeś tu nie tylko żonę, ale i rodzinę. Doprawdy, musi dopisywać ci szczęście.

Nieśmiało pocałowała go w policzek i wyszła z pokoju.

Mężczyzna popatrzył na list. Czytał go wciąż od nowa, nie mogąc oderwać wzroku od krótkiej, tragicznej historii życia swoich rodziców. Dom przy Pickett Street został przekazany jakiemuś wujowi. Wujowi. Miał więc jakichś żyjących krewnych, którzy pamiętali jego rodziców. A także pamiętali jego samego! Udziały w liniach kolejowych. Mała fortuna w akcjach, która zgodnie z prawem była jego własnością.

- Seth... - powiedziała miękko Laurel.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że obok niego stoi żona, ściskając go za rękę i czytając mu przez ramię. Ton jej głosu i mina wyrażały podobne zdumienie do tego, jakie czuł sam.

„Jak się nazywasz, chłopcze?”

Z tego, co tu napisano, wynika... - Seth ponownie popatrzył na list, że te udziały powinny przynosić całkiem spory roczny dochód. A więc przez te wszystkie lata czekały na niego wcale niemałe pieniądze ze spadku. On zaś w tym czasie obrabowywał pasażerów pociągów należących do przedsiębiorstwa, w którym miał udziały! Napadał na banki i ujeżdżał konie, a także przebył całą tę drogę z powrotem na Wschód, by okraść jakąś wdowę z jej dziedzictwa...

Czynił to, nie wiedząc, iż przez cały czas był właścicielem przynoszących spory dochód akcji.

- Tak - przyznała Laurel nieomal szeptem.

Jej oczy nadal pozostawały szeroko otwarte ze zdumienia. Prawdę mówiąc, nie była w tej chwili w stanie myśleć o pieniądzach Setha. On zaś nie miał odwagi popatrzeć jej w oczy.

Dopiero teraz uświadamiał sobie w pełni, co oznacza ta sytuacja. Miał pieniądze, prawdziwe pieniądze, takie, których posiadania nie musi przed nikim ukrywać i które może wydawać bez cienia wstydu. Także Laurel miała teraz pieniądze. Koniec z oszczędzaniem każdego grosza i targowaniem się na rynku o wczorajszą rybę. Nareszcie będzie mógł się o nią troszczyć naprawdę. Nie potrzebował już złota.

Ten list zawierał jednak rzeczy znacznie ważniejsze od informacji o pieniądzach. Mówił o jego tożsamości. Nie będzie musiał więcej uciekać, nie będzie potrzebował się ukrywać. „Jak się nazywasz, chłopcze?”

Miał nieposzlakowane uczciwą rodzinę oraz nazwisko, z którym nikt nie wiązał żadnych podejrzeń. Był Sethem Taitem. Nikt nie mógł udowodnić, że było inaczej.

- Kolejne - mruknął, zdobywając się na słaby uśmiech. - Któż by przypuszczał, że pochodzę z tak szacownej rodziny.

- Tak - zgodziła się niechętnie Laurel, nie spuszczając wzroku z męża. - Któż by przypuszczał... Sądzę... - wyjąkała, sztywniejąc na całym ciele. - Sądzę, że już mnie więcej nie potrzebujesz.

W pierwszej chwili znaczenie tych słów nie dotarło do Setha, kiedy jednak dostrzegł to dziwne, smutne spojrzenie jej oczu, miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Ze zdumiewającą jasnością uświadomił sobie, jakiej przyszłości pragnie. Zdawał sobie przy tym sprawę, że jedynym sposobem spełnienia tych marzeń była ucieczka od przeszłości.

Pragnął przytulić ją, raz jeszcze zamknąć w uścisku i powiedzieć to, co powinien powtarzać setki razy w ciągu minionych nocy.

- Potrzebuję cię, Laurel. Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek - zdołał tylko wykrztusić z siebie.

Wolnym krokiem podszedł do okna. Ponieważ okna salonu wychodziły na ogród, a nie na ulicę, nie mógł zobaczyć, czy obserwujący ich dom człowiek wciąż tkwi na swoim posterunku. Wiedział jednak, że tak: po prostu czuł to. Czy zawsze już ktoś go będzie śledził?

Upłynęła długa chwila, zanim się odezwał.

- Dużo ryzykowałeś, wiążąc się ze mną - powiedział nie odwracając się. - Mogłem okazać się kimś zupełnie innym, niż byś pragnęła. Twoja kuzynka wiedziała o tym, podobnie jak ten wasz przyjaciel, reporter. Przecież list mógł wcale nie zawierać tak dobrych wieści.

Laurel zmusiła się do uśmiechu, ale jej głos brzmiał niepewnie:

- Ale opłaciło się, prawda? Jestem teraz żoną udziałowca linii kolejowych.

- Dlaczego za mnie wyszłaś, Laurel? - zapytał Seth, wciąż odwrócony do niej tyłem.

Serce dziewczyny zabiło tak mocno, że z trudem łapała oddech. Nie była w stanie udzielić mu odpowiedzi na to pytanie, świadoma, że prawda w żaden sposób nie przejdzie jej przez gardło. Coś było nie w porządku. Widziała to w oczach Seta, w jego napiętych mięśniach i bruzdach na twarzy. Coś się pomiędzy nimi zmieniło... Pragnęła do niego podejść, pomóc mu - za wszelką cenę nie chciała go stracić. Nie mogła jednak nawet się poruszyć.

Południowe słońce wyłączało bujną roślinność ogrodu za oknem. Seth stał nieruchomo jak posąg, wyglądając na zewnątrz.

- Nie jest tajemnicą, że żadne z nas nie zawarło tego małżeństwa dla jakiejś prostej przyczyny - powiedział dziwnie spokojnie. - Jeśli chodzi o mnie...

cóż, była to po prostu gra. W gruncie rzeczy nie sądziłem, by mogło to potrwać dłużej niż kilka miesięcy. Chyba zdawałaś sobie z tego sprawę, prawda?

Serce Laurel biło jak oszalałe. Wsparła się o poręcz kanapy, żeby nie upaść. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

- Wciąż powtarzałem sobie, że wiesz, co robisz - ciągnął Seth. - Ale tak naprawdę wcale nie wiedziałas, co cię czeka. Nie mogłaś wiedzieć, Teraz zaś muszę ci coś wyznać, choć przychodzi mi to z ogromnym trudem, ponieważ... - odwrócił się i popatrzył na nią - ponieważ to już nie jest gra. Sam nie wiem, jak to się stało. Być może zresztą było tak od samego początku... ale nie mam już ochoty opuścić cię. Wcale nie chcę tylko udawać twego męża przez jakiś czas: chcę być nim na zawsze. Uczucie ulgi sprawiło, że pod Laurel ugięły się nogi.

- Och, Seth - wyszeptała ze łzami w oczach, podchodząc do niego. On jednak zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie. Musisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia, choć wiem, że wolałabyś nigdy tego nie usłyszeć. To zmieni wszystko pomiędzy nami. Musisz jednak o tym wiedzieć.

Ponownie odwrócił się ku oknu, a jego głos brzmiał niemal monotonicznie.

- Wspominałem ci już o człowieku, który odnalazł mnie na prerii i wychował. Ukryłem jednak przed tobą rzecz najważniejszą: po co tu przybyłem. Jak już ci mówiłem, mój opiekun zmarł kilka miesięcy temu. To on mnie tu przysłał. Był przyjacielem twojego ojca. Jego najlepszym przyjacielem, jak sądzę. Służyli w jednym oddziale podczas wojny.

Seth usłyszał, że dziewczyna z trudem łapie oddech ze zdziwienia, ale nie odwrócił się.

- Kiedy wojna miała się już ku końcowi, a oni obaj wiedzieli, że jest przegrana, zdobyli się na brawurowy czyn: napadli na przewożący złoto pociąg federalny. Żeby się dłużej nad tym nie rozwodzić, powiem tylko, że zrabowali je: zrabowali złoto warte setki tysięcy dolarów. W czasie ucieczki rozdzielili się jednak i cały skarb znalazł się w rękach twojego ojca, który zakopał go w

Chinatree, ale umarł, zanim zdążył tu wrócić. Najwidoczniej sądził, że Pułkownik zginął, ponieważ nie próbował go odszukać, by przekazać mu wiadomość, gdzie schował złoto. Mój opiekun mieszkał na Zachodzie i nigdy nie zdołał przybyć w te strony, dlatego umierając, wysłał tutaj mnie.

Seth umilkł, ale nadal nie odwracał się od okna. Laurel kręciła głową z niedowierzaniem i oddychała z trudem.

- Nie - wykrztusiła, zaciskając palce na poręczach kanapy. - Mylisz się. Mój ojciec był bohaterem wojennym. Nie złodziejem. Nie mógł... Nie mógłby zrobić czegoś takiego.

Seth odwrócił się powoli. Wpadające przez okno słońce oświetlało jego twarz złotą poświatą. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Ja także nie wierzyłem w tę opowieść, dopóki nie przyjechałem tutaj. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że to wszystko może być prawdą. Kiedy usłyszałem o liście, który napisał na łożu śmierci twój ojciec, uświadomiłem sobie, że złoto istotnie musiało zostać zakopane w Chinatree. Jedyną zaś szansą na to, by je kiedykolwiek odnaleźć, było zbliżyć się do ciebie.

- A więc poślubiłeś mnie dla pieniędzy - Laurel wypowiedziała te słowa niemal histerycznym tonem.

- Wydawało mi się to uczciwą transakcją - zgodził się spokojnie Seth. Laurel z całej siły potrząsnęła głową, obracając się w jego stronę tak gwałtownie, że aż spódnica zawirowała jej wokół kostek.

- Nie! Nie, mylisz się! Mój ojciec nie był złodziejem. To... to ten Pułkownik kłamał... To ty jesteś kłamcą! Nie ma żadnego złota. Sądzisz, że gdyby istniało, żyły byśmy w ten sposób przez te wszystkie lata, prawie głodując, donaszając podniszczone ubrania i oszczędzając każdy grosz? - Głos załamał jej się nagle i musiała siłą woli opanować drżenie ust, zanim mogła mówić dalej: - Ojciec nie dopuściłby do tego, byśmy żyły w ten sposób. Gdyby zakopał jakieś złoto, powiedziałby nam o tym!

- Ależ uczynił to - upierał się Seth. - W ostatnim liście do twojej matki napisał wyraźnie, gdzie zakopał złoto! Pod ławką, na której pocałowali się po raz pierwszy, pamiętasz? Gdyby tylko postąpiono zgodnie z jego wolą, odnaleziono by skarb podczas kopania grobu i wasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Nie. Laurel wciąż od nowa powtarzała to słowo. Nie, nie, nie i nie...

- Kłamiesz, panie Tait - powiedziała ochryple. - Podobnie jak kłamał ów Pułkownik, o którym opowiadasz. - Musiał kłamać, musiał. To nie może być prawda.

- Pytałem cię o Pułkownika już wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. To właśnie z jego powodu przybyłem do Charlestonu. On naprawdę znał twego ojca.

Głos Seta był cichy i spokojny, tak jakby jego ton mógł przekonać Laurel o prawdziwości wypowiedzianych przez niego słów.

- Mój ojciec nie mógł mieć nigdy nic wspólnego ze złodziejem... z jakimś przestępcą. Nigdy! - Miał to być pełen burzenia protest, ale jej słowa zabrzmiały raczej jak błagalny jęk.

- To naprawdę się wydarzyło, Laurel. Oni zrabowali to złoto i twój ojciec zakopał je w Chinatree.

- Nigdy! - zawołała, zatykając dłońmi uszy. - Nie chcę ani chwili dłużej wysłuchiwać tych kłamstw!

- Twój ojciec, Augustus Sinclair, ukrył rządowe złoto w Chinatree - powtórzył spokojnie Seth. - Tak wygląda prawda. Wiem o tym i ty także powinnaś w to uwierzyć.

Przez moment dziewczyna miała wrażenie, iż rzeczywiście w to wierzy.

Jakże mogła wątpić, skoro Seth był tego tak pewien? Powoli odjęła dłonie od uszu i popatrzyła na niego. A potem ponownie ogarnął ją gniew.

- A więc miałeś zamiar je ukraść! - krzyknęła. - Chciałeś zrabować to złoto, które, jak twierdzisz, pozostawił mój ojciec! Przybyłeś tu właśnie po to, tylko po to...

- Na początku tak było - przyznał. - Ale później, kiedy my... pragnąłem odnaleźć je dla ciebie. To właśnie dlatego jeździłem codziennie do Chinatree. Próbowałem odszukać jakiś ślad...

- Poślubiłeś mnie, ponieważ pragnąłeś złota - przerwała gniewnie. - Ożeniłeś się ze mną dla paru kłamstw na temat mojego ojca, które ci opowiedział jakiś przestępca! - Zacisnęła pięści. - Zejdź mi z oczu! - powiedziała drżącym głosem. Jej twarz pobladła. - Zejdź mi z oczu, ty kłamliwy, podły sukin...

- Nigdy cię nie okłamałem.

- Wykorzystałeś mnie!

- W ten sam sposób, co i ty mnie.

- Wierzyłam ci - powiedziała ochryple, wciąż zaciskając dłonie. - Ufałam ci. Sądziłam, że ty... że będziesz moim mężem niezależnie od tego, w jakich okolicznościach się pobraliśmy...

- Laurel... - zaczął Seth, postępując krok w jej stronę. Jego twarz ściągnięta była cierpieniem.

- Nie! - wyciągnęła rękę, zatrzymując go. - Nie! Trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę słyszeć już żadnych kłamstw! Wynoś się!

- Nie odejdę, dopóki mnie nie wysłuchasz do końca.

- Więc to jeszcze nie wszystko? - W jej głosie na nowo słychać było histerię, której nawet nie próbowała opanować. - Oczekujesz, że wysłucham czegoś jeszcze? Nie, nie będę cię słuchać! Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Wszystko, czego pragnę, to żebyś się stąd wyniósł. I to natychmiast!

Ujęła palcami spódnicę i unosząc ją lekko, wbiegła na schody. Zanim Seth zdołał zrobić choć jeden krok, trzasnęły drzwi sypialni i do jego uszu dobiegł zgrzyt klucza.

Redakcja charlestońskiej Gazette mieściła się przy Broad Street, w wąskim, starym budynku. Było tu gorąco latem i zimno zimą, szczególnie gdy wiał wiatr. Teraz jednak przez otwarte okna nie wpadał nawet najłżejszy podmuch morskiej bryzy. Ciasne pokoje redakcyjne zastawione gęsto rzędami biur, wypełniał uliczny hałas, choć panowało tu takie zamieszanie, że nikt nie zwracał uwagi na dobiegające z zewnątrz odgłosy. Ktoś ciągle domagał się przepisania czegoś na maszynie, ktoś inny przywoływał gońca lub żądał od reporterów, by poprawili swoje artykuły.

Peter Barton wcześniej nie zamierzał zostać dziennikarzem, nie była to zresztą kariera, jaką wymarzyli dla niego rodzice. Jego ojciec, Lucias, oczekiwał, iż jedyny syn przejmie po nim rodzinny interes, stając się współnikiem w „The Barton and Co. Cotton Brokerage”. Kiedy jednak narodził się jego syn, Lucias nie miał pojęcia, że krótko po wystrzałach w forcie Sumtera wojna zmieni życie ich wszystkich, a większość dotychczasowych planów po prostu legnie w gruzach. Lucias poszedł walczyć w obronie Konfederacji. Straciwszy nogę, w 1865 roku powrócił do miasta, szczęśliwy, że przeżył. Charleston pogrążony był wówczas w chaosie. Zbiory zostały spalone przez Jankesów lub dezertersów z wojsk Południa i interes rodzinny nie mógł już dłużej prosperować. Lucias i tak uważał, że miał szczęście, znajdując pracę jako urzędnik w porcie.

Bartonowie należeli do najlepszych rodzin w Charlestonie, podobnie jak Sinclairowie, i zmianę swej sytuacji znieśli z taką samą godnością jak tamci. Nie narzekając starali się żyć najlepiej, jak potrafili.

Rodzina opłacała Peterowi roczny pobyt na uniwersytecie, po czym musiał powrócić do rodzinnego miasta. Zdecydowany był pracować ciężko, aby

zaoszczędzić pieniądze na podróż na Zachód, gdzie zamierzał zbić wielką fortunę. Wiedział, że ma w sobie dość energii, by zrealizować swój cel.

Został dziennikarzem, bo akurat tę pracę mu zaproponowano. Nie przynosiła ona zbyt wielkich dochodów, pochłaniała natomiast mnóstwo czasu, ale mimo to Peter polubił to zajęcie. Po wojnie w Charlestonie zaczęło ukazywać się wiele gazet, które prowadziły bezpardonową walkę o czytelników. Choć Gazette nie należała do takich potentatów jak News and Courier, dla której pracowały takie sławy, jak Thomas Hardy czy Mark Twain, to była redagowana żywo i cieszyła się wcale niemałą poczytnością.

Peter lubił swoją pracę i wiedział, że dobrze ją wykonuje. Wszystkim, czego teraz potrzebował, był jedynie wielki temat: coś, co okryłoby sławą jego nazwisko i przyniosło mu powszechne uznanie. Być może to właśnie dlatego tak bardzo intrygowała go historia Setha Taita - o ile oczywiście w jego biografii znalazłoby się coś ciekawego. Po pięciu latach pracy miał już jednak całkiem niezłą intuicję zawodową, która podpowiadała mu, że zaginiona rodzina z Savannah nie stanowiła jedynej tajemnicy w życiu męża

Laurel. Siedząc przy swoim biurku wciąż od nowa przeglądał informacje, które udało mu się zebrać na temat tego człowieka, odsuwając od siebie myśl o protestach, jakie wzbudziłyby jego poczynania w Caroline. Choć dziewczyna nie potrafiła tego zrozumieć, to ona wszak stanowiła powód, dla którego ta sprawa zajmowała Petera tak bardzo. Jeśli napisałby artykuł demaskujący Taita, rozwiązałby za jednym zamachem dwa problemy: pozbył się tego człowieka na dobre, ochraniając przed nim tym samym Laurel, oraz przekonał Caroline, że jest mężczyzną, który w pełni potrafi się o nią zatroszczyć.

- Hej, Barton! - zawołał ktoś z drugiego końca sali. - Przyszedł do ciebie telegram z Wyoming. Dotyczy jakiegoś Peacha Brady'ego.

Laurel siedziała na krawędzi łóżka, oplótłszy rękoma kolana, i zagryzała wargi, chcąc powstrzymać gwałtowny szloch, który wstrząsał jej ciałem. Jakaż była głupia! Miała się za taką sprytną... A on przez cały czas śmiał się z niej w

kułak. Powiedział, że pragnął szacunku i domu, a tak naprawdę przez cały czas chodziło mu jedynie o złoto, choć przecież nie był nawet pewien, czy ono rzeczywiście istnieje. Małżeństwo nic dla niego nie znaczyło.

Ona zaś okazała się na tyle głupia, by się w nim zakochać. To właśnie dlatego czuła się tak zraniona: kochała go, on zaś ją zdradził, zawiódł jej zaufanie. Podobnie jak uczynił to ojciec.

Nie! Nie ojciec! Dobry Boże, nie on! Nie! Wspaniały Augustus Sinclair, plantator i dżentelmen, który bohatersko oddał życie za sprawę, nie mógł okazać się pospolitym złodziejem. Nie wtedy, kiedy Konfederacja, za którą walczył, wydawała swe ostatnie tchnienie, nie wówczas, kiedy żołnierze Południa głodowali na polach bitew. Nie, to nie było podobne do jej ojca. Był przecież człowiekiem honoru, mężczyzną o niezłomnych zasadach. Jedynymi rzeczami, które się dla niego liczyły, były: rodzina, dom i tradycja. Czy istniał jakikolwiek sposób ocalenia tego wszystkiego?

Gdzieś w głębi jej umysłu, jak sunący po trawie wąż zakradły się wątpliwości. Próbowwała odsunąć je od siebie, ale im mocniej starała się to uczynić, tym bardziej narastały. Augustus Sinclair umierał, rozmyślając o tym, jaki los czeka jego rodzinę. Jego ostatni list...

Ów list, dla którego Seth ją poślubił. Prośba, aby pochować go w ściśle określonym miejscu, i ostrzeżenie, by w ceremonii pogrzebowej nie brał udziału nikt prócz rodziny.

Nie, to tylko majaczenie umierającego w cierpieniach człowieka - powiedziała do siebie Laurel. - Sam nie wiedział, co mówi. Nie napisał przecież ani słowa o złocie. Ani słowa. Lecz jeśli... jeśli to jednak była prawda? Jeżeli ojciec i ów Pułkownik rzeczywiście obrabowali pociąg? Może naprawdę zostało zakopane w rodzinnej posiadłości i teraz, po tylu latach, owo dziedzictwo tchórzostwa i nieuczciwości powróciło, by złamać jej życie? W Chinatree mogły więc leżeć zakopane setki tysięcy dolarów, podczas gdy ona, nic o tym nie wiedząc, przez wszystkie te lata żyła w nędzy, oszczędzając każdego centa. Ale

Seth, któremu tak głupio zaufała, wierząc, że zależało mu na niej tak samo, jak jej zależało na nim... wiedział o tej fortunie i trzymał to w sekrecie, bo zamierzał ją sobie przywłaszczyć.

Zacisnęła palce na ramie łóżka z taką siłą, że na jej dłoniach odbił się rzeźbiony w drewnie wzór. Zacisnęła zęby, żeby na nowo się nie rozszłochać. W ciągu kilku ostatnich minut całe jej dotychczasowe życie legło w gruzach.

Dlaczego mi o tym powiedział? - zastanawiała się z rozpaczą. - I to akurat teraz, kiedy wszystko zaczynało układać się tak dobrze? Można to było jednak łatwo wytłumaczyć: nie potrzebował jej już więcej. Miał rodzinę w Savannah, udziały w liniach kolejowych i Laurel stała mu się zupełnie zbędna. Był tutaj tylko dlatego, że przy jej pomocy chciał odnaleźć złoto. Sam nie dałby przecież rady. Laurel chciała wierzyć, iż skarb, o którym mówił Tait, nie istnieje, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większe miała co do tego wątpliwości: Seth mógł być kłamcą, złodziejem i łotrem, ale nie był głupcem. Niewątpliwie wierzył, że złoto znajduje się w Chinatree, a ostatni list Augustusa istotnie mógł zawierać wskazówki, gdzie je ukryto.

Popatrzyła przed siebie zamglonymi ze złości oczyma i uwagę jej przykuł namalowany niegdyś przez matkę obraz. Wstała i wolnym krokiem podeszła do ściany.

Złoto zostało zakopane pod ławką, na której jej rodzice pocałowali się po raz pierwszy, ale ta ławka dawno już nie istniała i nikt nie odgadłby nawet, gdzie stała. Wszystkie przedmioty z tamtych czasów zostały zniszczone lub rozsypały się ze starości. Na ich miejscu rosły chwasty. Z czasów świetności Chinatree nie pozostało już nic prócz wspomnień. Matka Laurel przeniosła te wspomnienia na płótno.

Klamka u drzwi poruszyła się lekko.

- Jeśli będziesz tego chciała, odjadę. Pozwól mi jednak dokończyć to, co mam ci do powiedzenia. Otwórz drzwi.

Laurel zdjęła obraz ze ściany. Matka nie tylko utrwaliła na nim wspomnienie o ławce, na której pierwszy raz pocałował ją Augustus Sinclair, ale także w jedyny możliwy sposób wypełniła jego wolę. Łatwo było rozpoznać to miejsce dzięki setkom szczegółów umieszczonych na płótnie, przede wszystkim dzięki stojącej nie opodal rzeźbie małego amorka. Tuż obok ławki znajdował się - na pierwszy rzut oka niezauważalny - wstrząsający szczegół. Namalowano go, nie dbając o proporcje i perspektywę, dlatego też Laurel, mimo że przypatrywała się malowidłu tysiące razy, nigdy dotąd tego nie zauważyła. Wśród trawy pod ławką krył się niewielki, ciemny kamień nagrobny z wypisanym imieniem jej ojca. Tego, czego nie mogła uczynić dla Augustusa w rzeczywistości, matka dokonała na obrazie.

Laurel wiedziała już dokładnie, gdzie zakopano złoto, wszak setki razy przechodziła obok tego miejsca.

Sophie, która nadzorowała przygotowania do wieczornego posiłku, usłyszała krzyki, dochodzące z odległej części domu. Najgłośniej krzyczała chyba Laurel i choć stara dama nie mogła usłyszeć całej, tłumionej przez grube ściany z cyprysowego drewna kłótni, to jednak docierały do niej pojedyncze słowa. W chwili, kiedy wyszła do holu, nie mogło już być mowy o pomyłce: Seth z całej siły łomotał do drzwi sypialni, Laurel zaś krzyczała, by się natychmiast wynosił.

W pierwszej chwili Sophie próbowała uspokoić się, wmawiając sobie, że jest to głupia małżeńska sprzeczka o jakiś drobiazg, na przykład o to, jak dużo pieniędzy wydała Laurel na nowy kapelusz. Ale, oczywiście, jej siostrzenica nie kupiła ostatnio nowego kapelusza, a dobiegające do uszu Sophie dźwięki bardziej przypominały trzęsienie ziemi niż drobny spór między kochankami. Sophie odesłała kucharkę z powrotem do spiżarni, sama zaś, zaintrygowana, zbliżyła się do schodów. Usłyszawszy, że drzwi sypialni Laurel otwierają się, odeszła pośpiesznie, zdołała jednak dotrzeć zaledwie do połowy holu, kiedy jej siostrzenica z płonąącym wzrokiem i czerwonymi policzkami zbiegła na dół.

- Laurel, moja droga, czy mogłabym... - ciotka nie zdołała jednak dokończyć zdania, Laurel bowiem minęła ją bez słowa, kierując się ku tylnemu wyjściu.

- Laurel... Laurel! - zawołała Sophie, drepcząc za nią. - Co to ma znaczyć? Na litość boską, dokąd się wybierasz? Co ty...

- Jadę do Chinatree! - odkrzyknęła Laurel i nie odwracając się pobiegła w stronę stajni. - Zostaw mnie w spokoju!

- Chinatree! - Sophie znajdowała się teraz przy drzwiach, krzycząc tak, że było ją słychać na całym podwórzu. - Chcesz tam pojechać na oklep? Ależ ty jesteś bez kapelusza! Czyś oszalała?! Laurel, jest już prawie ciemno. Wracaj natychmiast! Nie jadłaś kolacji. Nie możesz...

Laurel jednak zniknęła już w stajni, ciotka zaś oparła się o ścianę, nie mogąc złapać tchu. Z ulgą usłyszała za sobą kroki Seta i w chwili, kiedy próbował ją wyminąć, chwyciła go za rękę.

- Pan Tait, dzięki Bogu! Musi pan ją powstrzymać. Wybiera się do Chinatree, a nie wzięła nawet kapelusza!

Seth próbował iść dalej, Sophie trzymała go jednak mocno, skarżąc się gderliwie:

- O cokolwiek się pokłóciliście, z pewnością się pogodzicie. W żadnym wypadku nie może pan jednak pozwolić...

- Nie pozwolę - odparł ponuro Seth, próbując uwolnić rękę z uścisku starszej pani.

W tej samej chwili usłyszeli tętent końskich kopyt i zobaczyli galopującą na kasztanku Laurel. Jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze.

- Och, na Boga! - wyjąkała starsza dama, przyciskając dłonie do piersi. - Proszę na to popatrzeć! Widział pan coś podobnego? Co ludzie powiedzą?

- Proszę mnie przepuścić, zanim będzie za późno - powiedział zdecydowanie Seth, po czym pobiegł do stajni.

Edgar Cassidy stał niezdecydowany, lecz trwało to tylko chwilę. W pierwszym momencie miał ochotę pojechać za Bradym i jego żoną, ale jego powóz z całą pewnością nie dogoniłby ich. Posłuchał więc tego, co podpowiadał mu instynkt, i zapukał do drzwi domu Sinclairów. Wiedział, że pani Sophie powie mu wszystko, co chciał usłyszeć.

Zdumiał się, kiedy to ona sama otworzyła mu drzwi.

- Laurel, dzięki Bo... - urwała gwałtownie na widok Edgara Cassidy'ego. Włosy Sophie wymknęły się z upiętego koka i, potargane, okalały teraz jej twarz. Policzki starszej pani powlekał ciemny rumieniec, a oczy błyszczały tak, jakby przed chwilą płakała.

- Czy stało się coś złego, pani Sinclair? - Przez twarz Cassidy'ego przemknął błysk triumfu. Coś się tu wydarzyło. I to coś ważnego. - Mam nadzieję, że nie przychodzę nie w porę. Czekałem, póki nie zobaczyłem pani siostrzenicy opuszczającej dom...

- Co? Och, och, nie! To znaczy, tak! - Sophie popatrzyła na niego bezradnie. - Ach, panie Cassidy, chyba rzeczywiście nie jest to najlepsza pora na wizytę. Moja siostrzenica i jej mąż właśnie pokłócili się okropnie i ona odjechała stąd, pomimo że robi się ciemno, on zaś ruszył za nią. W dodatku żadne z nich nie zjadło kolacji!

Cassidy ujął roztrzęsioną damę pod ramię i zaprowadził do salonu. Za wszelką cenę nie chciał dopuścić do tego, by kazano mu odejść. - Ależ z pewnością niepotrzebnie się pani martwi. Może podać pani szklanek wody?

Sophie opadła na wytartą aksamitną kanapę i złożyła razem ręce.

- Powiedziała jej, żeby nigdzie nie jechała. Nigdy dotąd nie widziałam jej w takim stanie. Pognęła jak opętana, podobno do Chinatree. Dlaczego właśnie tam?

- Chinatree? Obawiam się, że nie wiem, gdzie to jest - uśmiechnął się uprzejmie Cassidy.

- To stara plantacja - Sophie machnęła lekceważąco ręką. - Została spalona już dawno temu. Co za pomysł, żeby po ciemku opuszczać miasto...

- A może chciałaby pani skorzystać z mojego powozu - zaproponował - i pojechać tam za nią?

Sophie popatrzyła na niego zdziwiona, a w jej oczach zalśniły łzy wzruszenia.

- Doprawdy, to bardzo miło z pana strony, ale nie... - Otarła oczy chusteczką. - Pan Tait już za nią pojechał, chociaż oni oboje są tak... nie wiem, jak to wyrazić. Rozgorączkowani! Stoczyli tutaj prawdziwą bitwę i wprost nie mogę sobie wyobrazić, o co im poszło.

Bez pytania o zgodę Cassidy podszedł do kredensu i nalał kobiecie kieliszek sherry. Sophie ujęła go drżącymi palcami i opróżniła jednym haustem.

- Nie potrafię doprawdy wyrazić, jak bardzo mi przykro, widzieć panią zmartwioną - powiedział Cassidy. - Damy dziś spokój interesom, ale musi mi pani pozwolić pozostać tutaj tak długo, dopóki nie poczuje się pani lepiej.

Kobieta uniosła dłoń w geście słabego protestu.

- Nalegam - mężczyzna uśmiechnął się łagodnie.

- Ach, jakież pan miły - stwierdziła Sophie, z trudem hamując łzy.

- To był zawsze taki spokojny dom. Naprawdę. Ale... Laurel niemal wpadła w histerię. Słyszałam, jak krzyczała coś o kłamstwach i złocie...

- Popatrzyła na Cassidy'ego, kręcąc głową jak mały, grubiotki ptaszek. - Czemu mówili coś o złocie? A potem Laurel zbiegła na dół, nie ubrawszy się nawet odpowiednio do konnej jazdy, pan Tait zaś pośpieszył za nią.

Cassidy nadal uśmiechał się, ale jego oczy z napięciem wpatrywały się w kobietę.

- Pojechała konno w zwykłej domowej sukni - narzekała Sophie.

- Ludzie naszej sfery nie postępują w ten sposób.

Urwała nagle, ponieważ po raz trzeci tego dnia odezwał się dzwonek u drzwi. Cassidy pośpiesznie podniósł się z miejsca.

- Pozwoli pani, pani Sinclair, że otworzę. Z pewnością nie ma już pani dziś siły przyjmować żadnych gości - stwierdził, kierując się ku frontowym drzwiom.

Zanim jednak do nich dotarł, Caroline zdążyła już je otworzyć i stała teraz w progu z malującym się na twarzy niepokojem.

- Peter... Szeryf Henderson... Co się stało?

Przybysze weszli do salonu, kłaniając się przepraszająco siedzącej na kanapie Sophie.

- Pani Sinclair - odezwał się oficjalnym tonem Henderson. - Jest nam nad wyraz przykro, że wkraczamy tutaj tak bezceremonialnie, ale musimy porozmawiać z Sethem Taitem. Czy jest w domu?

- Nie, nie - odparła słabym głosem Sophie. - Przed chwilą oboje z Laurel pojechali do Chinatree.

Na twarzy Petera odmalował się niepokój.

- Pojechała do Chinatree sama z Taitem? - zapytał, rzucając szeryfowi znaczące spojrzenie.

Sophie wyprostowała się, spoglądając niechętnie na Petera. Co innego, kiedy to ona sama krytykowała swoją rodzinę, a co innego, kiedy pozwalali sobie na to w jej obecności inni. Peter powinien o tym wiedzieć.

- Bądź co bądź są małżeństwem - oświadczyła lodowato. - Poza tym uważam, że to zupełnie nie twoja sprawa. Dlaczego chce pan rozmawiać z panem Taitem, szeryfie Henderson? - zapytała. - Być może mogłabym przekazać mu wiadomość od pana.

Henderson wyglądał na zakłopotanego i dręczzonego wyrzutami sumienia.

- Obawiam się, że to niemożliwe, pani Sophie. To sprawa osobista. Odwrócił się i skinął głową Caroline.

- Wybacz pani, że ją niepokoił. Pojedziemy stąd prosto do Chinatree i postaramy się załatwić całą sprawę na miejscu.

- I na pewno przywieziemy Laurel z powrotem - dodał ponuro Peter.

- Całą i zdrową.

Caroline chwyciła Petera za rękaw marynarki.

- Przerażasz mnie - powiedziała, wyczuwając napięcie w jego głosie.

- Co się stało? Proszę, powiedz mi...

- Już wkrótce się dowiesz - odparł tajemniczo Peter. - Gdy tylko...

W tej samej chwili z ciemnego kąta pokoju, skąd obserwował całą tę scenę, wynurzył się Cassidy.

- Ach, panie Cassidy, niemal o panu zapomniałam. Czy zna pan tych dzentelmenów? - zapytała Sophie, przypominając sobie o dobrym wychowaniu.

- Jedynie ze słyszenia - odrzekł Cassidy, sięgając do kieszeni.

- Pozwolą panowie, że się przedstawię. Edgar Cassidy z agencji Pinkertona w Nowym Jorku - powiedział, podając szeryfowi legitymację.

- Sądzę, że mógłbym być panom pomocny, pod warunkiem że zabierzecie mnie ze sobą do Chinatree.

- Agencja Pinkertona? Ależ pan... pan był... - wykrzyknęła Sophie, próbując zerwać się z kanapy, lecz osłabiona ponownie opadła na poduszki. - Caroline - wyszeptała - przynieś mi sole trzeźwiące. Jestem pewna, że zemdleję.

Jej córka stała jednak jak skamieniała, spoglądając to na matkę, to na Petera. Była tak przerażona, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Peterze, proszę, powiedz mi... - nalegała, ściskając jego ramię.

- Zrób to, o co prosiła cię matka, Caro, i nie zadawaj mi na razie więcej pytań - powiedział dziennikarz. - Musimy jechać. Jeśli dopisze nam szczęście - dodał cicho, spoglądając na szeryfa - obie już wkrótce dowiedziecie się, co się stało.

ROZDZIAŁ 15

Laurel dyszała ciężko, kiedy wreszcie wjechała w szpaler dębów, które tworzyły zielony tunel wiodący do Chinatree. Czuła się tak, jakby przebyła owe siedem mil nie konno, lecz pieszo. Nisko pochylona nad grzbietem kasztanka, żałowała, że musi tak mocno spinać go ostrogami, ale nie chciała zwolnić. Sama zresztą nie wiedziała, czemu tak bardzo zależało jej na pośpiechu. Seth znajdował się tuż za nią, słyszała za plecami tętent kopyt jego wierzchowca. W każdej chwili mógł ją wyprzedzić, nie czynił tego jednak. Nie było takiej potrzeby. Wiedział, dokąd jechała. Nawet gdyby tego pragnęła, nie zdołałaby mu uciec.

Wewnątrz szpaleru drzew było duszno i gorąco. Korony dębów stykały się ze sobą, nadając temu miejscu dziwny, baśniowy wygląd. Laurel miała wrażenie, jakby nic, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku godzin, nie było prawdą. Caroline nigdy nie otrzymała tego listu z Savannah. Seth nie dowiedział się niczego na temat swojej rodziny ani nie powiedział jej, po co przybył do Charlestonu, ona zaś nie oświadczyła mu, że uważa jego słowa za wierutne kłamstwo. Jej ojciec nie był złodziejem. Nie istniało żadne złoto, a ona nie gnała teraz ku miejscu, w którym rzekomo zostało zakopane.

To wrażenie nierzeczywistości trwało jednak bardzo krótko. To wszystko wydarzyło się naprawdę. Wynurzywszy się z tego zielonego tunelu, Laurel ściągnęła wodze tak mocno, że koń nieomal stanął dęba. Nad polami Chinatree zapadał zmierzch. Dziewczyna zeskoczyła z końskiego grzbietu i dostrzegła oparte o poskręcany pień narzędzia ogrodnicze. Podbiegła do nich, unosząc lekko spódnicę, by nie zaplątać się w jej fałdy. Nie wiedziała nawet, czemu biegnie, zamiast po prostu iść. Za sobą usłyszała głos Setha. Mąż najwidoczniej znajdował się o wiele bliżej, niżby sobie tego życzyła.

- Zatrzymaj się, do diabła! Co chcesz zrobić?

Laurel była już przy narzędziach. Chwyciła ciężki szpadel o krótkim trzonku i obróciwszy się, wycelowała go w Setha jak broń.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknęła. - Dobrze ci radzę.

- Laurel, na litość boską, wysłuchaj mnie.

- Czy sądzisz, że uwierzę ci, cokolwiek byś mi teraz powiedział?

Uważasz, że w ogóle interesować mnie mogą jakieś twoje wyjaśnienia?

Tait zbliżał się do niej powoli, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Wiatr potargał mu włosy, a twarz wylaniająca się ze zmroku była smutna i zmęczona.

- Zamierzasz mnie tym zabić? - zapytał spokojnie, wpatrując się w trzymany przez nią szpadel.

- Nie mam takiego zamiaru - odparła, oddychając z trudem i zaciskając dłonie na trzonku łopaty. - Obiecuję jednak, że dotkliwie cię zranię, jeśli się nie zatrzymasz. Nie wygrasz ze mną, Tait. Okłamałeś nas, bawiąc się z naszą rodziną w kotka i myszkę, ale tym razem nie wygrasz!

- Ale co, u diabła, chcesz zrobić?

- Dowiedzieć się prawdy. Czy ty w ogóle znasz takie słowo: „prawda”? Chcę dowiedzieć się, czy to złoto istnieje, czy też nie. Chcę sprawdzić, czy mój ojciec był bohaterem, czy zdrajcą. Nie powstrzymasz mnie.

- Na litość boską, Laurel. Nikt nie mówi, że twój ojciec był zdrajcą! Musiałaś słyszeć o tym, co działo się na Południu tuż przed zakończeniem wojny. Twój ojciec pragnął tych pieniędzy dla ciebie i twojej matki, dla swojej rodziny. Czy tego nie rozumiesz? Po prostu troszczył się o was tak, jak robił to zawsze.

Laurel siłą powstrzymała napływające do oczu łzy.

- Niezależnie od wszystkiego, chcę to sprawdzić, Seth. Jeśli powiedziałeś prawdę i złoto jest tutaj, to je odnajdę. Nikt mnie przed tym nie powstrzyma.

Przez twarz mężczyzny przemknął cień zniecierpliwienia.

- A co potem? - zapytał, podchodząc do niej. - Jak wytłumaczysz ludziom to nagłe wzbogacenie się? Co się stanie, kiedy spróbujesz wydawać te pieniądze

albo choćby złożyć je w banku? To złoto należy przecież do skarbu państwa. Chyba nie sądzisz, że władze pozwolą ci je zatrzymać?

Miał nadzieję, że te słowa ją uspokoją, ale mylił się.

- Ty akurat nigdy nie widziałeś w tym żadnego problemu! -- odrzekła z sarkazmem.

- Nie, ponieważ nie miałem zamiaru tu zostać. Znam miejsca, gdzie nie zadaje się żadnych pytań, i kryjówki, do których nikt nie zagląda. Czy ty też chciałabyś stąd uciec?

Dziewczyna zawahała się. Wiedziała, że Seth ma rację, ale nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej wściekła.

- Zamknij się! - wybuchnęła. - Mylisz się, jeśli sądzisz, że dam się nabrać na twoje kłamstwa. Masz nadzieję, że ci zaufam, ale nic z tego. Uwierzę w to, co powiedziałeś, dopiero wtedy, gdy na własne oczy zobaczę złoto. I jeśli je znajdę, będzie ono należeć do mnie! Tylko do mnie, rozumiesz? Mam zamiar je zatrzymać! Nie powstrzymasz mnie!

- Na Boga, Laurel, spójrz na siebie! - Seth wyciągnął ku niej rękę. - Zobacz, co to dla ciebie oznacza! Co oznacza dla nas obojga! Nie chcę tego złota! Nie pragnę wiedzieć, gdzie ono jest, ani nawet, czy rzeczywiście istnieje. To nie ma już znaczenia! Nie rozumiesz tego? Wróciłem tutaj, ponieważ obiecałem, że to uczynię, a potem, gdy spotkałem ciebie... Głównym powodem, dla którego chciałem odnaleźć ten skarb, jesteś ty: sądziłem, że będzie ci na tym zależało. Dajmy temu spokój!

Laurel miała ochotę zatkać uszy, by nie słyszeć jego kłamstw, w które tak bardzo chciała wierzyć. W gruncie rzeczy wierzyła mu. Być może dlatego, że słowa, które wypowiadał, były czymś, czego bardzo potrzebowała, albo też dlatego, że spoglądając mu prosto w oczy czuła, iż wcale nie kłamał.

Ze stłumionym szlochem rzuciła szpadel na ziemię i odwróciwszy się, zaczęła biec na oślep przed siebie. Po chwili poczuła, że mężczyzna chwyta ją w ramiona. Straciła równowagę i upadła, on zaś uklęknął obok, nie wypuszczając

jej z objąć. Zaczęła okładać go pięściami i kopać, krzycząc z bezsilności i gniewu. Chciała zranić go tak, jak on zranił ją, pragnęła zadać mu ból, zemścić się za to, że nie mogła się od niego uwolnić. Kochała go. Nawet w tej chwili, ogarnięta złością nie potrafiła przestać go kochać.

W jego oczach spostrzegła rozpacz, tęsknotę i ból równie wielkie, jak jej własne. Uchylając się przed ciosami, Seth chwycił ją za nadgarstki, wyrwała mu się jednak, przeklinając ochryłym głosem, póki nie zamknął jej ust pocałunkiem. Przytuliła się do niego z tą samą siłą, z jaką jeszcze przed chwilą z nim walczyła. Miłość i nienawiść zlały się w jedno, po chwili nienawiść zniknęła, ustępując miejsca miłości i tęsknocie, a także ogromnemu, bezbrzeżnemu żalowi.

- Laurel - wyszeptał ochryple mężczyzna, tuląc ją do siebie tak mocno, że aż sprawiało jej to ból. - Czyżbyś naprawdę nie wiedziała, jak bardzo cię kocham? Nie chciałem tego. Nie sądziłem nawet, by było to możliwe. Ale stało się, niezależnie od mojej woli... Podobnie jak wbrew własnej woli wyrządziłem ci krzywdę.

Twarz Laurel mokra była od łez.

- Och, Seth, czemu nie powiedziałeś mi o złocie? Dlaczego mnie okłamałeś?

Mężczyzna ujął ją pod brodę i unióś jej twarz ku górze. W jego oczach malował się taki ból, że dziewczynę ogarnęło współczucie.

- Musiałem, najdroższa, musiałem.

Podniósł się, podając jej rękę, by i ona mogła wstać. Laurel miała sucho w gardle i drżała na całym ciele. Musiała wesprzeć się na nim, żeby nie upaść. Tait wpatrywał się w nią w skupieniu - jego spojrzenie zdawało się przeszywać ją na wylot.

- Ów człowiek, który mnie wychował i który powiedział mi o złocie, nazywał się Pułkownik Ike - oświadczył.

Laurel popatrzyła na niego uważnie. Peter mówił coś o Pułkowniku Ike'u i człowieku nazwiskiem Brady. Przez cały czas miała wówczas wrażenie, że słyszała już gdzieś te nazwiska, nie mogła sobie jednak uzmysłwić, przy jakiej to było okazji. A może nie chciała sobie przypomnieć?

Mężczyzna przymknął oczy, jakby zmagał się z jakimś wewnętrznym, straszliwym bólem.

- Och, Laurel, czy jeszcze nie rozumiesz? Naprawdę nie wiesz, kim jestem?

- Nie - szepnęła i choć w tym samym momencie prawda dotarła do niej z całą jasnością, powtórzyła: - Nie.

Seth otworzył oczy, patrząc na nią smutno.

- Nie mogłem powiedzieć ci o złocie, nie zdradzając przy tym, skąd o nim wiem. Sądzę zaś, że odkąd przybyłem tutaj, bez przerwy starałem się zapomnieć, jak się o nim dowiedziałem.

Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić jej potargane włosy, po chwili jednak opuścił ją niepewnie. W jego głosie dało się słyszeć znużenie.

- Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą: moi rodzice zginęli wędrując na Zachód. I naprawdę nazywam się Seth Tait. Przez wiele lat nie pamiętałem jednak swojego nazwiska, a przecież Pułkownik musiał się do mnie jakoś zwracać. - Powiódł spojrzeniem dookoła, po czym ponownie popatrzył na Laurel. - Jeszcze jedna rzecz, którą ci powiedziałem, jest prawdą, choć wcale tego wówczas, gdy ci o tym mówiłem, nie wiedziałem. Rzeczywiście wróciłem tutaj, by znaleźć dom i rodzinę oraz odkryć, kim mogę być... Na Zachodzie to wszystko było niemożliwe. Złoto stanowiło jedynie pretekst. Popatrz - ujął ją delikatnie za ramiona i obrócił. - Zobacz, co robiłem przez ostatnie tygodnie. Nie uświadamiałem sobie tego wcześniej. Sądziłem, że szukam złota, ale wcale tak nie było.

Wśród wydłużających się coraz bardziej cieni zmierzchu Laurel ujrzała to, czego, ogarnięta złością, nie spostrzegła wcześniej. Ziemia wokół była

oczyszczona z chwastów i starannie zagrabiona. Zapadnięte, krzywe ogrodzenie cmentarzyka zostało naprawione, a groby pieczołowicie uporządkowane.

Odlamki cegieł, resztki drewnianych kolumn oraz gruz ze zrujnowanych murów leżały złożone nie opodal w jedną stertę. Ogrodową alejkę również wypielono i wysypano nowym żwirem. Ukryta od wielu lat pod stosem śmieci tarcza starego zegara słonecznego została odnowiona i umieszczona na swoim miejscu. Seth nie przyjechał tu szukać śladów przeszłości, lecz torować drogę przyszłości.

Zdjęta bólem, Laurel popatrzyła na Seta niepewnie. Kochała go w tej chwili jeszcze mocniej niż dotąd.

- Tutaj nazywam się Seth Tait - powiedział. - Mam dom, rodzinę, dowiedziałem się czegoś o swojej przeszłości i o tym, że mam pieniądze, żeby zbudować przyszłość. Dlatego nie potrzebuję złota. Ale na Zachodzie nadal nazywam się Peach Brady i to właśnie dlatego nie powiedziałem ci o zakopanym skarbie. A teraz jest już dla nas za późno.

Seth znacznie wcześniej od Laurel usłyszał dobiegający od strony alei dojazdowej tętent końskich kopyt. Nie musiał dociekać, kto przybywa. Nie było sensu bronić się przed tym, co nieuniknione. Laurel także wiedziała, co oznaczają zbliżający się jeźdźcy, i czuła, jak z każdym uderzeniem serca skraca się czas, jaki im jeszcze pozostał.

- Nie jest za późno, Seth - powiedziała, ściskając go za ramię. - Wcale nie musi tak być! Wiem, gdzie ukryto złoto. Moja matka zostawiła mi wskazówkę, chociaż oczywiście nie miała pojęcia, że to robi! Możemy zabrać złoto i uciec...

Mężczyzna pokręcił głową.

- Czy sądzisz, że już dawno nie chciałem cię o to prosić? Przychodziło mi to na myśl z tuzin razy, odkąd zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie śledzi i że jest tylko kwestią czasu, kiedy... Sądziłem, że gdy znajdę złoto, będę mógł cię stąd zabrać, nawet gdybym miał cię porwać. Moglibyśmy pojechać do Meksyku, Kanady, nawet do Europy... Ale ty nie możesz opuścić tego miasta i swojej rodziny. Poza tym... - zatoczył ręką krąg. - Poza tym sądzę, że sam także w głębi

ducha żywiłem przekonanie, że nigdzie stąd nie odejdę. To mój dom, a ja jestem już zmęczony uciekaniem.

- Nie bądź głupcem, Seth - powiedziała Laurel. - Nie ma znaczenia, co robiłeś w przeszłości, liczy się tylko to, jak postępujesz teraz! Próbowalesz nam pomóc, zrozumiałam to już i wiem, że nawet kłamałeś jedynie po to, by mnie ochronić.

Z rozpaczą obejrzała się przez ramię, dostrzegając widoczne już teraz na tle zielonego tunelu sylwetki trzech jeźdźców. Jednego z nich, szeryfa Hendersona, od razu rozpoznała po mundurze. Gwałtownie potrząsnęła ramieniem Seta.

- Na miłość boską, uciekaj. Wskakuj na konia i jedź! Powiem im... powiem im cokolwiek. Zatrzymam ich tutaj. Po prostu jedź!

Seth nie poruszył się jednak. Popatrzył na nią smutno.

- Przykro mi, Laurel - powiedział, uśmiechając się przeprasząco.

- Potrzebujemy cię, Seth. Ja cię potrzebuję! Nie wolno ci się poddawać! Tait z czułością pocałował ją w czoło.

- Zostaw w spokoju to złoto - powiedział cicho. - Sprowadza nieszczęścia na wszystkich, którzy go dotkną.

Laurel popatrzyła na niego bezradnie. Pragnęła zapamiętać wszystko: kształt jego czoła, potargane wiatrem włosy, malujący się w oczach ból, dotyk palców na jej ramieniu, spokojny oddech. Seth. Należał do niej tak krótko, ale był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. A teraz było już za późno.

Dopiero gdy skręcili w aleję wiodącą do Chinatree i gdy zobaczył szczypiące od niechcenia soczystą trawę konie, Peter uwierzył, że to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch godzin, nie było snem. Seth Tait był Peachem Bradym, legendarnym, wyjętym spod prawa przestępcą, bohaterem książek. Od początku wiedział, że z tym człowiekiem jest coś nie w porządku, ale zupełnie nie spodziewał się, że rozwiązanie zagadki będzie aż tak niezwykle.

Ujrawszy Laurel, po raz pierwszy, odkąd udał się na policję, zastanowił się, co odkrycie tej prawdy oznacza dla niej, dla Caroline i pani Sophie. Seth Tait był Peachem Bradym, słynnym bandytą, Peter zaś wysledził go, odkrywając jego tajemnicę. Opisanie tej historii stanie się jego przepustką do sławy i fortuny. Kiedy jednak opublikuje to w Gazette, okryje jednocześnie hańbą i zniszczy życie ludziom, na których zależało mu najbardziej na świecie.

Peter próbował pogodzić jakoś ze sobą te dwie sprzeczne rzeczy. Musiał złożyć donos na Peacha Brady'ego - to był jego obywatelski obowiązek. Dziwnym zrządzeniem losu, czyn ten przyniesie zapewne korzyść także jemu samemu, umożliwiając zdobycie rozgłosu, jakim nigdy dotąd nie dane mu było się cieszyć. A jednak przysparzał w ten sposób bólu nie tylko Laurel, ale także Sophie i Caroline. Usiłował przekonać samego siebie, że będą mu one kiedyś wdzięczne, iż uwolnił je od oszusta, którego przyjęły do własnego domu. W końcu jak długo byłyby bezpieczne, przebywając pod jednym dachem z człowiekiem pokroju Peacha Brady'ego? Na pewno rozumieją, że nie miał wyboru.

Jeźdźcy znaleźli się już w cieniu rzucanym przez rozpadające się kominy Chinatree. Nie opodal pasły się dwa wierzchowce, a pięćset jardów od nich stali bez ruchu Laurel i Seth, przyglądając się przybyszom w gasnącym świetle dnia.

- Do diabła, lepiej, żeby to, co pan powiedział, okazało się prawdą, Barton - stwierdził szeryf Henderson. - Ja wcale nie jestem tego taki pewien.

Peter poczuł przebiegający przez ciało dreszcz. Czuł, że sztywnieją mu mięśnie karku.

- To nie ma nic wspólnego ze mną - odparł krótko. - Po prostu powtórzyłem panu tekst depeszy, którą otrzymałem od szeryfa z Wyoming.

Cassidy podjechał do Hendersona i ściągnął wodze.

- To on, szeryfie - powiedział spokojnie. - Śledziłem go, a także jego wspólnika. Pułkownika Ike'a, już od dłuższego czasu.

Henderson popatrzył na niego uważnie.

- W takim razie jedźmy - powiedział zrezygnowanym głosem.

- Czy jest pan uzbrojony? - zapytał Cassidy. - Ja na wszelki wypadek mam przy sobie pistolet.

Szeryf popatrzył na niego ostro.

- Skoro ja tu jestem, Cassidy, nie będzie potrzeby użycia broni - odrzekł oschle. - Poza tym mam nadzieję, że pamięta pan, iż wyświadczyłem mu dużą grzeczność, pozwalając przybyć tu razem z nami.

- Z całym szacunkiem, sir, ale ten człowiek jest groźnym przestępcą. Rewolwerowcem. Nie wie pan, jak może się zachować, kiedy...

- Z całym szacunkiem - przerwał mu Henderson. - Siedziałem z tym człowiekiem przy jednym stole podczas kolacji i nie będę bez powodu mierzył do niego z pistoletu. Za wszelką cenę nie chcę dopuścić do zranienia pani Laurel. Bóg świadkiem, że i tak wiele wycierpi. Wieść o tym, kim naprawdę jest jej mąż, z pewnością złamie jej serce - dodał, spinając konia ostrogami.

Słyszając słowa szeryfa, Peter poczuł, jak serce ścisną mu się z żalu. Tait był przestępcą. Jednakże w żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie, by od czasu przybycia do Charlestonu mąż Laurel zrobił choć jedną rzecz, za którą należałoby go aresztować. Wręcz przeciwnie. Uchronił przed zajęciem dom pań Sinclair, wzbudził podziw Caroline i uczynił Laurel szczęśliwą.

Mimo to w Wyoming ścigano go listem gończym i Peter nie ponosił za to żadnej odpowiedzialności. Jedyne, co uczynił, to pomógł schwytać przestępcę. Zagryzając wargi, ruszył w ślad za szeryfem i Cassidym.

Laurel obserwowała, jak się zbliżają, zaciskając dłoń na ramieniu Setha.

- Proszę - nalegała. - Błagam cię, jedź. Pojadę za tobą, dokądkolwiek zechcesz, ale teraz uciekaj. Póki nie jest za późno!

- Po to, żeby dostać kulę w plecy? - Seth uśmiechnął się słabo. - To nie w ten sposób wyobrażałem sobie spotkanie ze Stwórcą. Nie chcę, byś właśnie taki mój obraz zachowała w pamięci - dodał poważnie.

- Seth...

- Nie - przerwał jej, unosząc dłoń i gładząc żonę po policzku. Był teraz bardzo poważny. - Wiem, co to znaczy żyć, ciągle uciekając, i nie chcę takiego losu dla ciebie. Dla nas.

Teraz już rzeczywiście było na wszystko za późno. Laurel podniosła wzrok i zobaczyła, jak szeryf Henderson zeskakuje z konia i zbliża się do nich. Towarzyszyli mu jakiś nie znany jej mężczyzna oraz... Peter.

Peter.

- Dobry wieczór, szeryfie - powiedział Seth. Popatrzył ponad głowę Hendersona i kąciki jego ust uniosły się nieznacznie, jakby w lekkim uśmiechu.

- Witaj, Barton.

Szeryf Henderson robił wrażenie mocno skonfundowanego, kiedy jednak spojrzął w oczy Seta, jego dłoń odruchowo powędrowała w stronę kabury z rewolwerem.

- Wszystko wskazuje na to, że jesteś poszukiwanym listem gończym przestępcą z Wyoming, Tait - powiedział. - Przybyłem tu, żeby cię aresztować.

Seth ze zrozumieniem skinął głową.

- Nie jestem uzbrojony, szeryfie - odrzekł. - I nie będę stawiać oporu.

- To dobrze - głos Hendersona brzmiał dziwnie smutno. - Nie chcemy żadnej strzelaniny w obecności pani Laurel. Mam zamiar założyć ci kajdanki.

Seth postąpił krok naprzód, wyciągając ręce przed siebie. Laurel nie mogła znieść tego dłużej.

- Szeryfie... Jack... - wyjąkała, chwytając Hendersona za ramię. - Jak możesz to robić? Dobrze wiesz, że to pomyłka! Nie wolno ci...

W oczach mężczyzny pojawił się szczerzy żal i współczucie.

- Muszę wypełniać swoje obowiązki, pani Laurel, choć czasem żałuję, że nie wolno mi ich zaniedbać. Przykro mi. - Popatrzył na Seta, zatraskując kajdanki. - Naprawdę mi przykro, Tait. Nigdy nie przypuszczałem, że...

Laurel miała ochotę wybuchnąć płaczem. Chciała rzucić się Sellowi na szyję, nie pozwalając mu odejść. Pragnęła go jakoś pocieszyć, podnieść na

duchu, obiecać, że wszystko będzie dobrze. Oddałaby wszystko, co miała, żeby uczynić go na powrót wolnym.

Przez łzy zalewające jej oczy widziała, jak szeryf pomaga Sethowi wsiąść na konia, po czym ujawszy wodze jego wierzchowca, kieruje się w stronę dębowej alei.

Za plecami usłyszała skrzywienie skórzanej upręży oraz podzwanianie ostróg. Ktoś zsiadł z konia i zbliżał się do niej.

- Daj spokój, Laurel, odwiozę cię do domu.

Dłoń Petera spoczęła na jej ramieniu. Laurel cofnęła się gwałtownie. Smutek i żal opuściły ją w jednej chwili. Obrzuciła przyjaciela lodowatym wzrokiem.

- A więc to ty - powiedziała ochryple. - Caroline wyznała mi, że go szpiegowaleś, ale nie uprzedziła, że...

- Ona o niczym nie wiedziała - przerwał Peter, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy. - Dopiero dziś po południu dostałem depezę. Wiem, jak bardzo cię to rani, ale tak będzie najlepiej.

Laurel zbliżyła się do niego i otwartą dłonią uderzyła go w twarz tak silnie, że aż się zachwiał.

- Jak śmiesz?! - krzyknęła, zdjeta niepohamowanym gniewem. - Jak śmiesz wyrokować, co jest dla mnie najlepsze?! Jakim prawem wtrącasz się w sprawy, które cię nie dotyczą?! Jak w ogóle masz czelność pokazywać mi się po tym wszystkim na oczy?!

- Na litość boską, Laurel, to człowiek wyjęty spod prawa!

- Czyżby? - szyderczo skrzywiła usta. - A cóż on ci takiego zrobił? Może grzebał potajemnie w twojej przeszłości? Gdyby to uczynił, pewnie znalazłby tam parę interesujących rzeczy, co? Czy udawał twojego przyjaciela, a jednocześnie, podstępnie jak wąż, za twoimi plecami...

- Laurel, ależ ja...

- Zejdź mi z oczu! - krzyknęła, popychając go z całej siły. - Wynoś się stąd! Jedź pisać swój wymarzony artykuł, bo przecież o to ci tylko chodziło, prawda? Cóż, teraz masz wspaniały temat. Ale to wszystko, co masz. Wynoś się stąd i trzymaj się z dala ode mnie!

Peter sprawiał wrażenie przygnębionego i głęboko nieszczęśliwego.

- Nie mogę zostawić cię samej.

W oczach Laurel pojawiły się pogarda i wściekłość.

- Jeśli zobaczę cię tu jeszcze w chwili, kiedy będę wsiadać na konia, nie rękę za siebie - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

Peter zawahał się.

- Być może byłoby najlepiej, gdyby pan stąd odjechał - powiedział cicho stojący za jego plecami Cassidy. - Sam odwiozę tę młodą damę do domu.

Peter zaklął pod nosem.

- Sądzę, że moja obecność jest tutaj rzeczywiście zbyteczna - stwierdził, dosiadając konia. - Zamiast tracić czas na kłótnie z Laurel, wrócę do miasta i przygotuję panią Sophie i pannę Caroline na niewesołe wieści.

Cassidy poczekał, aż koń Petera zniknie za drzewami, po czym skierował się ku dziewczynie. Laurel stała obok swojego kasztanka. Przytuliła czoło do końskiej grzywy, być może po to, by ukryć łzy lub stłumić szloch. Cassidy zeskoczył z konia kilka stóp od niej i resztę drogi przebył pieszo.

Słyszając, że ktoś się zbliża, Laurel wyprostowała się. Jej umysł pracował gorączkowo. Sędzia Casper. Był starym przyjacielem jej rodziny i zdawał się lubić Seta. Na pewno wysłucha jej i znajdzie sposób na uwolnienie męża.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - zapytał Cassidy.

- Nie, chyba że zna pan dobrego prawnika - odparła Laurel, ujmując lejce i dosiadając kasztanka.

- Prawdę mówiąc, znam kilku, obawiam się jednak, że żaden nie zdoła pomóc pani mężowi.

- Kim pan jest? - zapytała Laurel, patrząc na niego z niechęcią.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni, wydając legitymację.

- Jestem Edgar Cassidy z agencji detektywistycznej Pinkertona. Tropię Peacha Brady'ego aż od Wyoming.

- W takim razie nie mam panu nic więcej do powiedzenia - oświadczyła zimno Laurel.

- Rozumiem pani uczucia - uśmiechnął się mężczyzna. - Osobiście nie mam nic przeciwko Brady'emu. Proszę wybaczyć, że to mówię, lecz uważam, że nadzwyczaj dobrze świadczy o nim fakt, iż cieszy się zaufaniem takiej kobiety jak pani.

Laurel popatrzyła na niego uważnie.

- Osobiście sędzę - ciągnął Cassidy - że odpowiedzialność za większość przestępstw popełnionych przez Brady'ego ponosi Pułkownik Ike. Po jego śmierci wszystkim, czego pragnął Peach, było zacząć nowe życie na Wschodzie. Wygląda na to, że prawie mu się to udało.

- Czemu zatem - zapytała podejrzliwie Laurel - pojechał pan za nim na Wschód? Co pan tu robi?

- Chodzi pani o to, po co przyjechałem tutaj z tymi dwoma? - machnął ręką w kierunku, w którym odjechali szeryf i Peter, i uśmiechnął się nieznacznie. - To był tylko zbieg okoliczności. Nie interesują mnie przestępstwa Peacha Brady'ego. To nie jego, lecz Pułkownika Ike'a szukałem przez te wszystkie lata. Pułkownika oraz należące do skarbu państwa złoto, które ukradł.

Na dźwięk tych słów serce Laurel zaczęło bić szybciej. Próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie udało to się jej. Mężczyzna wciąż uśmiechał się łagodnie.

- Brady powiedział pani o tym, prawda? Sędzę, że musiał to uczynić. Proszę mi wierzyć, iż przybyłem tutaj tylko dlatego, że chciałem zapytać pani męża o złoto. - Umilkł na chwilę i popatrzył na szarzejące niebo. - Sędzę, że

lepiej już wracać. Robi się ciemno. Jeśli jest pani gotowa do drogi, będzie mi miło towarzyszyć pani podczas podróży do miasta.

Laurel nie poruszyła się jednak, ogarnięta rozpaczą.

- Co oni zrobią z moim mężem, panie Cassidy?

- Cóż, po pierwsze, będą chyba musieli spełnić prośbę o jego ekstradycję. To procedura kosztowna i skomplikowana. Skoro jednak Brady czy też Tait nie popełnił w Karolinie Południowej żadnego przestępstwa, z całą pewnością nie może być tutaj sądzony.

- A później? - Laurel z najwyższym trudem wypowiedziała to pytanie.

- Sędziowie bywają surowi, proszę pani - odrzekł Cassidy, spuszczać oczy. - A niektóre przestępstwa Brady'ego są wykroczeniami nie tylko przeciwko prawu stanowemu, ale także federalnemu.

- Czy to znaczy, że go powieszają? Przez chwilę mężczyzna milczał.

- Oczywiście, byłbym szczęśliwy, mogąc wstawić się za nim i powiedzieć, że pani mąż ułatwił mi śledztwo - odparł z wahaniem. - Odnalezienie złota jest dla moich pracodawców o wiele ważniejsze niż powieszenie jednego bandyty... Szczególnie takiego, który udowodnił już, że pragnie zejść z przestępczej drogi i żyć uczciwie.

Mimo przerażenia, jakie odczuwała, uwagę Laurel przykuło jedno z wypowiedzianych przez niego słów.

- Pańscy pracodawcy...?

- Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych, proszę pani - odparł Cassidy. - Niektórzy powiadają, że jest to najdłuższe ramię prawa. Oczywiście, pani mąż może nawet nie wiedzieć, gdzie znajduje się złoto - dodał, podchodząc do swego konia. - W takim wypadku nie będę mógł mu, niestety, pomóc.

- Proszę zaczekać! - krzyknęła Laurel, przyciskając palce do skroni i próbując się skupić.

Cassidy odwrócił się i popatrzył na nią.

- A co... - zaczęła - jeśli dostanie pan to złoto? Nie informację o tym, gdzie ono jest, lecz prawdziwy skarb? Co wtedy będzie pan mógł uczynić dla mojego męża?

- Czy jest coś, proszę pani, o czym chciałaby pani ze mną porozmawiać? - zapytał Cassidy, przyglądając się jej zmrużonymi oczyma.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie - nalegała kobieta.

Przez długą chwilę detektyw zdawał się rozważać jej słowa. Dla Laurel trwało to niemal całą wieczność.

- Cóż, cały czas zawiera się z przestępcami pewne umowy - powiedział w końcu. - Jeśli złoto można odzyskać jedynie w zamian za amnestię dla Peacha Brady'ego, sądzę, że załatwienie jej nie nastreczy mi zbyt wielu trudności. Oczywiście, rozumie pani, że nie możemy w ogóle brać pod uwagę podobnej ewentualności, dopóki złoto nie znajdzie się w naszym posiadaniu.

Laurel zbliżyła się do sterty pozostawionych przez Seta narzędzi i podniosła szpadel. Cassidy ruszył za nią, przyglądając się, jak podchodzi do starego, rozłożystego dębu, okrążył go i stanął po jego wschodniej stronie, odmierza trzy kroki od pnia. Zrobiwszy to, wręczyła szpadel Cassidy'emu.

- Niech pan kopie - powiedziała.

- Nie, pani Tait. A może powinienem powiedzieć pani Brady? - Nie przestając się uśmiechać Cassidy wyjął z kieszeni kurtki pistolet i wymierzył go w nią. - To pani zacznie kopać.

ROZDZIAŁ 16

W dużym budynku policji na rogu ulic Meeting i Broad znajdowały się także cele przeznaczone dla aresztantów. Tej nocy siedziało ich około trzydziestu - głównie pijaków i awanturników, którzy pobili żony. Przybycie Setha wywołało pewne poruszenie.

Umieszczono go w celi z sześcioma innymi mężczyznami, z których dwóch chrapało głośno, pogrążonych w pijackim śnie. Pozostali przyglądali się Sethowi na poły podejrzliwie, na poły zaś z ostrożnym podziwem. Jeden z nich, bezzębny, chudy człowiek w nieokreślonym wieku zbliżył się do niego chwiejnym krokiem.

- No, no, kogo my tu mamy. Cóż taki czyścusięński laluś może tutaj robić? Bogaty czyścioch. Spójrzcie tylko na jego buty. Czyżbyś został przyłapany w niewłaściwym łóżku, chłopie?

- Coś w tym rodzaju.

Seth zatrzymał się przy żelaznych drzwiach i szybkim spojrzeniem omiół całą celę. Wszystkie prycze były już zajęte.

- Co za laluś? - Stęknął jakiś barczysty mężczyzna w brudnym flanelowym podkoszulku i postrzępionych spodniach. - O kim ty gadasz?

- Nie widzisz? Ten facet tutaj. Z pewnością nie przywykł do bywania w takich miejscach. Spójrz na jego buty...

Seth zastanawiał się - być może po raz ostatni w życiu - co też powiedziałby Pułkownik, gdyby go teraz zobaczył. Doskonale zdawał sobie sprawę, że znalezienie się w takim miejscu było właściwie logicznym końcem życia, jakie wiódł wraz z Ike'em. Czuł, że zasłużył na taki los, ale nie mógł uwierzyć, że tak właśnie ma wyglądać jego kres. Więzienie. W nozdrza uderzyła go ostra woń moczu i nie mytych ciał. W dusznym powietrzu, niemal

namacalnie wyczuwało się strach i poczucie beznadziejności, dręczące przebywających tu ludzi. Nigdy nie sądził, że coś takiego go spotka.

Od Laurel, wiodącej spokojne i uczciwe życie, dzieliła go teraz cała wieczność. Zdawała się czymś nierealnym, jakby sennym marzeniem, które już, już miał pochwycić, kiedy wymknęło mu się z rąk. Mały domek przy Lamboll Street. Prawdziwe srebra na stole i piękna stara porcelana w kredensie. Postrzępione tapety i wyblakłe dywany, wspomnienia opowiadane z pokolenia na pokolenie... Dom. Dom, który nigdy nie stanie się jego domem.

- No, mówże. - Chudy więzień przysunął się do Setha.

Tait poczuł woń jego potu i kwaśny oddech. Spojrzał na niego przeciągle. Na twarzy więźnia nie było jednak agresji, raczej ciekawość połączona ze współczuciem. - Co z tobą zrobią, chłopie, skoro już cię złapali?

Seth zerknął przez kraty na pusty korytarz. Dyżur pełnił tylko jeden umundurowany strażnik.

- Myślę, że pewnie mnie powieszą - odrzekł.

Powieszą go. Tego też nigdy się nie spodziewał. Może i powinien, ale jakoś nigdy do głowy mu nie przyszło, że może to być realne. W celi zapanowała taka cisza, że aż dzwoniło w uszach.

- Zrobiłeś coś, za co grozi stryczek? - zapytał barczysty więzień. Seth wbił wzrok w ścianę. Po kamiennym murze spływały krople wody.

Średniowieczne lochy nie mogły chyba wyglądać bardziej przygnębiająco.

- Nie - odpowiedział spokojnie po chwili. - Nie wydaje mi się, żebym coś takiego zrobił. - Odwrócił się w stronę kraty i podnosząc nieco głos, zawołał: - Sierzancie!

Strażnik ostrożnie zbliżył się do drzwi celi. Zatrzymał się jakieś dziesięć stóp od kraty, obrzucając Setha podejrzliwym spojrzeniem.

- Czego chcesz?

- Pióra i papieru - odpowiedział Tait. - I kogoś, kto byłby moim świadkiem. Chcę spisać testament.

Oczy strażnika zwięzły się.

- Czy to nie za tobą rozesłano listy gończe? Czy ktoś wyjęty spod prawa może mieć coś, co chciałby komuś zostawić?

- Nie może - odparł ze znużeniem Seth. Nie miał ochoty spierać się z tym człowiekiem. Położył ręce na kracie, zaciskając palce na prętach. - Ale Seth Tait coś takiego posiada. Zapytaj szeryfa. Mam prawo spisać swoją ostatnią wolę i pragnę uczynić to tutaj, w Charlestonie, zanim... zanim wsadzą mnie na statek i odeślą z powrotem na Zachód.

- Dobrze, zapytam - rzekł niepewnie strażnik. - Choć nie wydaje mi się...

Urwał zdumiony, widząc, że trzymana przez Setha krata nagle zadrżała. Tait także poczuł te drgania, nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, ponieważ nie tylko pręty zaczęły się poruszać. Przymocowane do ściany prycze kołysały się także, a podłoga trzęsła się jak galareta. Nagły wstrząs odrzucił Setha aż pod przeciwległą ścianę. Niepewnie stawiając kroki, powrócił do kraty akurat w samą porę, by zobaczyć, jak zdziwiony strażnik przewraca się na ziemię, jakby pchnięty jakąś niewidoczną ręką. Jego karabin potoczył się po podłodze w stronę celi, po czym znowu poturlał się ku właścicielowi. Ludzie krzyczeli, trzeszczały żelazne pręty. Gdzieś z daleka do ich uszu dobiegał groźny, monotony pomruk. Odwróciwszy się w stronę współwięźniów, Seth dostrzegł na ich twarzach przerażenie. Wszyscy trwożliwie kulili się na podłodze. Tait chciał odsunąć się od kraty, ale drżąca pod jego stopami ziemia to uniemożliwiła. Ktoś wrzeszczał przeraźliwie, ktoś próbował uciekać, ale było już za późno. Seth osłonił ręką twarz. Rozległ się głośny, przeciągły zgrzyt, na ścianie celi pojawiła się olbrzymia rysa. Mur pękał, sypiąc kamieniami prosto w głąb celi.

Ziemia była twarda, pełna korzeni i pokryta zbitą darnią. Kopanie szło Laurel bardzo powoli. Bolały ją plecy i ramiona, nie przestawała jednak

pracować. Wcale nie dlatego, że tak przerażał ją widok pistoletu Cassidy'ego wymierzonego w jej serce, ale dlatego, iż czekała odpowiedniego momentu, by wziąć na nim odwet. Niepostrzeżenie, powoli zbliżała się do niego. Zbierała siły. Już wkrótce, zamiast zagłębić łopatę w ziemi, uniesie ją w górę i wymierzy Cassidy'emu cios w brzuch lub, jeśli tylko zdoła dosięgnąć, w głowę.

Przerwała na chwilę pracę, ocierając twarz zabrudzonym rękawem i odgarniając opadające na czoło kosmyki włosów. Zupełnie nie przejęła się tym, że na jej policzkach pojawiły się ciemne smugi.

- Od początku kłamałeś - powiedziała. - Nie jesteś detektywem od Pinkertona. Powinnam się tego domyślić. I zrobiłabym to, ale cały czas myślałam tylko o tym, co stanie się z Sethem. Agencja Pinkertona nie wie nic o złocie. Rząd także. Wiedzieli o nim tylko mój ojciec i Pułkownik Ike oraz ludzie, którym oni sami wyjawili tę tajemnicę.

- Wiedział ktoś jeszcze - uśmiechnął się ironicznie Cassidy. - Człowiek, któremu je ukradli. Strażnik z pociągu, który nigdy nie zapomniał ani nie wybaczył. Choć cały pociąg został obrabowany, wstydzilem się wrócić i zameldować, że pozwoliłem dwóm konfederatom skraść przewożone przeze mnie złoto - opowiadał z goryczą. - Wymierzyli do mnie z pistoletów, a ja, tchórzliwy idiota, pozwoliłem im zabrać powierzony mojej opiece skarb. Chociaż miałem wówczas tylko osiemnaście lat, nigdy sobie tego nie wybaczyłem. Zdezerterowałem z wojska, pozorując własną śmierć. Od tamtej pory nieustannie tropiłem Pułkownika Ike'a, człowieka, który wraz ze złotem skradł moje życie. - Popatrzył zimno na Laurel.

- Jeśli ktokolwiek zasługuje na ten skarb, to tylko ja. Nie ty. Nie Peach Brady. Spędziłem całe życie, szukając tego złota. Należy do mnie.

Umilkł na chwilę, a potem uśmiechnął się lekko.

- Nie kłamałem jednak mówiąc, że jestem detektywem. Musiałem przecież z czegoś żyć przez te wszystkie lata, kiedy polowałem na Pułkownika

Ike'a. Agencja Pinkertona umożliwiała mi zarówno zarabianie pieniędzy, jak i kontynuowanie poszukiwań. Kop dalej.

- Jest ciemno. Nic nie widzę.

Było dziesięć po dziewiątej i mrok rzeczywiście już gęstniał. Cassidy niechętnie rozejrzał się wokół.

- Nie musisz nic widzieć - powiedział ostrym tonem. - Po prostu kop.

- Tu nie ma złota. Może się pomyliłam...

- Byłaś cholernie pewna, że to właśnie tutaj, kiedy sądziłaś, że w ten sposób wyciągniesz z więzienia swojego ukochanego łotra.

Laurel uznała, że jest już dostatecznie blisko Cassidy'ego i postanowiła go zaatakować.

- Nie ma żadnego złota! - zaszlochała. - Nigdy go nie było. To wszystko kłamstwo, podłe kłamstwo...

Uniosła łopatę tak, jakby chciała ze złością rzucić nią o ziemię. Zdażyła jeszcze dostrzec w oczach Cassidy'ego przerażenie, kiedy z całej siły wymierzyła szpadlem cios w jego głowę. Pistolet detektywa wystrzelił. Laurel upadła na ziemię, przekonana, że trafiła ją kula. Słyszała jakieś jęki i trzaski. Drzewa nad jej głową zaczęły się pochylać i gwałtownie kołysać. Uzmysłowiła sobie, że to, co słyszała, nie mogło być hukiem wystrzałów, ponieważ Cassidy także się przewrócił. Spróbowała wstać, ale okazało się to niemożliwe, bo ziemia drżała pod jej stopami.

Zdawało jej się, że świat oszalał. Dźwignęła się w końcu na kolana, wspierając się o pień pobliskiego dębu. Z oddali słyszała rzenie przerażonego konia. Cassidy także podniósł się z ziemi. Zataczając się tak, jakby był pijany, rozłożył szeroko ramiona, by łatwiej utrzymać równowagę. Przełęczona Laurel patrzyła, jak ziemia porusza się pod jego stopami, a potem z przerażającym hukiem pęka, tworząc trzystopowej szerokości rozpadlinę. Z krzykiem przypadła z powrotem do drzewa. Szczelina w ziemi wydłużała się, przybierając kształt rozwidlonego języka węża. Cassidy przez chwilę patrzył na to w

oszołomieniu, kiedy zaś w końcu rzucił się do ucieczki, było już za późno. Ziemia otwarła się pod jego stopami. W mgnieniu oka mężczyzna zniknął w jej wnętrzu. Po chwili ziemia zatrzęsała się znowu i rozpadlina zamknęła się.

Laurel zaczęła krzyczeć. Jej przeraźliwy krzyk rozbrzmiewał tak długo, aż ochrypła i z jej gardła dobywały się już tylko głośnie jęki. W pewnej chwili drzewo, o które się wspierała, zadrżało. Laurel patrzyła przerażona, jak kołysze się coraz mocniej. Uświadomiwszy sobie, co się dzieje, zaczęła biec, starając się znaleźć jak najdalej od pochylającego się powoli dwustuletniego dębu. Wkrótce z przeraźliwym trzaskiem łamiących się gałęzi i wyrwanych z ziemi olbrzymich, poskręcanych korzeni drzewo runęło na ziemię. Laurel ogarnęła panika. Nie wiedząc, co czynić, padła na kolana i zaczęła się modlić.

Nie miała pojęcia, jak długo trwało to wszystko - minutę, godzinę czy też może całą wieczność. W końcu świat znieruchomiał na powrót. Otworzyła oczy. Pomimo ciemności zobaczyła, jak wielkich zniszczeń dokonało trzęsienie ziemi. Przed oczami wciąż stał jej obraz pogrzebanego żywcem Cassidy'ego. Detektyw na zawsze spoczął w ziemi obok złota, którego szukał przez całe życie. Ziemię przecinały głębokie szczeliny, wszędzie leżały potrzaskane olbrzymie drzewa, a konie... Gdzie znikły konie?

Powoli podnosiła się z ziemi, próbując przebić wzrokiem spowijającą wszystko ciemność. Musiała jakoś dostać się do domu. Tam będzie bezpieczna. Pragnęła znaleźć się jak najdalej od tego straszego miejsca...

Powlokła się przed siebie, z trudem odnajdując drogę, omijając wyrwy pozostawione w ziemi przez korzenie dębów. Bardzo uważała, by nie ześlizgnąć się w jedną z rozpadlin - bała się, że mogłaby spaść tam, gdzie znajdował się Cassidy.

Dni sądu ostatecznego - pomyślała. - Dzień sądu dla nas wszystkich.

Och, Seth, jakże mi przykro. Powinam ci była zaufać. Powinam ci wierzyć i być razem z tobą.

Brnęła przez szpaler powalonych teraz na ziemię drzew, wspinając się na pnie i osłaniając twarz przed bijącymi ją po oczach gałęziami. Uzmysłowała sobie, że teraz, w ciemnościach, nigdy nie zdoła odnaleźć drogi powrotnej do miasta. Musiała jednak tam wrócić. Musiała zobaczyć się z Sethem i powiedzieć mu...

Zamarła nagle w bezruchu, słysząc jakieś dziwne dźwięki.

- Proszę... - wyszeptała.

Tuż obok niej zatrzeszczały gałęzie. Poczowała, że strach chwyta ją za gardło. Po chwili jednak pojęła, jakie musi być źródło tych dziwnych hałasów. Z ulgą zamknęła oczy. Potem pokuśtykała w stronę, skąd dochodziły owe odgłosy. Kasztanek stał spokojnie wśród powyrywanych z korzeniami drzew.

- Dobry koń, piękny konik - wyszeptała, chwytając uzdę.

Nagle ziemia zadrżała ponownie. Koń szarpnął się do tyłu, Laurel jednak trzymała wodze mocno. Ponownie opanowało ją przerażenie. Chciała krzyknąć, ale nie mogła już wydobyć z siebie głosu. Pozostawało jej tylko bierne czekanie na śmierć.

Wkrótce jednak wszystko znowu ucichło. Ziemia znieruchomiła. Kasztanek dyszał ciężko i drżał na całym ciele. Laurel zdała sobie sprawę, iż ścisnęła uzdę tak mocno, że otarła sobie ręce aż do krwi. Nie mogła wprost uwierzyć, że wciąż żyje.

Wtuliła twarz w końską grzywę i rozplakała się.

Kiedy Seth odzyskał przytomność, pierwszą jego myślą było to, że umarł i trafił do piekła. Słyszał jęki torturowanych oraz woń dymu i ognia. Niepokoiło go, że nic nie widzi. Czyżby oślepl? Kiedy jednak otarł dłonią oczy, poczuł na palcach coś lepkiego i wilgotnego, i domyślił się, że twarz ma zalaną krwią. Jakiś kamień rozciął mu skórę na czole. Skaleczone czoło bolało, rana obficie krwawiła, w żadnym razie jednak nie robiła wrażenia śmiertelnej. Seth usiadł ostrożnie, otrzepując się z pyłu i sprawdzając, czy nie ma połamanych rąk i nóg. Kręciło mu się w głowie, tak że przez chwilę miał wrażenie, iż zaraz zemdleje.

Na szczęście uczucie słabości szybko minęło. Otarł twarz z krwi i rozejrzał się wokół.

Ciemności nocy rozjaśniał jakiś pomarańczowy blask, w powietrzu unosiły się kłęby dymu i tumany kurzu. Seth ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że to nie więzienie płonie, lecz świat na zewnątrz...

Mężczyzna z trudem podniósł się z podłogi i na czworakach ruszył przez piętrzące się w celi kupy gruzu. Nagle jego dłoń natrafiła na czyjeś ciało. Seth pomyślał, że niespodziewana śmierć dosięgnęła jednego ze współwięźniów, w tym samym momencie jednak usłyszał głośny jęk i człowiek zaczął gramolić się na kolana. Był to ten sam potężnie zbudowany mężczyzna, który rozmawiał z nim wcześniej. Robił wrażenie oszołomionego, ale wyglądało na to, że nie został nawet draśnięty. Seth pomógł mu wstać i kuśtykając powiodł ku rozwalonej ścianie. Mogli wydostać się z pułapki.

Seth zauważył jeszcze trzech innych więźniów. Pozostali albo zdążyli już wydostać się z celi, albo leżeli bezradnie, uwięzieni pod stertami gruzu. Gdzieś we wnętrzu budynku ktoś krzyczał przeraźliwie, powietrze wibrowało odgłosem bijących na alarm dzwonów. Seth zawahał się. Próbował uspokoić oddech i zebrać myśli. Laurel. Musi odnaleźć Laurel. A także panią Sophie i Caroline... Świat oszalał, ludzie wrzeszczeli jak opętani, wzywając pomocy i jęcząc w agonii.

Z jednej strony korytarz blokowało rumowisko cegieł ze zburzonej ściany. Tędy nikt nie zdołałby się przedostać. Za to w drugim jego końcu ziała olbrzymia wyrwa w murze. Była tak duża, że bez trudu mógłby przejechać tamtędy wyładowany wóz. Seth przedostał się przez nią, tylko po to, by znaleźć się wśród jeszcze większego rumowiska.

Więźniowie z sąsiedniej celi mieli znacznie mniej szczęścia od niego. Kilku przywaliły ciężkie prycze, inni zostali ranni, miotając się rozpaczliwie, kiedy wybuchła panika. Szarpali teraz kraty, uderzając w nie drewnianymi nogami połamanymi prycz i wzywając pomocy przez okno. Na widok

przechodzącego Setha wyciągali ramiona, próbując schwycić go za ubranie. Seth wyrwał się im jednak. Utykając skierował się w stronę, skąd dobiegał stłumiony jęk. W drzwiach oddzielających cele od biur policji pod kupą gruzu leżał jakiś mężczyzna. Seth uklęknął przy nim. To był szeryf Henderson. Jego ściągniętą bólem twarz pokrywał biały pył. Mimo wszystko rozpoznał Setha.

- Moja kieszeń - szepnął. - Klucze do cel. Weź je.

Seth spróbował unieść belkę, która uwięziła szeryfa.

- Nie! - krzyknął Henderson, łapiąc go za ramię. - Ten budynek może się w każdej chwili zawalić. Więźniowie tkwią tutaj jak w jakiejś piekielnej pułapce. Do diabła, weź klucze!

Seth zawahał się i w tym samym momencie poczuł, że ziemia zaczyna drżeć znowu. Pochylił się nad Hendersonem, słysząc ogłuszający rumor. Zdawało się, że sufit runie prosto na nich. Wspierające go belki łamały się jak zapalki. Po chwili drżenie ustało, a przerażone krzyki więźniów jeszcze przybrały na sile. Seth popatrzył na Hendersona, sięgnął do jego kieszeni i odnalazł klucze. Potem pośpieszył otworzyć wszystkie cele.

Nie wiedział, jak wielu więźniów zdołało ocaleć i wydostać się na wolność. Ziemia znów zadrżała, budynek począł się walić, zanim większość z nich zdążyła go opuścić. Z trudem utrzymując równowagę, Seth wrócił do Hendersona. W oczach szeryfa zobaczył zdumienie.

- Jesteś... jesteś szalony. Uciekaj stąd.

Napinając wszystkie mięśnie, Seth uniósł nieco belkę, pod którą leżał szeryf Henderson.

- Twoje nogi, możesz nimi poruszać?

- Nie bądź głupi, człowieku. Jeszcze jeden wstrząs i ten gmach przestanie istnieć. Uciekaj stąd, póki jeszcze możesz.

Z największym wysiłkiem Seth przesunął belkę. Szeryf poruszył się z trudem, próbując uwolnić nogi z pułapki.

- Pośpiesz się! Nie dam rady... - Na czoło wystąpiły mu krople potu. -
Zaraz! Jeszcze troszeczkę... O Boże! Udało się!

Seth puścił belkę.

Szeryf z trudem podniósł się z ziemi, wspierając się o framugę drzwi. Obaj mężczyźni dyszeli ciężko. W końcu Henderson uniósł głowę. Przez długą chwilę patrzył Taitowi prosto w oczy.

- Wynośmy się stąd - powiedział wreszcie.

Laurel obudziła się, słysząc głośny pisk i przez moment miała wrażenie, iż umarła i dostała się do nieba zamieszkałego przez gromady rozbawionych wiewiórek. Powoli otwierała oczy. Na przewróconym drzewie, którego korona wspierała się pod dziwnym kątem na dwóch innych dębach, trzy szare wiewiórki niezadowolonymi głosami obwieszczały światu swoje oburzenie na panujące wokół nieporządki. Laurel usiadła z trudem, czując ból we wszystkich kościach i przez chwilę przyglądała się zwierzętom. Wiewiórki zaniepokojone nagłym ruchem schowały się wśród gałęzi, wciąż popiskując. Laurel dźwignęła się ciężko na nogi i rozejrzała wokoło ze zdumieniem. Wyrwane z korzeniami drzewa leżały przemieszane z odłamkami wyrzuconych z głębi ziemi skał. Wydawało się, że świat stanął na głowie i Laurel pomyślała ze zdumieniem, że wciąż żyje.

Wspomnienia z ostatniej nocy powracały do niej jak senny koszmar. Ostrożnie prowadziła konia, bojąc się, że kopyto wpadnie mu do jednej z licznych rozpadlin albo nawet zwierzę złamie nogę. Noc była zupełnie ciemna i przerażająco cicha, wyjąwszy ową chwilę, kiedy ziemia zatrzęsała się znowu, przewracając ją i przysypując kamieniami i gałęziami.

W pewnym momencie Laurel zorientowała się, że zgubiła drogę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był przerażający wstrząs i to, że objąwszy głowę ramionami, przerażona zwinęła się w kłębek, postanawiając, że nie zrobi ani kroku więcej. Sama nie wiedziała, kiedy zasnęła, by obudzić się dopiero rano.

Była bardzo obolała. Chciało jej się pić, kręciło jej się w głowie, ale mimo wszystko wciąż żyła. Usłyszała podzwanianie uprząży. Jej koń stał nie opodal miejsca, gdzie go w nocy zostawiła i spokojnie skubał trawę. Pełna dziur, zasłana konarami i korzeniami droga do miasta znajdowała się mniej więcej w odległości stu stóp od niej.

Musiała wracać do Charlestonu. Ranek był tak cichy i pogodny, że wydawało się, iż wystarczy zamknąć oczy, by uwierzyć, że nic w ogóle się nie stało. Ptaki zaczęły już odbudowywać swoje gniazda, wiewiórki zajęły się szukaniem pożywienia. Ale czy Charleston ocalał? Czy nocne wstrząsy zniszczyły miasto? A jeśli tak, to co stało się z Caroline, Sophie i... z Sethem? Czy jej mąż przeżył?

- Och, Boże, spraw, żeby był cały i zdrow.

Jak poradziły sobie Caroline i Sophie? Kto się nimi zajął? Muszą być pewnie straszliwie przerażone. Powinna szybko dostać się do nich, a potem odszukać Seta.

Wyprowadziła kasztanka na drogę i walcząc z obolałym ciałem, wspięła się na siodło. Ostrożnie ruszyła w stronę Charlestonu.

- Jedź, koniku. Wracajmy do domu... Jeżeli mamy jeszcze dom.

ROZDZIAŁ 17

Późnym popołudniem Laurel dotarła do miasta. Zniszczenia, jakich dokonało trzęsienie ziemi, widoczne były na każdym kroku. Zwalone ściany domów leżały na ulicach, płyty chodnikowe były popękane. Przed zrujnowanymi budynkami siedziały całe rodziny. Pakowały w tobołki z derek i koców skromny dobytek, jaki udało im się ocalić. W mieście panowało potworne zamieszanie. Czasami przez ogólny tumult przebijały się okrzyki rozpacz i cierpienia - to jacyś ludzie znajdowali pod gruzami ciała swych bliskich.

Wszystko to wygląda jak scena z biblijnej Apokalipsy - pomyślała z przerażeniem Laurel, prowadząc ostrożnie konia wśród ruin.

Nie była to pierwsza plaga, jaka dosięgła Charleston. Wcześniej miasto przeżyło wojnę i cyklon w roku osiemdziesiątym piątym. A teraz to...

Dwukrotnie zatrzymywała się, by napić się wody i napoić konia. Za drugim razem stary mężczyzna, z którego studni brała wodę, nalegał, żeby przyjęła od niego także trochę jedzenia: kromkę kukurydzianego chleba i plaster szynki.

- Teraz - powiedział, kiedy wzbraniała się przed przyjęciem poczęstunku - to, co należy do mnie, należy także do moich sąsiadów. To jedyny sposób, byśmy wszyscy zdołali przeżyć tę tragedię.

Laurel z wdzięcznością zjadła kanapkę, bo nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Minęła niemal cała doba, odkąd po raz ostatni miała coś w ustach. Mężczyzna uśmiechnął się do niej, nakłaniając, by zsiadła z konia i odpoczęła chwilę. Niezależnie od tego, czy dom, do którego zmierzała, stał nienaruszony, czy też legł w gruzach, jej pośpiech nie mógł już niczego zmienić, był zatem zupełnie niepotrzebny.

Kiedy zapytała go, czy słyszał cokolwiek na temat domów stojących przy Broad i Meeting Street, starzec potrząsnął głową.

- Nic nie wiem o tamtej okolicy. Ciągle mamy bardzo mało informacji. Słyszałem tylko, że w całym mieście sytuacja wygląda niewesoło. Wszyscy spaliliśmy dzisiejszej nocy na ulicach. To najbezpieczniejsze miejsce na wypadek, gdyby ziemia znów się obudziła.

- Modłę się, żeby to był już koniec - westchnęła ciężko Laurel. - Myślę, że nie będzie już dalszych wstrząsów.

- Bóg jeden wie, czy to koniec, ale tak czy owak trzeba się cieszyć, że ocaleliśmy. Charleston podźwignie się z gruzów. Wie pani przecież, że zawsze tak się działo.

Laurel pokiwała głową. Ponownie dosiadła zmęczonego konia i ruszyła na Meeting Street.

Starzec miał pewnie rację: Charleston jak zawsze odrodzi się jak Feniks z popiołów. Ale jakim kosztem? Co stało się z ludźmi, których kochała, ludźmi, którzy tak bardzo potrzebowali jej opieki? A Seth... Tyle było rzeczy, których mu dotąd nie wyznała, a tak bardzo chciała teraz powiedzieć. Tak wiele wydarzyło się od chwili, kiedy obudziła się poprzedniego ranka w jego ramionach. Jednakże wtedy, gdy sądziła, że najgorsze ma już za sobą, czekały na nią kolejne nieszczęścia. Już w chwili aresztowania Setha, a nawet wówczas, gdy Cassidy mierzył do niej z pistoletu, żądając, by odkopała złoto - ów skarb, który przynosił ludziom tylko nieszczęście i w końcu przepadł na zawsze - miała nadzieję, że zobaczy Setha znowu. Teraz jednak...

Im bardziej zbliżała się do centrum, tym bardziej przerażające zniszczenia ukazywały się jej oczom. Stojące blisko siebie domy zawałając się, zniszczyły sąsiednie posesje. Z powodu zwałów gruzu ulice stały się nieprzejezdne i Laurel bez przerwy musiała zbaczać z drogi, tracąc cenny czas na szukanie jakiejś w miarę przejezdnej uliczki. W jednym miejscu wysoka wieża kościelna legła w gruzach, tarasując całą ulicę, chodnik zaś zasłany był setkami kolorowych

szkiełek z potłuczonych witraży, połyskujących w świetle popołudniowego słońca jak drogocenne klejnoty. Nie opodal leżał pęknięty kościelny dzwon oraz połamany krzyż, wieńczący niegdyś szczyt budowli.

Wzniesiony w głębi Meeting Street Hibernian Hall stał wciąż na swoim miejscu, choć z jego marmurowego portyku pozostał jedynie zaścielający ulicę gruz. Budynek, równie doskonały w swojej konstrukcji, jak klasyczna świątynia grecka, był dla Laurel zawsze symbolem Charlestonu. To, że przetrwał trzęsienie ziemi, dodało jej otuchy. Wkrótce odnajdzie swoją rodzinę. Kościół Świętego Michała także sprawiał wrażenie zupełnie nie naruszonego, co jeszcze bardziej podniosło ją na duchu. Starzec wypowiedział prorocze słowa: Charleston ocaleje, dźwignie się z gruzów.

Przecznicę dalej, na rogu ulic Broad i Meeting musiała zsiąść z konia i powoli przedzierać się przez rozgorączkowany tłum. Na ulicy pełno było policjantów, strażaków oraz członków ochotniczych oddziałów milicji. City Hall oraz budynek sądu zostały zniszczone jedynie w bardzo niewielkim stopniu.

Drżąc na całym ciele, Laurel skierowała się ku Main Station, gdzie znajdowała się siedziba policji oraz więzienie. Tam właśnie zabrano Seta. Laurel sama nie wiedziała, o co powinna się modlić: czy o to, by Seth przeżył trzęsienie ziemi, siedząc w więzieniu, czy też raczej o to, by wykorzystując zamieszanie, zdołał uciec. Kiedy jednak zobaczyła zrujnowany budynek policji, serce zamarło jej z przerażenia. W tej sytuacji pozostawało tylko wierzyć, że Sethowi udało się w porę opuścić to miejsce.

Wielkie granitowe bloki, z jakich zbudowano ten gmach, popękały, tworząc w murach olbrzymie dziury. Takich zniszczeń nie zdołałaby pewnie dokonać nawet ciężka artyleria. Szyby w oknach były powybijane, a dach chwiało się niebezpiecznie.

- Och, dobry Boże! - szepnęła. - Seth.

Czy ktokolwiek mógł tutaj ocaleć? Czy ktoś został w środku? Zeskoczyła z konia i podeszła do na wpół zburzonego gmachu. Pilnujący więzienia policjant zastąpił jej drogę.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie mogę pani przepuścić. Nie może pani wejść do środka.

- Ale mój... mój mąż jest w więzieniu. - Popatrzyła na niego zrozpaczonym wzrokiem. - Muszę się z nim zobaczyć.

Policjant pokręcił głową.

- Tam go pani nie znajdzie. Więzienie zostało ewakuowane.

- Ewakuowane? - zapytała Laurel z nadzieją w głosie. - Zatem ludzie, którzy byli w środku... Nic im się nie stało? Dokąd ich zabrano?

Mężczyzna popatrzył na nią współczująco. Jego twarz pokrywał pył, oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, włosy zmierzwiłone, a mundur zakurzony i poplamiony. Biła od niego intensywna woń potu i spalenizny. Pomimo widocznego wyczerpania starał się być uprzejmy i pomocny.

- Muszę panią zmartwić, ale kilku więźniów zginęło. Sądzę jednak, że większość zdołała ocaleć.

Laurel czuła, że blednie.

- Czy wie pan... kto przeżył?

- Nie, proszę pani. Nie mam pojęcia. Jeszcze nie teraz. Jeśli przyjdzie pani tu jutro lub pojutrze...

Niespodziewanie pod Laurel ugięły się nogi. Zachwiała się. Policjant podtrzymał ją, chroniąc przed upadkiem.

- Czy dobrze się pani czuje? Słabo pani? Może powinna pani usiąść?

- Nie - szepnęła Laurel, po czym nieco silniejszym głosem dodała: - Nie. Dziękuję bardzo, nic mi nie jest. - Przez chwilę wspierała się na ramieniu mężczyzny, potem wyprostowała się zdecydowanie. Odetchnęła głęboko. - Gdzie jest szeryf? Czy mogłabym się z nim zobaczyć?

- Dowodzi oddziałami ochotniczej milicji. Nie widziałem go od ostatniej nocy.

- Ale nic mu się nie stało?

- Nic, proszę pani, choć, jak słyszałem, o mały włos nie zgi...

Urwał gwałtownie, najwidoczniej uznając, że lepiej będzie oszczędzić jej opowiadania szczegółów. Chrząknął zakłopotany.

- Może przynieść pani trochę wody? Jest pani bardzo blada.

- Nie, nie. Czuję się zupełnie dobrze. - Laurel jeszcze raz odetchnęła głęboko i podeszła do konia. - Muszę jechać do domu.

Nagle zatrzymała się, niespokojnie zagryzając wargi. - O ile mam jeszcze dom - wykrztusiła w końcu. - Czy słyszał pan cokolwiek o Lamboll Street?

- Nie, proszę pani, nie słyszałem. Wiem tylko, że na pewno nie dojedzie tam pani Broad Street.

Laurel ujęła konia za uzdę. Na ulicy było tak wiele dziur i gruzu, że jazdę mogła sobie wybić z głowy. Resztę drogi będzie musiała przebyć pieszo, prowadząc kasztanka za sobą.

- Dlaczego nie mogę tamtędy jechać? Co się stało?

- Budynek News and Courier zawalił się podczas trzęsienia ziemi, a granitowe płyty, z których go wzniesiono, zatarasowały ulicę, niszcząc przy tym wodociąg. Wszystko zalala woda. Służby miejskie od rana próbują coś z tym zrobić.

- Dziękuję - powiedziała Laurel nieco oszołomiona.

Skierowała się w stronę Ladson. Mijając kolejne przecznice, czuła, że z coraz większym przerażeniem stawia kroki. Serce zamierało jej wprost z niepokoju. Wszędzie wokół siebie widziała zrujnowane ogrody, poskręcane pręty metalowych ogrodzeń i furtek, zburzone kominy. Widziała ludzi wpatrujących się zrozpaczonym wzrokiem w swoje zniszczone domy, słyszała płacz kobiet i zawodzenie starców.

Szła coraz wolniej, z przerażeniem myśląc o tym, co za chwilę zobaczy. Seth. Seth prawdopodobnie nie żyje. Sophie i Caroline także mógł spotkać ten straszny los. Czy zdoła to znieść, jeśli straciła ich wszystkich?

Na rogu ulicy zatrzymała się i kilka razy odetchnęła głęboko, przygotowując się na najgorsze. Dom stał jednak na miejscu. Kominy co prawda zawaliły się, szyby w oknach popękały, a weranda była zniszczona. Z daleka wyglądało to tak, jakby pchnęła ją ręka jakiegoś olbrzyma. Dom jednak stał. Laurel puściła uzdę i pobiegła do furtki.

Otwierając ją, zobaczyła idącego ulicą sąsiada.

- Niech pani tam nie wchodzi, pani Laurel! - zawołał. - To może być niebezpieczne. Straż pożarna nakazała, żeby nie wracać do domów, zanim nie obejrzy ich jakiś strażak.

- Ale ciotka Sophie, Caroline...

- Nic im nie jest. Martwiły się tylko, że pani zginęła. Są w parku Battery.

- W parku? - Serce Laurel zaczęło bić nieco wolniej. A więc żyją!

- Owszem. Tam właśnie je widziałem. Przy namiotach rozstawionych dla ofiar trzęsienia ziemi. Znajdzie je pani bez trudu.

- Z pewnością szaleją z niepokoju - stwierdziła Laurel. Myśl o tym, jak bardzo przerażone, samotne i bezradne muszą być jej ciotka i kuzynka dodała jej sił. - Muszę dostać się do nich jak najszybciej.

- Nie ma sensu, żeby dalej wlokła pani ze sobą tego konia - poradził życzliwie mężczyzna. - Nasza stajnia ocalała, proszę więc pozostawić go u nas.

Laurel bez wahania oddała mu uzdę, nieomal zapominając o słowach podziękowania, i pośpiesznie ruszyła w stronę Battery.

Chyba śnię - pomyślała, kiedy w końcu tam dotarła. To, co zobaczyła, raczej przypominałoby cyrk lub karnawałową zabawę, gdyby nie przenikający wszystko smutek i cierpienie. W Battery powstało namiotowe miasteczko, po którym kręciły się setki, nie, tysiące ludzi. Większość podobnie jak Laurel rozglądała się nieustannie dokoła. Oni także szukali tutaj swoich bliskich.

Laurel nie miała pojęcia, co robić. Przepychała się alejką między namiotami, niemal niegrzecznie potrącając ludzi, przyglądając się twarzom, w nadziei że rozpozna kogoś w tym tłumie. Nagle poczuła, że ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu. Odwróciła się gwałtownie.

- Jak to dobrze, że nic się pani nie stało, pani Laurel - usłyszała.

- Pułkownik Boatwright! - Nieomal rozplakała się z radości na widok kogoś znajomego. - Wie pan może, co z Caroline i ciotką Sophie?

- Mają się dobrze - odparł. - Całkiem dobrze. Obie są w kuchni. To ten duży biały namiot z błękitną flagą.

- Dzięki Bogu! - wyszeptała. - Dzięki Bogu.

- Oczywiście, niemal oszalały z niepokoju o panią - dodał pułkownik. - Prosiły, bym zorganizował grupę, która spróbowałaby panią odnaleźć, ale to niemożliwe: musielibyśmy utworzyć takie grupy dla połowy mieszkańców Charlestonu. - Mężczyzna posmutniał ogarnięty ponurymi myślami. Po chwili jednak znów nieco poweselał. Wskazał na przypiętą do piersi wstążeczkę. - Jestem członkiem ochotniczej milicji. Pilnujemy porządku. Łapiemy szabrowników, pomagamy zagubionym dzieciom. Może pani mąż by nam pomógł? Zrobił na mnie wrażenie człowieka, który nie traci głowy z byle powodu.

Ból, jaki ją przeszył, musiał uwidocznic się na jej twarzy, ponieważ pułkownik Boatwright natychmiast pożałował swych słów.

- Tak mi przykro, pani Laurel. Czy on...?

Laurel pokręciła głową, starając się opanować ogarniającą ją słabość.

- Po prostu... nie mogę go znaleźć. Wciąż go szukam. Czy ktoś sporządził już listę ofiar? Obawiam się... - Z jej oczu popłynęły łzy. Płakała ze strachu, wyczerpania i bólu. Nie potrafiła się powstrzymać.

- Sądzę, że powinna pani poszukać go jeszcze w City Hall - poradził łagodnie pułkownik. - Będę zresztą tamtędy przechodził i jeśli tylko usłyszę coś o nim, dam pani znać. A teraz proszę iść do kuchni i wziąć sobie coś do

jedzenia. W razie czego odnajdę tam panią. Naprawdę, proszę się nie obawiać. Panu Taitowi na pewno nic się nie stało.

Laurel skinęła głową i odeszła.

Jakże mogło mu się nic nie stać? - pomyślała. - Jak ktokolwiek mógł przeżyć tę katastrofę?

Kuchnię urządzono w wielkim namiocie, wstawiając do środka wsparte na kozłach stoły. Sophie Sinclair i kilka innych kobiet nalewały właśnie do misek zupę, podając ją czekającym w kolejce znużonym ofiarom trzęsienia ziemi. Laurel zatrzymała się przy wejściu i w milczeniu obserwowała tę scenę. Sophie miała na sobie jedną ze swych najlepszych sukni. Laurel przypomniała sobie, że ostatniego wieczoru miało odbyć się spotkanie grupy modlitewnej. Zapewne, kiedy zaczęły się wstrząsy, Caroline i Sophie wracały właśnie z kościoła. Suknia Sophie była zakurzona i poplamiona, ciotka jednak zdawała się tym wcale nie przejmować. Swymi drobnymi, choć pulchnymi dłońmi z namaszczeniem napełniała miski, szepcząc przy tym słowa otuchy wszystkim podchodzącym do niej ludziom. Uwagę Laurel przykuło nakrycie głowy ciotki. Jej włosy kryła związana w turban chusta

- zwykle coś takiego nosiły tylko służące i robotnice na polach. Był to doprawdy zadziwiający widok: jej lekkomyślna ciotka stała spokojnie obok kotła z zupą. Była bardzo zapracowana, ale wcale nie przełknięta. Ku swemu zdumieniu Laurel stwierdziła, że Sophie wygląda tak, jakby odmłodziła o wiele lat.

Starsza pani podniosła wzrok i od razu zauważyła Laurel.

- Dzięki Bogu! - krzyknęła. - Dzięki Bogu. Pani Boatwright, czy byłaby pani tak miła, żeby dokończyć za mnie rozdawanie zupy? Muszę przywitać się z moją siostrzenicą. - Sophie obeszła stół dookoła i uściskała mocno Laurel. - Och, mój Boże. Sądziłyśmy, że nie żyjesz. Tak bardzo się martwiłyśmy. Kiedy Peter powiedział nam, że zostawił cię w Chinatree, obawiałyśmy się o twoje życie. Staralam się namówić milicjantów, by pojechali po ciebie, ale

powiedzieli, że mają za dużo roboty tu na miejscu. Och, dziecko... - tuliła ją do siebie, płacząc.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku - Laurel zacisnęła powieki, by pohamować napływające do oczu łzy. - Ja z kolei martwiłam się o ciebie.

- O mnie? O mnie? - Sophie popatrzyła na nią zdumiona, a łzy obeschły jej w jednej chwili. - Czemuż, u licha, miałabyś się martwić o mnie? Wiesz przecież, że kto jak kto, ale Sophie Sinclair potrafi sobie poradzić nawet w najtrudniejszych chwilach.

Laurel była zbyt zdziwiona, by móc odpowiedzieć cokolwiek.

- Bóg miał nas w swej opiece ostatniej nocy - ciągnęła ciotka.

- Poszliśmy pomodlić się za ciebie i Seta, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nagle, ledwie wyszliśmy z kościoła, ziemia poczęła drżeć. Pobieglyśmy z powrotem do świątyni i rzuciłyśmy się na podłogę. Och, myślałam, że serce mi pęknie! Ziemia trzęsa się strasznie mocno, ale ściany na szczęście wytrzymały. Potłuczone szkło sypało się na nas ze wszystkich stron. Wielki świecznik spadł prosto na posadzkę w głównej nawie. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. - Sophie umilkła, jeszcze raz przeżywając to wszystko we wspomnieniach. - To było straszniejsze od huraganu. Nigdy dotąd nie przeżyłam tak okropnej przygody - dodała nieomal z dumą. - Gdy tylko trzęsienie ziemi ustało, przyszyliśmy prosto tutaj. Spędziłyśmy tu całą noc, tak jak wszyscy. A rano zaczęłyśmy urządzać kuchnię. Kto mógł, poszedł do domu po jedzenie, naczynia i obrusy...

- Byłaś w domu?

Sophie zaczerwieniła się, spuszczać oczy.

- Za bardzo się bałam - przyznała się wstydliwie.

- Nie jest najgorzej - zapewniła ją pośpiesznie Laurel. - Zawalił się komin i popękały szyby w oknach, ale poza tym właściwie nic się nie stało. Gdzie jest Caroline? - zapytała, zmieniając temat. - Pracuje razem z tobą?

- Nie. Jest w szpitalu.

- W Roper Hospital? Czy została ranna?

- Nie w Roper - wyjaśniła Sophie. - Trzęsienie ziemi zniszczyło szpital w takim stopniu, że trzeba było ewakuować pacjentów. Prowizoryczny szpital założono tutaj, w jednym z namiotów. Caroline jest właśnie tam. Ale miewa się doskonale - dodała szybko. - Byłabyś zdumiona widząc, jak doskonale - zachichotała i rozejrzała się dookoła niespokojnie.

- Sądziłam, że pan Tait jest razem z tobą... Czy wstąpił do milicji? Nie powinien pozwolić ci przychodzić tutaj samej.

Laurel nie wiedziała, czy czuje ulgę, czy też niepokój, dowiadując się, że nikt nie widział Setha. Jeśli uciekł z więzienia, byłby głupcem pozostając tutaj. Od chwili zaś, kiedy, być może, odzyskał wolność, minęło tyle czasu, że mógł już odjechać bardzo daleko.

Och proszę, Boże, spraw, żeby jednak pozostał tutaj - modliła się Laurel. - Pozwól mi go zobaczyć choćby jeszcze tylko raz...

Z trudem przełknęła ślinę, starając się ukryć przed ciotką dręczący ją lęk.

- Ja... nie wiem, gdzie on jest. Rozdzieliliśmy się. Sophie poklepała ją po dłoni.

- Zostań tu ze mną, skarbie. Wiem, że twój mąż nie chciałby, żebyś włóczyła się w tym zamieszaniu po ulicach. Mężczyźni mają teraz dość roboty i bez martwienia się o bliskie im kobiety.

- Muszę... zobaczyć Caroline - powiedziała Laurel. - Chcę się upewnić...

- Pani Sophie, potrzebujemy pani tutaj - rozległ się jakiś znajomy głos. - Niech ktoś mi powie, czy te przeklęte herbatniki są już gotowe.

Laurel i Sophie odwróciły się jednocześnie i przy wejściu do namiotu ujrzały kobietę o słomianożółtych włosach.

- Panna Elsie? - zapytała z niedowierzaniem Laurel. Nie poznała jej od razu, ponieważ tym razem właścicielka domu publicznego nie miała ostrego makijażu.

- O, pani Laurel... A może powinnam powiedzieć, pani Tait? -
uśmiechnęła się. - Trzęsienie ziemi owocuje przedziwnymi spotkaniami.
Sophie ze zdumieniem popatrzyła na siostrzenicę.
- Znasz ją?
- Spotkałyśmy się kiedyś - odrzekła wymijająco Laurel. - Co ona tu robi?
- Proszę wejść, panno Elsie. - Sophie zaprosiła kobietę do środka, po
czym nachyliwszy się do Laurel, dodała szeptem: - Przyniosła nam mnóstwo
jedzenia... Ofiarowała także wszystkie swoje prześcieradła na potrzeby szpitala.
Sama zaś, wraz ze swoimi... „przyjaciółkami”, zajęła się kuchnią. - Starsza dama
uniosła ręce w obronnym geście. - Cóż innego mogłyśmy zrobić, jak tylko
zgodzić się na to, skoro chwila jest tak niezwykła?

- Pani Sophie - rozległ się ten sam głos, tym razem jednak brzmiało w nim
zniecierpliwienie.

- Muszę iść - oświadczyła Sophie. - Te kobiety w kuchni nie odróżniają
pudru od mąki. Tylko ja jestem w stanie pokierować ich pracą. Laurel, biegnij
zobaczyć się z Caro.

Laurel, wciąż oszołomiona, udała się posłusznie na poszukiwania namiotu
szpitalnego. Jeśli Seth został ranny, być może znajdował się właśnie tam.

- Czy Caroline Sinclair jest tutaj? - zapytała Laurel zmęczoną
pielęgniarkę, która właśnie wychodziła z namiotu.

- Jest z doktorem Broussardem - usłyszała w odpowiedzi. - Doktor ma
tymczasowy gabinet na tyłach szpitala.

Z sercem ściśniętym niepokojem Laurel pośpiesznie poszła we
wskazanym kierunku. Weszła do gabinetu lekarza akurat w chwili, kiedy
współczującym gestem poklepywał Caroline po ramieniu.

- Och, pani Laurel, dzień dobry! - zawołał na powitanie. - Właśnie
mówiłem pani młodej kuzynce, że potrzebuje trochę odpoczynku, ona jednak
nawet słyszeć nie chce o przerwaniu pracy.

Na widok Laurel twarz Caroline rozjaśniła się. Obie kobiety padły sobie w ramiona, ściskając się serdecznie.

- Żałuję, że nie mogę zatrudnić pani kuzynki na stałe - oświadczył lekarz.
- Jest urodzoną pielęgniarką.

- To dlatego, że sama wiem, co to znaczy być chorą - odparła Caroline nieco nieśmiało, niechętnie wypuszczając Laurel z objęć.

- Spisuje się pani doprawdy wspaniale - zapewnił Broussard. Wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek. - Jestem tutaj już od północy. Chyba pójdę teraz poszukać żony i dzieci, i razem z nimi coś zjem, o ile pani Sophie pozostały jeszcze jakieś zapasy.

- Zostały - zapewniła go Laurel.

- Pożegnam więc teraz panie i pójdę tam. Panno Caroline, naprawdę proszę usiąść i odpocząć.

- Dobrze. Zrobię to, gdy tylko wygotujemy prześcieradła - powiedziała Caroline.

Lekarz z rezygnacją machnął ręką i pokręcił głową.

- Jest pani doprawdy niepoprawna.

Laurel z niepokojem przyjrzała się sińcom pod oczyma kuzynki.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną, moja droga. Musisz chwilę odpocząć.

- Czuję się świetnie. Wręcz cudownie. Im więcej jest do zrobienia, tym więcej przybywa mi sił. Właśnie teraz szukamy dużych kotłów, takich jakich Lacey używa do robienia mydła. Musimy zagrzać wodę i wyprać zabrudzone prześcieradła i ręczniki. Powinny być całkowicie sterylne, pielęgniarki zaś... Cóż, są bardzo zajęte przy pacjentach. Zobowiązałam się, że...

- Tak się cieszę, że cię widzę, Caroline. Ogromnie się o ciebie martwiłam.

- Ze mną wszystko w porządku, ale ty, biedactwo, nie wyglądasz najlepiej. Jadłaś już? Coś mi się wydaje, że nie.

Ujmując Laurel za rękę, Caroline popchnęła ją w stronę wiszącego prześcieradła, które zastępowało parawan.

- Pozwól, że obmyję ci twarz, a później wyślemy kogoś po jedzenie dla ciebie...

Głęboko wstrząśnięta przemianą, jaka zaszła w Caroline, Laurel bez protestów pozwoliła kuzynce umyć sobie twarz i dłonie.

- A gdzie pan Tait? - zapytała Caroline. - Pewnie wstąpił do milicji? Laurel z trudem powstrzymywała łzy.

- Nie wiem. Rozdzieliliśmy się w Chinatree. Szukam go i szukam. Może jest ranny... albo nawet gorzej.

W oczach Caroline pojawiło się współczucie. Szybko się jednak opanowała, próbując dodać kuzynce otuchy.

- Cóż, tutaj go nie ma - powiedziała. - Z pewnością nie figuruje na liście pacjentów. Mimo wszystko jestem pewna, że nic mu się nie stało. Zapewne szaleje z niepokoju, szukając ciebie.

- Sama nie wiem - Laurel nie zdołała stłumić łkania. - Och, Caro, jestem taka przerażona,

Caroline otoczyła Laurel ramieniem, przytulając głowę kuzynki do piersi.

- Uspokój się, kochana. To głupota od razu myśleć, że stało się coś złego. Pan Tait z pewnością potrafi dać sobie radę nawet w najtrudniejszych warunkach. Na pewno nie byłby zadowolony wiedząc, że tak bardzo martwisz się z jego powodu. Wiem, jak ogromnie go kochasz i rozumiem twój lęk, ale rozchorowanie się ze zmartwienia nic ci nie pomoże. On także cię kocha, więc na pewno cię odnajdzie, gdy tylko będzie to możliwe.

Laurel podniosła na Caroline zapuchnięte od płaczu oczy.

- Naprawdę myślisz... że mnie... kocha?

- Oczywiście, że tak. Wiedziałam to już wówczas, kiedy po raz pierwszy wszedł do naszego salonu. I ty także go kochasz, to widać. Jesteś po prostu zbyt uparta, by się do tego przyznać, ale z pewnością tak właśnie jest.

- Kocham go - powiedziała miękko Laurel. - Boję się jednak, że może być już za późno, żeby mu o tym powiedzieć.

- Daj spokój, nie myśl tak. Nie wolno ci tak mówić, Laurel Sinclair Tait. Myślenie o najgorszym nic tu nie pomoże. Powinniśmy wierzyć, że wszystko będzie dobrze. - Caroline podniosła się z miejsca i energicznie klasnęła w dłonie. - A teraz, skoro nie masz zamiaru nic jeść, bierzmy się do roboty - powiedziała, przypatrując się kuzynce. - Pomożesz mi.

- Zrobię, co tylko zechcesz, Caroline - odrzekła posłusznie Laurel. Obie kobiety popatrzyły sobie w oczy i uśmiechnęły się.

- Czy to nie cud? - powiedziała Caroline. - Teraz to ja opiekuję się tobą. A także... Peterem.

- Peterem! - Laurel uświadomiła sobie, że nawet do głowy jej nie przyszło, żeby zapytać o Petera. - Czy wszystko z nim w porządku?

- Jest tu, w szpitalu. Och, Laurel, to było straszne. Pomagał ewakuować pacjentów ze szpitala i jedna ze ścian zawaliła się prosto na niego. Został uwięziony pod gruzami i nie mógł się stamtąd wydostać.

- Czy jest ciężko ranny?

- Ma złamaną rękę i kilka żeber. Bolesne, ale nie niebezpieczne. Kiedy jednak zobaczyłam, jak sanitariusze przynieśli go tutaj na noszach... Był taki blady. Wiele rzeczy stało się dla mnie w tym momencie jasne. Musiałam przeżyć aż tak wielki wstrząs, by uświadomić sobie, co jest dla mnie ważne. Ty, mama i Peter... oraz oczywiście pan Tait, oto co naprawdę liczy się dla mnie w życiu. Moja rodzina.

Laurel znowu poczuła łzy pod powiekami, usiłowała się jednak uśmiechnąć.

- Nie potrzebujesz mnie, Caro. Zawsze sądziłam, że jest inaczej, ale myliłam się. Znacznie lepiej dajesz sobie radę beze mnie. I taka jesteś teraz z siebie dumna.

- Twój mąż... pan Tait powiedział mi kiedyś to samo - Caroline nieśmiało podniosła głowę. - Wtedy nie rozumiałam go, ale teraz wiem, o co mu chodziło. - Chwyła Laurel za rękę. - Pójdiesz zobaczyć się z Peterem? Nie

powiedział mi, co wydarzyło się wczoraj w Chinatree, a ja wcale nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć. Zauważyłam jednak, że wrócił stamtąd wprost chory ze zmartwienia. Obwinił siebie o to, że zostawił cię samą. Proszę, chodź Laurel. Ucieszy się na twój widok.

Szły powoli pomiędzy pryzkami i materacami, zatrzymując się co chwila, ponieważ każdy z pacjentów miał coś do powiedzenia Caroline, która cierpliwie odpowiadała na powitania i spełniała wszystkie prośby.

- Dzień dobry, panno Caroline.

- Czy miała już pani jakieś wieści od mojej żony?

- Proszę dać mi trochę wody...

- Wychodzę już ze szpitala, panno Caroline. Dziękuję pani...

Peter leżał w części szpitala przeznaczonej dla łżej rannych. Jego materac ułożono bezpośrednio na ziemi, ponieważ prycze oddano bardziej potrzebującym. Poparzoną twarz miał zabandażowaną, a rękę unieruchomioną w gipsie. Siedział oparty o ścianę, bardzo blady i wyczerpany. Jego oczy zalśniły jednak na widok Laurel.

- Dzięki Bogu! - zawołał, wyciągając ku niej rękę. - Nie umiem nawet powiedzieć, jakże się cieszę, widząc cię całą i zdrową! - Mocno uściśnął jej dłoń, a potem popatrzył na Caro. - Doprawdy jesteś cudotwórczynią.

Caroline uśmiechnęła się, uklękła przy nim i otarła mu czoło gestem tak czułym, że każdy by zauważył, iż jest to gest zakochanej kobiety.

- Wiedziałałam, że jej widok będzie dla ciebie najlepszym lekarstwem.

- Nie - uśmiechnął się w odpowiedzi Peter. - Najlepszy lek otrzymałem już wcześniej.

Caroline zaczerwieniła się. Wstała pośpiesznie.

- Mam jeszcze wiele pracy, staraj się odpoczywać, Peterze. Zostawiam go w twoich rękach, Laurel.

Laurel przysiadła na brzegu materaca. Obydwoje odprowadzili Caroline wzrokiem.

- Jest wspaniała, prawda?
- O, tak - przyznała Laurel. - Sama nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo.
- Kocham ją i tym razem wszystko między nami układa się tak, jak powinno - powiedział nieśmiało Peter.
- Chyba masz rację - Laurel uśmiechnęła się z przymusem.
- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - zapytał ochryple po chwili, spuszczać głowę.
- Nie mówmy lepiej o wczorajszym dniu - odrzekła spokojnie. - To było tak dawno temu. Od tego czasu minęła już cała wieczność.

Palce mężczyzny zacisnęły się na jej dłoni. Laurel bezskutecznie próbowała uwolnić swoją rękę.

- Muszę z tobą o tym pomówić. Jediną rzeczą, jakiej bałem się od chwili, kiedy to wszystko się wydarzyło, było to, że umrę albo... albo że ty zginiesz, zanim będę mógł ci powiedzieć... jak bardzo się myliłem. Sądziłem, że postępuję słusznie - powiedział ze skruchą. - Teraz jednak wiem, że chciałem pojmać Taita tylko dlatego, że ty, Caro i pani Sophie tak bardzo go polubiłyście. Śledzenie go sprawiało mi przyjemność. Przerazało mnie to, że tak bardzo różnił się od ludzi, których znałem. Ostatniej nocy pojąłem, że nie miałem racji. - Jeszcze silniej zacisnął palce na jej dłoni, zmuszając, by na niego popatrzyła. - Seth Tait był jednym z ludzi, którzy uwolnili mnie spod zawałonej ściany - powiedział cicho.

Laurel westchnęła głęboko i zagryzła wargi, zanim jednak zdążyła się odezwać, Peter mówił dalej:

- Nie tylko mnie pomógł. Uratował jeszcze dziesiątki innych ludzi. Szeryf Henderson powiedział, że Tait był jednym z najtrzeźwiej myślących ludzi w ekipie ratowniczej. Kierował akcją niesienia pomocy i wszyscy bez słowa protestu wypełniali jego polecenia...

- Gdzie on jest? - zapytała szeptem Laurel. - Myślałam, że zginął... Och, proszę, jeśli tylko wiesz...

- Pojechał cię szukać - Peter z wolna pokręcił głową. - Opuścił miasto. Nie wiem, co się z nim stało potem, kiedy wyciągnął mnie spod zwałów gruzu. Powiedział... kazał mi, żebym... jeśli on nie... i jeśli zobaczę cię pierwszy, żebym przekazał ci, że... że on cię kocha.

Laurel czuła, jak opuszcza ją napięcie. Otarła dłonią twarz. A więc żył! I kochał ją!

- Muszę go odszukać, Peterze - powiedziała, zrywając się z ziemi.

- Rozumiem. Gdyby to tylko było możliwe, pomógłbym ci.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Dziękuję.

Pożegnała się i skierowała w stronę wyjścia. Szła szybko, ostrożnie jednak omijała posłania, na których leżeli ranni.

- Proszę pani! Proszę tu podejść!

Odwróciła się i zobaczyła tego samego policjanta, którego spotkała rano przed gmachem policji. W ręku trzymał jakiś papier.

- Czy to nie pani szukała swego męża?

- Tak - Laurel natychmiast przysunęła się do niego. - Czy ma pan o nim jakieś wieści?

- Dopiero zaczęliśmy się zajmować tą sprawą - odparł policjant - Tu na tej kartce mam listę wszystkich więźniów i próbuję kolejno ustalić, co się z nimi stało. Sprawdzamy szpitale, a także inne miejsca, ale nie należy oczekiwać, byśmy przed upływem dwóch dni zdołali zgromadzić wszystkie informacje na temat ludzi znajdujących się na tej liście. Wczoraj w nocy w więzieniu było około trzydziestu więźniów, my zaś, jak na razie, możemy się doliczyć zaledwie połowy. Byłbym wdzięczny, gdyby zerknęła pani...

Laurel sięgnęła po spis.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy czytała kolejne nazwiska. „Zaginioni: Wilson, Carver, Shackelford...” i jeszcze inni. Nie było jednak wśród nich ani Taita, ani Brady'ego. Czy to możliwe? W oszołomieniu zerknęła na kolejną kolumnę. „Ranni: Hartford, Wilshire, Kresge, Hammond...” Wreszcie popatrzyła

na ostami rząd nazwisk: „Zidentyfikowane ofiary śmiertelne: Hamilton Harvey, Johnson Willy, Brady Peach...”

„Brady Peach”.

- Puściliśmy wszystkich więźniów wolno - oświadczył policjant. - Mam nadzieję, że ludzie to zrozumieją. Nie mogliśmy trzymać ich w zamknięciu podczas trzęsienia ziemi. Otworzyliśmy cele i dzięki temu większość z nich ocalała życie. Oczywiście, nie ponosimy odpowiedzialności za to, co stało się z nimi, kiedy już opuścili mury więzienia...

Laurel wypuściła listę z rąk, pozwalając, by wolno opadła na ziemię.
„Brady Peach”.

- Czy coś się stało, proszę pani? Bardzo mi przykro... Czy mógłbym coś dla pani uczynić?

Laurel popatrzyła na niego nie widzącym spojrzeniem.

Odwróciła się i pośpiesznie zaczęła iść przed siebie. Ktoś dotknął jej ramienia, ktoś inny próbował ją zatrzymać, ale stanowczo odepchnęła jego rękę. Wyszła z namiotu i na powrót znalazła się w powodzi słonecznego światła. Szła przed siebie, ani na chwilę się nie zatrzymując.

ROZDZIAŁ 18

TRZĘSIENIE ZIEMI - głosił gazetowy nagłówek. - OGROMNE ZNISZCZENIA W CHARLESTONIE. Pod artykułem widniał podpis: Peter Barton.

Na drugiej stronie, znacznie mniejszym drukiem zamieszczono notatkę zatytułowaną: „Poszukiwany od dawna przestępca zginął podczas trzęsienia ziemi”. Także i ten tekst był autorstwa Petera.

„Peach Brady, słynny bandyta z Zachodu, został zatrzymany w ostatni czwartek przez policję i umieszczony w charlestońskim więzieniu. Oczekiwał tam ekstradycji do swego rodzinnego Wyoming, w którym to stanie dopuścił się licznych napadów na pociągi, banki i hodowle koni. Kwadrans po dziewiątej, kiedy nastąpił pierwszy wstrząs, cele więzienne zostały otwarte i wielu aresztantów, w tym Brady, uciekło. Znany przestępca niedługo jednak cieszył się wolnością - krótko później widziano go zabitego pod zawałoną ścianą domu przy Meeting Street. Został pochowany w zbiorowej mogile wraz z innymi ofiarami kataklizmu. W czasie trzęsienia ziemi w charlestońskim więzieniu przebywało około trzydziestu osób. Trzy z nich zginęły wewnątrz budynku, przysypane gruzem. Śmierć Brady'ego zwiększa liczbę zabitych więźniów do czterech”.

Zapadał zmrok. Laurel siedziała na werandzie, bujając się w fotelu na biegunach. Wzrok miała utkwiony w leżącej na kolanach gazecie. Było już zbyt ciemno, aby czytać, ale nie miało to dla niej znaczenia. Znała słowa tego artykułu na pamięć.

Od trzęsienia ziemi minął już tydzień, ale dopiero teraz gazety zaczynały ukazywać się regularnie. Przez ostatnie siedem dni świat wiedział o charlestońskiej tragedii tylko tyle, ile napisał o niej Peter.

Teraz sytuacja zaczynała wracać do normy. Dwa dni temu Sophie udało się wynająć kilku robotników do usunięcia gruzu z posesji. Chciały jak najszybciej zamieszkać z powrotem w swoim domu. Wprawdzie deszcz zniszczył salon, a okna zaklejono woskowanym papierem, ale nadal był to ich dom.

Laurel jednak nie czuła się tu już jak kiedyś. Caroline i Sophie nie potrzebowały jej dłużej - być może zawsze zresztą tak było. Przez ostatni tydzień pokazały, jak świetnie dają sobie radę same, jeśli tylko wymaga tego sytuacja. Caroline nadal spędzała długie godziny w szpitalu, ciotka zaś zajmowała się szukaniem noclegów i odzieży dla ofiar trzęsienia ziemi, organizując w tym celu specjalny komitet pomocy. To ona także dozorowała robotników naprawiających dach domu, dzięki czemu mogły wrócić na Lamboll Street. Laurel nie była w stanie zająć się czymkolwiek - mogła tylko kołysać się w fotelu i wspominać.

Myślała o Chinatree i o tym, jak Seth wyjawiał jej prawdę o sobie... Przypomniała, jak zachęcał ją do odbudowania tego miejsca i założenia hodowli koni. Wtedy śmiała się z tego pomysłu, teraz jednak sądziła, że gdyby jej mąż żył, rzeczywiście mogliby spróbować to zrobić. Mogliby zacząć wszystko od nowa. Teraz jednak potrafiła myśleć jedynie o przeszłości. Była zbyt zrozpaczona, by wierzyć w jakąkolwiek przyszłość. Na to już zresztą było za późno.

- Laurel, kochanie - powiedziała Sophie, stając w drzwiach za jej plecami.
- Chodź, musisz coś zjeść. Siedzisz tak już przecież od wielu godzin.

- Dziękuję, ciociu, nie jestem głodna.

- Ależ musisz jeść, kochanie - upierała się Sophie. Wyszła na werandę i z niepokojem przyjrzała się siostrzenicy. - Nie możesz całymi dniami siedzieć tutaj i rozpaczać. Pan Tait z pewnością by sobie tego nie życzył.

- Z pewnością - zgodziła się Laurel, uśmiechając się słabo. Wiedziała, że ciotka ma rację. Głupotą było przesiadywanie na werandzie i rozpamiętywanie,

jak mogłoby wyglądać życie, gdyby nie śmierć Setha, oraz ciągle wspomnianie czegoś, co trwało przecież tak krótko. Nie miała jednak sił na nic innego. Jeszcze nie teraz.

Na ulicy zaturkotały koła powozu. Obie kobiety odwróciły się jednocześnie. Lamboll Street dopiero co uprzątnięto z gruzu, czyniąc ją na powrót przejezdną, dlatego też każdy pojawiający się pojazd budził zaciekawienie.

- Wszelki duch... A któż to taki? - zdumiała się Sophie, kiedy powóz zatrzymał przed ich frontową bramą. - I to w porze kolacji! Któż to może być?

Laurel zmarszczyła brwi i wyprostowała się nagle. Było w tym wielkim, luksusowym, zamkniętym powozie coś znajomego. Ale przecież tylko jedna osoba w mieście miała podobny pojazd...

Powoli wstała z miejsca, po raz pierwszy od tygodnia czując się czymś zaciekawiona. W tej samej chwili drzwi powozu otworzyły się i wysiadł z niego Peter. Rękę wciąż miał w gipsie, ale poza tym był całkowicie zdrowy. Pośpiesznie ruszył w ich stronę.

- O mój Boże, zdaje się, że będę musiała nakryć do stołu jeszcze dla jednej osoby. Mam nadzieję, że wystarczy nam jedzenia... - powiedziała ciotka i odwróciwszy się, pośpieszyła do kuchni.

- Peter! - wykrzyknęła ze zdumieniem Laurel. - Czy to nie powóz panny Elsie? Cóż ty w nim robisz?

Mężczyzna uściskał jej dłoń i pochylił się, żeby pocałować przyjaciółkę w policzek.

- Pożyczyła go nam...

- Nam? Kogo tu ze sobą przywiozłeś? I co, u licha, sprawiło, że zgodziłeś się pożyczyć powóz od właścicielki domu publicznego?

Drzwi po drugiej stronie pojazdu otworzyły się i Laurel ujrzała wysiadających ludzi, nie była jednak w stanie ich rozpoznać.

- Przywiozłem tu kogoś, z kim powinnaś się zobaczyć - powiedział Peter.

Dopiero teraz Laurel zwróciła uwagę na to, że jego twarz promienieje radością i podnieceniem.

- Och, Peterze, nie - odparła ze znużeniem. - Nie mam ochoty spotykać się z nikim. Powinieneś o tym wiedzieć i nie przywozić bez uprzedzenia żadnych gości. Naprawdę nie jestem w nastroju do przyjmowania wizyt.

Odwróciła się, zamierzając wejść do domu.

- Jeśli ludzie, którzy są z tobą, chcą zostać na kolacji, pójde uprzedzić o tym ciotkę Sophie - oświadczyła. - Powiedz im, że żałuję, iż nie mogę się z nimi widzieć, ale niestety mam migrenę.

Peter delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

- Sądzę, że sama możesz im to powiedzieć. - Jego głos brzmiał tak dziwnie, a wyraz twarzy był tak tajemniczy, że Laurel zaniechała stawiania oporu i nie zaprotestowała, kiedy powiódł ją ku schodom werandy.

Szeryf Henderson obszedł powóz dookoła, ostrożnie prowadząc idącego o kulach mężczyznę. Człowiek ów miał dużą brodę oraz potargane jasne włosy, a jego ubranie było połatane i spłowiałe. Kiedy jednak uniósł głowę i popatrzył Laurel w oczy, serce jej zamarło. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, kilkoma susami znalazła się przy nim, wyciągając ręce.

Jedna z kul z hałasem uderzyła o ziemię, kiedy silne, muskularne ramię zamknęło ją w mocnym uścisku. Seth był teraz szczuplejszy i bledszy na skutek przebytej choroby, a jego czoło skrywał biały bandaż. Ale przecież żył!

- Seth! - szepnęła.

Ujęła w dłonie jego twarz i zagłębiwszy palce w gęstej brodzie, szlochając z radości, pocałowała go w usta. Nie dbała o to, że ktoś na nią patrzy. Tait tulił ją do siebie, szeptem powtarzając jej imię.

Kiedy w końcu Laurel odsunęła się od niego, jej twarz mokra była od łez, a oczy miała zamglone i spuchnięte.

- Twoja noga - powiedziała z niepokojem.

- W porządku. Została dobrze nastawiona przez lekarza. Zagoi się.

Laurel dotknęła bandaża na czole, a potem przejechała palcami po brodzie oraz uśmiechających się ustach.

- Seth - szepnęła. - Seth, najdroższy.

- Pani mąż wciąż jeszcze jest słaby, ale na pewno wyzdrowieje - wtrącił łagodnym głosem szeryf.

Laurel popatrzyła na niego ze zdumieniem. W jej głowie kłębiło się tyle myśli jednocześnie, że nie była w stanie nic powiedzieć. Henderson uśmiechnął się i schylił, aby podnieść leżącą na ziemi kulę.

- Pan... myślałam, że on nie żyje - wykrztusiła w końcu Laurel. - Tak napisano w gazecie, a poza tym jego nazwisko widniało na liście ofiar.

- To Peach Brady był na tej liście - poprawił ją Henderson. - Sam go tam umieściłem. Jestem przekonany, i powiem to wszystkim stróżom prawa, którzy będą mnie o to pytać, że Peach Brady zginął podczas trzęsienia ziemi. Natomiast Seth Tait...

Podał Sethowi kulę. Tait wziął ją z ociąganiem, niechętnie wypuszczając Laurel z objęć.

- Seth Tait jest teraz prawdziwym bohaterem. Życzyłbym temu miastu jak najwięcej takich obywateli. Doprawdy żałuję, że nie możemy go tutaj zatrzymać - dodał z zafrasowaną miną. - Ale to niemożliwe z powodu tego człowieka od Pinkertona, Cassidy'ego. Coś mi mówi, że, w przeciwieństwie do mnie, on tego wszystkiego nie zrozumie.

Laurel stała jak skamieniała, z niedowierzaniem spoglądając to na szeryfa, to na Seta. Wyraz twarzy męża przeraził ją. Malowało się na niej rozgoryczenie i smutek.

- Nigdy nie zamierzałem cię o to prosić - powiedział ochryłym głosem - ale jeśli zostanę tutaj, ten detektyw z agencji Pinkertona będzie polował na nas oboje, jak jastrząb krążący nad parą zajęcy. Muszę opuścić Charleston i sam jeszcze nie wiem, dokąd się udam. Chcę wiedzieć... czy wyjedziesz razem ze mną.

Oczy Laurel napelniły się łzami.

- Nawet na koniec świata! - szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję i tuląc się do niego z całej siły. Widoczna na twarzy Setha ulga i czułość nieomal zatamowały jej dech w piersi, a serce gwałtownie zabiło z radości. Obrzuciła szeryfa i stojącego za nim Petera szybkim spojrzeniem. - Ale jeśli nie chcesz, nie musimy nigdzie wyjeżdżać - powiedziała cicho do męża. - Ani ty, ani ja. Cassidy nie żyje. Trzęsienie ziemi... nie mogłam mu w żaden sposób pomóc. Zginął na moich oczach.

Peter i Seth popatrzyli na nią ze zdumieniem, ale szeryf spokojnie pokiwał głową.

- Straciliśmy przez ten kataklizm tak wielu ludzi. Sądzę, że powinienem zawiadomić jego pracodawców. - Umilkł na chwilę, przyglądając się Laurel badawczo. - Być może, kiedy trochę już dojdzie pani do siebie, zechce mi pani opowiedzieć nieco więcej szczegółów na ten temat.

Laurel z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. W tej chwili nie była w stanie wracać myślą do tamtych przerażających wydarzeń. Pragnęła jedynie świętować radosny fakt, że Seth odnalazł się cały i zdrowy.

- Żaden z was nie wyjaśnił mi jeszcze, co robiliście w powozie tej... kobiety.

- Och, Laurel, nie próbuj być taka wyniosła. Panna Elsie była na tyle miła, że zajęła się twoim mężem - skarcił ją Peter. - Jej dom prawie wcale nie ucierpiał podczas trzęsienia ziemi, dlatego też mogła przeznaczyć kilka pokoi dla rannych.

Seth uśmiechnął się do niej swym czarującym uśmiechem.

- Wiem, że prosiłaś, bym nigdy tam nie chodził, ale może tym razem jeszcze mi wybaczysz.

- Och, Seth - Laurel uściskała go nieco delikatniej, pamiętając o jego zranionej nodze. - Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem.

- Muszę już jechać, pani Laurel - powiedział Henderson, uchylając kapelusza i kłaniając się lekko. - Życzę wam szczęścia.

- Dziękuję - odparł poważnie Seth.

- Dziękuję - powtórzyła jak echo Laurel.

- Panna Caroline wkrótce opuści szpital - stwierdził Peter. - Pójdę po nią. Laurel i Seth pozostali sami.

- Laurel - powiedział ochryple Tait. - Jest tak wiele rzeczy...

- Och, Seth - odezwała się w tym samym momencie Laurel. - Dostałeś tak wielką szansę! Nie powinieneś zostawać tutaj...

- Nie mogę stąd wyjechać.

- Już myślałam, że cię straciłam.

- Nigdy dotąd nie mówiłem ci...

- Kocham cię! - szepnęła Laurel. - Och, Seth, jakże cię kocham!

- Chciałem ci powiedzieć to samo - rzekł miękko mężczyzna. Przez chwilę oboje byli zbyt zmieszani, by się objąć, i zbyt wzruszeni, by cokolwiek mówić. Upłynęło kilka minut, zanim Laurel ponownie odezwała się, wspierając czoło na ramieniu męża.

- Och, Seth, tak wiele mam ci do powiedzenia. O Cassidym, o złocie...

- O jakim złocie? - przerwał jej, ona zaś podniosła wzrok i popatrzyła na męża ze zrozumieniem.

- Czy wiesz, co to oznacza? - zapytała cicho.

- Tak - odparł poważnie. - Oznacza nowe życie... dla nas obojga, o ile zechcesz je ze mną dzielić.

Oczy Laurel pojaśniały z radości.

- Witaj w domu - powiedziała z uśmiechem. - Nawet jeśli nie jest to tak naprawdę twój dom, ani mój. Och, chciałabym razem z tobą odbudować Chinatree, tak jak mi to kiedyś doradzałeś. Nie chcę jednak, by wyglądało jak dawniej. Wymyślimy je zupełnie od nowa. To będzie nasz dom.

- Dom jest tam, gdzie ty - odrzekł Seth.

Ich spojrzenia znów się spotkały. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Laurel wyjęła z rąk męża kule i ująwszy go pod ramię, poprowadziła w stronę domu.

RS